

JACEK

KOMUDA

SAMOZWANIEC

TOM II

Lublin 2010



CYKL ORŁY NA KREMLU

1. Samozwaniec - tom 1
2. **Samozwaniec** - tom 2
3. Moskiewska ładacznicą
4. Car z żelaza

*Póki kopii i husarza staje,
będzie Polak pan w polu.
Skoro kopia zginie,
zginie i polska cnota.*

Andrzej Maksymilian Fredro

ROZDZIAŁ VIII

W gościach u Moskwy

Basmanow zamyka się w Nowogrodzie • Narada wojenna • Dymitr postanawia oblężenie • Zaproszenie w gościnę • Gość w dom - Bóg w dom • A nie w porę gorszy od Tatarzyna • Wódka albo gorzalka, czyli czym się kończy picie z Moskalami • Zwada • Spalenie bojarskiego dworu • Dydyński na rozdrożach

Die 20 novembris nowego stylu, 10 starego stylu

Anno Domini 1604

Roku 7113 od stworzenia świata

Nowogród na Siewierszczyźnie, około południa

Carski ulubieniec, wojewoda Piotr Fiodorowicz Basmanow, zamknął się w Nowogrodzie Siewierskim z czterema tysiącami strzelców i dworian, spaliwszy przedmieścia i wypędziwszy posadzkich ludzi. Siedział za drewnianymi murami i ziemnymi wałami niczym borsuk w norze, wystawiwszy lufy dział i rusznic. Nie powitał carewicza chlebem i solą; zamiast bić pokłony, zakurzył prochem w nos, posyłając w stronę wojsk Dymitra ołowianych posłańców wojny.

Buczyński i Dworycki łudzili się, że powtórzy się komedia z Morawska i Czernihowa i ludzie z posadu porwą się na wojewodów i strzelców. Ci zaś będą mogli mówić o sobie jako o wybrańcach Losu i Fortuny, jeśli czerń rzuci ich związanych do nóg Dymitra, nie każe zaś tańcować na stryczkach.

To były złudne nadzieje. Basmanow okazał się srogi jak bies, a kilku Dymitriaszkowym krzykaczom, którzy wieszczili powrót prawosławnego słońca rozświetlającego ponurą ruską ziemię, pozwolił zaznajomić się z kompanią wron i kawek na stryczkach szubienicy. Pokazał, że póki trzyma władzę żelazną pięścią i kułakiem, w Nowogrodzie panować będą carskie mroki.

Dymitr wysłał poselstwo - Mateusza Domaradzkiego i Stanisława Borszę, do których dołączył Dydyński z pocztem, dla ochrony przed czernią. Basmanow - szczupły, śniady,

czarnobrody - przyjął ich na wałach, odziany w aksamitną ferezję i szamerowany żupan. Złudzenia co do tego, że będzie im przychylny, opadły z Lachów równie szybko co czapki z głów podgolonych mieczem. Zaczny Piotr Fiodorowicz mowę miał pełną żołnierskich słów zrozumiałych dla każdego Lacha, Kozaka czy Moskala.

- Bladin syny! - zakrzyknął na propozycję poddania grodu. - Po nasze diengi przyjechaliście z tym worem! Prawdziwy car jest w Moskwie, a Łzedymitr na pal zostanie wbity! Czekajcie, Lachy, będziecie wy jeszcze zielem armatnim chrzczeni, a szablą po łbach bierzmowani!

Po takich słowach deputaci wracali spod wałów, jakby się paliło, potykając się w błocie, niepewni, czy Bosman - jak zwano w taborze polskim wojewodę - nie pośle za nimi ognistego posłańca.

Nie posłał - kawalerska cześć mu za to.

Dymitr przyjął wieść spokojnie, ukazując łaskawą carską, a raczej polską naturę. Oszczędził dworowi tyrady o swych jedynowładnych prawach do Siewierszczyzny i Nowogrodu. I nie tylko nie wzywał na świadków wszystkich brodatych przodków, począwszy od Ruryka, ale nawet nie rzucał gromów na głowę Basmanowa.

- Rozłożyć obóz nad Desną! Otoczyć Nowogród strażami, niechaj mysz się nie prześliznie, a ptak nie przeleci! Podciągnąć puszkę pod wały i oszańcować.

Być może Dymitr nie okazywał gniewu, bo wspominał zasługi rodu Basmanowów, z którego Fiodor, ojciec terażniejszego Piotra, był powiernikiem jego batiuszki - cara Iwana Groźnego. Czyżby liczył na to, że wojewoda zmięknie, a potem będzie służył Dymitrowi wiernie jak Fiodor Iwanowi? Kto to wie, któż zrozumie duszę Moskala, choćby nawet wychowanego w Koronie Polskiej.

Na razie po rotach krążyła wieść rozprowadzana przez pana Świrskiego, iż ojca terażniejszego wojewody nowogrodzkiego łączyły z ojczulkiem carem Iwanem podejrzenie bliskie, można by rzec - miłosne więzi, o których wspominał w listach Andriej Kurbski, moskiewski zbieg do Rzeczypospolitej. Jego słowa powtarzał pan Herakliusz w tajemnicy, kładąc palec na ustach dla większej powagi. Była to oczywiście przysłowiowa tajemnica Świrskiego, więc wkrótce wszyscy Polacy w wojsku Dymitra wiedzieli, że car obcował z Fiodorem po turecku. Herakliusz zaś ubarwiał rzecz tak licznymi i pikantnymi szczegółami, że zdawać się mogło, iż sam był świadkiem miłosnych igraszek Iwana. Rozpowiadał wręcz kiedy, gdzie, w jaki sposób i, ma się rozumieć, ile razy. Historia w jego ustach miała oczywiście swój morał. A był on taki, że gdy wielki książę moskiewski znudził się kochankiem, w okrutny sposób rozprawił się zarówno z nim, jak i z jego ojcem - Aleksym.

Jak bowiem powiadały ruskie kroniki, Fiodor Basmanow nie został oddany katu tylko dlatego, iż zgodził się ściąć głowę własnemu batuszce. Co tak rozbawiło cara, że zamiast pod toporem kata pozwolił miłośnikowi dokonać żywota na zesłaniu w Białoozierze na dalekiej północy.

Niezależnie wszakże od tego, jak tam w łożnicy carskiej było: dupczył car Fiodora Basmanowa albo i nie dupczył, dość, że jego syn nie nadstawiał zadku Lachom. Co też zjednało mu ponury szacunek między Polakami.

A Dymitr? Wyplacił następnego dnia zaciężnym polskim rotom kolejną ćwierć - po piętnaście złotych na koń z pieniędzy, które pobrał na kremlu w Czernihowie. A potem zwołał radę wojskową.

Die 21/11 novembris

Obóz wojsk Samozwańca pod Nowogrodem

Godzina piąta po południu

Przysła odwilż, cieplejszy wiatr z zachodu szarpał połami namiotów, niósł grube krople deszczu. Starczyło kilka godzin, by obozowe ulice zmieniły się w bagniste trzęsawiska, w których wozy grzęzły po osie, kopyta rozchlapywały brunatne błoto na ściany namiotów i szałasów. Kwatery tonęły w błoku i gnoju, mokre, zimne, podtapiane wodą z tającego śniegu - nie były w tym dniu przytulniejszym schronieniem niż beczka postawiona pod drewnianą rynną.

Wiatr wył, a deszcz łomotał, kiedy pułkownicy i rotmistrzowie zeszli się na naradę w wielkim namiocie wojewody sandomierskiego. Dymitr powiódł zmęczonym wzrokiem po wąsatych, poszczerbionych obliczach Lachów i Moskali, jakby chciał w nich wyczytać odpowiedź na pytanie o przyszłość wyprawy. Na drodze do carskiej Czapki Monomacha sterczał niczym cień w boku Nowogród. Nad nim zaś wznosił się jego ponury pan - wojewoda Basmanow.

Carewicz czekał, przybrawszy maskę ponurego imperatora.

- Nie powinniśmy oblegać miasta - rzekł Dworycki. - Naszym celem jest Moskwa, a każde opóźnienie w marszu może skończyć się klęską.

- W pełni popieram słowa waszej mości - mruknął Jan Buczyński. - Nowogród nie kurnik, nie weźmiemy go w dwa dni, obawiam się też, że przy zaciekłości Bosmana nie mamy co liczyć na to, że mieszczanie otworzą nam bramy.

- Też jestem za dalszym marszem - ozwał się Żulicki. - Zostawmy tutaj kozaków i

idźmy na Briańsk, gdzie zbiera się armia cara Borysa. Uderzmy na jego wojska i stańmy u wrót Moskwy razem z Nowym Rokiem!

- Powoli, mospanie! - zaproponował Mniszech. - Ja też czytałem żywoty cesarów i Aleksandra Macedońskiego! Moskwa to nie Persja! Nie ryzykujmy marszu w paszczę carskiej bestii, mając za plecami jej szczenię - Basmanowa. I gród, którego załoga prawie dorównuje liczebnością połowie naszej armii!

- Waść chcesz go oblegać - prychnął Dworycki - bo to twoja nagroda obiecana od Jego Carskiej Wysokości. Śpieszy ci się do siewierskich włości jak do młodej żony.

- Ja tylko pilnuję dobrego imienia najjaśniejszego carewicza, który przyobiecał oswojzić całą Siewierszczyznę od tyra Godunowa.

- Politykowi nie wolno być niewolnikiem swoich własnych słów - mruknął Buczyński.

- Co wczoraj zapowiedział carewicz, jutro może odwołać wola koronowanego cara.

- Siły i zwycięstwa nie buduje się na środkach, ale na zwycięstwach. Czy nie tak pisał waszmości patron, Włoch Machiavelli?

- Nasze zwycięstwo utonie tu w błocie! Pod Nowogrodem stracimy czas i fantazję. Dlaczego chcesz, mości wojewodo, oblegać miasto?

- Bo potrzebujemy wiktorii. Jasnego znaku, że nasz prześwietny carewicz równie dobrze szermuje słowem, co i mieczem. Nowogród, zdobyty i złamany, winien stać się symbolem, przestroga i nauką dla reszty Moskwy - ot, patrzcie, tych, co nie zegną karku przed Dymitrem Iwanowiczem, nasze miecze skrócą o głowę.

Wojewoda uderzył się po pozłocistej szabli, stworzonej raczej do parady niż do wojaczki.

- Ciekawe, czyje głowy będą znosić z pola, jeśli armia Godunowa dopadnie nas pod Nowogrodem? Myślisz waszmość, że zdołamy się obronić przed wojskiem carskim, jednocześnie oblegając miasto?

- Borys nieprędko wyjdzie z Moskwy. O ile w ogóle opuści mury Kremla. Mości panie Chruszczew - Mniszech położył dłoń na ramieniu grubego wojewody, dopuszczonego już do ręki i łaski Dymitra - mów, co tam w stolicy. Jakie nowiny o Godunowie i jego służalcach?

Chruszczew skłonił kark przed carewiczem tak nisko, że brodą omiół z kurzu blat stołu równie skutecznie co służąca ścierką.

- Wasze Carskie Wielicestwo - zastękał - źle się dzieje w Moskwie. Źle dla cara Borysa. Dobrze dla naszej sprawy. Dymitrze Iwanowiczu, ojczulku prieswietny, oto ucieszę uszy twoje nowinami, że nieprawy car słabuje na zdrowiu, nie wychodzi z Granitowej Pałaty,

a jeśli już, to powłóczy lewą nogą. Wojewodowie buntują się, w miastach wzbурzenie, dworanie i strzelcy nie chcą się bić za carskie imię. Źle im, a będzie jeszcze gorzej, bo Borysa ogień trawi na samą myśl, że Wasze Carskoje Wieliczesztwo rośnie w siłę i przewagę.

Dymitr wciąż milczał z ponurym i srogim obliczem.

- Na Kremlu - ciągnął Chruszczew, opierając o stół brzuch, wydęty niczym tatarski bęben - same swary i spiski. Już nie kniaziowie i diacy, nie Wasyl Szujski i Mścislowski, nie Bohdan Bielski i Romanowowie, ale carowe skaczą sobie do oczu. Kiedy Wasze Prześwietne Wieliczesztwo raczył granicę przekroczyć, Godunow kazał przywlec do siebie mniszkę Mafrę, dawną carową Marię Fiodorownę Nagoj, a waszą świętobliwą matkę. Sprowadził ją do carskiej sypialni i kazał mówić prawdę, czy jej syn żyje jeszcze.

Dymitr przymknął oczy i zacisnął zęby. Postronnemu mogło się zdawać, że wcale nie słucha bojarzyna.

- A kiedy odparła, że nie wie, terazniejsza caryca - Maria Skuratowa, żona Borysa - chciała wypalić jej oczy. Czemu przeszkodził car. Wtedy cisnęła Mafrze w oblicze gorejącą świecę. Z czego wybuchł rozruch na dworze. Bo słyszał kto kiedy - wojewoda zacisnął prawicę w kułak i uderzył się z rozmachem w otwartą lewą dłoń - za batuszki Iwana Groźnego, za Fiodora Bezumnego, brata waszego, aby na kremlowskich pokojach lżyły się baby?

- Cóż powiedziała moja święta matuszka - odezwał się Dymitr - że wywołało to taki gniew Borysa?

- Powiedziała... - Chruszczew odchrząknął i oblizał wargi - że syn jej... żyje jeszcze. A ludzie, którzy dawno poumierali, uprowadzili go z Uglicza spod noży carskich siepaczy... Bez jej wiedzy.

Dymitr zadygotał. Ci, którzy siedzieli bliżej, mogli przysiąc, że po jego policzku stoczyła się łza - wytarta naprędce kułakiem. Ci, którzy siedzieli dalej, widzieli tylko, jak carewicz podnosi dłoń do oka.

- Borys Godunow się kończy - rzekł głucho Chruszczew. - Na świętej Rusi wzbiera burza. Dość iskry, a jego władza legnie w gruzach. Tatarski rab, zięć kata Maluty, nie wytknie nosa poza Moskwę. A jego armii nie poprowadzi żaden carski wojewoda.

- Tak więc - zakonkludował Mniszech - mamy czas, by zabawić trochę przy Nowogrodzie. Zdobyć miasta da nam sukces w polu. Ponadto łupy wzięte w kaźni Bosmana zadowolą panów towarzyszy z zaciężnych polskich chorągwi. Nowogród musi zostać zdobyty, aby pokazać innym grodom na Rusi, co czeka niepokornych. Tak powiedziałem. Teraz pokornie czekam na głos Waszej Carskiej Mości.

Dymitr powiódł wzrokiem po obecnych i wyprostował się.

- Wyciągniemy Basmanowa z Nowogrodu jak lisa z nory za ogon! Sypcie szańce, mości panowie, i plećcie kosze do szturm. Wyprowadźcie działa pod miasto i bijcie w mury! Do broni! Ktoś jest przeciwko?

Było ich dwóch - Dworycki i Żulicki, bo Buczyński umył ręce. Przegłosowano ich większością. No cóż - wojenne rady w Rzeczypospolitej nie były jeszcze sejmikami. Na szczęście dla Litwy i Korony tudzież sprawy Dymitra Samozwańca.

Oblężenie było rozpoczęte.

Die 21/11 novembris

Obóz wojsk Samozwańca, późny wieczór

Jeszcze tego samego wieczora Ostromecki nakazał podciągnąć artylerię do wałów Nowogrodu, ustawić kilka dział naprzeciwko miasta, a resztę na wprost Spaso-Preobrażeńskie Monastyr obwarowanego nie tylko wałami i zasiekami, ale także kamiennym murem pamiętającym czasy Włodzimierza Wielkiego. Korzystając z odwilży, usypano szańce i działobitnie, z których spiżowe panie mogły skutecznie popieścić kulami wrogów Dymitra.

Nazwanie wysłużonych wężownic, słowiczków i jaszczurek carską artylerią zakrawało na dobry żart. Osiem działek i sześć śmigownic mogło najwyżej zabawiać Moskali pukaniną, ale nie wystraszyło bynajmniej Basmanowa ukrytego za dębowymi parkanami, wałami i częstokołami. Ostromecki, a i sam Dymitr liczyli bardziej na zbrojną demonstrację niż zmiżdżenie Nowogrodu tak żalonym ostrzałem. Starszy nad armatą nakazał dawać ognia nieprzerwanie przez całą noc, bijąc nie w wały, ale w miasto. Osiągnął tyle, że śmiertelnie wystraszył stado wron zasiadających na dachach cerkwi, bo zły los wytrącił mu z ręki najlepsze karty. Najcięższe działo - dwudziestoczerofuntowa Panna - ostało się samotnie w błotach pod Morawskiem.

Piechota stanęła na szańcach. Kozacy, rozdzieliwszy się na sotnie, otoczyli Nowogród, Moskale założyli obóz nieopodal stacji polskich chorągwi.

Ponieważ jazda nie była potrzebna do oblężenia, Dworycki pozwolił zjechać rotom do obozu. Nie wszystkim uśmiechało się nocowanie w błocie i bagnie; wszak towarzysze husarscy i kozaccy nie żaby - nie tylko wody nie piją, ale i w wodzie niemiło im przebywać. Do taboru ściągnęło jednak sporo okolicznego bojarstwa, dworiaństwa i posadzkich ludzi, aby bić pokłony nowemu carowi. A przy okazji napraszać się ze stancjami i gościna dla co

znakomitszych rycerzy. Polacy nie dali się prosić - Dworycki wkrótce rozdzielił husarzom kwatery. I tu był pies pogrzebany, jak powiadają Moskale. Niespodziewanie do Dydyńskiego zbliżył się niestary Moskal w szubie i niedźwiedzim szłyku.

- Wasza miłość pozwoli ze mną. Jam sługa bojarzyna Iwana Izmajłowa. Ojczulek Iwan Jakowlewicz prosi was na kwaterę, aby ugościć sprzymierzeńców Jego Carskowo Wieliczestwa. Zaprasza w gościnę z poczem i czeladzią do dworu pod miastem.

Dydyński zapomniał języka w gębie, bo nie rozumiał, dlaczego Moskal wybrał właśnie jego. Wątpliwości rozwiązał Dworycki.

- Chodzą słuchy o tobie - mruknął - że jesteś zaufanym sługą cara. Izmajłow, jak każdy Moskal, chce zaskarbić sobie łaski Dymitra, bo prosił mnie, aby dać mu na stancję tego rycerza, co był z lutrem Buczyńskim pod bramą w Czernihowie. Jedź z nim, będziesz miał jak u Pana Boga za piecem.

- Oby mi poszło na zdrowie - rzekł zmęczony Dydyński. Zgodził się, bo perspektywa spędzenia nocy pod dachem była o wiele bardziej kusząca niż noclegu w zalanym wodą obozie. - Panie Świrski, panie Nieborski! Jedzicie ze mną. A, prawda - przypomniał sobie już na kulbace. - Zabierzcie Borysa i pachółków.

Die 21/11 novembris

Wioska w pobliżu Nowogrodu

Godzina dziewiąta w nocy

Czworoboczny dwór Izmajłowa czerniał w świetle księżyca nad polami jak wojenny okręt na spokojnym morzu. Ponury, o stromym dachu krytym brzożową korą, wzniesiony nieopodal wioski pełnej nędznych kleci i czarnych chat.

Bojarzyn czekał we wrotach z drugim sługą, a może synem - Dydyński równie dobrze wyznawał się w jego koligacjach co w liczbie dworskich dziewczek, które zdobywały zasługi w łózkach jego dziadów. Moskal powitał ich w kołpaku z otokiem, w aksamitnej ferezji haftowanej w kwieciste sztuczki i podbitej wilczym futrem. Sługa chadzał w pikowanym sarafanie, czyli kaftanie otwartym z przodu, w czapce i przy szabli. Pachółkowie, którzy rozwarli wrota, mieli żupany i koszuliny, czyli najtańsze szuby, w jakich Dydyński widywał nawet niewiasty na targu.

Izmajłow skłonił głowę, jeszcze zanim Jacek zeskoczył z kulbaki. Stolnikowie odwzajemnił ukłon hardo. Co, może on, szlachcic polski, miał bić czołem jakiemuś Moskalowi śmierzącemu dziegciem? Niedoczekanie!

Pachołkowie pokłonili się w pas, ściągając czapki z wygolonych głów. Niespodziewanie również Borys zeskoczył z Myszatego i oddał czolobitny pokłon bojarowi.

- Błagodietielju mojemu czelom kłaniaju* - rzekł Izmajłow. - Zapraszam do domu, mospan. Wybaczcie mnie głupiemu, ale otczestwa waszewo błagorodia nie znaju**.

- Otczestwa? - Dydyński zdumiony przeniósł wzrok na Borysa. - A to co znowu?

- Jak było na imię ojcu waszej miłości? - zaszemrał Oboleński. - Tak u nas ludzie między sobą rozmawiają.

- Aleksander.

- A zatem, Jacku Aleksandrowiczu, proszę pokornie do górnej izby na wieczerzę. A wcześniej do powaluszki, złożyć łuby.

- Rad z gościny skorzystam.

Weszli na ganek, potem po schodach na podkiet, czyli piętro zwieńczone czerdakami - nadbudówkami, w których mieściły się izby. Moskał wprowadził ich na kolejny ganek, potem do przedniej sieni - dla gości i pana domu. Szybko przeszli do gornicy i od razu do bocznej izby, gdzie na ścianach obitych aksamitem i kitajką wisiały dwa rzędy świętych ikon i obrazków, a na półkach pod nimi stały lampki i świece. Przy ścianach ustawiono ławy okryte sukiennymi poławocznikami, z boku stał grubo ciosany stół okryty obrusem, dwie skrzynie, szkatuła. I jeszcze stosy poduszek i pierzyn, dwa wezglowia, z tego jedno mniejsze - zwane bumażnym. Wysoki lichtarz i dwa zydle. Pieca nie było, zamiast niego przez róg komnaty przechodził gliniany komin pomalowany w kwieciste wzory. Widać palenisko było piętro niżej - w poziomej izbie, a służba nie żałowała drzewa - w komnacie panowało gorąco, choć z kątów rozchodziła się woń kurzu i stęchlizny.

- Oto wasza kwatery, Jacku Aleksandrowiczu - rzekł bojar. - Ostawcie i ochędożcie się, a zaraz na wieczerzę pokornie prosimy.

Kiedy zostali sami, Dydyński pozbył się z pomocą Nieborskiego obojczyka i naramienników, rozpiął karwasze, wyłuskał się ze zbroi, zdjął husarski szyszak, już bez strusich piór, które sprofanował moskiewski wisielec na bramie w Morawsku.

Dydyński zdjął przesywanicę zakładaną pod zbroję dla mokrej żołnierskiej roboty, narzucił jedwabny żupan, karmazynową delię i wilczy kołpak. Przypasał starą, dobrą węgierkę.

- Patrzcie - rzekł Świrski, który na trzeźwo miał wzrok wilka, a po pijanemu - sokoli. -

* rus. - Biję czołem mojemu dobroczyńcy

** rus. - nie znam otczestwa szlachetnego pana

Piec świeżo podmalowany. Krew?

Dydyński zatrzymał się w pół kroku. Sięgnął do juków i wydobył kindżał. Przez chwilę ważył go w rękę, potem wsunął za cholewę buta, dla wszelkiego spokoju. A co jeszcze miał zrobić?! Spisać testament? Przecież nie wybierał się na kujawską biesiadę, gdzie szlachtę w tany porywała sama śmierć.

- Chyba nam gardeł nie urezają, mości Świrski. W gościach jesteśmy. Gość w dom, Bóg w dom.

- Znałeś, wasza mość, braci Rosińskich z Teleśnicy nad Sanem? Pan Krogulecki też u nich gość był, a głowę w świetlicy zgubił.

- Idziemy.

Izmajłow czekał na nich w gornicy, pod ścianą zawieszoną ikonami, kłaniając się może nie w pas, ale wystarczająco nisko, aby Dydyński poczuł się jak prawdziwy pan. Jednak po prawdzie nie wiedział, jak odwzajemnić jego honory - czy się po polsku przywitać podaniem ręki, czy może obłapić albo po prostu odkłonić?

Z kłopotu wybawił go Borys. Zdjął czapkę, przeżegnał się, spojrzął na ikony i trzykrotnie pokłonił się im, dotykając ziemi palcami, następnie zgiął się w pas.

- Błagodietielju mojemu i kormilicu rabski czełom biju - rzekł - kłaniajus stopam twoim, gosudaria mojewe, prosti memu okajaństwu, dozwoł mojej chudosti*.

Stolnikowic spojrzął na niego jak na małpę ze zwierzyńca Jana Zamoyskiego.

- Pokłońcie się trzy razy ikonom, ojczulku - wyszeptał Borys. - A potem gospodarzowi. Taki obyczaj.

Dydyński zdjął kołpak, przeżegnał się, ale po katolicku, skłonił głowę gospodarzowi, spojrzął na ikony. I starczy. Nie było nawet mowy o tym, aby on, szlachcic polski, bił czełom Moskałowi, choćby się niebo zapaść miało.

Świrski pokłonił się, a Nieborski, który szedł z tyłu, tak zagapił się na ikony i obcych ludzi, że potknął się o próg, omal nie wyrzwał głową w deski. Wpadł między służbę Izmajłowa jak kula z armaty, ledwie któryś z pachołków ze śmiechem złapał go pod pachę.

Dydyński rozejrzał się ciekawie, bo choć nie pierwszy raz był w dostatnim moskiewskim domu, dopiero teraz miał czas, by przyjrzeć się sprzętom, ludziom i świętym obrazom. Jak się domyślisz bowiem, Drogi Czytelniku, uwaga pana stolnikowica, gdy wraz z panem Przybyłowskim gościł u czernihowskiego kupca, była skupiona na sprawach bardziej

* rus. - Dobroczyńcy i chlebodawcy niewolnik czełom bije, kłaniam się stopom twoim, panie mój, wybacz me zuchwalstwo, zezwól na moją biedę

przyziemnych - jak skrzynie i sakwy wypełnione brzęczącym grosiwem.

- Jacku Aleksandrowiczu, preswietny sługo gosudara naszego - rzekł bojarzyn - poznamomijże się z gośćmi moimi i druhami - mówił, prowadząc Dydyńskiego do stołu, przy którym zasiadało dwóch Moskali w kołpakach i szubach obszytych tak grubym futrem, że ich rękawy przywodziły na myśl niedźwiedzie łapy. - Oto bojar Mikołaj Siemionowicz Golicyn i poddiaczy Fiodor Iwanowicz Radiszczew.

Pierwszy był stary, z brodą jak wiecheć słomy, a drugi z bródką podgoloną w szpic, po tatarsku. Tak przedstawiała się zasadnicza różnica między Moskalami, bo obaj byli po równo zarośnięci pod oczy i w futrzanych czapach. Podnieśli się ociężale, ale kiedy przyszło do powitań, Dydyński znów miał okazję, aby podziwiać nadzwyczajną giętkość moskiewskich karków. Młody Radiszczew i gruby Golicyn skłonili karki z równą łatwością co młode topole uginające się pod powiewem wichru. Zdaje się, że mieli nawet ochotę obłapić się z Jackiem, ale szlachcic jakoś nie był chętny do niedźwiedziej poufałości.

- Bijut* czołem, Jacku Aleksandrowiczu - rzekł Golicyn, taksując szlachcica bacznym spojrzeniem jak kupiec na targu.

- Siadajże, waszmość panie, koło gospodarza - syknął Borys. - Ja was, dobrodzieju, obsłużę.

Dydyński usiadł u szczytu stołu, na ławie pod rzędami ikon, na wprost Moskali, którzy przyglądali mu się z ukosa, ukrywając wszakże swe zamiary pod gęstymi brodami. Świrskiego i Damiana usadzono w drugim kącie, przy stole dla służby, co trochę nie podobało się Jackowi. Borys przycupnął z boku, gotów służyć na każde skinienie szlachcica.

Izmajłow klasnął w ręce siarczyście, aż echo poszło po izbie, i tym znakiem rozpoczął pir, to jest ucztę, a właściwie spóźnioną wieczerzę.

Służba była wyszkolona jak na królewskim dworze w Krakowie. Uwijała się żwawo, podając kolejne potrawy, część stawiając na stół, inne trzymając w rękach, póki goście nie pojedli lub przynajmniej nie pokosztowali.

Porządek uczyty w porównaniu z tym, co Jacek pamiętał z Polski, odwrócony był na wopak. Zamiast pieczystego podano wety. Kolejno łądowały przed nimi kołacze brackie z pszennej mąki, potem karabaj, to jest chleb z serem. Kisiele z mlekiem tudzież słodkie szyszki zastąpić miały polskie cukry i marcepany. I nie można powiedzieć, aby Dydyński rad był temu wszystkiemu. Chleb podano tylko Izmajłowowi, który po chwili zaczął wywoływać gości po imieniu i otczestwie, po czym obdarowywał ich grubymi pajdami. Talerzy nie było.

* rus. - Biję

Zamiast nich podano po prostu czerstwe kołaczki. O noże, a zwłaszcza łyżki, nie warto było nawet pytać. A Jacek z wrodzonej wyrozumiałości dla moskiewskich obyczajów nie wspomniał nawet o nowomodnych widełkach do przytrzymywania mięsa. Jeszcze by się skojarzyły Moskwie z diabelskimi widłami.

- Błagodietielju, Jacku Aleksandrowiczu, czełom biju - zakrzyknął Izmańłow, wznosząc srebrny bratym, czyli puchar, a stolnikowi zdziwił się, że mieszkańcy tego kraju nie mieli guzów na łbie od tego bezustannego czołobicia. - Dobrego zdrowia żelaju* i wszystkiego, co dobre!

Toast był krótki, ale po Moskalu trudno było spodziewać się retoryki godnej Demostenesa. Szybko osuszył naczynie do dna, lejąc trunek w gardło jak w spróchniałą sosnę. Puchar przeszedł w ręce Dydyńskiego, Borys usłużnie nalał aż po brzegi czerwonego wina, podał panu, trzymając w obu rękach, jak najdoskonalszy sługa. Kto, do diaska, wyuczył go dworskich manier?

- Wielmożni, uprzejmi i wielce mnie mili moi panowie bracia Moskale - rzekł Dydyński staropolskim obyczajem - wielce mnie miły moi panie bracie Iwanie Jakowlewiczu Izmańłowie i wy - zacni i przytomni panowie bojarzy. Będąc tu, w Wielkim Księstwie Moskiewskim, chcę wnieść toast za zdrowie i powodzenie naszego gospodarza. Za wieczny pokój i braterstwo Rzeczypospolitej i Moskwy! Obyśmy was, moi panowie, przypuścili do herbów i godności jak ongiś naszych braci Litwinów. Bodaj teraz, po szczęśliwym zakończeniu peregrynacji Dymitra, takich siła i polska, i moskiewska kraina zrodziła przyjaciół! Za przyjaźń. Za szczęście! I za nasze powodzenie.

Wypił do dna, aż zakurzyło mu się z czupryny. Wino jak wino, nie wykrzywiło szlacheckiego gardła, niestety, do uczciwego węgrzyna i pospolitej małmazji było mu równie daleko co kwasowi chlebowemu do ambrozji greckich bogów.

Bojarzy wiercili się jak na rozżarzonych węglach i ledwie doczekali końca przemowy, bo służba podała wreszcie dania główne. W głębokich misach i bliudach, to jest półmiskach, wylądowała przed nimi świńska tłuszcizna, zające w rosole i kapłony pieczone na rożnie. A poza nimi pochmielie - baranina podana na zimno, zmieszana z ogórkami i rosółem ogórecznym z pieprzem.

Izmańłow sam osobiście pokroił mięso, nałożył gościowi na chleb. Dydyński uradował się na widok solniczki, pierecznicy i gorczycznicy - jak każdy szlachcic lubił jeść kwaśno, ostro i szafranno, a moskiewski powar, czyli kucharz, gospodarował korzeniami również

* rus. - życzę

oszczędnie co lichwiarz umarłym kredytem.

Mięso nie zostałoby pochłonięte tak szybko, gdyby nie podlewano go winem. I trzeba przyznać, że w spełnianiu kolejnych toastów - coraz bardziej nieskładnych - szlachcic polski dostrzegł w moskiewskich bojarach bratnią duszę. Szacunek dla Bachusa i miłość do mocnych trunków zdawały się wspólną cechą ludów tej części świata. Moskale naprawdę umieli pić! To była cecha, która mogła gwarantować pewne i trwałe postępy w brataniu się obu nacji.

Izmajłow i jego kompani wpatrywali się w Dydyńskiego niczym cielę w malowane wrota. A kiedy wreszcie korowód potraw doszedł do polewek i do izby wniesiono misy pierogów z farszem baranim i zajęczym, kaszą, gryką, a razem z nimi czarną uchę z goździkami, Radiszczew przepił do Jacka winem. Dydyński odwzajemnił toast, gdy zaś bratym przeszedł do rąk Izmajłowa, bojarzyn pochylił się w stronę pana stolnikowica.

- Jacku Aleksandrowiczu, nie gniewajże się na przyjaciół, bo rzadka to rzecz gościć u nas, w carstwie prawosławnym, nie dość, że znamienitego cudzoziemca, to jeszcze Lacha, carskiego łycara i powiernika.

- Słyszałem, słyszałem - odparł Dydyński, próbując uchy tak gęstej, że łyżka stała w niej na sztorc, jak rohatyna wbita w plecy Moskwi... to jest w tych okolicznościach raczej w rzyć martwego pludraka - że wam bez carskiej gramoty nie wolno jechać nie tylko za granicę, ale nawet w odwiedziny do sąsiada. Włos się na głowie jeży, kiedy pomyślę, że żyjecie tu, mości panowie, niczym za murem, odgrodzeni nie tylko od Rzeczypospolitej, ale od całej Europy - ba! - od reszty świata.

- Ha, ha, ha - zaśmiał się Radiszczew i pokiwał głową. Nie czekając na służbę i gospodarza, zagarnął z talerza pokaźną porcję pierogów, jeszcze zanim Dydyński zdołał ich skosztować.

- A cóż dobrego przyjść może - zamruczał Golicyn - z Litwy, z Niemczyzny dla nas, ludu prawosławnego, rabów bożych? Nic, jeno zgorzenie, nieprawość i wszeteczne zaprzaństwo. A dzisiaj pułki Dymitriaszki.

- Wojska Dymitra - rzekł Dydyński, odkładając łyżkę - i my, Polacy, przyszlismy tu, aby wybawić was od tyranii cara Godunowa. Przynoszę wam wolność, mości panowie!

Chciał skinać na Borysa, ale ten czuwał i sam dołał mu do pełna. Dydyński wstał, uniósł bratym z równym namaszczeniem jak ksiądz patenę w kościele.

- Za wolną Moskwę! - zakrzyknął. - Za to, abyście zaznali równych swobód co naród polski i litewski! Bez carskiego knuta! Bez tury i kajdan! Wasze zdrowie, mości panowie bracia.

Spełnił toast do dna. Szkoda, że bratym był z metalu, bo chętnie rozbiłby go o swój podgolony łeb.

Moskale powstali, gdy wygłaszał toast, ale słysząc słowa stolnikowica, spojrzeli na siebie z wyrazem nieopisanego zdumienia, jak gdyby w ogóle nie wiedzieli, o czym mówi. Jedyne Radiszczew potakiwał. A przy okazji, kiedy znów usiedli, począł w pocie czoła zmiatać coraz większe porcje jadła.

- A cóż to jest owa wolność? - zapytał Izmajłow. - Cóż ona znaczy? Albo to jakowaś bogini pohańska? Niemiecka? Litewska?

- Wolność? To wolność - odrzekł nieco stropiony Dydyński. - Wolność jest szlachecka, polska. Oznacza swobodę, gdzie każdy człowiek samemu stanowi o swoim losie. Do tej pory wszystko zależało u was od woli jednego tyrana - miasta i ziemia, pole i zboże, woda i powietrze. Bez jego woli nie mogliście nawet pisnąć! Dymitr Iwanowicz wybawi was z niewoli po wsze czasy.

- Wasza wolność wam dobra, a nasza niewola nam - zahuczał Golicyn. - Albowiem wolność wasza, litewska, swawolą jest! U was możniejszy chudszy gnębi, wolno mu wziąć chudszy majątek i samego zabić, a przez prawo wasze dochodząc sprawiedliwości, powlecze się z lat kilkanaście.

Tu pan Dydyński ugryzł się w język, aby nie wtrącić, iż jeśli szablę ma się przy boku, można rzecz radykalnie przyśpieszyć, a rzeczy nierozwiązywalne rozplątać jednym cięciem, jak ów gordyjski węzeł.

- U nas najbolszy* bojarzyn - kontynuował Golicyn - najchudszy nic uczynić nie może, bo za pierwszą skargą car mnie od niego uwolni.

- I sam dla siebie wszystko zabierze - prychnął Dydyński. - Jak Iwan Groźny, co stworzył opryszczkę i zagrabił własnym obywatelom połowę Księstwa Moskiewskiego!

- Jeśli sam car jaki mi bezprawie uczyni - mruknął Radiszczew na przekór Jackowi, który do tej chwili był święcie przekonany, że bojarzynka interesowała tylko i wyłącznie zawartość własnej misy - to jemu wolno jako Bohu, bo on karaje i żałuje.

Golicyn przeżegnał się na dźwięk carskiego imienia.

- U nas, Jacku Aleksandrowiczu - rzekł pojednawczo Izmajłow - inne są obyczaje. Ruś cała należy do Boga w Trójcy Świętej jedyne, którego ikoną jest na tej ziemi gosudar. Wszystko u nas, każdy kniaź, bojar, dworzanin, posadzki czy chołopiszka, ma swoje miejsce przynależne od stuleci, jedyne i niezmiennie. Po co zatem to zmieniać, skoro wszystko idzie

* rus. - największy

toem i trybem, który dawno temu Bóg nakazał, a gosudar nad Jego wolą czuwa? Nie zmienisz praw rządzących Rusią, choćby dlatego, że powstały równie dawno co cały świat.

- Ja tam nie wiem - rzekł Dydyński, łyknąwszy dla animuszu i lepszej retoryki trochę wina - kto wam te prawa nadał i kiedy. Rzeczpospolita bierze swoje początki od starożytnego Rzymu, którego nazwa była taka sama jak Korony i Litwy - res publica, rzecz publiczna, to jest królestwo należące do wszystkich poddanych, których obowiązkiem jest troszczyć się o jego dobro. A nie o wygodę carskiego tyrana, jak w Moskwie.

Na wzmiankę o Rzymie przeżegnali się wszyscy Moskale - powoli, nieśpiesznie.

- *Pamiętaj i słuchaj, monarcho prawosławny, dwa Rzymy upadły, trzeci stoi, czwartego nie będzie* - tokował Golicyn. - Tymi oto słowy ozwał się mnich osyflański Filoteusz do cara, naszego batuszki Wasyla. I jakże mamy ufać twoim słowom, Jacku Aleksandrowiczu, skoro owego Rzymu... nie ma. A prawosławna Ruś była, jest i będzie! - Uderzył się z rozmachem sękatym kułakiem w pierś, aż zadudniło.

- Tak jest, w rzeczy samej, prawdu* Mikołaj Siemionowicz każe - odezwał się Radiszczew i sprzątnął sprzed nosa Dydyńskiego nową porcję pierożków, tak iż została pusta misa. Jackowi zatem nie pozostało nic innego, jak skoncentrować się na polityce.

- Prawosławna Moskwa potrzebuje nowego, dobrego cara - zagrzmiał pan Jacek jak Zamoyski na sejmie, bo nieźle już kurzyło mu się z czupryny. - Bo jak na razie jest w chorobie. Nie zaprzeczajcie, mości panowie bojarzy, bo jeśli byłaby w pełni sił, nie siedziałbym tu dziś za stołem, a garstka naszych wojsk nie poczynałaby sobie tak śmiało, mając pod bokiem całą potęgę Borysa Godunowa. Nigdy nie dostaliście nam w polu, nie wygraliście ani jednej bitwy! Stu naszych rozbija w polu tysiąc waszej jazdy. Tak było pod Orszą, pod Połockiem, pod Pskowem, pod Toropcem! Nie daje wam przez to Pan Bóg czegoś do zrozumienia?

Radiszczew znowu pokiwał głową, niewiele słuchając, a może i rozumiejąc z tego wyводу. Jacek zastanowił się, czy potakiwałby mu nawet wtedy, gdyby powiedział, że jego matka uprawiała sodomie z czarnym kozłem? Choć w sumie w Moskwie, gdzie zwykły kaprys cara mógł obalać możnych panów i ustanawiać na ich miejsce byle muzyków, umiejętność rytmicznego poruszania głową w górę i w dół mogła gwarantować przeżycie.

- Najwyższy ciężko nas doświadcza. Ale tym ufniej przyjmujemy klęski w pokorze.

- I nie myślicie, że potrzeba wam cara, który zburzy mur między Moskwą a Rzeczpospolitą? Takiego właśnie Dymitra?

* rus. - prawdę

- Dlatego uznaliśmy go za gosudara - mruknął Izmajłow. - Ale, Jacku Aleksandrowiczu, nie znajesz ty, że nasza święta Ruś nie jest Litwą...

- Rzeczpospolitą! Nie wiem, czemu wy ciągle mylicie te nazwy.

- Bo płocha jest, pohańska i sprośna - wtrącił Golicyn. - Litwa, to jest Rzeczpospolita wasza, zbudowana jest na nieprawdzie i ucisku. Mamy, jak mówisz, tyrana cara. Nie zaprzeczę. Ale u was każdy pan to tyran. Polska bezhołowiem rządzona, kolonia Niemcom, Ormianom, Cyganom, Szkotom, raj Żydom, piekło chłopom. Zali to nieprawda, że u was wolność przynależy tylko szlachcie? Czy łzę, mówiąc, że wasz lud poza Świętem Zwiastowania nie ma ani jednego dnia wolnego od pracy?

- Nieprawda. Trzy dni odrabiają w polu od każdego łanu. Za to każdy kmieć siedzi na swoim. Jak mu zabiorę ziemię, może iść precz, do innego pana. Tylko u was chołopów sprzedawać można w niewolę jak zwykłych niewolników, a także ich żony, synów, córki.

- U nas każdy zna swoje miejsce w świętym gosudarstwie - mruknął pojednawczo Izmajłow. - Wszystko jest od cara ustalone i wieczne. Ot, choćby księgi. U was, na Litwie, trzeba wiele ksiązek przeczytać, aby wywiedzieć się o Bogu i ludziach. A co gorsza, nie wiadomo, która mówi prawdę, bo jedna rzymska, a druga luterska. A u nas jest jedna, prawdziwa, jedyna, sławna, zowie się Domostroj, wydana za cara batiuszki Iwana Srogiego. Starczy ją przeczytać i już wiadomo, jak po bożemu żyć. Wszystko tam opisane, jak ogórki kwasić, dom budować, jak żonę, dzieci, czeladź bić. Ot, na ten przykład z żoną po bożemu postępować każe, bez gniewu karać, lecz nie przy ludziach, żeby wstydu nie było, a w komorze. Co tak oczy wytrzeszczasz, Jacku Aleksandrowiczu? Może jeszcze powiesz, że u was baby mężami bogobojnymi rządzą?

- Pewnie, że rządzą, skoro swawola taka! - warknął Golicyn.

Dydyński łypnął na niego złowrogo oczyma. Nie podobał mu się ten gruby Moskowita. Stolnikowic zacisnął ręce w pięści, prosząc Matkę Boską Leżajską, aby dała mu siłę i powstrzymała przed strzeleniem płazem szabli w pysk Golicyna. Prosił się ten bojarzyn o zwadę, oj, prosił, nie bacząc na święte prawa gościnności...

- Nasze niewiasty - rzekł Dydyński, starając się przeistoczyć z warchoła w polityka i statystę - nie są tak posłuszne, ba! rzeknę waszmości, że czasem zdarzają się wśród nich prawdziwe kocice. Starczy, że którąś pogłaszciesz lejcami, a zaraz odda. Albo zamiast niej oddadzą ci krewni i przyjaciele. Częściej jednak baby z babami biją się, szarpiąc za włosy i gryząc, osobliwie przy zajazdach szlacheckich.

Tym razem nawet Radiszczew nie przytaknął.

- Baby się biją? - Golicyn splunął na podłogę. - Obraza boska. Taka to, Jacku

Aleksandrowiczu, wasza wolność, że nawet z niewiastą załatwić sprawy nie lizia*? U nas nie w Polsce, muž żeny bolsze**. Jak żonka krnąbrna, upomnień nie słucha, bez gniewu każe Domostroj bić a tego. Tyle że nie kijem, a kańczugiem, i nie przez żywot, nie przez pierś, boby poroniła, a i nie po oczach, nie po uszach, bo co mężowi po ślepej? Po głuchej? Bić bez gniewu, po bożemu karać, ręki nie szczędząc - żonę, czeladź, chołopów. Inaczej pospólstwu w głowach poprzewraca się. I zaraz lada chołopiszka ogłosi się bojarem, a byle muzyk targowy - carem.

- Innych ksiąg niż Domostroj, jak mniemam, nie czytacie? - zapytał szyderczo Dydyński, bo ołowiany spokój Moskali działał mu na nerwy.

Tym razem przemówił Radiszczew.

- Księgi? Mamy księgi, Jacku Aleksandrowiczu. Co byś pomyślał, że my naród nie czytaty i nie pisaty?! Czetyje-Mineji, to jest żywoty i pisma ojców świętej Cerkwi. Jest u nas Stiepiennaja Kniga, a w niej żywoty carów sławnych, od Włodzimierza i Monomacha do cara Iwana Srogiego. Są sudiebniki, gdzie prawa i gramoty carskie wszelakie są zebrane...

- A poezji nie znacie?

Oblicza Golicyna i Radiszczewa miały wyraz wielce zasromany i jakby z lekka durnowaty.

- A co to takiego?

- Wiersze! Jak naszego pana Kochanowskiego, Reja, Jurkowskiego, Sebastiana Klonowica? Jak dumy mości pana Adama Czahrowskiego!

Oczy Moskali przypominały teraz po prostu złote dukaty. Takie dobre, gdańskie i nieoberżnięte przez szynkarzy. Zatem Dydyński zaśpiewał nieco pijackim głosem dumę Czahrowskiego:

*Powiedz-li co kobzo moja
Umie-li co duma twoja,
Cóż być może piękniejszego
Nad człowieka rycerskiego?*

- Takowych sztuków to chyba u nas nie ma - rzekł, kręcąc głową, Golicyn. - Pieśni cerkiewne śpiewać to owszem, ale pieśnidła wstyd i sromota deklamować. To jakby czynić się błaznem wbrew stanowi bojarskiemu.

* rus. - nie wolno

** przysłowie ruskie - U nas nie Polska, chłop ważniejszy od baby

- Nu, batuszka! - Izmajłow szturchnął poufale Dydyńskiego w łokieć. - Wypić nam nada.

- Dolejcie wina! - zawołał Dydyński.

- Mamy tu coś lepszego niż zwykły trunek. Hej, muzyki, dolejcie Jackowi Aleksandrowiczowi hosudarskiego winka!

Borys wnet nalał mętnego płynu z karafki.

- Na zdrowie! Wasze zdrowie! - zakrzyknął bojarzyn.

Chcąc nie chcąc Jacek wypił. I aż się wzdrygnął i zadygotał. To była gorzałka, zwykła prostucha, tak prostacka, że koza darłaby się ludzkim głosem, gdyby jej ktoś lał ją przemocą w gardło.

Wszelako po Moskalach nie widać było obrzydzenia. Wypili tego, wcale nie okazując odrazy. Golicyn pogłaskał się nawet po brodzie i wydętym kałdunie.

- Słasnoże, su, winko hosudarskie!* - rzekł z niejakim zadowoleniem.

Nie chcąc wyjść na gbura, pan stolnikowic osuszył naczynie do końca. Miało to ten przyjemny skutek, że górnica od razu nabrała kolorów, życie powabu, a świat blasku. Dydyński dojrzał, że przy drugim stole trunki płynęły równie szerokim strumieniem co wody rzeką Wołgą. Nieborski podrzemywał z głową wspartą na rękach, a Świrski w przerwach między brataniem się z Moskalami zataczał za stołem tak szerokie kręgi, jakie czyniłaby Ziemia, gdyby obracała się wokół Słońca, a nie odwrotnie.

Razem z kolejnymi kielichami wina pan Jędrzej Herakliusz przechodził w coraz to nowe stany sarmackiej świadomości. Najpierw perorował niczym Katon, potem oznajmiał tezy gromowym głosem Cycerona, wreszcie rozkładał ręce niby Cezar wygłaszający mowę w rzymskim senacie. Co zwiastowało, że jego stan zbliża się szybko do złotej nirwany szlacheckiej fantazji - kompletnego upojenia, czasem tak długotrwałego, że dotknięty nim Lach opuszczał pijacką dziedzinę nogami do przodu lub idąc powłóczystym krokiem prosto na cmentarz, pod rękę ze śmiercią.

Bojarzy znów wypili, bez zakąszania. Leli w siebie gorzałkę bez wszelakiej szkody, zaprawieni w twardej szkole moskiewskiego pijaństwa.

Izmajłow pochylił się ku Jackowi.

- Zdrowie, panie łycar! - zawołał, obejmując go ramieniem. Pijany Dydyński tym razem nie zaprotestował.

- A skąd u ciebie, Jacku Aleksandrowiczu, onże chołopiszka? - Radiszczew

* rus. - Pyszne, panie, winko hosudarskie!

najwyraźniej odzyskał rezon i wskazał na Borysa.

- To nie sługa. To mój rab, pies, so-ba-ka - wybełkotał Dydyński. - Rozumiecie? On Moskał, wasz brat. A mój cho-ło-pisz-ka czarny, mój! Szlachcica polskiego! Ja po jego grzbiecie wsiadam na koń. Jak każę, będzie przez szablę skakał. Jeśli wola będzie, to na czworakach zacznie chodzić i wyć jak pies! Ha, ha, ha!

Moskale zaśmiali się, ale ich oczy pozostawały poważne.

Borys bił Jackowi pokłony, dolewał gorzałki do bratyma. I wtedy nagle, zupełnie niespodziewanie, w samym środku pijackiej maligny przyszło na Dydyńskiego otrzeźwienie.

Czeladzi i pachółków Izmajłowa przybywało. Teraz nie tylko siedzieli za stołem, ale tłoczyli się w otwartych drzwiach, wychylając za próg kudłate łby i futrzane czapy. Borys szwargotał coś z nimi, obłapił się z jakimś czerstwym brodaczem spoglądającym na Dydyńskiego oczyma jak szparki.

I nagle pijany, rozgorączkowany, rozgadany szlachcic uświadomił sobie, że jest sam jeden, jak palec, w izbie pełnej Moskali, dwie mile od obozu wojsk polskich.

Na pocztowych już nie mógł liczyć. Damian osuwał się właśnie z ławy. Świrski zaś w wywodach przodków, pociotów, siostr i babek dotarł do samego świętego Floriana, patrona pijanie, i został przez niego ostatecznie oświecony, bo leżał głową na stole, bełkotał coś, co ginęło w ogólnej wrzawie i zamieszaniu.

Ramiona Izmajłowa i Golicyna spadły na stolnikowica z siłą walących się dębów, wcisnęły w ławę, przytrzymały.

- Mospan Lach, pij z nami, rabami bożymi! - wybełkotał Golicyn. - Dolejcie mu jeszcze!

- Niechaj pozna prawosławną Ruś.

- I naszą gościnę!

Borys sięgnął po bratym, dolał gorzałczyska aż po brzegi pucharu. Dydyński patrzył na to, rozkołysany na falach pijackiego otępienia. Wszystko docierało doń jak przez grube szkło. Każdy ruch zdawał się trwać wieki, opóźniony, jak gdyby byli pod wodą. Oboleński z pełnym naczyniem nie szedł do niego... On płynął przez powietrze z wyciągniętą dłonią, postawił bratym przed szlachcicem.

Stolnikowica wzięła pijacka złość! Porwał za splecione kosmyki brody, przygiął łeb sługi do stołu, mając świadomość, że gdyby Borys nie był potulny jak jagnię, nie starczyłoby mu sił obu rąk, aby tak bardzo go poniżyć. Sprawił, że ucho sługi znalazło się niemal na wprost jego warg.

- Idź do sań! - rzucił wściekłym szeptem wprost do ucha. - Załaduj... pistolety i

rusznicę. Schowaj... pod dhe-dheli-ję. Ro-zu-miesz? Bo... orka i Mykołę węź... Też. Ze sobą...
Czekajcie na schodach! I trzymaj gębę na kłódkę.

- Słuszajus - gorący szept Moskala owionął go jak żar dobywający się z pieca - ale przecie tu sami swoi. Ludzie z Dworu, batiuszka Iwan i drudzy przyjaciele...

- Z jakiego dworu? Skąd ich znasz?

- Wy ich nie znacie, ojczulku? Przecie to wierne raby Starca! Mnie samego Iwan Jakowlewicz Izmańłow posłał na Litwę po wora Dymitriaszkę. Dziwne to... Ich nie znajecie, ojczulka Uspieńskiego nie pomnicie...

- Skoro tu dwór - fora ze dwora, Moskalu! Po... szedł precz! Do sań, powiedziałem!

Borys skłonił się zamaszyście, wycofał z izby tyłem, wierny jak pies, ale z postawy podobniejszy do wilka.

Prawda, która wyszła z jego ust, przenikała do pijanego umysłu szlachcica wolno niczym ostatki piwa z beczki... Izmańłow, Golicyn, Radiszczew byli ludźmi Dworu... Cie-ka-we... Wyborny koncept... He, he...

I nagle uświadomił sobie, że dał im się złapać w pułapkę.

Słudzy pokazywali go sobie spoconymi paluchami, grubymi jak serdele. Podchodzili bliżej, niczym do dziwnego zjawiska, stając za plecami Izmańłowa i jego kompanów. Śmiali się, podrwiwali.

- Pij, Jacku Aleksandrowiczu - wycharczał Golicyn. - Ale może ty nie chcesz z nami biesiadować? Śmierdzimy ci, Laszku, my, błahocestwi chrześcijanie?!

Co robić? Wyjąć szablę? - bełkotał w myślach Dydyński. Pewna śmierć... Zagryzł wargi, dusząc zawroty głowy. Zacisnął dłonie na krawędzi stołu, powodowany tym jednym: byle tylko wstać, utrzymać się na nogach i nie zwalić z ławy na pośmiewisko Moskalom. Zwalczyć słabość, utrzymać się na rozkołysanej podłodze...

Wstał zatem. Powoli, rozstawiwszy szeroko nogi, jakby izba miała stanąć dęba.

- Ty, Liach, pokaży szablu! - zakrzyknął jeden z tamtych, wyższy o głowę od stolnikowica, zuchowaty, kosooki i zarośnięty aż po same oczy jak soból z moskiewskiego boru. - Daj, co przy boku nosisz!

Dydyński szarpnął za szablę. Źle, bo potracił łokciem bratym z gorzałką, który przewrócił się, rozlewając szeroką strugą mętny płyn. Moskale zaszemrali; szlachcic zachwiał się, chwycił naczynie - za późno. Jeszcze gorzej, bo kosooki podskoczył doń z tyłu, pociągnął za rękojeść węgierki, rozbijając stolnikowica równie łatwo co dziecię w powijakach. Nie trzeba było tyle pić, doszło do głowy pana Jacka razem z pijacką czkawką. Wciągnął powietrze, przez chwilę nie oddychał.

Pomogło, rozjaśniło się w głowie; wolno jak koń w kieracie składał strzępy myśli.

- Raz, dwa, trzy! I tak, i tak! - warczał kosooki, fechtując szablą. - I tak go, i tak!
Patrzcie, bracia, ja mam szablę, ja teraz Lach! Klękać przede mną, batuszkowie!

- Oddaj! - wycharczał Dydyński, postąpił trzy rozkołysane kroki do przodu z wyciągniętą ręką. - Oddaj, co nie twoje.

- To już nie moje! - rzucił Moskal i zanim szlachcic złapał go za ramię, cisnął węgierkę kolejnemu kompanowi. Ten przeciął powietrze błyszczącą klingą, zawinał nieporadnego młyńca; widać rękę bardziej wprawioną miał do rąbania drwa niż do szabli. Stolnikowic postąpił krok w jego stronę, a wówczas pachol przekazał broń dalej, szczerząc w uśmiechu białe, równe zęby.

Dydyński zakołysał się na rozstawionych szeroko nogach. Spoglądał na wrogie oblicza Moskali. Na pijanych pocztowych. Na pistolety z kurkami opuszczonymi na panewkę, które nagle pojawiły się w rękach Radiszczewa i Izmajłowa.

Pozbierał się, bo wiedział, że wszystko skończone. I raz jeszcze postawił całą rzecz na jedną kartę.

- Dość już - wycharczał, szukając wzrokiem oczu Izmajłowa - tej błazenady. Hej, ojczulku, gadaj zaraz, jakie są nowe rozkazy z Dworu... Od Starca?

Moskal spojrzał nań, odsunął na bok rękę z pistoletem.

- A skąd ty wiesz, Lachu, co to jest Dwór?

- Wiem nawet, co to Niedźwiedzi Chrest, bo całowałem go, wypowiadając Słowo i przysięgając w imię Najwyższego słu-ży-ć Starcowi do końca.

Moskale zamarli. Dydyński, choć pijany, wyczuł może nie zmianę ich zamiarów, ale wahanie. Kosooki popatrzył pytająco na Izmajłowa, a z samego grymasu jego zarośniętej gęby Dydyński wyczytał nieme pytanie: *Prać, batuszka?!*

- Ty, Izmajłow, poskrom muzyków! - rzekł Dydyński z udawaną złością, choć tak naprawdę, gdyby nie był pijany, pewnie trząsłby się jak liść osiki. - Służę Dworowi. I zapytuję: jakie są rozkazy? Co w sprawie Dymitra, którego nie udało się porwać pod Samborem i dostarczyć żywcem do Starca?

- Słuzysz Dworowi? Doprawdy? - Izmajłow pozostał chłodny i obojętny. - A cóż to Jakiego Dwór? Chyba dwór cara Borysa, naszego gosudara preswietnego?

- Nie obracaj kota ogonem! Wiesz równie dobrze jak ja, co to Dwór Starca!

- I o tym słyszałeś? - rzekł cierpko Izmajłow. - A więc dobrze, Lachu. Sprawdźmy, co wiesz o Dworze. Mamy czas. Mamy dużo czasu. Patrz!

W wyciągniętej ręce kołysał się mały drewniany chrest z łbem niedźwiedzia.

Dydyński nie czekał ani chwili dłużej. Runął na kolana przed Izmajłowem, uchwycił krzyż, podniósł go do ust.

- To ku czci Trojcy Swiatej. Ku pamięci Marii Przczystej Dziewicy.

Izmajłow spojrział na niego, jakby zobaczył ducha.

- Płochu, płochu całujet! - zakrzyknął Golicyn, ale widać było, że jest poruszony.

- Skąd to zna? Kto to? Jak? - bełkotał podpity Radiszczew.

- Słowo! - Dydyński wbił oczy w oblicze Izmajłowa. - Mów Słowo, suczy synu.

Słowo, co było na początku. U waszego Boha!

- Az jesm' s wami i niktoże na wy - wybełkotał bojarzyn.

- Jakie są rozkazy od Starca?! - zagrział Dydyński, gramoląc się z kolan, co zważywszy na jego stan pomrocności, przypominało nieco syzyfowe prace. - Co masz mi do przekazania?!

- Nic... nie wiem - rzekł Izmajłow kompletnie zbity z pantałyku. - Jesteśmy tu osamotnieni. Tropili nas ludzie cara Borysa, ale poukręcałem im łby... Ale czekajże, Jacku Aleksandrowiczu! Wstrzymaj się z pytaniami i zaspokój najpierw naszą ciekawość. Jak to jest, że ja, zakrystianin Dworu, nigdy nie słyszałem o tobie?!

Jednym ruchem Dydyński wyszarpnął z ręki Moskala Niedźwiedzi Chrest. Odwrócił się, podskoczył do gruby i cisnął krzyż prosto w płomień.

Izmajłow wrzasnął niby żgnięty nożem, skoczył do pieca, zatrzymał się z wyciągniętą ręką.

- Wot pizda gorbataja! - ryknął wściekle. - Poszeł ty w buju, bliadyn syn! Coś ty zrobił, Lachu! Łapcie go, z ognia ratujcie!

Służba bojarska zafalowała, jedni wyciągnęli pistolety w stronę Dydyńskiego, inni skoczyli do gruby - nie wiedzieli, kogo ratować i łapać - Lacha czy krzyż. Ale było już za późno; Chrest szerniał, zmałał, szezł w płomieniach.

A Jacek nie czekał. Widząc, że lufa pistoletu bojarzyna nie mierzy już w jego głowę, skoczył na Moskala. Był pijany, słabo utrzymywał się na nogach, potknął się, uderzył kolanem w deski podłogi i zerwał, wkładając w utrzymanie równowagi tyle trudu co w przetoczenie stuwadrowej beczki piwa. Chciał odtrącić Izmajłowa i biec do drzwi, lecz bojar wrzasnął przeraźliwie, zszedł mu z drogi. Szlachcic uderzył go ramieniem, omal nie upadł.

Moskal usiłował strzelić, ale Dydyński - bardziej dzięki ślepej Fortunie i szczęściu niż zamysłowi - chwycił lewą ręką za lufę pistoletu, rąbnął pięścią. Trafił tamtego w łokieć, wyrwał broń.

Izmajłow podskoczył jak młoda sarna.

A Dydyński zatoczył się na słabnących nogach. Uderzył plecami w glinianą ściankę pieca. Poła jego żupana musnęła płomienie, na chwilę w izbie zapachniało spalenizną.

Chwiejąc się na nogach, trzymał broń równie pewnie co pijus ostatnią flaszkę trunku uchronioną z potopu. Mierzył w łeb Izmajłowa.

- Brać go, bliaduna! - wrzeszczał Moskał. - W łyka, w dyby! W łańcuchy! Psa lackiego!

- Stać! - Dydyński nacisnął na spust, cofnął palec, nim zwolnił sprężynę kółka. - Każ tylko się ruszyć... ppachołkom! Zrobię ci... we łbie... dziu-rę sze-rok-ą jak niebiańskie wrota! Ro-zu-misz? - wybełkotał. - Cofać się, psie krwie!

Służba zafalowała, jedni opuścili broń, inni przeciwnie - mierzyli w pierś Dydyńskiego z samopałów i moskiewskich pistoletów. To był pat. Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

- Strzelać! - wycharczał bojarzyn, ale zupełnie bez przekonania.

- Tak! Strzelajcie! Dalejże, każ zabić jedyne go Lacha na służbie Dworu, suczy pomiole! Cofnąć się, powiedziałem!

Służba krążyła wokół nich, zdesperowana, niepewna, co zrobić i w kogo mierzyć. Czarne oczka luf zaglądały w oczy Jackowi jak ślepiec ptaków czekających na swoją kolej na polu pełnym trupów.

- Skąd wiesz, że jesteś jedynym Lachem u Dworu?! - zacharczał Izmajłow. - Kto cię zaprzysiągł do służby? Kogoś Chrest całował?

- Waarłama Jaickiego.

- To zdrajca! Zmiennik, pies jak i ty! On nam Dymitra uprowadził na Litwę! Opuść broń do dytka!

- To sam każ odłożyć piszczele pachołkom.

- Nie.

- Nie?

- Na pewno nie! - potrząsnął głową bojar. - Mierzyć w niego! Nie patrzeć na mnie! Najpierw, panie Lach, daj dowód, że mówisz prawdę i jesteś naszym bratem! Albo nie wyjdiesz stąd żywy, choćbyś miał wpakować we mnie nie jedną, ale trzydzieści kul.

- Daj dowód na to, że gadasz prawdę - zahuczał Golicyn ukryty za szerokimi plecami czeladzi niczym za murami twierdzy.

- Taaa jest - zamruczał Radiszczew, który nie wstał od stołu.

Dydyński milczał skołowany, pijany. Nic nie przychodziło mu do głowy. Wpatrywał się prosto w oczy Izmajłowa. Między nim a możliwym bojarem były cztery kroki, pusta

przestrzeń. I lufa pistoletu.

- Sprowadźcie Borysa Włodzimierowicza! - rzekł bojar, nie próbując wycofać się z linii strzału. - Ruszać się!

Załomotały kroki. Moskiewscy zafalowali, rozstąpili się jak wilki przed niedźwiedziową postacią Borysa. Oboleński szedł wolno, niewzruszony, wyższy o głowę od obecnych. Mrużył oczy nienawykłe do blasku kaganków i łuczywa.

Teraz, przemknęło przez głowę Dydyńskiego, zapłacę za wszystkie zniewagi.

Jednak Borys, ujrawszy rusznice i pistolety wymierzone w szlachcica, zamarł. Spojrzał na Izmajłowa. Spojrzał na Jacka. A potem...

Skrzywił się ze złością.

Wyszarpnął spod płaszcza pistolet z krzosa...

Strzeli! - pomyślał Dydyński. Do mnie!

I wtedy Oboleński wymierzył broń w Izmajłowa.

- Co to wszystko ma znaczyć?!

- Ty mi to powiesz! - warknął bojar. - Ty mi wyjaśnisz, jak Starcowi na spowiedzi, co, jak i dlaczego.

- Ot, naszła kosa na kamień! A czego ty, ojczulku, chcesz mego batuszkę ubić?

- Batuszkę? Jakiego batuszkę, łajdaku! - Izmajłow już krzyczał, nie wiedzieć, bardziej zły, czy też zdezorientowany. - Jedziesz na Litwę złapać i sprowadzić Dymitra. Wracasz bez niego, za to z Lachem zmiennikiem, sobaką rimskowo papy! I jeszcze mianujesz go swoim ojczulkiem?! A ja o niczym nie wiem!

- Schwytali mnie na dworze fałszywego cara, byłbym zatańczył na stryczku, gdyby nie batuszka Jacek Aleksandrowicz. On rzekł, że rozkazy zmieniono. Bo i po co chwytają Dymitra, skoro on sam wraca w granice świętej Rusi?

- Zaraz, ja czegoś nie rozumiem? Przyjmowałeś rozkazy od Lacha? Uwierzyłeś mu?

- Ukazał mi Chrest. Znał Słowo. Tak jak w zakonie. Oddałem mu pokłon i całowałem krzyż.

- Co? Coś powiedział?

- Biłem mu pokłony.

- To zdrajca! Lach nieszczerzy! Psi syn! Sługa zdrajcy Jaickiego.

- Moja sprawa - Borys przeniósł na niego zmęczone oczy - słuchać. Tego, u którego Chrest i władza. I Słowo od Starca.

- Teraz z tym koniec! - krzyknął Izmajłow. - Brać Lacha w dyby. A ty, Borysie Włodzimierowiczu, bij pokłony. Od dziś znowu będziesz słuchał mnie! Nie Lacha! A z nim

zaraz sprawimy się jak z wieprzkiem!

- Nie słuchaj go! - ryknął Dydyński. - Pamiętaj na przysięgę!

- Lach to zdrajca! Na kolana, pacholku!

- Niech pokaże Chrest! - rzucił przebiegle Dydyński, jakby sam diabeł przemawiał przez jego usta. - Borysie, każ mu pokazać Chrest!

- Milcz, Lachu. Jeszcze z tobą nie skończyłem!

Borys zawahał się. Pistolet drgnął w jego ręku. Ale nie odwrócił głowy w stronę szlachcica.

- Jacek Aleksandrowicz prawdu kaže - rzekł. - Pokażcie Chrest Starca, ojczulku. Powiedzcie Słowo. A wtedy stanie się ono ciałem i będę bił wam czołem jak rab.

- Tak jest, Izmajłow. Pokaż mu Chrest! Albo rozwalę ci łeb! - zawtórował jego słowom Dydyński.

- Jaki chrest?! Milcz, Lachu niewierny!

- Niedźwiedzi Chrest - spokojnie odparł Borys. - Tako rzecze Stariec. A jego słowo jest święte.

- Już pokazywałem! Jemu! - wrzasnął Izmajłow, a Jacek wyczuł, że bojar traci grunt pod nogami.

- Pokaż mi tu i teraz!

- Jak ci mam go pokazać, bliadunie?! Jak ci mam nim zaświecić w oczy, skoro Lach go spalił! Wrzucił do ognia.

- Nieprawda - skłamał gładko Dydyński. - Nie było żadnego Chrestu. Iwan Jakowlewicz łże nie jak sobaka, ale jak tuzin pohańców. On nie ma władzy. Nie pokaże ci go, Borysie! To zdrajca! Szpieg Godunowa.

Izmajłow nic nie odrzekł. Zamiast tego uśmiechnął się, błysnął oczyma i rzekł już zupełnie spokojnie, bez gniewu:

- Wygrałeś, Jacku Aleksandrowiczu. Nie, nie mam Chrestu. Nie mogę zażądać pokłonów ani od ciebie, ani od Borysa. Lecz mogę uczynić jedno: zatrzymać cię tu siłą. I sprowadzić jedną jedyną osobę, która zadecyduje, kim jesteś - protopopa Witalija Trofimowicza z Ryłska. Tak, Jacku Aleksandrowiczu, nie pytam nawet, czy go znasz, bo niechybnie to potwierdzisz. A mnie ciekawi, czy on pozna ciebie. Bo jeśli nie, wtedy jest zdrajcą, który wśliznął się w nasze szeregi.

- Stariec chciał, abyśmy towarzyszyli Dymitrowi - rzekł Dydyński. - Nie możesz sprzeciwić się jego woli.

- Mogę i uczynię to! Złóż broń i czekaj tu ze mną na Witalija. Jeśli mówisz prawdę,

uderzę ci czołem. Lecz jeśli zelgałeś, potercza Starca pożrą twoją duszę!

- Nie wierzę ci.

- To źle. Czyżbyś zapomniał, że zgodnie z orderem bractwa nie mogę nic ci uczynić? Wszystko, czego chcę, to abyś przyjął u mnie gościnę do czasu przybycia Witalija. Tylko on może wiedzieć coś o twojej sprawie. Niechaj Borys potwierdzi, że mogę i mam prawo żądać takiego poświęcenia od ciebie dla dobra naszej sprawy, prawda, Borysie?

Oboleński pokiwał głową i opuścił broń. Dydyński został sam. Zupełnie sam w izbie pełnej Moskali.

Gdyby był trzeźwy, pewnie wywiesiłby białą flagę, ale moskiewska gorzałka i zacne wino wciąż zmieniały jego krew w likwor, w którym rodzi się niczym w ogniu szlachecka fantazja.

Opuścił broń, wsunął pistolet pod lewą pachę, złapał za lufę i podał - rękojeścią w stronę Izmajłowa. Postąpił krok do przodu... jeszcze jeden.

Bojar wyciągnął dłoń, ujął kościaną rękojeść, kładąc palec na spuście. A wtedy szlachcic puścił lufę, chwycił za rękaw szuby Moskala, przyciągnął sługę Dworu do siebie, czyniąc krok w bok, aby zejść z linii strzału.

Bóg świadkiem, że Dydyński nie chciał uczynić mu krzywdy, a tylko chwycić, zasłonić się jego ciałem od luf czeladzi. Nie zdołał spełnić nawet pierwszego z zamierzeń. Nagle bowiem huknął strzał, tuż obok, szlachcic poczuł, jak gorąca błyskawica przemknęła pod jego lewym ramieniem. W nozdrza uderzył kwaśny, siarczany i tłusty prochowy dym!

Gromowy pogłos rozbrzmiał, jak gdyby na głowy spadła im powała. A potem... Jak zwykle bywa w pijackich zwadach i bijatykach, nie bardzo było wiadomo, co tak naprawdę się stało... Dydyński poczuł, że ciało Izmajłowa osunęło się na niego całym ciężarem, zważyło z nóg, przygniotło, dziwnie bezwładne i mokre. Błysk - jakby kilku uderzających po sobie piorunów - był tak mocny, że szlachcic miał wrażenie, iż bojarski dwór wylatuje w powietrze...

Nic już nie słyszał, dźwięki strzałów zlały się w jeden przeciągły szum, oczy zasły bielmem. Nie! To była zasłona kurzawy wystrzałów, tak gęsta i kwaśna, że mogłaby wypalić dziury w jego delii i żupanie. Rozumiał i nie rozumiał nic... gdzieś kołatała w nim myśl, że służba dała ognia z rusznic.

Wypuścił z rąk ciało bojarzyna, wstał z kolan, oślepy od oparów, nie widząc nic na wyciągnięcie ręki. Dźwięki, krzyki, wrzaski, tupot stóp zbiły się w jeden szum.

Opary ustępowały. Odgłos wystrzałów i impet prochowych gazów w ciasnej, zatłoczonej izbie był tak morderczy, że fala gorąca i huku wywalila okna przesłonięte

okiennicami; siarczany dym uciekał tamtędy jak przez dymnik, rozrzedzał się, znikał, odsłaniając krajobraz niczym po tatarskim najeździe. Okrwawione ciała dygocące między powywracanymi stołami, pachołków wciąż trzymających dymiące rusznice, trupy leżące między ławami, a czasem na stołach, pozalewane sosami, ucha, winem i gorzałką, które utworzyły na drewnianej podłodze rozległe plamy.

Dydyński nic nie słyszał, a tylko patrzył. Jak między czeladzią uwija się zakrwawiony Borys z czekanem i szablą. Wbija ostrze w plecy uciekającego Moskala, potem wolno, jakby czas nie płynął, ale ciekł, skacze nad ławą, zagania szablą w kąt dwóch służalców.

Jak z ławy zrywa się Świrski, którego Jacek miał za pijanego na umór. Podbija rękę z pistoletem mierzącą w jego stronę, w chwili gdy z zamka błyskają iskry, a z lufy ogień, dym i podmuch rozrywający na strzępy przestrzeń izby.

Jak Borek i Mykoła pracują dzielnie szablami, rąbiąc Moskwę, ścigając uciekających bez pardonu.

Patrzył, jak Borys dopada do chwiejącego się na nogach Golicyna... Jak bojar wali się na kolana, wyciąga błagalnie ręce przecięte chwilę później błyskiem szabli.

Świrski jest tuż obok. Coś krzyczy. Potrząsa Dydyńskim za ramiona, jak gdyby chciał wytrząść z niego duszę. Otwiera usta bezgłośnie. A szum wypełniający głowę szlachcica rozbrzmiewa głośnie, rozpada się na krzyki, wrzaski, zawodzenia, brzęk stali i łoskot podkutych butów. Świat rusza nagle z kopyta, pędzi przed siebie, a stolnikowic wie już, że chyba nigdy nie dogoni poprzednich chwil...

- Cały jesteś, waszmość?! - ryczał pocztowy. - Bierz broń i na nich, w imię Boże! Bij! Morduj!

Nie musiał tego powtarzać. Dydyński poszedł za nim jak wierzchowiec za przewodnikiem stada. Wpadli na pachołków Izmajłowa, wzięli ich na szable. Świrski ciął jednego w rękę, poprawił w bok, w łeb, popchnął kopniakiem na stół i dobił płaskim, prostym sztychem w brzuch. Dydyński zastawił się poziomo, odbił cios, posłał prostą, ale mało przyjacielską odpowiedź, chlasnął z góry, zmieniając kierunek w zwodzie, rąbnął z prawej!

Pachołek zbyt późno zniżył szablę do zastawy, szlachcic chlasnął go przez pierś, poprawił z drugiej strony i jeszcze raz... i jeszcze.

Borys rozwalil łeb kolejnemu słudze. I stał się koniec. Nie było już z kim walczyć. Izba zalana krwią, zasnuta oparami prochu, pokryta dywanem z ciał Moskali wyglądała złowieszczo.

Świrski złapał Jacka za ramię, bo stolnikowic, nie wiedząc sam o tym, zachwiał się na nogach.

- Utailem się na ławie! - wrzeszczał pan Herakliusz. - Bo się spodziewałem podstępu. Za często nam do kielichów dolewali! Trzeba by wszakże piekielnej gorzały, by zwalić z nóg szlachcica polskiego! Wszystko słyszałem!

Szlachcic ledwie rozumiał słowa czeladnika. W jego głowie obracał się wielki spiżowy dzwon. I Dydyński zatoczył się, omal nie walnął głową o piec. Pochylił się przy dogasającym palenisku i z jękiem objawił światu zawartość swego pijackiego żołądka...

- Nie wiem, kto strzelił. Chyba Izmajłow. Albo jeden diabeł. Trafili jego i siebie wzajem, resztę z Borysem wzięliśmy na szable... Jegomość, tak było jak na weselu u Bębnowskiego, bękarta, który zalecał się córce pana Pszonki i posagu nie chciał po niej. Kiedy z darami przyjechał, pogonili go krewni panny młodej, tak że ze wstydem odjechał. Ten Bębnowski od stanu swego wziął miano - że bękato rósł, zwano go bęben. A kiedy dorósł, przezwał się Bębnowskim. Potem słyszałem - murwę krakowską pojął, przechodkę, co i woźnice z nią obcowali. Będą jego potomkom mówić: po bękarcie, z kurwy synu!

Dydyński słuchał go, bo nie miał siły przerwać kolejnej opowieści pana Świrskiego.

Na zalanej, zasłanej resztkami jadła podłodze poruszyły się dwa trupy. Borys skoczył tam z nożem w rękę, ale zatrzymał się w pół kroku. Spomiędzy ciał wypełzł pijany jak stara małpa Damian Nieborski z wyrazem zdumienia pomieszanego z oburzeniem na obliczu. Wyciągnął rękę z cynowym, spłaszczonym kubkiem, nie zdając sobie sprawy, że przespał smacznie całą zawieruchę.

- Wina dajcie...

- Śpij, stary diable! - warknął Świrski.

Więc pan Nieborski posłusznie skłonił głowę na piersi trupa i przymknął długorzęsę powieki, sadowiąc się do spoczynku, jak obok towarzysza pijackiego luśtyka.

Die 22/12 novembris

Dwór Izmajłowa, tuż po północy

- Izmajłow zdradził - rzekł ponuro Dydyński, kiedy jako tako przyszedł do siebie. Krew ciekła mu z ucha, lewa ręka dygotała - trzymał ją ukrytą między guzami zbryzganego krwią i nadpalonego żupana, zaciskał, mnąc w palcach materiał, aby pocztowi, a zwłaszcza Borys, nie dostrzegli słabości.

- Bojarzyn nie miał prawa wymagać od nas pokłonów. Iwan Jakowlewicz zdradził. Nie miał Chrestu. Starzec... chciał jego śmierci.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Dydyński czuł, jak władza nad Borysem dosłownie

wyślizguje mu się z rąk.

- Dzięki... za pomoc.

- Nie dziękuj, ojczulku - wyszeptał Moskał jadowicie, a Jacek miał wrażenie, że pierwszy raz czuje w jego głosie gniew. - Batiuszka Izmajłow złamał prawa Dworu. Chciał cię zatrzymać siłą, wymagał pokłonów, a nie miał Chrestu. Gdyby pokazał krzyż, to wy leżelibyście tutaj z poderżniętym gardłem. Ranniście może?

- Nie wiem...

- Izmajłow - rzekł ponuro Borys - wysłał mnie na Litwę, abym porwał i sprowadził tu Dymitra. Całowałem jego Chrest. Tu, w tej izbie. Nic to, co było, spłyło. Gorze mi tylko, bo on - uniósł tylko brwi, a wzrok Dydyńskiego od razu powędrował do miejsca, w którym leżało ciało bojara - wiedział. Wiedział wiele.

- Co takiego wiedział?

- Kim jestem. - Borys uderzył się w piersi, aż zadudniło. A potem oddał pokłon Dydyńskiemu.

- Panie Świrski - wycharczał szlachcic - bierz na grzbiet Nieborskiego i wynośmy się stąd! Do obozu. Spać.

- Spać? - wzruszył ramionami Herakliusz. - Za pozwoleniem waszej mości... Spać to mogą kury na grzędzie. A ja...

Rozejrzał się po krwawej izbie i przeżegnał zamasyście.

- Ja teraz... Dopiero teraz muszę wydoić parę hiszpanów. Znaczą... porządnie napić się po tym wszystkim.

- Jeszcze zdążysz - wymamrotał pan Dydyński. - A teraz podpalajmy dwór. I w konie! Pójdzie to na rachunek ludzi Dymitra. Szybciej! Ruszajcie się!

- To poczekajcie - wymamrotał Świrski. I zanim Borek i Mykoła skoczyli podłożyć ogień, porwał ze stołu gąsior z gorzałką i świńską nogę poniewierającą się wśród kości.

ROZDZIAŁ IX

Czarne chmury

Posłuchanie u Dymitra • Chytry plan stolnikowica bierze w łeb • Atak czarnej niemocy • Tajemnica carewicza • Gniew pana Dydyńskiego • Rozprawa z czeladzią • W łaźni • Mnisi czarni jak kruki • Zdradzieckie słowa jezuitów • Chrest • Stąpając po kruchym lodzie • Spowiedź • Podstęp Dydyńskiego

Die 23 novembris nowego stylu, 13 starego stylu

Anno Domini 1604

Roku 7113 od stworzenia świata

Obóz wojsk Dymitra pod Nowogrodem, godzina trzecia w południe

Potem był sen w zimnym obozie, wytrzeźwienie, placowa straż, a na niej dalszy ciąg trzeźwienia po nocnej eskapadzie. Dopiero po południu stolnikowic, wzięwszy się w garść, zameldował się w kwaterze Dymitra Samozwańca z prośbą o posłuchanie.

Carewicz odesłał braci Buczyńskich, rzucających na Jacka tak nienawistne spojrzenia, jak gdyby stolnikowic odbierał im sułtańską hurysę albo skradł wianek siostrze i jeszcze rozpowiedział o tym po całym zaścianku. Dymitr był bladej, z sinymi worami pod oczyma, wywczas w obozie służyły mu równie dobrze co Madejowe łoże. Kiedy zasiadał na okrytym aksamitem karle, zgarbiony i szary, Dydyński miał wrażenie, że prawe ramię carskiego synalka jest grubsze i dłuższe od lewego.

- Z czym przychodzisz, mospanie?! - zaczął carewicz bez ogródek. - Odkryłeś, komu zależy na mojej głowie?

Stolnikowic skłonił się sztywno, bo łatwiej byłoby nauczyć wołu tańczyć kadryla, niż zmusić tego szlachcica do wypełniania dworskiej etykiety.

- Na głowie Waszej Carskiej Mości zależy nam wszystkim. Nie tłuczcie na niej kielichów, bo was zabraknie, nie wrócimy cało do domów.

- Mów do rzeczy. Odkryłeś coś nowego? A może liczysz na nową łaskę?

- Odważam się niepokoić Waszą Carską Mość - Dydyński przestał kluczyć i zagrał w

otwarte karty - bo doszedłem po nitce do kłębka.

Dymitr wbił przeszywające na wskroś spojrzenie w oblicze szlachcica. Dydyński poczuł się jak oblany ukropem, bo to, z czym przychodził do carewicza, wymagało polityki i dyplomacji, uprawianej nie szablą, lecz gardłem i językiem. A tych, niestety, do tej pory Dydyński używał głównie do golenia kwarcianych szklanic, pucharów i kuścików. A języka także do pewnych miłych i nadobnych rzeczy, o których pobożna katolicka skromność piszącego nakazuje zamilczeć.

Odchrząknął i rzekł:

- Człowiek, który dał Borysowi rozkaz uprowadzenia cię z Sambora, a wcześniej nasyłał uzbrojonych ludzi, to Iwan Jakowlewicz Izmańłow, bojarzyn nowogrodzki. Wczoraj wieczorem prosił nas do siebie na kwaterę, gdyż dowiedział się, że jestem zaufanym waszej miłości. Potem po pijanemu usiłował zamordować mnie w czasie biesiady.

Dymitr był zagadkowy i nieprzenikniony.

- Izmańłow sam przyznał się do wysłania ludzi z misją porwania Waszej Carskiej Mości, co może potwierdzić mój czeladnik Świrski. Jak myślę, chciał was porwać, aby za dobrą cenę odsprzedać siepaczom Borysa Godunowa.

Znowu milczenie. Czy ten przeklęty Dymitr w ogóle go słuchał?!

- Izmańłow ukazał mi chrest, taki sam, jaki dał Borysowi, który był niegdyś jego sługą. Spiskowcy porozumiewali się, ukazując krzyże. Dlatego myślę, że Wasza Carska Mość może uznać całą sprawę za zakończoną... Winni nie żyją, wasza głowa jest bezpieczna.

Słuchaj mnie, do kroćset! - warknął w duszy Dydyński, bo Dymitr błdził myślami gdzieś daleko. Ty carska wywłoko, psi synu Dymitriaszku, bękarcie tchórza Iwana! Szlachcic polski do ciebie mówi, a ty milczysz!

Ach, z jakąż rozkoszą wyciąłby pięścią albo szablą w okrągłą, ozdobioną brodawkami gębę carzyka. Kto to wymyślił, co to miało znaczyć, żeby on - szlachcic polski i do tego stolnikowie sanocki - musiał płaszczyć się przed rudym Moskalikiem!

- Wykonałem zadanie, o które prosiliście, panie. Zgodnie z waszym słowem oczekuję nagrody. Chciałbym, by Wasza Carska Mość nakazał odszukać mego stryja Michała Dydyńskiego i jego spadkobierców.

- Nie zapomniałem naszej rozmowy na zamku! - rzekł Dymitr tak pewnym siebie głosem, jak gdyby już zasiadał w Granitowej Pałacie na Kremlu. - Jesteśmy wdzięczni za twe wysiłki, mości panie Dydyński, ale udzielimy ci pomocy, dopiero gdy odzyskamy tron. Będziecie mogli zwrócić się do prikazów wojskowych i poselskich, aby sprawdziły rejestry jeńców i pomogły ci odszukać rodzinę. Czekaj, aż pokonamy Godunowa, a nie zawiedziesz

się na naszej łasce.

- Wasza miłość nie stawiał dodatkowych warunków! - zahuczał Dydyński. - Miałem carskie słowo, że zaraz jak odnajdę waszych nieprzyjaciół, wasza mość pomoże mi odszukać Dydyńskich - żywych lub umarłych. Nie żądam wszak pieniędzy ani dostojenstw. Nie chcę niczego poza tym, byś, mości carewiczu, rozpoczął poszukiwania moich krewnych. Albo wydał mi świadectwo, że Michał Dydyński zmarł, nie zostawiwszy potomstwa.

- A może jeszcze powiesz mi, jak mam to zrobić? - prychnął Dymitr. - Siedząc w błocie przy nowogródzkim kurniku i słuchając chorałów wygrywanych na działach i rusznicach przez ludzi Basmanowa? Kiedy toczy się walka o moje dziedzictwo, śmiertelne starcie prawdy z fałszem, Moskwy z Rzeczpospolitą! Mam wsiąść na koń, jeździć od dierewni do dierewni i pytać, azali nie widziano tu gdzieś jakichś panów Pipsztyckich? Czyś ty na głowę upadł, mości panie szlachec?!

- Tylko nie Pipsztyckich, panie carzyku! - rzucił groźnie Dydyński. - Wasza mość dał słowo. A słowo carskie winno być dotrzymane, podobnie jak szlacheckie.

- Taaak? A kto to jest Stariec?

- Co proszę?

- Kto to jest Stariec, did? nie wiem, jak po polsku. Kim jest ten, co stał ponad Izmajłowem? Ślubowałeś, iż odkryjesz moich wrogów. Więc, do paralusza, weź się do roboty i przestań mi wmawiać, że Izmajłow był przyczyną zła! Znajdź Starca, który stoi na czele tego... Dworu. Przywiedź mi go, a ja obiecuję, że nie odejdziesz rozczarowany!

- Stariec? - wybuchnął szlachec. - Jaki Starzec? Skąd waszmość pan wiesz o Starcu?

- Mój zacny sekretarz i pomocnik, pan Buczyński, posiadał nie tylko nauki Machiavellego, ale i dar rozwiązywania języków za pomocą dobrego węgrzyna. A mówiąc prawdę, nawet nie musiał rujnować mojej carskiej piwniczki, aby dowiedzieć się od twego sługi... Świrskiego, co działo się wczoraj w nocy u Izmajłowa.

- Świrski się wygadał?

- W gospodzie towarzyskiej, przy kielichu.

- A więc już wszyscy wiedzą...

- Nie wszyscy. Na szczęście Buczyński umie trzymać język za zębami. Ale ten moczygęba powinien zostać surowo ukarany.

- Tego - rzekł przez zaciśnięte zęby Dydyński, bo poczuł się tak, jakby brała go podagra, paralusz i pospolita sraczka razem wzięte - możesz być wasza miłość pewien. Wymierzę Świrskiemu karę tą oto ręką.

- Język, który przewinił, odrąbuje się wraz z głową. Tak robił mój batuszka car Iwan.

- Ale ja jestem batiuszka Dydyński, a Jędrzej Herakliusz to szlachcic, choć ubogi. Wasza Carska Mość zostawi to mnie.

- Dobrze. Oczekujemy, iż rozpoczniesz poszukiwania Starca. My w zamian pomożemy znaleźć waści stryja.

- Starczy mi papier, że Michał nie żyje! - wybełkotał Dydyński. - Nie potrzebuję nic więcej.

- Dostaniesz gramotę, z którą będziesz mógł szukać rodziny po całej prawosławnej Rusi. Wszystko we właściwym czasie.

Dydyński skłonił głowę, bo nie wiedział, co rzec. Jego chytry plan, aby przedstawić Izmajłowa jako przysłowiowego Cygana - sprawcę wszystkich nieszczęść - spalił na panewce z winy przekłętą Świrskiego. Odnajdź Starca. Jakże to łatwo powiedzieć. A prościej znaleźć igłę w stogu siana.

- Czegóż jeszcze się dowiedziałeś, panie bracie? - drążył temat nieustępliwy Dymitr. - Dokąd teraz podążysz?

- Do karczmy - rzekł zrezygnowany szlachcic. - Pomyśleć nad szklanicą i kuflem, dlaczego życie Borysa Oboleńskiego jest tak podobne do waszego. Jesteście różnymi ludźmi - wy carskim synem, on zwykłym muzykiem, a przecież obydwu zabrał od rodziców - przybranych rodziców - człowiek Dworu, aby wykorzystać do własnych celów. Zastanawia mnie, czy takich jak wy jest w Moskwie więcej... Mości carewiczu! Co wam jest?!

Dymitr, dotąd siedzący dumnie na obitym materiałem karle, nagle wyprężył się, jakby chciał zerwać krępujące go niewidzialne okowy. Zadygotał, rozwierając szczęki do krzyku, który nie nadszedł. Przez chwilę drżał w konwulsjach szarpiących ramiona i nogi, a potem zwałił się na bok.

- Wasza Carska Mość!

Dymitr runął na stojak ze złoconą husarską zbroją, przewrócił go ramieniem. Kirys, naramienniki i norymberski szyszak spadły z brzękiem na perskie kobierce. Carewicz szalał, dygotał, przewalał się na stosie lśniących blach, walił głową w pierś. Tłukł wykrzywionymi palcami w ałasowe bryty, kilimy i draperie we wściekłym napadzie nieokiełznanej furii.

- Carewiczu! Straaaaż! Bywaaaaj!

Dydyński skoczył na pomoc Dymitrowi, padł na kolana, chwycił za karmazynowy żupan na piersiach, poderwał w górę, potrząsnął.

Oczy Samozwańca były białe, źrenice uciekły w głąb czaszki, zęby rozwarły się i zamknęły z trzaskiem, rozcinając wargi. Carewicz miotał się i rzeził; Jacek odruchowo uderzył go otwartą dłońią w twarz, poprawił z drugiej strony, potrząsnął.

- Eeeeeeeeeeee... Uuuuuuuuuuu... - zajęczał Dymitr, miotany paroksyzmami drgawek.

Rzucił głową jak opętany, chwycił zębami za przegub lewej ręki szlachcica, zacisnął szczękę z całej siły.

Stolnikowic wrzasnął. Szarpnął lewą ręką, czując, jak zęby Jego Carskiej Wysokości wbijają się w ciało, drą skórę; zawył, widząc daremność wysiłków. Uderzył w carską głowę, odepchnął ją, chcąc wyswobodzić lewe ramię, a potem wbił palce prawej ręki pod brodę, wcisnął je w policzki, próbując rozewrzeć szczękę Dymitra, niczym koniowi, który nie chce wziąć w pysk wędzidła.

- Pomocy! - krzyknął. - Straaaaaż!

Zakotłowało się za plecami szlachcica. Przez uchylone poły wejścia wpadli Buczyńscy. Cztery ramiona poderwały Dymitra z ziemi. Wyrwały rękę stolnikowica z gosudarskiej szczęki, poniosły carskiego syna. Buczyńscy nie dali się zaprosić do tańca świętego Wita. Trzymali Dymitra krzepko, podnieśli go ostrożnie, unikając wyszczerzonych zębów.

- Zważajcie na głowę! - upomniał Jan.

- Tutaj, na łożu!

- Trzymajcie go! Z dala od łba!

Dymitr, ułożony na stosie pierzyn, dygotał z taką siłą, że ledwie mogli utrzymać go na posłaniu.

- Trzymajcie ręce i nogi! Już! - wystękał Jan. - Bo nas rozszarpie.

Carewicz naprężył się i rzucił jak opętany pod kropidłem. Niczym diabeł, któremu zawieszono na szyi krzyż. Dygotał i szarpał się tak mocno, że trzech dorosłych chłopów ledwo dawało mu radę. Toczył pianę z ust.

- Ależ waszmości oporządził - mruknął Stanisław, świdrując wzrokiem zakrwawioną rękę Jacka.

- To czarna niemoc - wydyszał Jan, dociskając głowę carewicza do kilimu. - Jak go chwyci, gryzie do nieprzytomności, co tylko się da! Ręce pokąsa, nogi, nosy... Księża mówią, że kara boża. Tylko za co?

Dydyński spoglądał na to wszystko zdumiony. Carewicz uspokajał się z wolna. Już nie wstrząsał łoża nagłymi podrzutami ciała. Dygotał, w powietrzu czuć było odór potu, krwi i moczu.

- Masz, waść, przewiąż. - Stanisław wyłuskał ze szkatuły szarpie, podał je stolnikowicowi.

- Już z nim lepiej. Dochodzi.

- Do wieczora będzie zdrów.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał Dydyński, nie to, że zdumiony, wprost zdruzgotany tym wszystkim.

- Jego Carska Wysokość zapadł na taniec świętego Wita. Czasami, ale rzadko, ma takie napady. Nie poznaje ludzi, gryzie, szarpie się, jakby chciał wyrwać z siebie duszę.

- Co waść tak oczy wytrzeszczasz? Na czarną niemoc zapadło wielu panów i senatorów. Imć hetman litewski Jan Chodkiewicz, stary Jan Zamoyski, a i sam Cezar. Godna choroba, skoro spotyka hetmanów, książąt i cesarzy.

- On coś mówi! - wybełkotał Dydyński. - Posłuchajcie!

- Czekaj! - syknął Jan, ale stolnikowic był szybszy, pierwszy pochylił się nad obliczem carewicza.

Oczy Dymitra były puste. Wargi otwały się, lecz nie po to, by kąsać. Z dołu, z głębi duszy carewicza, ulatniały się słowa, składały w zdania, które uderzały w uszy szlachcica jak obuch.

To nie był głos Dymitra. To nie był żaden znajomy głos. Tego nie mówił Samozwaniec; carewicz przecież nigdy nie bełkotałby tak rwącym się, zdyszonym, przerażonym szeptem.

- Gdziem ja jest? Gdzie? Co za... ludzie? Ktoście wy?!

- Nie poznajecie? Jacek Dydyński, sługa waszej mości. A to panowie Buczyńscy.

- Jaki Dydyński? Skąd ja? Spasi Chryste... Gdziem ja jest?

- Pod Nowogrodem, w obozie wojska...

- Ja nie mam wojska...

- Idź już, waść, stąd! - krzyknął Jan Buczyński. - Nie trzeba nam doktorów!

- Zostaw, waść, carewicza w spokoju. - Stanisław położył ciężką dłoń na ramieniu stolnikowica. - Nic tu po tobie!

Dydyński chciał strącić rękę tamtego, ale Stanisław nie był ułomkiem. Szarpnął go, powlókł w tył. A wtedy Jacek chwycił go lewą ręką za przedramię i osadził w miejscu.

Odwrócił się do carewicza i zadał jedno krótkie pytanie:

- Ktoś ty jest?

- Grigorij - zajęczał chory. - Grigorij Otriepiew. Co ja tu... robię? Co tak ciemno? Ojcie Pafnucy, dlaczego... nie ma światła? Dlaczego ciemno w całym monasterze?

- Straż! - krzyknął Jan Buczyński. - Pan Dydyński wychodzi.

- Anhiele Christow, chraniteliu moj swiatyj i pokrowiteliu duszy i tieła mojeho, wsia

mi prosti jelika sohreszich wo dniesznij dień... Ja nie Dymitr... Ja monach prosty...*

To nie był głos carewicza. To w ogóle nie był głos młodzieńca. Należał do człowieka, co pół życia w klasztornej celi szeptał modły na kolanach, którego prawe ramię było większe od przepisywania Dziejów Apostolskich...

- Nie, nie, pan Dydyński jeszcze nie wychodzi! - rzekł Stanisław. - Za późno. On już wie. Usłyszał.

- Co usłyszał? Majaczenia chorego?

- Mości panie Jacku - rzekł spokojnie Buczyński - nie niepokój carewicza. I nie wyciągaj pochopnych wniosków. Ta niemoc... Coś dzieje się z Dymitrem. On wtedy zmienia się w Otriepiewa. W tego czerńca, którego udawał przez lata.

- Majaczy w malignie! - rzucił Jan. - Nic szczególnego i godnego do słuchania.

- Nie wydasz nas waszmość? - zapytał Stanisław. - Nie będziesz o tym rozповідаł? Jesteś wszak zaufanym Jego Carskiej Mości. Jeśli rozejdzie się to po obozie, będą kłopoty. Nie chcemy, by wieści doszły do cara Borysa.

- Doszły? Jezusie Nazareński, królu żydowski. Co ma dojść? - zapytał rozpaczliwie Dydyński. - To, że carewicz jest opętany? Przez diabła?

- To nie jest opętanie. Nie bądź głupcem, mości panie.

- Staram się - rzekł Dydyński, bo to, co zobaczył, uczyniło z jego rozsądku po prostu sieczkę.

- Nie staraj się, jeno słuchaj! Znaki opętanego są, jak podaje *Postępek Prawa Czartowskiego* wydany Anno Domini 1570 w Brześciu przez Cypriana Bazylika, aż nadto wyraźne i różne od choroby Dymitra. To - wyliczał Stanisław, uderzając pięścią w otwartą dłoń - rzeczy pewne, kiedy opętany przez trzydzieści dni koźliny jeść nie chce, jeśli nie chce mówić psalmu *Miserere mei Deus** i *Qui habitat*** tudzież Ewangelii świętego Jana *In principio erat verbum****. Dodatkowo od niektórych opętanych zwykł wychodzić zimny wicher, innym brzuch wydyma się jak bęben tudzież od głowy do nóg przechodzi jakowys powiew, inni zaś mówią różnymi językami, głos zwierząt i bestii naśladują i wszystkie rzeczy święte a duchowne mają w nienawiści. - Tego u Dymitra nie ma - uzupełnił Jan. - Tak więc nie jest opętany. A waszmość nie wszczynaj w obozie hałasu.

- Daję nobile verbum, że to wszystko zachowam dla siebie - mruknął stropiony

* scs. - Aniele Chrystusowy, strózu mój święty, obrońco duszy i ciała mego, wszystko mi przebac, czym tylko zgrzeszyłem w dniu dzisiejszym... Ja prosty mnich...

* łac. - Boże zmiłuj się nade mną

** łac. - Kto przybywa

*** łac. - Na początku było słowo

Dydyński.

- To dobrze. Znaczy, że jesteś rozsądny. A teraz idź, nim się Dymitr przebudzi.

Die 2, 3/13, novembris

Stancje husarskie w obozie Dymitra

Godzina piąta po południu

Dydyński wrócił do stancji, skradając się jak lis. Po cichu, nie krzycząc ani nie nawołując ludzi. Przeszedł między namiotami: okrągłym towarzyskim i szarym dla sług, minął kolasę i wóz skarbnego, przemknął między szopami a stajnią. Ruszył do kuchni, gdzie czeladź zgromadziła się wokół ognia rozpalonego pod żelaznym trójnogiem. Zbliżał się czas wieczerzy. Borek nakładał chochlą kaszę z kotła, z rąk do rąk krążyły cynowe i drewniane miski.

Nieborski, Borys i Mykoła podnieśli głowy, słysząc nadciągającego pana. Nie poruszył się tylko Świrski; siedział na pieńku przy ogniu, skończył jeść pierwszą porcję kaszy z omastą i właśnie odbierał z rąk Borka cynową misę z dokładką.

Nie spodziewał się chyba tego, co się stanie, bo nawet uśmiechnął się na widok Dydyńskiego. To dziwne, że taki stary frant jak Herakliusz nie zwęszył pisma nosem, nie wyczuł, że zanosilo się na burzę z piorunami.

A Jacek po prostu, zwyczajnie, kopnął misę z kaszą. Wybił ją Świrskiemu z ręki, odrzucił butem aż pod chruścianą stajnię z takim rozmachem, że szare drobiny upstrzyły żupany i szuby obecnych.

Świrski siedział z wytrzeszczonymi oczyma, nie wierząc w to, co widział.

Dydyński nie był złym panem. Surowy dla chłopów, służby nie bijął nigdy, cierpliwie płacił basarunki i nawiązki za zwady, awantury, rekwizycje.

Lecz dziś miara się przebrała!

Stanął obok Jędrzeja, który nieporadnie strząsał kaszę z poły ferezji. Pochylił się nad czeladnikiem z jadowitym uśmiechem.

- Panie Świrski, zabieraj łuby, stroje, broń i wynoś się gdzie pieprz rośnie! A najlepiej jeszcze dalej, abym nie musiał oglądać twej parszywej gęby. Możesz zabrać konia z rzędem i zbroję. Lafę wypłaci ci Damian z moich własnych pieniędzy. Nie umiesz milczeć, kiedy trzeba. Nie utrzymasz języka za zębami. Wygadałeś moje plany przed Przeclawem. Szumiałeś i plotłeś na prawo i lewo, po co chodzę do Dymitra. A dziś rano Buczyńscy pociągnęli cię za język w sprawie nocnej zwady u Izmajłowa. Wygadałeś wszystko, coś usłyszał o Starcu i

Dworze. Dymitr dowiedział się o tym i nie chciał zwolnić mnie z przysięgi.

Przerwał, by zaczerpnąć powietrza.

- Ty szelmo, z kurwy synu! - wrzasnął. - Mogliśmy być już w drodze do Dydni! Przez ciebie zostaniemy w tej barbarii aż do śmierci! Nie umiesz dochować tajemnicy, więc ruszaj precz. Ja potrzebuję ludzi, co sprawnie robią szablą, nie jęzorem. Żadnych opojów i wydmikufla, co przepiliby własną babkę. Won!

Świrski nie patrzył na Dydyńskiego. Jacek trzymał rękę na szabli, ale czeladnik nie ryzykował zwady. Podniósł się milczący, z dumnie uniesioną głową.

- Nikt jeszcze nie powiedział mi tak hardych słów, aby potem nie musiał ich gorzko żałować - wydyszał. - Za grzechy moje przyjmuję. Ale Bóg mi świadkiem, że jestem niewinny. Tak samo, wasza mość, było w Smogorzowie, kiedy gumna zgorzała. Zrzucili chłopcy winę na karbownika ze złości, że dobrze doglądał pańskiego dobra i nie dawał kraść. Kazał go zaraz pan Łącki katu pociągnąć, a potem wygnać. I tak zszedł folwark na psy, bo nie było komu chamom w kalety zaglądać, a po gębach prać. Uważaj, waść, by to samo z poczem twoim nie było...

- Zamilcz.

Świrski pokiwał głową i odszedł powoli.

Gdyby spojrzenia pozostałych rękodajnych stolnikowica starczyły za pozew, pan Dydyński zgniłby w kryminale.

- Co się tak patrzycie?! - wybelkotał. - Jeszcze wam mało?

Kopnął stół, przewracając go od jednego uderzenia. Miski i talerze poleciały z brzękiem na ziemię. Jak rozwścieczony mąż furii dopadł ognia, kopnął garniec. Gorąca kasza z omastą trysnęła na pacholków i pocztowych. Dopiero teraz zerwali się z pieńków i ław.

- Wy parszywe fioki! Bęsie końskiej kłępy, z kurwy synowie bezecni! Fajdanisy bisurmańską pyta w dupę szturchani! Do roboty! Czyścić konie! Zbroję! Pistolety! Dalejże!

Jacek miotał się po obozowej kuchni, rozdając szczerze szturchnięcia i kopniaki.

Pierwszego dopadł Borysa, który z powodu swej niedźwiedziej postury nie zdołał dostatecznie szybko poderwać się z pniaka. Kopnął go w bok, aż Moskał zwałił się w błoto. Borek oberwał pięścią w łeb, Mykoła po ramieniu. Damian był szybszy, wywinął się spod ręki stolnikowica, zanim wylądowała na jego ciemieniu.

- Borys, siodłaj konia! - zakrzyknął Jacek, rezygnując z pogoni za pierzchającą służbą.

- Nieborski, wypłać Świrskiemu dziesięć złotych talarami i ortami! Wydaj broń, zbroję i wyprowadź precz.

Zatrzymał się zdyszany, zerwał czapkę ze łba. A kiedy Oboleński przyprowadził mu

Kapera, dzielił Moskala pięścią w głowę, a potem złapał za brodę, zmuszając, aby tamten ukląkł, i wsiadł po jego grzbiecie na kulbakę.

- I żeby mi się tu Świrski nie pokazał! - ryknął. - Bo drzazgi z was pójdą, pieskie syny! A ty... Tyyyy! - wskazał Borysa. - Co tak się patrzysz?!

Porwał za nahaj. Świsnął nim w powietrzu i, od jednego zamachu, zajechał Oboleńskiego przez łeb z taką siłą, że ten ryknął głucho, czapka spadła mu w błoto, sam sługa zgiął się wpół, ale nie padł na kolana. Wystawił cierpliwe, okryte szubą plecy na gniew pana towarzysza.

Dydyński walił go rozszały, smagał po plecach, zamierzył się po raz kolejny, a wtedy ktoś wskoczył tuż przed niego, uniósł rękę.

Nieborski osłonił Moskala własnym ciałem.

- Dość, mości panie!

Dydyński uniósł rękę, ale nie uderzył pocztowego.

- Policzymy się... Jak wrócę - warknął.

Ruszył z miejsca skokiem, wbijając bez litości ostrogi w boki konia.

Patrzyli za nim - Borek i Mykoła jako poddani - ze strachem, znoszący gniew pana jak dopust boży, burzę albo gradobicie.

Borys milczący, Nieborski w gniewie.

Damian podał rękę Borysowi, ale Moskal wstał sam. Pocztowy zacisnął dłonie w pięści.

- Ładnie podziękował nam pan Dydyński! - wybuchnął. - Świrski mu życie uratował w gościach u Moskwy. Pierwszy za szablę chwycił, zasadzkę wyczuł. A teraz... teraz...

Pogroził pięścią Dydyńskiemu.

- Parszywa służba - splunął. - Chyba poszukam lepszej.

- Stój, spokój - rzekł ponuro Borys. - Powiadają Dońcy: Cierp, Kozacze - będziesz atamanem. Wyszumi się stolnikowic i będzie dobrze.

- Nic nie będzie dobrze!

- Nie wygrasz z nim, Damianie Florianowiczu. To pan towarzysz, wielki i bogaty.

- Wyzwę go! Na pojedynek.

- Sługa pana? Żeby cię powiesili? Jego prawo, batuszki, jako hosudara.

- Jakie tam prawo! Do diabła, też jestem szlachcic, co z tego, że ubogi!

- Jak szlachcic, skoro mu służysz?

- Ja też mam herb! Ale nie mam włości, rozumiesz?

Oboleński kiwnął głową, masując się po karku, na którym wykwitła szkarłatna pręga.

- Nie stać mnie na zbroję i poczet, ale prawa mam takie same jak Dydyński! Taki sam jestem nobilis polonus!

- Taki sam?

- No, równy każdemu.

- A tego to już nie rozumiem - pokręcił głową Borys. - Prawdziwa równość, czy jak tam mówicie wy, Lachy: wolność, jest tylko w niebie i w Chrystusie, bo my wszyscy jesteśmy tylko drobną częstką Jego planów. Nikt nie ogarnie boskiego dzieła Zbawiciela. Nikt nie wie, co mu Najwyższy przeznaczył. Dlatego z pokorą trzeba patrzeć na świat i jeno modlić się do Chrystusa, ale i nie pokazać słabości. Taki on jest ten świat, dumny i zły.

- Z pokorą? Masz siłę okazywać pokorę za to wszystko, co on ci robi?

- Jego prawo. Powiedział Pan: *Ostatni będą pierwszymi.*

- Jesteś ranny?

- Zagoi się. - Borys klepnął młodzieniaszka w plecy. - Nie jestem głupi, jak po nahaj sięgnął, zginałem plecy, łeb osłoniłem rękawem. Poszło po skórze. Nic to. Chodź, napijemy się horyłki. Mróz idzie.

Die 23/13 novembris

Łaźnia w obozie Dymitra, wieczór

Świat był w kolorze krwi. Czerwona posoka plamiła szablę stolnikowica, choć Borek wyczyścił żelazo pakułami, pomazał grubo sadłem. Dydyński czuł brunatną juchę na palcach, we włosach, w nozdrzach. A nawet na języku.

Nie pozostawało mu nic innego, jak iść do łaźni; dwie były w obozie - wzniesione świeżo z sosnowych i świerkowych bierwion, na głównym majdanie. Do pierwszej nawet nie wszedł - kłębił się wokół niej tłum piechoty i kozaków. Druga wyglądała na pustą. Powierzył Kapera opiece brodatego moskiewskiego pacholka, wszedł do przedsionka, gdzie rozdział się do szarawarów i koszuli, rzucił łaźiebniemu szóstaka, w zamian za co otrzymał wiązkę brzożowych mioteł i szaflik z zimną wodą. Posługacz rozwarł drzwi i Jacek roztopił się wraz ze swoimi smutkami wśród kłębow gorącej, wilgotnej pary.

Dydyński zajął miejsce na dolnej półce, okrytej lnianym ręcznikiem, w kącie, i pocąc się obficie, zadumał się nad tym wszystkim, co stało się jego udziałem ostatniej nocy.

Nie było mu do śmiechu. Po pierwsze - Izmajłow i inni członkowie Dworu bez pudła rozpoznali fałszywą owieczkę w swoich szeregach. Czy Stariec także wiedział, że wstąpił w ich szeregi, przekabaciwszy Borysa fałszywym chrestem? Izmajłow, Radiszczew i Golicyn

zginęli, ale Dydyński nie był pewien, jak daleko sięgały macki Dworu. Czy zwykli pacholki, z których część uratowała się ucieczką z pogromu, byli na służbie Starca? Czy wieść o jego podstępie szła już - podawana z ust do ust - poprzez bezkresne ośnieżone przestrzenie Moskwy aż tam, gdzie zasiadał ten, który chciał porwać Dymitra Samozwańca?

I jeszcze był ostatni trop, o którym wspomniał Izmajłow. Pop Witalij Trofimowicz z Ryłska. Człowiek Dworu? Szpieg Starca?

Zeskoczył z półki na podłogę zasłaną gałązkami jedliny. Wysiekł się brzożowymi wtkami maczanymi w szafliku. Skoczył do sąsiedniej izby, zanurzył się w balii z lodowatą wodą razem z czubem, wynurzył, parszając niczym młody żrebak. Klepnął w wypięty zadek posługaczkę, ale bynajmniej nie poprawiło mu to humoru. Przeciwnie - po strasznej nocy wciąż widział wokół siebie krew i trupy; niecodziennie przecież, nawet na wojnie, zabija się trzech srogich Moskali razem z czeladzią, a potem podkłada ogień pod bojarskie domostwo.

Diabli by wzięli Michała Dydyńskiego i wszystkich jego potomków. Przekleństwo mogłoby spaść na całą starszą gałąź rodu, a nie na Jacka i jego brata.

Nie miał sił wracać na stancję. Przywołał łaziebego i kazał wstawić do bocznej izby balię z gorącą wodą. Moskwicin był zdumiony, wręcz oburzony, że Lachowi nie wystarczy zwykła bania - co świadczyło, że chyba takich luksusów nie widziano na Rusi od czasów najazdu Tatarów. A kiedy szlachcic wyrzucił z siebie kolejną prośbę - tym razem przez wzgląd na postronnych prosto w gęstwinę zarośniętego ucha, łaziebnik zadrżał i przeżegnał się, jak gdyby usłyszał najstraszniejszą herezję pod słońcem.

Jacek rozproszył jego obawy trzema srebrnymi półtalarami. Dorzuciwszy dwa szóstaki gratis, przeszedł do bocznej izdebki, gdzie kazał przenieść także wszystkie rzeczy. Szybko włożono tam balię, przyniesiono w wiadrach gorącej wody, a pan Dydyński wskoczył do kąpielni. Moskale nanieśli mu prawie ukropu, więc stolnikowic od razu zerwał się, długą chwilę stał i czekał, aż woda ochłodzi się. I z tej dodatkowej desperacji począł kląć wszystko i wszystkich. Zdradliwego Świrskiego, Dymitra Samozwańca, wyprawę, a nade wszystko swój ród.

A potem otwarły się drzwi. Dydyński domyślał się, kto w nich stanął. Kiwnął głową i kiedy podeszła, poderwał się i chwycił dziewczkę za koszulę. Pisnęła cienko, chciała wyrwać się, ale pan stolnikowic nie był w nastroju na miłosne gonitwy. Od razu wciągnął ją do balii, zanurzył w wodzie, aż krzyknęła. Nie broniła się bardziej, niż nakazywałaby skromność - Jacek zapłacił po królewsku i mógł być pewien, że metresa będzie należeć do niego przynajmniej do rana. Tak długo jednak nie zamierzał wylegiwać się w balii. Dziewoja była całkiem udana - płowowłosa i należycie zaokrąglona na tych gaiczkach, pagórkach i łączkach,

na których nader chętnie zatrzymywał się wzrok męski.

Szlachectwo zobowiązywało, stolnikowic zabrał się zatem do pracy z takim zapalem, że gdyby tyle wysiłku poświęcił swej przyszłej małżonce, ród panów z Dydni wzbogaciłby się o kolejną gałąź. Jednak zakończył zapasy szybko. Zanurzyli się w odmętach parującej balii, a stolnikowic na chwilę przymknął oczy, oddając się błogosławionej senności.

Nie na długo, niestety.

Nagle bowiem dziewczka pisnęła i podskoczyła, jak gdyby ujrzała diabła. Zerwała się, zasłaniając piersi rękoma - niby cnotliwa Zuzanna w kąpieli - wyskoczyła z balii i uciekła. Dydyński zaklął, wstrząsnął głową, bo przy okazji zalała mu łeb potokami wody. Minęła chwila, nim łokciem przetarł twarz i przejrzał na oczy.

Wokół balii stało trzech mnichów. Trzech prawosławnych czerńców w mantiach, czyli opończach z kapturami. Wszyscy mieli krótkie brody, wielkie ruskie krzyże na piersiach, a miny poważne niby grabarz na własnym pogrzebie.

Dydyński najpierw pomyślał, że śni; potem - że jest pijany. W końcu zaś, iż słudzy Dworu przyszli, aby porachować kości polskiemu zmiennikowi. Jeden z mnichów położył mu dłoń na ramieniu.

- Pomagaj Bóg, mości panie bracie - rzekł przyjacielsko. - Zaprawdę rozkosz jest jak pszczoła - miodu trochę, a żądła i boleści wiele.

- Dziewka była miodem. My jesteśmy boleścią. I głosem sumienia - zawyrokował drugi.

- Nie wstawaj, synu - uzupełnił trzeci, z krótką, ledwie odrastającą brodą, niewiele starszy od pana Dydyńskiego. - A ty, nieszczęsna, nie grzesz nagością. - Cisnął lniany ręcznik na plecy spłoszonej dziewczki. Ladacznica rzuciła się do drzwi, te były jednak zawarte. Uciekła zatem w kąt, gdzie była druga furta - niska, zbita byle jak z grubych desek. Szarpnęła za pierścień, otwarła drzwi i tyle ją widziano.

Dydyński zerknął w kąt, gdzie pacholik złożył broń i suknie. Nie dostrzegł szabli, delii ani żupana. Westchnął. Był mokry, bezbronny i goły jak święty turecki.

Przyjrzał się nieproszonym gościom, którzy... jak na Moskali mówili całkiem dobrze po polsku, a nawet nie zaciągali z ruska niczym kresowa i ukraińska szlachta.

Wniosek był prosty - albo długo przebywali w Polsce, albo nie byli Moskalami.

I tak okazało się w istocie. Pierwszego, najbardziej brodatego, już poznawał. Był to Kasper Sawicki, kapelan wyprawy i doradca Dymitra. Dwóch pozostałych Dydyński nie znał. Jednak bez trudu wyczuwał w nich gorliwych konfratrów bractwa Ignacego Loyoli, a więc Jędrzeja Ławickiego i Mikołaja Cyrowskiego z kolegium w Jarosławiu, którzy przyłączyli się

do wyprawy, aby nawracać Moskali na katolicką wiarę, a przy okazji pilnować, aby Dymitr Samozwaniec nie odstąpił czasem i na piędź od przyobiecanych zakonowi przywilejów i zaszczytów. Jezuici...

- Nie szukaj swojej broni, miły bracie - ozwał się Sawicki spokojnym i melodyjnym głosem. - Z pokorą stań przed Panem, nagi i bezbronny, jako dziecko, którym staniesz się w godzinie śmierci.

- Tak będzie nam lepiej rozmawiać - uzupełnił Cyrowski.

Jezuici! Dydyński nie wiedział, co gorsze: spotkać moskiewskiego rozsierzonego niedźwiedzia czy tych układnych, pobożnych braciszków, sączących podstępny jad w słowach. Podobnych do siebie jak dwie krople wody, bowiem jak powiadano, ani mała do mały, ani jajko do jajka, ani mleko do mleka nie jest tak podobne jak jezuita do jezuity.

- Czego chcecie, bracia? - zapytał, mając wrażenie, że właśnie wpadł z deszczu pod rynnę.

Nie można było odmówić im sprytu. Od kiedy przekroczyli granicę moskiewską, zaraz zapuścili brody i pozawieszali na piersiach prawosławne krzyże, aby udawać popów. Dydyński jako wychowanek ariańskiej akademii w Rakowie wiedział dobrze, że towarzysze Jezusowi gotowi byli naśladować w liturgii nawet bezwstydną włoską kurtyzany, byle tylko zapewnić sobie szeroką i liczną publiczność.

- Nasze pokorne prośby - powiedział Sawicki - *vulgari mori satisfaciens**, streścić można w krótkiej maksymie: *Vox, vox et praeterea nihil**!*

- Jeśli tak, gadajcie ze mną po polsku, a nie po łacinie, szkolnym obyczajem, od którego odwykłem.

- Jakże tak! - zachnął się Sawicki. - Mienicie się szlachcicem, a nie znacie szlacheckiej łaciny? Języka Pisma Świętego? *Disce puer latine, ego te faciam mości panie****, jak rzekł pewien znamienity król. O sprawach ducha musimy mówić w języku świętego Tomasza i Augustyna. Czy nie słyszałeś, co mawiał kardynał Hozjusz, że odprawianie nabożeństw w języku barbarzyńskim przynosi jedynie złe owoce?

- Wiem, że wasi pobratymcy w zakonie niechętnie mówią po naszemu do wrogów, za to z wielką gorliwością szpetnie obmawiają ich po polsku przed ludem i pospółstwem!

- Będziemy mówić po polsku - łagodnie zgodził się Sawicki. - *Linguam nostram*

* łac. - czyniąc zadość powszechnemu zwyczajowi

** łac. - Słowo, słowo i nic poza tym

*** łac. - stp. - Ucz się, chłopcze, łaciny, a zrobię cię mości panem

magnificabimus****. Albowiem nieskończone jest miłosierdzie towarzyszy Jezusowych.

- Krzyżacy też sprawiali wrażenie bogobożnych i cnotliwych. I podobnie jak wy znaczyli się krzyżem.

- Nie bluźnij, synu - mruknął Ławicki. - I nie czyn sobie zbyt mądrym, bo takie rozumienie o sobie samym jest głupstwem. Oto fundament mądrości: nie ufać własnej mądrości, bo ta może powieść cię na diabelskie manowce, gdzie latarnią jest koło i szubienica. A jedynym światłem - miecz w ręku kata.

- Grozisz, klecho?! Mnie, szlachcicowi polskiemu?

- Albo nie jesteś wiernym katolikiem? - wypalił ojciec Ławicki jak z armaty. - A może twoi nauczyciele z diabelskiej sekty arian już dawno namówili cię do grzechu odstępstwa? Jeśli nie, tedy spuść z tonu, bo jako prawdziwy chrześcijanin musisz uznawać władzę Ojca Świętego, którego jesteśmy wiernym ramieniem, strażą i opoką.

- Nie jestem apostata, arianinem ani lutrem - prychnął Dydyński. - Nie musicie zatem opowiadać mi bajęd kardynała Hozjusza czy innego Loyoli. Zaprawdę lepiej zasłużycie się, nawracając Moskali, niż prześladować szlachcica polskiego w łaźni. Czego chcecie? Wyznania wiary? A może myślicie zbałamucić mnie, jak młodą wdowę albo mężatkę. Co, może nieprawda, że wysysacie je jak pijawki, aby tylko przynosiły wam złoto i zapisywały włości?

- Przyszliśmy odpuścić ci bluźniercze grzechy - rzucił Ławicki takim głosem, jakby przyszedł odprawiać egzorcyzmy nad biednym panem stolnikowicem. - Zły krąży dokoła, porwie twą duszę wprost do piekła. Zaprawdę powiadam ci, synu, drzyj, bo służąc schizmatykom, jesteś tylko o krok od piekielnych czeluści...

- Daj spokój, bracie - uspokajał Ławickiego Sawicki. - Nie trwóżmy zacnego pana stolnikowica. Nie chcemy niczego innego, jak tylko aby podzielił się z nami wieściami.

- To walcie prosto z mostu, o jakie wieści wam idzie?

- O zadanie, które zlecił ci carewicz. To, o czym tajemnie szepczą na Dymitrowych kwaterach katolik ze schizmatykiem - rzekł prawie milczący dotąd Cyrowski.

- Nie zrozum nas źle - uzupełnił Sawicki. - Chcemy tylko pomóc.

- I wyrwać cię z mocy diabła - dorzucił nieugięty Ławicki, wydymając wargi, jak gdyby właśnie kreował się na moskiewskiego Torquemadę.

- Skąd o tym wiecie? - odparował Dydyński. - Świrski wam powiedział? Pił z wami? Radziłbym jednak staranniej dobierać kompanów do kielicha. Ten stary kiep plecie co tylko mu ślina na język przyniesie!

**** łac. - Będziemy słać nasz język

- Świrski? Twój sługa? Pocztowy?

- Były pocztowy.

- Dzięki, że nam o nim wspominasz. Ale nie będziemy mówić o bredniach tego pijanicy, chociaż ostatnio wiele wyśpiewywał w karczmie na majdanie. Jesteśmy wiernymi sługami Jego Carskiej Wysokości i nie uszły naszej uwagi twoje sekretne spotkania. To proste - chcemy wiedzieć, co dzieje się za plecami Dymitra, aby tym lepiej dbać o jego zdrowie. Mówiąc krótko: co wiesz o Dworze, mój synu?

Powinienem zabić tego starego capa, pomyślał zrozpaczony Dydyński. Zadusić gołymi rękoma, jak kat dobrą duszę. Bo wszak on jest dobrą duszą - tyle że pijacką!

- Złożyłem przysięgę i całowałem carski chrest, ślubując dochować tajemnicy. I słowa nie złamię.

- To schizmatycka przysięga! - zaszumiał Ławicki. - Nieważna przed Bogiem i Ojcem Świętym. Mocą naszej profesji jest uwolnić cię od niej, synu, a nawet przejąć na nasze barki twoje brzemie.

- Nie pytamy z pustej ciekawości - pociągnął wątek Sawicki. - Możemy pomóc, wesprzeć cię duchowo. Nie lekceważ wyciągniętej ręki naszego Towarzystwa, albowiem podajemy ją tylko najwierniejszym z wybranych...

- Łżecie jak ksiądz Skarga na sejmowym kazaniu! - zawyrokował Dydyński. - Nic wam nie powiem, idźcie precz! To nie wasza sprawa!

Jezuici porozumieli się wzrokiem.

A potem Cyrowski sięgnął pod mantię. I nagle Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki, zwątpił w zdrowie swoich zmysłów. Poczuł, że śni albo osuwa się w jakąś otchłań.

I rzeczywiście osunął się na bok balii, pośliznął na klepkach, zjechał pod wodę, która zakryła go razem z głową. Zerwał się, młóćąc rękoma, czym spowodował prawdziwie biblijny potop na glinianej polepie, aż jezuici musieli odstąpić. A Jacek potrząsnął głową niczym mokry żreback, przetarł oczy łokciem i wbił wzrok w Niedźwiedzi Chrest, który kołysał się w ręku brata Cyrowskiego.

Krzyż z łbem niedźwiedzia. Taki sam jak tamten, który dał mu władzę nad Borysem. Bliźniacza kopia relikwii ukazanej przez Izmajłowa.

Dydyński nie wahał się. Ujął Chrest, ucałował ramiona.

- Na cześć Trojcy Swiatej - wymamrotał. - I ku pamięci Marii Przczystej Dziewicy. A teraz, szelmy, psy hiszpańskie, mówcie Słowo! To, które było na początku, u Boha i Trojcy.

Jezuici wymienili między sobą zdumione spojrzenia. Byli szczywanymi gracjami,

szybko przybrali miny skrzywdzonych, acz wybaczących apostołów. Jednak Dydyński był zbyt bystrym obserwatorem, aby jego uwadze umknął fakt, iż tak naprawdę nie wiedzieli, co mu odpowiedzieć.

- Gadajcie Słowo, dytche syny!

Cyrowski spoglądał na niego bezradnie. Brat Kasper stał nieporuszony. Nie znali Słowa, nie wiedzieli, co rzec... A zatem...

- Czuwajcie tedy, bo nie znacie dnia ani godziny - rzekł Ławicki, próbując ratować sytuację z wdziękiem niedźwiedzia.

Dydyński odpowiedział mu złośliwym uśmiechem.

- Nie znacie Słowa! - zakrzyknął. - Nie wiecie, co ono oznacza! Zapomnieliście języka w gębie. Wiecie tyle co nic. Skąd macie Chrest?! Kto go wam dał? Nie mówcie, że znaleźliście na gościńcu.

- W tej właśnie sprawie przyszliśmy do ciebie, bracie - rzekł wreszcie Sawicki. - Abyś oświecił nas, czy rzecz, którą mieliśmy za heretyckie insygnium wiary, należy do człowieka...

- Czy może do diabła?! - wybuchnął Ławicki. - Widzę, że miałeś już do czynienia z bluźnierczym idolem Antychrysta! Mów wszystko, co wiesz, albo będziemy musieli oskarżyć cię o herezję!

- Cóż dzieje się wokół Dymitra? Jaką misję ci zlecił? - szeptał Sawicki. - Mów, bracie, nasz przyjacielu. Wszak wszystko utrzymamy w tajemnicy.

- Składałem przysięgę - odparł ponuro Dydyński. - Nie jestem jak członkowie waszej konfraterni, którzy w co rano wierzą, temu zaprzeczają na wieczór. Nie zwykłem łamać szlacheckiego słowa ani wchodzić w układy z jezuitami, którzy chcą przerobić Rzeczpospolitą na drugą Hiszpanię!

- A idź do diabła! - ryknął Ławicki i odruchowo sięgnął do lewego boku, czym od razu zdradził, że zanim przywdział sutannę, bynajmniej nie mierzył łokciem sukna.

- Daj spokój, bracie. - Sawicki chwycił go za ramię. - Módlmy się za spokój duszy tego młodzieńca.

- Pan Dydyński jest zatwardziały w swoich błędach. Czas, aby poznał oblicze Pańskiego Gniewu!

- Co słyszę? Zamordujecie mnie w łaźni? Jak wasz kompan od różańców Clement, który urezał króla Henryka Psikusę, po tym gdy uciekł z Polski do Francji?

- Brat Jacques Clement był dominikaninem. I w dodatku pobłogosławionym przez papieża, albowiem ugodził władcę, który układał się z heretykami.

- Dobry heretyk - wtrącił Ławicki - to martwy heretyk. Martwy - dla dobra swej

własnej nieśmiertelnej duszyczki! Tak więc podzielił się z nami wiedzą z dobrej woli albo pod przymusem. Albowiem nie zwykliśmy rozróżniać między wrogami Kościoła i naszego Towarzystwa.

- Milcz, bracie! - zgromił go Sawicki. - Nie tak ostro.

- Ciekawym, jak zmusicie mnie do złamania przysięgi - zakpił Dydyński. - Jeśli nie macie odwagi, aby pchnąć sztyletem... A może posuniecie się do szantażu? Na przykład doniesiecie Dymitrowi, żeście zdybali mnie z dziewczką w łaźni?

- Jeśli nie powiesz nam wszystkiego, a co więcej, nie będziesz udzielał pomocy Towarzystwu, uwolnimy bestię, która, pożre twe serce, mospanie.

- Jaką bestię? Belzebuba, Asmodeusza czy jakiegoś innego piękniśia z piekła rodem? A może ruską Babę Jagę, która, jak powiadają, mieszka tutaj, na dalekiej północy?

- Nie grzesz, bracie. Mówię o Waarłamie Jaickim, który zachował o was wspomnienia gorące jak uściski piekielnego sukkuba!

- Nie bluźnij! - zgromił go Sawicki. - Nie musimy uciekać się do tak okrutnych metod. My...

- Pokażcie mu, czy mówię prawdę! - zagrział Ławicki. - Otwórzcie drzwi!

Cyrowski szarpnął za żelazny skobel. Dydyński ujrzał korytarz, kłęby pary, a w nich... Dwóch pacholców, między którymi stał niski, gruby człowiek. Światło latarni wydobywało z mroku brodatą, złośliwą gębę...

Jaickij! O, do diabła! Stolnikowic zdołał już o nim zapomnieć. Wydawało mu się, że wtedy, w Samborze, w czasach równie odległych jak upadek Cesarstwa Rzymskiego, pozbył się raz na zawsze tego moskiewskiego maszkarona!

Cyrowski zatrasnął drzwi z hukiem. A Jacek plasnął z wrażenia rękoma w wystygłą wodę.

- Jeśli nie okażesz nam miłosierdzia i pomocy - ciągnął Ławicki - wypuścimy na świat monstrum, które aż się pali, by pokrzyżować ci szyki, mości panie stolnikowicu!

- Jeśli wyjdę stąd żywy, zawiadomię Dymitra, że samowolnie uwolniliście z lochu jego fałszywego sługę, zdrajcę i moskiewskiego zmiennika. Jak myślicie, zacni braciszku, przeciwko komu zwróci się gniew carewicza?

- Dymitr sam oddał w nasze ręce brata - Cyrowski starannie zaakcentował to słowo - Waarłama. Zaraz po tym, gdy Moskal rewokował, wyparł się schizmatyckich błędów i złożył nam wyznanie katolickiej wiary.

- Mamy go w ręku, panie Dydyński - warknął Sawicki. - Jeśli nie okażesz skruchy, obdarzymy tego diabła wolnością.

- A więc od niego macie Chrest?

- Tyś powiedział. My odpowiadać nie musimy.

Szlachcic zamilkł stropiony. Do diaska, podeszli go z najczulszej strony. Jaickij... Był niebezpieczny. Jeśli na przykład z czystej chęci zemsty zawiadomiłby Dwór o poczynaniach stolnikowica, o zbałamuceniu Borysa Oboleńskiego...

- Nie chcemy niczego więcej jak tylko części twej wiedzy - łkał mu do ucha Sawicki. - Uczynź mądrze, zanim brat Ławicki zwolni z łańcucha diabła. Sam pomyśl: powiesz nam wszystko, a w zamian otoczmy cię opieką. Będiesz mógł kontynuować misję dla carewicza.

- Powiesz czy mam uwolnić Jaickiego? Dasz nam świadectwo wiary czy twoi wrogowie rozszarpia cię na strzępy?! - krzyczał z innej strony Ławicki.

- Bracie, błagam, nie wystawiaj na zatracenie swej duszy - jęczał do drugiego ucha Sawicki. - Nie będę w stanie powstrzymać brata Jędrzeja. To człowiek szalony! Szaląputa! Nawet w naszym pokornym Towarzystwie! Miej litość nad sobą.

- Dlaczego Waarłam nie powiedział wam wszystkiego?

- A czy ty byś mu zaufał?

Dydyński milczał. Stali nad nim, trzy czarne kruki z prawosławnym, heretyckim Chrestem. Szlachcic przymknął oczy, przypominając sobie zamglone oblicza ojców preceptorów z Rakowa: Krzysztofa Brockajusa czy Hieronima Moskorzewskiego. Co robić? Co oni powiedzieliby w takiej chwili?

Proste są drogi Pańskie, a sprawiedliwi nimi chodzić będą, a przewrotni na nich upadną.

Proste... Dla niego były kręte jak ścieżki grzeszników. A może jednak w tych słowach tkwiła większa mądrość niż w Pismach Starego Testamentu?

Iść prostą drogą... Do celu. Być sprawiedliwym.

Dydyński przeżegnał się.

- Powiem wszystko. Ale mam trzy warunki.

- Z chęcią o nich usłyszymy.

- Otworzę moją duszę tylko przed jednym z was. Sam na sam. W tym oto pokoju. A wcześniej ten, który usłyszy prawdę, wysłucha mej spowiedzi.

Jezuici spojrzeli po sobie. Ławicki wrzuszył ramionami, Sawicki rozpromienił się tak bardzo, jakby sejm Litwy i Korony w nagłym amoku zgodził się, by wszystkich heretyków posyłać na stos.

- Uczynimy zadość twemu życzeniu - zdecydował Cyrowski, pokazując aż zanadto wyraźnie, który z gromady grajków gra pierwsze skrzypce. - Nie widzę w tym niczego

zdrożnego. Trzeci warunek?

- Dacie mi ten Chrest.

- Po cóż ci on?

- Żadnych pytań.

Cyrowski przymknął oczy. Zakołysał Niedźwiedzim Chrestem.

- Zgoda, bracie.

- Zatem klnę się na moją cześć i dam słowo szlacheckie, że jeden z was, który pozostanie w tej komorze, usłyszy ode mnie prawdę i tylko prawdę o rzeczach, które polecił mej uwadze Dymitr Iwanowicz, carewicz moskiewski.

- Dla którego z nas przeznaczone są twoje słowa?

- Wy, bracie - Dydyński wskazał Cyrowskiego - zostańcie i wysłuchajcie, co mam do powiedzenia.

Die 23/13 novembris

Łaźnia w obozie Dymitra, kilka chwil później

- Wyjdź z wody, panie stolnikowicu - rzekł Cyrowski. - Nie będę słuchał twego confiteor* w balii.

- Dajcie koszulę i hajdawery.

- Nagość jest oznaką pokory i czystości, miły baraneczku.

Dydyński rozejrzał się, ale zdrajcy uprzętnęli gdzieś nawet wiechcie słomy z jego butów. Rad nierad wylazł z balii, znacząc glinianą polepę śladami mokrych stóp. Dygotał z zimna, Cyrowski zaś był przede wszystkim jezuitą, a nie dobrym samarytaninem. Dlatego nie podał stolnikowicowi chusty ani ręcznika.

- Uklęknij, synu.

- Najpierw daj mi Chrest.

Cyrowski podał Jackowi krzyż. Relikwia zaciążyła w palcach stolnikowica, jakby uczyniona była z kamienia pokutnego.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - wyszeptał Dydyński i ukląkł. Nagi i bezbronny, jak gdyby stawał przed samym Ojcem Niebieskim.

- Na wieki wieków. Amen.

Jacek przeżegnał się, szepcząc słowa modlitwy.

* łac. - wyznanie

- Mów grzechy, synu - ozwał się Cyrowski. - Otwórz serce przed Panem i nie trwóż się.

- Przeznaczyłem memu bratu śmierć. Za to, że podstępem wysłał mnie do Moskwy, a sam siedzi w Dydni, pije miód i wino, gzi się z gamratką Skotnicką. Dobrze wie, że jeśli nie wrócę, zostanie jedynym spadkobiercą majątku.

- Chciałeś go zabić?

- Tak, jeśli Bóg pozwoli mi wyjść cało z moskiewskiej awantury. Usiec jak psa, kiedy powrócę do Dydni.

- Bratobójstwo to wielki grzech. Kain zabił Abła u zarania dziejów. Cóż powiesz na Sądzie, kiedy Pan zapyta, gdzie twój brat Abel? Odrzekniesz, że nie jesteś jego stróżem?

- Mój brat nie potrzebuje stróża, lecz sprawiedliwości.

- Odsuść mu winę, a Pan osądzi was sprawiedliwie.

- A jeśli zginę? Czy to też będzie wyrok boskiej opatrności?

- Nie zginiesz, bo podjąłeś się wyprawy, która nie jest na siły człowieka. To pokuta.

- Dlaczego mam pokutować za grzechy ojca?!

- Bo Chrystus cierpiał za nas wszystkich. Chwalebne jest, gdy syn przywróci rodzicowi dobre imię.

- Jeśli znajdę Michała Dydyńskiego albo jego potomków, będę musiał podzielić dziedzictwo między wszystkich braci. Z posesjonata spadnę do szlachcica chodackowego, parszywego szaraczka z zaścianka, ot, przynieś, wynieś, otwórz drzwi, całuj rękę, kłaniaj się w pas!

- Lecz zyskasz nieśmiertelną chwałę. Posesjonatów w Koronie i na Litwie całe mnóstwo. Za to pan Dydyński, który odpokutował grzech ojca, będzie tylko jeden. Odsuść bratu. Okażesz Chrystusowe miłosierdzie, którego owoce dojrzeją w przyszłości.

- Odpuszczam - powiedział zimno Dydyński.

- Bóg ci to wynagrodzi. Cóż jeszcze masz do powiedzenia, synu?

- Uniosłem się gniewem. Ukaralem, przepędziłem pocztowego, dobrego kompana, Jędrzeja Świrskiego. Za to, że wydał po pijanemu kilka sekretów.

- Powiązanych z twą misją?

- To na razie nie należy do spowiedzi, bracie.

- Czy tego żałujesz?

- Żałuję - westchnął szczerze Dydyński. - Nie powinienem obrażać go przy czeladzi. Nie powinienem bić innych pachołków. Biję się w piersi i proszę o przebaczenie. Za zwadę, którą uczyniłem dzisiaj na mojej stacji.

- Czyś nie był bardziej okrutny wobec któregoś ze sług?
- Nie, skądże. Nie przypominam sobie.
- A Borys? Wszyscy widzą, jak poniewierasz go niczym psa.
- To Moskal. Schizmatyk! Szelma i wor!
- Lecz jest człowiekiem.
- Jak mała, gdyby ją postawić na dwóch nogach.
- A jeśli kiedyś będziesz zdany tylko na niego?
- Dam sobie radę.
- W Moskwie? W obcym kraju? On jest twoim przewodnikiem. Miejże choć trochę
litości.
- Przez wzgląd na was, ojcie Cyrowski, proszę o wybaczenie.
- Więcej grzechów nie pamiętasz?
- Dziewki wychędożyłem. Ale bez hańby. Same chciały - w dodatku zapłaciłem.
- Ileż to razy mam wysłuchiwać o alkowach polskich panów... Dość tego. Ile razy?
- Dwa.
- Więcej grzechów nie pamiętasz?
- Jest jeszcze jeden.
- Zatem słucham.
- Zgrzeszyłem - zaszczekał zębami Dydyński - bo przyjąłem służbę u schizmatyckiego
carzyka zwanego Dymitrem Samozwańcem. Bo jako prawy katolik całowałem jego chrest i
pomagałem chronić carską skórę. Bo już poznałem gorąco piekła, smak zdrady i
moskiewskiej nienawiści.

Oczy jezuita otwierały się coraz szerzej i szerzej, w miarę jak Dydyński opowiadał o
knowaniach i zamachach Dworu, o rzezi w domostwie Izmajłowa, o niedźwiedziej masce
nałożonej na głowę Dymitra. O ludziach, którzy ukrywali się gdzieś na bezkresnych
lodowych pustkowiach Moskwy, czekając na chwilę, kiedy będą mogli schwytać carewicza.

Niczego nie pominął. Powiedział wszystko jak na spowiedzi z całego życia. A potem
skłonił głowę, nagi, dygocący, i szepnął:

- Wyznaczcie mi, ojcie, pokutę. Za grzechy żałuję. I więcej ich nie pamiętam.

Cyrowski milczał przez długą chwilę.

- Leż krzyżem dwie noce w kościele. Daj biednym tyle talarów, ile grzechów miałeś w
swej pamięci. Nie pij wina przez tydzień. Odmawiaj *Miserere nobis* każdego poranka, bijąc
się w piersi, przez dni dziewięć. Odpuszczam tobie grzechy w imię Ojca, Syna i Ducha
Świętego.

- Amen.

- Pan odpuścił ci grzechy. Lecz zanim pójdziesz w pokoju, dokończ, coś obiecał, i powiedz mi wszystko, co wiąże się z Dworem i tajemnicą Dymitra.

Dydyński uśmiechnął się krzywo.

- Już ci opowiedziałem, bracie.

- Chcę to usłyszeć raz jeszcze z twoich ust, by nie naruszać sakramentu spowiedzi.

- Już usłyszałeś!

- Jakże to tak! - zakrzyknął Cyrowski. - Dałeś nobile verbum, że podzielisz się z nami swoją wiedzą. Jakże mam rozumieć to, co teraz słyszę?!

- Tak, że wypełniłem dane słowo. Opowiedziałem moją historię jednemu z was, a przedtem wyspowiadałem się. Usłyszałeś już wszystko, co chciałem rzec.

- To łgarstwo! Powiedziałaś mi o tym w czasie spowiedzi, pod tajemnicą Najświętszego Sakramentu! Jakże mam teraz... Mym braciom?

- To już zostawiam twemu sumieniu - wzruszył ramionami Dydyński. - Czy złamiesz śluby i tajemnicę spowiedzi, aby powiedzieć konfratrom o tajemnicy carewicza, czy też zostawisz to dla siebie.

- To zdrada! Podłe! Nikczemne, mości stolnikowicu.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz, mój złotousty jezuito! Ja nie czuję się winnym.

- Oddaj Chrest!

- Sam go sobie weź, popie!

- Zaraz, czekaj, zawołam braci!

- Wołaj, a narobię hałasu. Ciekawe, co powiedzą panowie szlachta, jak wyjdzie na jaw, że trzech jezuitów napastowało w łaźni nagiego szlachcica!

- Wyjdzie twoje łgarstwo.

- Prędeż, żeście sodomici! I co powiedzą wtedy braciszkwie bernardyni? Koło chorągiewne? A Moskale?! To dopiero będą dziwować się obyczajom Towarzystwa Jezusowego!

- Towarzystwo nie zapomni zdrady!

- Oddajcie lepiej moje gacie!

- Memor esto* - rzekł groźnie Cyrowski - że będziemy śledzić każdy krok. A co do spowiedzi... Była nieważna! W takich warunkach i pod przymusem!

- To już zostawiam twemu sumieniu, bracie.

* łac. - Pamiętaj

Cyrowski załomotał w drzwi. Ławicki i Sawicki wpadli do izdebki jak tury, ale ich tryumfujące oblicza zgasty niczym świece, kiedy dostrzegli wściekłą minę pryncypała.

- Powiedział?

- Powiedział... To za mało. Wiem wszystko, bracia. Lecz, mości panie Dydyński, jeszcze nie skończyliśmy.

- O, na pewno. Oddajcie moje rzeczy.

- Dajcie mu szaty. I wszyscy za mną! - warknął Cyrowski.

Pacholek oddał stolnikowicowi delię i żupan, drugi położył na ziemi szablę, koszulę, kołpak i hajdawery. Jacek chwycił to wszystko, ubierał się szybko, bo zimno kąsało go jak głodny wilk.

I nagle coś sobie przypomniał.

Nie wiadomo, czy jego wyczulone ucho dosłyszało skrzyp drewna, czy też wśród syku pary uciekającej z nagranych kamieni wyłowił głuchy łoskot desek, dość, że przyskoczył do drzwiczek, w których na początku rozmowy z jezuitami znikła ladacznica, i szarpnął za skobel.

Światło latarni wpadło do wnętrza. Usłyszał pisk, kiedy dziewczka odskoczyła aż pod ścianę. Te drzwi nie prowadziły wcale na zewnątrz. Był to schowek, mała, ślepa komora, w której piętrzyły się szafliki, wiadra i wiązki brzoźowych witek powiązanych w pęczki.

Spojrzał lodowatym wzrokiem na murwę i położył dłoń na rękojeści szabli.

- Podłuchiwałaś!

Pokręciła rozpaczliwie głową, ale on wiedział swoje. Prawda była oczywista i wiedzieli o niej oboje - nieszczęsna słyszała każde słowo, które wypowiadał w komorze.

Dydyński stał rozdygotany, wściekły. Co miał czynić? Co robić, na Boga?

Wyciągnął szablę z pochwy na dwie dłonie, wysuwał dalej lśniące ostrze śmierci.

Zabić ją? Cóż trudnego.

- Nie, panie, pomiłuj! Litości...

Padła na kolana i zalała się łzami.

Dydyński spojrzał obojętnie na szablę, popatrzył na swoje dłonie, szare i rozmiękłe po kąpieli.

Przecież tego nie zrobi. To było jasne od razu.

Cóż zatem pozostawało?

Chwycił ją za ramię i poderwał w górę.

- Odziej się! Pójdziesz ze mną! - rozkazał.

- Nie, panie, ja...

Bez zbędnych ceregieli wyciągnął ją, ledwo co odzianą, z łaźni na ulicę. A potem popchnął - szlochającą i przerażoną - w stronę husarskich stacji.

Die 23/13 novembris

Stacja carskiej chorągwi husarskiej

Późny wieczór

Było już ciemno, kiedy zaciągnął opierającą się ladacznicę do namiotu, budząc zrozumiałe zdziwienie u Nieborskiego i Borka. Na szczęście zaczęło się znowu ostrzeliwanie miasta, działa posyłały z głuchym hukiem carskie pozdrowienie do bram i Spaso-Preobrażeńskie Monasteru. Mało kto miał głowę, by patrzeć, cóż takiego przywłókł do swej kwatery pan towarzysz husarski.

Dydyński zostawił dziewczkę przy stole, sam cofnął się pod pochyłą ścianę namiotu. Patrzył, mrużąc oczy od płomienia latarni.

- Źle zrobiłaś - powiedział zmęczonym głosem.

- Hospody pomiłuj. - Złożyła ręce jak do modlitwy, a potem dosłownie padła na kolana. - Ja nie winowata, batuszko najdroższy, hosudarze złoty!

- Nie mam sił, aby cię zabić. Nie mogę, nie bywam... taki straszny. Dziękuj swemu hospodynowi, czy jak tam wołacie na swego moskiewskiego Boga, że jestem słaby i znużony. Nic ci się nie stanie. Zamiast skrócić cię o głowę, zabiorę cię ze sobą. Do Moskwy czy gdziekolwiek indziej każe nam iść carewicz Dymitr.

Uciął jej protest jednym ruchem dłoni. Do diabła, to była zwykła ladacznica, a on był szlachcicem.

- Zanim zapłaczesz, patrz tutaj.

Odrzucił wieko skrzyni, którą zrabował w Czernihowie. Zanurzył ręce w stosie strojów, a potem cisnął jej do stóp łupy i wojenne zdobycze. Kosztowne sarafany podszyte sobolim futrem, szuby ze złotogłowiu, aksamitu i falendyszu, nakładnie, to jest szuby bez rozcięcia, kokoszniki i włośniki, rękawice i sznury pereł. I karmazynowe trzewiki obszywane srebrną nicią.

- Będziesz miała tego więcej, o ile będziesz posłuszna! A teraz ubierz się niczym polska pani. Tak, nie patrz na mnie. To twoje.

Kłęczała przy stosie szat, przyciskając do piersi aksamitną szubę, dotykając z niedowierzaniem sznurów pereł. W jej oczach zobaczył łzy.

- Masz jakieś imię?

- Anastazja, mój panie.

- A zatem, Anastazjo - Dydyński wyciągnął ze szkatuły prawosławny krzyż - ucałuj chrest i zanim wdziejesz coś na siebie, powtarzaj za mną słowa przysięgi...

ROZDZIAŁ X

Wojenne dzieła Dymitra

Krnąbrne miasto • Szturm w deszczu i śniegu • Damian w opałach • Bunt i rozruch na Siewierszczyźnie • Spizowa nadzieja • Fortel Basmanowa • Szaleńczy wyczyn stolnikowica • Jacek nad Jackami • Złamane serce Nieborskiego • Żopa contra picza, to jest pojedynek na wszeteczne słowa • Koniec żartów • Mścislowski ciągnie pod Nowogród

Die 24 novembris nowego stylu, 14 starego stylu

Anno Domini 1604

Roku 7113 od stworzenia świata

Nowogród Siewierski, godzina ósma rano

Działa Dymitra były przez trzy dni. Trzy doby głuchego huku, syku zapalanych lontów, po którym - kiedy ogień docierał w głąb zapala - następował niski ryk działa.

Tak upominał Dymitr Iwanowicz z rodu Ruryka dumny Nowogród. Tymi słowy przemawiał do rozsądku krnąbrnych mieszczan, wzywając do opowiedzenia się po stronie prawowitego następcy kremlowskiego tronu...

Tak napisałby kronikarz albo panegirysta, chcąc otworzyć piórem szkatułę carewicza. Przedstawiając zaś rzecz po chłopsku - osiem polowych armat i sześć wysłużonych śmigownic z Sambora mogło ujadać pod miastem jak psy. Szczekały i wyły, ale nie były zdolne, aby rzucić na Nowogród carskie gromy.

Kule żłobiły brunatne smugi w świeżym śniegu przed wałami, wzbijały fontanny błota w fosie lub odbijały się od dębowych parkanów. Czasem tylko - kiedy Ostromęcki i jego pomocnik Fogler wbili właściwy klin pod lufę, spadały na dachy, dziurawiąc gont jak rzeszoto, przechodząc przez słomiane strzechy niczym przez kartkę papieru.

Trzeciego dnia wstał świt, szary, wilgotny, ponury. Przyprószony śniegiem, który wkrótce zaczął przechodzić w deszcz. W taki dzień, kiedy wystrzał spala na panewce, armaty grzęzną w błocie, a lonty gasną od wilgoci, trąby poderwały wojska Dymitra do szturm.

Z obozu zaczęły wylewać się sotnie i pułki Moskali. Najpierw piechota, potem

spieszona jazda. Piechota szara, brązowa, podążała luźnym tłumem bez szyku i porządku. Dalej szli dworanie i bojarskie poczty błyszczące od kolczug i bechterów, najeżone spiczastymi szyszakami, osłonięte tarczami i blachami zbroic.

Za nimi tłoczyli się Kozacy. W szarych świtkach, huniach, kozuchach, w zielonych żupanach i wilczych czapach. Spragnieni łupu niby ryba wody, podążali jak wilki - schyleni, spięci, niosący spisy, samopały, rusznice, szable i kosy osadzone sztorcem na drągach.

Dalej szły chorągwie hajduków wojewody sandomierskiego. Równym krokiem, dziesiątkami; na tle pstrokatego tłumu Moskali wyglądali niczym wielcy panowie idący na zabawę. Ich obłoczyste niebieskawe sukienne żupany zlewały się z szarym błękitem świtu. Górą czerniały rzędy magierek i czap, tu i ówdzie unosiły się ledwie widoczne smugi dymu z lontów. Jedni ukrywali je w dłoniach, inni w puszkach, niektórzy kręcili sznurkami koła, aby żar na końcu nie zmienił się w garstkę popiołu.

Potem szli Niemcy carewicza - w płtykach trzewiakach, oblepionych grubą warstwą błota. Na pięty następowali im spieszeni ochotnicy i Dońcy.

- Ruszaj! - zakrzyknął porucznik Gogoliński. Machnął buzdyganem, uderzył się nim po udzie. - Dalej! Marsz!

Chorągwie husarskie, kozackie i petyhorskie wychodziły przez bramę piątkami - najpierw towarzysze, potem pocztowi - rozwijały się sprawnie na prawo i lewo od carewicza.

Szli w ścisku, koń przy koniu. Dydyński dosiadający Hetmanki czuł na plecach gorący oddech podjezdka Damiana, z lewej gniotła go w nogę tybinka od kulbaki pana Rudominy, a z prawej kolano i wysoki but Przybyłowskiego.

Wysoki, narastający syk!

Po nim wystrzał!

Drugi, trzeci, czwarty. Syk jak ognistego węża. Suchy grom.

To przemówiły organki pana wojewody. Konie rzucały łbami, gdy grzmot uderzał im w uszy.

Poszli prosto, potem w prawo - na środek szyku i oporządzenia. Za nimi - dotykając prawie chrapami końskich zadów - grzęzły w błocie i bajorze kolejne chorągwie carewicza.

- Ludu mój wierny, prawosławny! - zakrzyknął Dymitr, wstrzymując na munsztuku dzielnego siwka. Koń zarżał, szarpnął wędzidłem. - W imię Boga jedynego, Trojcy Swiatej. W imię carskie moje i ojca - ojczulka Iwana, gosudara preswietnego... Następujcie! Na Nowogród! Na Godunowa! Za krew! Za cierpienia! Bij!

Prawosławny pop podniósł chrest, błogosławił Moskali. Poprzez szum stóp zamieniających błotnistą równinę w trzęsawisko, przez brzęk żelaza, łoskot koni przebił się

drżący głos:

- Ispełnim wieczerniuju molitwu naszu Hospodiewi...*

- U Hospoda prosim** - ryknęły liczne gardła.

- Proszczenija i ostawlenija grechow i pregresznij naszych...***

- U Hospoda prosim.

- Raz maty rodyła! Na sławu i szczastie! - wykrzykiwali Zaporozcy.

- Mości panowie bracia! - wykrzyknął Dworycki z końskiego grzbietu. - Za szczęście i Fortunę! Za fantazję i sławę! Bij! Zabij!

- Bij, kto w Boga wierzy!

- Jezusie Mario!

- Ognia! - rozkazał Ostromęcki. - Ognia, ile sił!

Huknęło działo, jedno, drugie, czwarte. Konie spłoszyły się, Hetmanka strzeliła z zadu podjezdka, który zbyt poufale dobierał się do jej zadu. Wałach kwiknął, odskoczył, wprowadzając zamęt w szyku.

Ostatni lont syknął mocno. Iskra znikła w zapale. Lecz wystrzał nie nastąpił.

- Niewypał! - krzyknął Fogler. - Wbić kliny! Lufa w dół! Odstąpić od działa!

Dydyński nie widział, co działo się dalej, fala ludzi i koni pchała go naprzód, w stronę Nowogrodu, był jak okruch w skalnej lawinie. Nagle usłyszał krzyk, poraził go błysk i huk - inny niż przy wystrzale - nie taki płaski, ale wysoki, zmieszany z chrzęstem i brzękiem metalu.

I z opętańczym wrzaskiem!

- Herr Gott!

- Jezuuus Maria!

- Działo! Działo! Pallada pękła!

- Wodyyyyy dajcie!

Szli w ścisku w stronę wałów. Moskiewskie sotnie pierwsze puściły się biegiem. Pędziły, niosąc drabiny i osęki, spisy i rohatyny, pęki chrustu i snopy słomy.

Basmanow zakurzył im w nos niby pszczołom w barci. Działa zatrzaśniały jak żelazne knuty. Pierwsza kula przemknęła nad głowami szturmujących, poszła w pola na prawo od Desny. Druga uderzyła w błoto, wzbijając fontannę ziemi i wody. Trzecia rąbnęła w sam środek moskiewskiej gęstwiny, zmiatając ludzi jak szmaciane lalki, obalając od samego

* scs. - Odmawiamy naszą wieczorną modlitwę Panu...

** scs. - Prosimy Cię, Panie

*** scs. - Wybaczenia i odpuszczenia grzechów naszych

impetu tych, co stali dalej.

- Hospody pomyłuuuj! - dobyło się ze wszystkich gardeł.

- Naprzód! Na wały!

Moskiewska czerń puściła się pędem. Chołopi, ochotnicy, dworanie, bojarzy z pocztami gnali przez błoto i kamienie wprost ku wyniosłym, błyszczącym od zmarzniętego deszczu wałom. Dopadli fosy, zakryli ją niby morską falą, przebyli w kilka chwil, a potem poczęli piąć się ku szarym parkanom poprzecinanych szczelinami strzelnic. Dwanaście drabin wyciągnęło się w górę.

Błysk przemknął pod okapami parapetów, przeleciał wzdłuż dębowych murów. Ołów spadł na szturmujących niczym śmiertelny grad, przeorał rozpędzoną gromadę, wstrzymał w marszu, strącił zuchwalców do fosy.

Działa zawtórowały rusznicom i piszczelom strzelców. Szturm rozpadł się. Już! Zaraz! Pojedyncze watahy Moskwy poczęły odrywać się od wałów, umykać - skrwawione - na błonia, bo drogę do obozu zastawiały wojska Samozwańca. Dońcy i Zaporozcy, widząc sunącą w ich stronę gromadę, zdjęli z ramion spisy, nadstawili je ku nadbiegającym. Esaulowie i sotnicy poczęli prać tłum Moskali nahajami, obuszkami, kolbami rusznic i pięściami. A wszystko ze spokojem godnym filozofów; z ową dziką zaporoską dumą każącą nie tylko upijać się na śmierć horyłką, lecz także traktować Moskwę jak czerń i pospólstwo, podczas gdy oni sami zwali się na Siczy i w wyprawach szlachetnie *urożonymi* Kozakami.

- Ruszać! - zakomenderował Gierasim Ewangelik, ataman zaporoski, który prywatnie i przy gorzałce kazał się już nazywać hetmanem. - Z Bohem, bracia!

Szeregi Zaporozców zdwoiły krok, puściły się pędem z dziką wrzawą i rykiem. Strzały nie powstrzymały ich - jak opętani wpadli w fosę, a potem poczęli wdzierać się na wały, krzyczeć, bić i miotać klątwy.

Moskiewscy strzelcy Basmanowa walili im prosto w oczy. Rąbali berdyszami ręce chwytające się krawędzi parkanów, kłuli rohatynami mołojców wchodzących po ośkach i drabinach, strącali tych, co z isticie piekielną zręcznością próbowali wspinać się po zrębach drewnianych baszt.

Zaporozcy nie rozpierzchli się tak łatwo jak Moskale. Nawykli do zagładania śmierci w oczy rabusie Trapezuntu, łupieżcy Warny i Stambułu, poczęli rąbać toporami parkany, podwahać siekierkami grube na trzy cale dębowe kłody, wdzierać się z desperacją na wały, rozwalać kobylice.

- Piechota do wałów! - zakomenderował Mniszech. - Wesprzeć Kozaków ogniem.

Zwarte dziesięcioszeregowy czworoboki hajduków poderwały się z miejsca i poczęły

iść równym, zgranym krokiem. Podchodząc do wałów, rotmistrzowie i porucznicy wykrzykiwali komendy.

- Rota, gotuj się!

- Zapalaj lonty!

- Staw się!

- Dziesiąty szereg, gotuj się!

Roty podchodziły do wałów, gdzie wrzała walka kozactwa. Szybko i równo - jak jeden mąż - pierwsze szeregi przykłękały, czyniąc miejsce do strzału dla następnych.

- Mierzaj!

- Pal!

Błysk przeorał kotłującą się gromadę ludzi przy wałach. Hajducy dawali ognia kolejno - dziesięć razy - od ostatniego szeregu, mierząc w strzelnice, baszty, parapety szare i czarne od przyczajonych za nimi Moskali. Nie było czasu nabijać broni. Ledwie przebrzmiało echo, komendy gnały ich dalej.

- Ruszaj! Biegiem marsz!

- Berdysze w dłoń.

Obłoczyste barwy hajduków roztopiły się w brązowej i szarej kozackiej ćmie. Hajducy wpadli do fosy, przebrnęli rozlewisko, poczęli wspinać się po śliskich wałach, podając sobie ręce, styliska berdyszy, podsadzając w górę, a potem rąbiąc kobylice i ostrogi.

Nowogród wchłonał ich wszystkich, zginęli niby w gardzieli smoka, miotali się, bijąc z Moskalami jak równy z równym, zdyszani, zakrwawieni.

Die 24/14 novembris

Nowogród Siewierski, za kwadrans dziewiąta

Dymitr siedział na siwku nakrytym wzorzystym czółdarem, pod pozłocistą carską chorągwią z czarnym orłem. Dygotał i gryzł pięści, patrząc tam, gdzie w jego imię poszły w ogień tysiące ludzi. Dzwony Nowogrodu były jak oszalałe, nad miastem wznosiły się szare smugi dymu, a znacznie niżej, u wałów, we mgle prochowych oparów walczyli i kotłowali się zwarcu w śmiertelnych zmaganiach Moskale, Polacy i Kozacy.

- Nie wezmą wałów! - zakrzyknął Buczyński. - Wasza Carska Mość, pošlij na pomoc Dońców.

- Wyślę im jazdę! Panie Dworycki! Każ zejść z koni kozakom i husarii! Niechaj rąbią mury na wałach! A potem rozwałą je żelaznymi piersiami.

- Nie zejda, wasza mość!

- Do pioruna, co to ma znaczyć? Bunt? A może - prychnął Dymitr - wy, Polacy, zapomnieliście nóg, że musicie wszędzie wjeżdzać konno?!

- Ja je straciłem - rzekł pułkownik z gębą posępną jak szary głaz. - A husaria nie pójdzie pieszo.

- A zatem ruszę sam! - ryknął Dymitr.

I przerzucając prawą nogę przez przedni łęk, zeskoczył z kulbaki, sięgnął po szablę.

- Z koni! Za mną, mości panowie!

- Uciszyć się! - ryknął Gogoliński. - Poprawić hełmy! Drzewka w tok! Toki na łęk! Z koni!

- Z koni! Z koni! - poszło podawane z ust do ust, z szeregu do szeregu.

- Od kiedy husaria w błocie brodzi?! - zagrział Przybyłowski. - Co to my żaby, kijanki albo hajducy?

- Jest rozkaz Jego Carskiej Wysokości!

- Rozkazać to on może... Moskalom. A zanim nam coś każe, niechaj wpierw zapłaci!

- Tam są pieniądze! - zakrzyknął Odrzywolski, wskazując Nowogród. - W skrzyni Basmanowa. Wyciągaj kulasy, może będziesz pierwszy!

- Dymitr zsiadł - mruknął Dydyński, już na ziemi. - Sam daje przykład. Nie bądź gorszy od Rurykowicza z Moscovii.

- Taki on Rurykowicz z Moskwy jak ja Przybyłowski z Wawelu!

- Borek! Bywaj tu!

Luźna czeladź trzymająca luzaki i podjezdki zbliżyła się szybko. Dydyński oddał wodze Hetmanki Borkowi. Stali w błocie, ramię w ramię z Rudominą i Przybyłowskim.

- Uciszyć się! Oddać konie pachołkom. Szeregaaaami! Dalej! Marsz!

Ruszyli, brnąc w rozdeptanym polu. Ciężkie husarskie zbroje ciągnęły ich w dół, w głąb rozmiękłego trzęsawiska, w jakie zmieniła się równina przed wałami Nowogrodu. Dydyński czuł, jak serce wali mu coraz mocniej pod kirysem. Nawet w najśmielszych snach nie podejrzewał, że pierwsza szarża dumnej husarii w Moskwie odbędzie się w błocie i na piechotę. Do kroćset, co on tu robił? Mieli iść naprzód, cwałować z kopiami w rękach i zwyciężać, a nie oblegać moskiewskie kurniki!

- Jak waści fantazja?! - zagrział z boku Przybyłowski. - Jeszcze nie utonęła w błocku?! Bez obaw - jak będzie trzeba, wyciągnę za uszy!

Dydyński pośliznął się, pojechał w bok, omal nie zwałił się na siedzenie. Idący obok Rudomina podparł go ramieniem.

- Hej, Giedrojc - okrzyknął Przybyłowski swego czeladnika - nadstawże karku. Siadajcie, waszmościowie, na pocztowych, niech nam za rumaki służą. Niechaj carzyk ma taką husarię, jakiej jest wart!

- Milcz, waszeć!

Szli ku murom spowitym prochowymi dymami, jarzącym się od ogników wystrzałów. Na wałach i pod parkanami wrzał bój na śmierć i życie. Moskale strzelali, rąbali berdyszami, prali, ryczeli i modlili się w dźwięku cerkiewnych dzwonów.

Najpierw jednak była fosa - rozryta tysiącami stóp, zmieniona w bagniste trzęsawisko. Wpadli w nią, a raczej zjechali na plecach i zadkach, husarskie zbroje ciągnęły ich na dno, w samo błocko. Gramolili się z rowu nieporadnie jak dzieci. Ktoś zwałił się, jakiś pocztowy zanurkował z głową. Wyrwali go na powierzchnię, oślepionego szlamem.

- Szable w dłoń! - krzyczał Gogoliński, jego głos ginął wśród wrzasku atakujących i trzasku wystrzałów. - Na mury! Po sławę! Po szczęście!

- Hu! HUUU! - zakrzyknął Przybyłowski, gramoląc się na wał. - Bij zabij!

- Jezus Mario! - zawołał Dydyński, bo właśnie przyszło mu na myśl, że Chrystus i Jego Matka pomogą mu znacznie bardziej niż jakiś tam pan Hu.

Zaświstały wyciągane z pochew szable, a potem towarzystwo w błyszczących zbrojach, w karmazynowych, przesywanych żupanach, aksamitach, falendyszach i kowanych butach poczęło wdzierać się na ubłocone wały, które mróz pokrył cienką warstwą lodu. Jedni spadali, walili się na brzuchy z brzękiem blach, inni czepiali się ziemi palcami, wbijali łokcie w błoto, aby tylko utrzymać się na wale.

- Dalejże! Po złoto Basmanowa! - zawrzasnął Rudomina, a potem podparł Przybyłowskiego, stęknął, ale wytrzymał, wywindował go na górę. Mikołaj uchwycił wyciągniętą dłoń hajduka i z szablą w zębach, jak siromacha, a nie pan towarzysz carskiej chorągwi, znalazł się w górze, tuż pod parkanem poznaczonym nacięciami berdyszów i siekier.

Dydyński sam nie wiedział, jak przebył śliski jak zamarznęta rzeka stok, dopadł do miejsca, gdzie hajducy wespół z Kozakami wyrąbывali przejście przez dębowy parkan. Górne tarcice poszły już w drzazgi, środkowe były potrzaskane - rąbały je cztery siekiery i trzy czekany. A nad wygiętymi karkami i ramionami pracujących mołojcy bili się z brodatymi moskiewskimi strzelcami w futrzanych czapach opadających na oczy.

Stolnikowic skoczył na wolną drabinę, wspiął się do góry, osłaniając szablą. Nieborski postąpił ramię w ramię z nim - po osęku. Pan stolnikowic chwycił się lewą ręką postrzępionego, nadwerężonego bala, szablą rąbał moskiewskie łby i kołpaki wystające ponad

parapet drewnianej zapory. Nie widział, kogo bije, ledwie osłaniał się przed ostrzami. Dzień utonął w jesiennej szarości, prochowych dymach, w deszczu i śniegu, który zacinał z ołowianego nieba, zmieniając najtwardszy grunt w błocko i trzęsawisko.

Jacek zastawił się szablą, kątem oka wychwycił błysk. Ledwie zdołał uchylić się - opadł, walnął animą, to jest napierśnikiem, o bale drabiny, zjechał dobre pół łokcia w dół i utknął między szczęblami - dobrze, że nie spadł na głowy kompanów.

Nieborski miał mniej szczęścia. Dostał berdyszem w łeb, płasko, nad policzkiem - w krawędź dzwonu. Potężny cios zmiotł husarski szyszak z jego głowy. Damian zamarł zgłuszony, z otwartymi ustami, niczym śnięta ryba, zachwiał się, a wtedy brodaty Moskał wziął nowy zamach, z góry...

W dymach i padającym śniegu berdysz stał się katowskim toporem! Spadł nagle, szybko, bezlitośnie prosto na głowę Lacha!

Ale nie zrobił mu krzywdy...

Dydyński skoczył, uderzył ramieniem czeladnika, zajął na chwilę jego miejsce, waląc bokiem o sterczyny osęka.

Cios, który miał spaść na Nieborskiego, dosięgnął stolnikowica. Spadł na lewy naramiennik zdobiony rytowaną mosiężną opaską. Ostrze przeszło w dół, pozostawiając wgietą krechę, rozcięło pozłacany medalion z Matką Boską, zjechało ku folgom kirysu. Impet uderzenia zrzucił Dydyńskiego w dół, gdzie wpadł na Damiana, zleciał na głowy kozaków i towarzyszy; szabla wypadła mu z ręki.

Razem z czeladnikiem zwałił się do fosy.

Dydyński znalazł się w lepkim piekle, w brunatnej wodzie, a raczej brei utworzonej z błota, śniegu i krwi; zanurzył się razem z głową, utyłł w bagnie lśniący kirys husarski i zaraz zerwał się, walcząc z ciężarem zbroi, czując w ustach smak błota i kwaśnego łajna.

Rozepchnął toboły, które unosiły się w brei. To były trupy, ledwie podobne do ludzi, zrąbane z murów moskiewskimi szablami, skłute żelazem, opalone prochem tworzącym krwawe, a teraz brunatne plamy na ich obliczach, rękach i na wpół obnażonych ciałach.

Damian!

Gdzie był Damian!

Boże, poszedł na dno!

Dydyński opadł na kolana. Rękoma szukał pośród zmarłych i błota gładkiego dotyku pancerza, włosów - jakiegokolwiek śladu pocztowego.

- Damian! - zaryczał z rozpaczą w głosie. - Daaaamian!

Śnieg sypał jak na koniec świata. Pokrywał breję, ludzi, martwe ciała białym całunem.

Dydyński brnął zabłocony, cuchnący, niepodobny do dumnego towarzysza husarskiego. Krzyczał, wył, odpychał trupy, potracany przez Moskali, Kozaków i Lachów, którzy brnęli poprzez fosę ku wałom.

I wreszcie pod kozuchem mięsistego, krwawego błočka nastąpił na coś, co nie poddało się pod jego ciężarem - było tak śliskie, że but obsunął się, a szlachcic zwałił na plecy, omal nie schował w brei razem z głową.

Zerwał się, młóćąc ramionami, zanurzył ramię znowu, mrużąc oczy, namacał gładką powierzchnię, a na jej końcu - ząbkowaną krawędź nabitą guzkami.

Szarpnął i wyrwał z odmętów ciężkie jak kłoc ciało w zbroi. Damiaaaaan!

Jęcząc z bólu, podrzucił go w górę, oparł plecami o stok fosy. Źle zrobił - tamten osunął się pod ciężarem kirysu, zanurzył w bagnie aż po uszy. Jacek wrzasnął, podparł go, podźwignął, uderzył na płask dłonią po ubłoconej gębie. Bił, potrząsał, jęcząc.

- Damian! Wstawaj! Żyj, psi synu!

Już nie miał sił, zgięty pod ciężarem, który wymykał się z rąk, zanurzony w fosie śmierdzącej jak kloaka, pełnej trupów, czuł, że powoli robi mu się wszystko jedno...

Zamęt dokoła: sypiący niczym z rozdartej pierzyny śnieg, gromowy pogłos dzwonów, suchy trzask strzałów, wrzaski atakujących, jęki umierających - cały świat znieruchomiał, oddalił się, zniknął. Był tylko śmierdzący rów, błoto, gnój, trupy i śmierć.

I leżący bez zmysłów Damian.

Pocztowy zamrugał oczyma, szarpnął się, zakrztusił. Rozkaszlał się, wypluwał z ust błoto, zwracał zawartość żołądka. Dydyński poklepał go po naramienniku, podparł mocniej.

- Chodź, bracie... Do obozu. Wesprzyj się na mnie. I przestań! - Zacharczał i splunął. - Przestań chować do mnie rankor... za Świrskiego.

Die 24/14 novembris

Nowogród Siewierski, pół do jedenastej

- Wasza Carska Mość! - zakrzyknął Dworycki. - Odwołaj szturm! Wycofaj ludzi! Wszystko na szmelc! Nie przerąbiemy murów!

Dymitr opuścił dłoń zaciśniętą w pięść. Pogryzł ją ze złości, żalu, a może nienawiści.

- Miałem większe wyobrażenie o męstwie Polaków - rzekł ponuro. - Teraz, na tym polu, widzę, żeście tacy sami ludzie jak inni. Taka sama w was krew co i w Moskalach, czerwona, nie karmazynowa. Patrochy także gnojem wypełnione. Coście myśleli, żeście aniołowie, bo szlachcice i husarze? Strach... Strach śmierdzi u was tak samo jak u Moskali.

- Nie próbuj ujmować nam sławy! - zakrzyknął Dworycki. - Poszliśmy za tobą na śmierć, na bitwę w polu. A Wasze Carskie Wieliczesstwo posłał nas w błoto i gnój. Bez koni, bez nadziei. Wszystkie narody wiedzą, że Polacy nie są od zdobywania zamków. Każ wybić dziurę, wyrąb drogę do środka, a zobaczysz dzielność i męstwo polskie...

- Trąbić do odwrotu.

Dymitr zawrócił konia. Minę miał tak złowrogą, że nawet wojewoda Mniszech zszedł mu z drogi.

A kiedy słudzy zdjęli z niego pozłocistą zbroję i podali mu carską ferezję podbitą wilczym futrem, padł na łożę i zaszlochał.

Ale bez łez.

Die 24/14 novembris

Obóz Dymitra pod Nowogrodem, o zmierzchu

Jeszcze tego samego dnia wieczorem, zebrawszy w garść strzępy fantazji rozstrzelanej kulami Basmanowa, Dymitr spróbował drugiego szturmu. Śnieg pokrył okolicę, skrywał trupy, ale i wojenne przygotowania armii Samozwańca. Tym razem sprowadzeni z obozu i okolicznych wsi cieśle poczęli zbijać drewniane hulajgorody - małe baszty pchane na saniach po rozmiękłym gruncie przez Moskali i Kozaków. W środku, za ścianami z sosnowych bierwion, zasiadali najlepsi Zaporozcy i hajducy, rażąc obrońców z arkebuzów i piszczeli, czujnie bacząc na każdy ruch strzelców Basmanowa przemykających jak cienie za parapetami baszt i ostrózków.

Hulajgorody zrazu zrobiły pewne wrażenie na obrońcach, bo ogień przycichł. Kiedy jednak idący za nimi chłopci i czeladź poczęli rzucać w fosę wiązki chrustu, faszynę i słomę, z baszt odezwały się działa.

Kanonada trwała aż do północy. Wreszcie, gdy przed świtem żelazne kule zgruchotały dwie hulajhorodyny, a od rzucanych z parkanów maźnic zapaliła się trzecia, carewicz odwołał swoich ludzi.

I to był koniec wojennych dzieł Dymitra. Na szczęście, korzystając ze szturmu, podciągnięto działa bliżej, usypano nowe szańce. I razem z pierwszym brzaskiem rozpoczęto ostrzał. Prochu i kul nie brakło - stronnicy carewicza znaleźli ich dość w Czernihowie i innych miastach, które poddały się władzy Dymitriaszki.

Die 28/18 novembris

Obóz Dymitra pod Nowogrodem

Godzina druga w nocy

Była kolejna noc - mroźna, śnieżna, ciemna, gdy spróbowali podstępu. Tym razem Ostromięcki kazał podciągnąć na saniach w pobliże murów beczki z prochem, aby wysadzić obwarowania. Plan spalił na panewce, ot tyle, że przepłoszył wrony z dachów w tej części Nowogrodu. Od tego dnia bały się pokazywać nad głowami walczących i dziobać trupy pozostawione w fosie i na krwawym polu.

Dymitr przegrywał z Basmanowem, ale rósł w siłę, bo płomień buntu ogarniał coraz więcej grodów Siewierszczyzny. Najpierw książę Wasyl Michajłowicz Rubec-Massalski podburzył mieszkańców Putywła, wtrącił do tury wojewodę Sołtykowa i poddał gród Dymitrowi. Rzecz jasna, zamykając w lochach dwustu strzelców i tyleż samo Kozaków wiernych Godunowowi. Samego zaś carskiego namiestnika rzucił w łańcuchach pod nogi Samozwańca. Potem nie było dnia bez wieści pięknych jak wiosenne lilie, pokazujących, że mieszkańcy Siewierszczyzny zmieniali strony równie łatwo co chorągiewka na wietrze. Już dwudziestego dziewiątego listopada pokłony Dymitrowi bił Siewsk, Kursk, Kromy, potem Borysów, Oskoł, Białogród, w końcu Wałujki, Woroneż, i inne miasta.

W Jelcu nastąpił ciąg dalszy komedii. Oto nieznany nikomu mnich Leonid podający się za Grigorija Otriepiewa, tego samego zakonnika, którego Dymitr udawał przed laty na Kremlu, podburzył posadzkich ludzi do tego stopnia, że podarowali wojewodom konopny wieniec pełen wisielczej chwały, a potem oczywiście pobiegli na wyścigi, aby ugniatać czołem kobierce pod butami Dymitra. Ryłsk nie był gorszy - wojewodowie Grigorij Dołgoruki-Roszcza i Jakow Zmiejew rozpoznali w Samozwańcu carewicza Dymitra tak łatwo, jak gdyby za młodu siadywali z nim w jednej szkolnej ławce.

Razem z możliwymi ciągnęły całe watahy chłopów i posadzkich. Gnębieni głodem, knutami poborców oraz wojskowych werbowników cara Godunowa, rzucali dierewnie, palili domy, uciekali z roli i zbrojni w kije, spisy, kosy i drągi stawiali się w obozie Samozwańca.

Szli się bić, bo był inny od carów i książąt: od Tatarzyna i raba Borysa Godunowa. Od jurodiwego Fiodora, który po całych dniach wysłuchiwał grania kremlowskich dzwonów. Od krwawego Iwana zwanego na Rusi Groźnym, który wybijał miasta, palił i grabił własny kraj, mordował i ćwiartował, a ze swoimi doradcami obcował po turecku.

Postacie poprzedników jawiły się krwawo, niczym niedźwiedzie zasiadające w futrzanych czapach, w szubach i krwawych ferezjach na kremlowskim tronie. Każdy z nich patrzył groźnie z wysokości carskiego majestatu, karał knutem, szermował palem i

wygnaniem, straszył opalą i ogniem.

Dymitr był młody.

Ujmował dobrym słowem, każdego przygarnął, wspomógł, pozdrowił. Wielu wybaczył i przypuścił do łask, więc w porównaniu z okrutnymi starcami z Granitowej Pałaty zdawał się księciem z ruskich bajek, herosem dawnych słowiańskich bylin. Słoneczkiem; księciem, który obiecał przywrócić Juriewyj Dień, kiedy każdy chłop mógł raz do roku porzucić swego pana. Ukrócić samowolę diaków i wojewodów. Zdjąć jarzma i podatki, otworzyć granice na zachód. I zwalczyć głód na całej ruskiej ziemi.

Siewierszczyzna podzielila się na dwa obozy, dwa narody, dwa tłumy. Jeden ciągnął do obozu pod Nowogrodem, prowadząc działa, podwody, formując strzelców i powołując pod broń posadzkich i Kozaków. Drugi zaś siedział za murami miast cicho jak trusia, wypatrując, czy nie nadciąga carewicz albo wojsko cara.

Mścislawskiego nie było na razie ani widać, ani słycać. Z ucha do ucha szły wieści, że już wyruszył z Moskwy, że ciągnie pod Nowogród, innym zaś razem, iż buntuje mu się wojsko, a carscy wojewodowie przedzierają się przez kraj, w którym nienawidzi ich każdy dom i każde drzewo. A nawet - że książ przemyśliwa, jak przejść na stronę Samozwańca.

Na razie w obozie odkryto tylko carskich szpiegów, którzy w przebraniu kupców mieli przemknąć do miasta, a w miodowych łupkach wieźli pieniądze dla załogi. Kozacy rozpoznali w nich stronników Godunowa, na szczęście nie zdołali dobrać się do rubli, bo kupcy wieźli też horylkę. I dzięki temu, iż uwaga Niżowców skierowała się ku owej dobrej przyjaciółce każdego Zaporozca, carewicz mógł rozdzielić kilka tysięcy rubli między wojsko. Co sprawiło, że polscy panowie, pobrzękujący miedziakami w kabzach, od razu nabrali ochoty do wojaczki i z taką rezolucją odparli wycieczkę Basmanowa, że na zaśnieżonym polu doliczono się ponad stu trupów.

Die 2 decembris n. st, 22 novembris st. st.

Błonia przed Nowogrodem

Okolo godziny dwunastej w południe

Dopiero Wasilij Rubec-Massalski dał do ręki Dymitrowi argumenty, które przeważyc mogły na jego korzyść transakcję wojenną między wojskiem carewicza a Basmanowem. Książ okazał się tak zacnym, wiernym człowiekiem - rzekłbyś - perłą między ponurymi Moskalami, iż ściągnął z Putywla pięć dział burzących i pięć mniejszych, które z braku zaprzęgów przywlekli na sznurach strzelcy carscy wzięci pod straż podczas buntu.

Samson, Bazyliszek, dwie Panny i Smok oraz trochę mniejszego drobiazgu okazały się ostatnią nadzieją Dymitra. Kiedy zatoczono je na działobitnie pod murami, nabito i otwarto ogień, od razu przemówiły grobowym głosem na pohybel upartemu miastu.

Już pierwsze strzały pokazały moc i potęgę imienia carewicza. Najpierw Bazyliszek strzelający czterdziestopięcioletnią kulą zmiotł wierzch narożnej baszty tak łatwo, jak gdyby uczyniona była z cienkich szczapek, a nie dębowych bierwion. Panny i Bazyliszek pogruchotały drewniane parkany, żłobiły wyłomy w wałach, rozwalaly belki, ostrogi i baszty, hurdycje i częstokoły. Armatni ogień trwał do świtu. Kule przebijały dębowe mury, wpadały do wnętrza grodu, druzgocąc domy, wieże i szopy. Jak zeznał Kozak, który następnego dnia o świcie sprzedał się do wojsk Samozwańca, w czasie pierwszego dnia ubito ponad sześćdziesięciu Moskali - strzelców, posadzkich i służebnych ludzi.

Dymitr tryumfował.

Już następnego dnia wyjechał w pole obejrzeć zniszczenia. Akurat Samson rozwalil spory kawał wałów nieopodal Spaskich Wrót, zdruzgotał bierwiona i tarcice grubsze niż fantazja Moskali, dokonując wyłomu. Hurdycje na szczycie muru poszły w drzazgi. Widać było jak na dłoni, że starczy kilka celnych strzałów, a ściana rozleci się, i to na znacznym odcinku, osypująca się zaś i wypełniona chrustem fosa nie będzie bronić dostępu do miasta.

Po naradzie z Ostromęckim Dymitr nakazał skoncentrować ostrzał ze wszystkich ciężkich dział na wyłomie. A kiedy Fogler wydawał rozkazy, zaś starszy nad armatą nakazał wbić wąski klin pod lufę Samsona, jeden z artylerzystów zamachał kapeluszem.

- Herr Zeugmeister!* - zakrzyknął. - Die Moskalen! Hier und da!**

Ostromęcki podniósł do oka perspektywę, ale nawet gołym okiem widać było krzątanie na wałach.

Starszy nad armatą przez chwilę wodził lunetą po parkanach i ostrokołach, a kiedy odjął okular od oka, jego gęba, pokryta sinymi cętkami prochu, pobladła jak chusta.

- Z kurwy synowie moskiewscy! Basmanow wiesz jeńców. Za ręce, na ścianie. Chce nas powstrzymać, byśmy nie strzelali! Jak cesarz Henryk pod Głogowem, za Bolesława Krzywoustego, zasłania się żywą tarczą z polskich piersi.

- Poznajesz waszmość kogoś? - zapytał Dworycki, który jak zwykle towarzyszył Dymitrowi.

- Jest trzech. Chyba wszyscy... Spod chorągwi Waszej Carskiej Mości - dokończył

* niem. - Panie cejgmistrzu!

** niem. - Moskale! Tu i tam!

grobowym głosem starszy nad armatą.

- Wstrzymajcie ogień! - zagrzemiał Dworycki. - Hej, panie Gogoliński, sam tu!

- Co takiego? - Dymitr aż uniósł się w kulbace. - Co to ma znaczyć! Ja dowodzę, mospanie! Choćby tam stanął sam Belzebub, nic nie odwiedzie mnie przed zdobyciem Nowogrodu!

- To nasi ludzie - wybełkotał Dworycki. - Towarzysze i kompani. Panowie bracia. Wasza miłość nie może...

- Mogę i uczynię - uciał krótko Dymitr. - Każda wojna wymaga ofiar. Bojarzy mego batuszki Iwana też chcieli żyć, kiedy posyłał ich na husarię pod Pskowem! A jednak miał moc i siłę, aby wymagać od nich poświęcenia żywota w imię świętej Rusi!

- To nie są poddani Waszej Carskiej Mości.

- Najemnicy. Jeszcze lepiej! - klasnął w ręce carewicz. - Wiedzieli, co ich czeka, gdy zaciągali się na wyprawę.

- To jeńcy!

- Hospody pomiłuj. A światłość wiekuista niechaj im świeci. Celuj dobrze, panie Ostromecki. Chcę do wieczora mieć wyłom w tej kurtynie!

- Tak się nie godzi! - wybuchnął Dworycki. - Możemy ich uratować. Niech wasza mość zarządzi szturm.

- Nie będę uprzedzał Basmanowa dla trzech straceńców, choćby nawet byli z mej chorągwi. Ludzi jest dużo, a droga do Moskwy tylko jedna. Niechaj żałują swej głupoty, skoro dali się pobrać do niewoli jak ślepe kocięta.

- Walczyli za carskie imię! Godni są lepszego losu! Nie równaj ich, wasza mość, z Moskalami, bo to wolni ludzie. Strata jednego towarzysza znaczy dla nas więcej niż całej sotni siewierskiego tałałajstwa!

Szmer rozległ się między puszkarzami i pomocnikami.

- Patrz - Przybyłowski trącił łokciem Dydyńskiego, z którym na koniach stali na placowej straży - Moskale naszych powiesili na murach.

Dydyński wyteżył wzrok. Targnęły nim złe przeczucia.

- Czekać tu!

Ponaglił Hetmankę i wysforował się do przodu; nie bacząc na Dymitra, podjechał do Ostromeckiego tak nagle, że starszy nad armatą cofnął się zaskoczony.

- Mości panie bracie, dajcie perspektywę.

Niemal wyszarpnął ją z ręki mistrza artylerii, przyłożył do oka z niewłaściwego końca, odwrócił, przejechał po murach, zatrzymując oko na trzech białych postaciach.

Rozkrzyżowanych na tle szarych dębowych belek jak Jezus Chrystus i dwóch łotrów. Paradne... W tej chwili i w tym miejscu nie oni zgoła powinni być nazywani łotrami.

Stolnikowic zbladł i zatrzęsł się. Rozciągnięty i zawieszony na popękanych tarcicach wisiał... Jędrzej Herakliusz Świrski.

Doigrał się!

Dydyński przygryzł wargi, zastanawiając się, czy dawny pocztowy dał się wziąć Moskalom na trzeźwo, czy... Co to, do diabła, miało za znaczenie - aby go odbić, trzeba by stać się nie tylko pijanym, ale na dodatek szalonym!

- Mości panie Ostromecki, czy możesz strzelać tak, by kule trafiały w sam szczyt muru lub przenosiły nad jeńcami?

Starszy ściągnął kapelusz w dół, zakrył oblicze, a potem przesunął go na tył głowy.

- Kula nie szabla, ona głupia. Raz padnie celnie, innym razem - Panu Bogu w okno. Dlaczego waszmość pytasz?!

- Skoczę konno uwolnić naszych.

- Oszalałeś! Sam jeden? Moskale cię rozstrzelają z murów! Tam siedzą strzelcy z rusznicami, wsadzą ci kulę prosto w rzyć, bez pudła!

- Dlatego zaklinam was na wszystkich świętych: strzelajcie! Jeno tak, aby kule lekko przenosiły nad wałami! Dalejże! Osmalcie im brody, niechaj nie wystawiają parszywych nosów poza parapety i hurdycje.

- Mości Dydyński, nie bądź głupcem! To nie jest *Opus palatium de triangulis*, tu rozrzut jest większy, niż to wynika z rachunków Jerzego Rheticusa i Kopernika...

- Zatem niech Rheticus i Kopernik będą z wami, kiedy przytkniecie lonty do zapalów. I wszyscy święci!

- Czekajże! - ryknął Ostromecki, ale Dydyński już nie słuchał. Podjechał galopem do swoich, zerwał z głowy szyszak, szarpnął za hak obojczyka, zrzucił go, zabrał się do sprzączek na ramionach i bokach.

- Co waszmość czynisz?

- Jadę po tamtych!

- Co?! - Przybyłowski rozdziawił gębę, jakby zobaczył na śniegu nagą Afrodytę. - Co takiego?

- Skoczę we dwa konie - zakrzyknął Jacek, szarpiąc się z opornym napierśnikiem. Zrzucił go w końcu, zostając w samym przeszywanym żupanie i z gołą głową. - Panie Nieborski! Z konia!

- Czekajże, bierz mojego podjezdka! - jęknął Przybyłowski. - Giedrojć, daj mu! Czego

się patrzysz, oddaj konia! Bierz, to dobra szkapa! Niepłochliwa. Co jeszcze...

- Módlcie się! - krzyknął Dydyński. Uderzył Hetmankę ostrogami i poszedł w skok, ciągnąc za sobą wierzchowca Przybyłowskiego.

- Strzelajcieeeee! - rozdarł się, mknąc obok szańców, na których stały armaty.

Dymitr, Dworycki i pozostali pułkownicy patrzyli na niego jak na szaleńca. Adam zrozumiał, skoczył z koniem, zagradzając drogę buławą.

- Stój! Stawaj, głupcze! Rozkaz!

Dydyński przemknął obok niego jak piorun.

- Strzelaaaaa! - wrzasnął.

I wypadł w pole między działobitniami a murami Nowogrodu!

- Oszalał! - ryknął Dworycki. - Mości panowie, straciliśmy towarzysza.

- Wróć! Wracaj! - krzyczał Gogoliński.

Za późno! Hetmanka gnała jak wichur, z wyciągniętą szyją pruć przez śnieg, zaspy, wyrzucając spod kopyt grudy i bryły lodu.

- Co ja mam robić, mości panowie? - zakrzyknął Ostromecki. - Strzelać?!

- Strzelaj! - rzucił Dymitr.

- Zabiją go!

- Ja go zabiję! Herr Gott!

- Szaląputa!

- Idyota!

Dydyński nie słyszał tych słów. Pędził pochylony w kulbace, wpatrując się przekrwionymi oczyma w mury Nowogrodu. Łomot kopyt rozsadał mu czaszkę, mokre, zimne powietrze mroziło krtań i płuca.

- Kurwa matka, końskim kusiem chędożona mać! - zaryczał Ostromecki. - Zabiją go! Dajcie ognia!

- Jaki kąć strzału, Herr Meister? - wybełkotał poblady Fogler.

- Pan Bóg to w niebie policzy! - Cejgmistrz rąbnął młotem w klin, wbijając go na oko, porwał lontownicę od najbliższego puszkarza, a potem przyłożył do zapalu. - Nieście kulę, anieli niebiescy albo wszyscy diabli!

Panna ryknęła suchym, donośnym grzmotem, jakby pijany Moskal nastawał na jej cnotę. Kula poszła wysoko w górę, przeniosła nad pędzącym jeźdźcem, zawyła wysoko nad murem.

- Feuer! - zakrzyknął do pozostałych puszkarzy. - Zwijać się, diable syny!

- No, ślicznotko! - Fogler poklepał pieszczotliwie lufę drugiej Panny - niecnotliwej, bo

właśnie chędożonej wyciorem. - Przekłuć zapał! Podsypać! Ognia!

Dydyński skulił się, słysząc strzały. Hetmanka gnała jak wichher, niosła go coraz bliżej śmierci!

Wał i parkany obsadzone przez strzelców rosły w oczach. Były tuż-tuż, zda się, o rzut kamieniem. O krok, o jeden skok konia.

Żaden strzał nie padł z moskiewskiej strony. Za to druga polska kula zawyła wysoko, padła na mroźne pole, zrykoszetowała, wbiła się w ośnieżony wał, rozerwała go na przestrzeni pięciu łokci, wzbijając chmurę błota i lodu.

Jacek nic już nie słyszał. Nic już nie widział poza splekanym, potrzaskanym parkanem, z którego zwieszali się przywiązani za ręce do lin trzej ludzie skazani na okrutną śmierć przez Basmanowa. Do kroćset - gdyby ten śmierdzący dziegiem brodacz wpadł w ręce Dydyńskiego, ciągnąłby go za koniem za brodę aż do polskiej granicy, aby tym, co zostało, nabić lufę największej Dymitrowej armaty, a potem wystrzelić w stronę Moskwy na cześć Borysa Godunowa!

Osadził Hetmankę przed fosą, zeskoczył na łeb na szyję, nie puszczając cugli, powłókł ją i drugiego konia bliżej, choć opierały się, kuliły łby, biły kopytami w śnieg. Wyciągnął szablę, wbił z rozmachem w śnieg, okręcił wodze wokół jelca, ścisnął, zostawił. Nie było czasu!

Teraz szybko! Bez tchu!

Fosa.

Na szczęście zamarznięta, pokryta świeżym śniegiem, a wcześniej po części zasypana faszyną. Przeskoczył przez nią w jednym mgnieniu oka.

Wał. Jezu Chryste! Śliski.

Ośnieżony.

Przerył się przez puchową pryzmę bieli, potknął, wywrócił raz, drugi, zjechał na powrót do fosy.

Wystrzał z rusznicy zabrzmiał jak grom. Kula świsnęła nad głową.

Drugi strzał, trzeci, czwarty.

Mieli go niczym na patelni!

Nic to. Gryzł ziemię i śnieg, by wspiąć się na górę. Przebyć te kilka łokci stromizny, dopaść parkanów.

A potem kula z polskiej strony uderzyła z gwizdem w pole tuż przed wałem. Kwik i rżenie koni, łoskot drewna!

Wrzaski i krzyki Moskwy, ale był już na górze, pod parkanami. Przedarł się, wspiął,

dopadł murów!

Z bliska wyglądały na dużo gorzej potrzaskane, niż sądzili. Brunatne tarcice pokryte były jasnymi pęknięciami, odpadały z nich drzazgi, sęki. Osmalone miejsca, tam gdzie uderzyły kule, znaczyły się wyraźnymi wgłębieniami.

Nic, teraz jeńcy.

Wisiele nad nim bosy, półnaczy. Obdarci do koszul i galotów, na linach. Usłyszał strzał, potem świst. Strzała wbiła się w śnieg przy jego lewej nodze.

Do diaska, nie miał jak ich oderżnąć! Nie mógł doskoczyć do lin! Nie dostawał!

- Świrski! Bracie!

Pocztowy wisiał z głową obróconą w bok. Żył, bo zamrugał oczyma, opuścił zakrwawioną, zarośniętą gębę, wpatrzył się w Dydyńskiego, jakby zobaczył anioła.

A Jacek wyrwał zza pasa kindżał, chciał dopaść dawnego kompana...

Wystrzał rąbnął z góry jak grom z jasnego nieba. Dydyński zobaczył chmurę dymu, poczuł gorące drobiny prochu na gębie.

Mieli go, widział ponad parapetem smagłych brodaczy w futrzanych kołpakach. Pokazywali go sobie, wysuwali lśniące lufy rusznic.

Musiał być w biegu... przez cały czas. Inaczej...

Kula z armaty rąbnęła prosto w szczyt drewnianego muru po lewej. Podmuchał go na ziemię, obsypał drzazgami, impet był tak potężny, że ziemia zadrżała. Dydyński ogłuchł. Przez chwilę słyszał szum, który nagle, zupełnie niespodziewanie, rozpadł się na tysiące odgłosów.

Na rogatego diabła! Ostromięcki mówił prawdę. Kule z dział mogły zmieść go na prosek, rozerwać na strzępy. Czuł się jak mucha między młotem a kowadłem.

Ścisnął kindżał, podskoczył, wybił się jak mógł najwyżej, chwytając lewą ręką koszulę na piersi pierwszego z jeńców, podciągnął, a kiedy lniana płachta trzasnęła w rękę, wbił rozpaczliwie kindżał w szczelinę między tarcicami, zawisł na nim, chwycił się ramienia nieszczęśnika.

Jeniec, pokrwawiony, posiniaczony, zajęczał, krzyknął coś, czego Dydyński nie zrozumiał. Zaciskając zęby, wyrwał kindżał, zawisł na szyi więźnia, a potem podciągnął się w górę, znajdując oparcie w szczelinach pokrywających mur. Chlasnął kindżałem ponad ręką jeńca, przeciął linę jednym ruchem.

Od razu stracił oparcie, pojechał w lewo, zawisł umieszczony na ramionach wijącego się człowieka, dygocącego z bólu. Ale wytrzymał! Wspierając się na głowie tamtego, chlasnął ostrzem po drugiej linie!

Przeciął!

Runęli w dół, spadli do podnóża muru. Raniony towarzysz czy pocztowy wrzasnął przywalony ciężarem stolnikowica. Dydyński zerwał się, chwycił go pod ramiona, posadził.

- Żyj, bracie! Polaku.

- J-j-j-j-ja - wychrypiał tamten z krwią. - Li-li-twin...

- Trzymaj się, boćwiniarzu!

Biegł już do kolejnego jeńca. Nie to, że chciał Świrskiego zostawić na koniec, po prostu tamten wisiał niżej - mógłby odciąć go z więzów, gdyby podskoczył, a może tylko zaparł się o ścianę...

Nie zrobił tego. Wystrzał wstrząsnął powietrzem - ba! całym światem. Ogromna, czterdziestofuntowa kula z Samsona spadła z piekielnym impetem w pole u podnóża muru. A potem zrykoszetowała, odbiła się od zamrożonego lodu - poszła jak piłka wprost na nich.

Dydyński zasłonił się łokciem. Kula świsnęła przed nim, rąbnęła w parkan tam, gdzie wisiał kolejny jeńiec. Z okropnym odgłosem prutych szmat zmiażdżyła go, rozerwała na krwawe strzępy...

Impet rzucił Jacka w tył. Padł na nogi Litwina, rozłożył się jak długi, oślepy, ogłuszony. Gdyby to był zwykły strzał, nie zostałyby z nich garsteczka popiołu.

Dydyński podniósł się śliski, mokry, cały przemoczony. Czyżby spadł deszcz? Moskale szczali z murów?

To była krew!

Spojrzał na miejsce, w którym wisiał jeńiec, i skoczył dalej. Zamiast ciała zobaczył dwie zakrwawione ręce kołyszące się na powrozach. Samotne jak para wisielców pod jesiennym niebem.

- Świrski! - rozdarł się od ucha do ucha. - Świrskiiii! - ryczał, dopadając dawnego pocztowego.

Dalej poszło jak w bajce. Bo Jacek nigdy nie uwierzyłby, że sprawił to wszystko tak łatwo i prosto; nawet kiedy po latach opowiadał o swoich przygodach przy kuflu zacnego biłgorajskiego piwa. Wyszukał pęknięcie w poziomej tarcicy, wbił tam palce, wspiał się, chlasnął kindzalem, omal nie obcinając Świrskiemu palców lewej dłoni. Zeskoczył, kiedy Herakliusz zawisł na drugiej ręce.

- Jacek! - jęczał pocztowy, kręcąc głową. - Ty... Naprawdę ty! Panie Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami grzesznymi...

Nie było miłosierdzia. Dydyński dojrzał, jak w koszmarnym śnie, że nagle lina, na której wisiał Świrski na prawej ręce, przeszorowała po nierównych deskach parkanu.

Pocztowy pojechał w górę, zawadził plecami o szczelinę w murze, zajęczał żałośnie. A Jacek pojął, że przekłęci Moskale, kozo- i matkojebcy, bękarty diabła i potomków Tamerlana, synowie Beliala, Belzebuba i tureckiego sułtana, próbowali podciągnąć pocztowego do góry, na szczyt parkanu!

Więc chwycił nogę Herakliusza z całej siły, zawisnął na niej. Świrski zatrzymał się w połowie drogi między niebem a ziemią, zajęczał, krzyczał, bił głową w zakrwawione bale.

- Nie uda mu się! - rozdarł się Dymitr. - Patrzcie! Straciłem wiernego sługę!

Błagam cię, wróć, jęczał w myślach Dworycki.

Moskali musiało być więcej, bo nagle Jacek poczuł, że dźwigają go z ziemi razem z pocztowym i nawet jego ciężar nie jest w stanie zatrzymać nieszczęsnego więźnia w miejscu. Podjechał na dwa łokcie w górę i poczuł, jak noga Świrskiego wyslizguje mu się z zakrwawionej dłoni.

Nic nie zostało. Tylko modlitwa...

Lecz pomoc nadeszła. Nagle ktoś chwycił Herakliusza za drugą nogę. Pociągnął, przytrzymał.

Litwin! Przybywał Dydyńskiemu na odsiecz, jak boćwiniarska konnica pod Grunwaldem. Przytrzymał mocno, na ile pozwalały mu nadwątlone siły.

- Linę! - jęknął. - Tnij linę, do kroćset.

Dydyński spojrzał zrozpaczony na górę, a Świrski okazał się w tym wypadku znacznie rozsądniejszy od niego. Wyciągnął brudną, skaleczoną lewą rękę.

- Rzuć mu kindżał!

Dydyński puścił pocztowego, opadł, wyrwał sztylet z za pasa.

Podrzucił go delikatnie i ostrożnie, tak by trafił w samą dłoń Herakliusza.

Świrski chwycił żelazo. Wleczony w górę odchylił głowę, machnął lewą, uzbrojoną ręką, próbując przeciąć więzy. Nie sięgnął! Niewiele myśląc, przytknął krzywe ostrze do sznurów obejmujących nadgarstek. Piłował raz za razem, tnąc skórę.

Zdażył!

Nagle spadł im na głowy. Uderzył Dydyńskiego bosą piętą w ramię. Zaryczał, zajęczał, zaniósł się kaszlem...

- Do koni! - wycharczał szlachcic. - Prędzej.

Pędzili, potykając się, ślizgając na śniegu. Dydyński niemal biegł, obejmując ramieniem Świrskiego. Zjechali do fosy na własnych siedzeniach, pognali przez przysypane śniegiem chrusty i faszynę.

To dziwne, ale konie nie uciekły. Litwin szarpnął za wodze, ale Dydyński chwycił

rękojeść szabli, zaparł się, wyrwał broń ze śnieżnej zasy. Porwał wodze Hetmanki, pozostawiając tamtemu podjezdka.

Huk strzałów zabrzmiał za ich plecami. Żaden nie trafił.

Góram poszła w odpowiedzi kula z Panny, świsnęła na pochybel Moskwie, trafiła w jakiś dom w grodzie, bo usłyszeli trzask pękających belek, wrzaski i nawoływania posadzkich.

Dydyński przerzucił Świrskiego przez przedni łęk, wbił nogę w strzemień, odbił się, przeszorował butem po śniegu. Strach poderwał go z ziemi, wrzucił w kulbakę. Hetmanka runęła galopem, poszła cwałem za umykającym Litwinem.

Pędzili, ile się tylko dało. Skulony Dydyński przytrzymujący jęczącego Świrskiego. Za sobą słyszał suchy trzask wystrzałów, którymi żegnali ich strzelcy, a potem coś gorszego - grzmot działa.

Gnali jak wicher, choć wolniej niż poprzednio. Hetmanka, obciążona podwójnym ciężarem, zostawała w tyle, odpadała...

- Dochodzą! - zakrzyczał Ostromecki. - Nabijać!

- Trzymaj się, mości Dydyński! - Przybyłowski zacisnął dłonie w pięści.

Znów uderzyły działa z polskiej strony. Odpowiedziały im moskiewskie. Góram nadciągał szum pocisku, potem odgłos uderzenia; przez chwilę Jackowi zdało się, że kula rozrywa ich na kawałki!

Lecz pocisk padł z lewej, tuż za nimi. Hetmanka stuliła uszy, rwała do przodu...

Impet uderzenia pocisku był ogromny. Pan stolnikowic spadł razem ze Świrskim w gęsty śnieg, dostał bryłkami lodu w gębę i znieruchomiał z ustami pełnymi lodowatych igieł.

Hetmanka rzuciła łbem, strzeliła z zadu, aż szlachcic miał okazję podziwiać podkowy tylnych kopyt, uciekła za podjezdkiem, na którym zmykał sprytny Litwin.

Dydyński został sam z jęczącym Świrskim, w połowie pustego pola między murami a szańcami Dymitra.

Działa grzmiały, wyrzucając ogień i śmierć. Strzelcy bili do nich z rusznic i hakownic. Jacek podjął rękę Świrskiego, przerzucił przez kark, dźwignął pocztowego z ziemi i ruszył w stronę swoich.

- Mości panie Dydyński - zajęczał do siebie - tak właśnie kończą się przygody. Nie będzie komu pisać diariuszy.

Ale to nie był koniec. Bo nagle, kiedy szedł poprzez śnieg pod gradem kul, z prochowych dymów wychynał kary pysk koński ze strzałką na czole. A za nim frasośliwe oblicze Dworyckiego.

- Daj go na kulbakę! - krzyknął, obracając konia na zadzie.

Dydyński dźwignął pocztowego, wrzucił go na grzbiet karosza, na olstra z pistoletami. Dworycki przytrzymał Herakliusza, by nie spadł.

- Łap się strzemiesia! Dymamy stąd.

Ścigani przez kule pędzili do obozu. Dydyński biegł ledwie żywy, pokryty krwią, pyłem, prochem i potem.

I modlił się, aby to wszystko się skończyło...

Aż wreszcie zamajaczyły przed nimi szańczyki Ostromeckiego, konie i ludzie. Niemal wbił się w karmazynowy husarski żupan Gogolińskiego. Padł wówczas na kolana, zdyszany, umierający ze zmęczenia i bólu.

Zatoczył się - byłby runął w śnieg, gdyby go ktoś nie podtrzymał. Zobaczył krasne barwy, husarskie skrzydła przytroczone do tylnych łąków kulbak, żupany z pętlcami, szable, magierki i czapki zwieńczone czaplami piórami.

Niebo było z polska karmazynowe.

Wrzask, tryumfujący ryk zwycięstwa, który dobywał się ze wszystkich gardeł, szedł pod niebiosa. Konie rżały, puszkarze podrzucali kapelusze do góry, z tyłu Kozacy strzelali z samopałów, ruszali w prysiudy.

Dydyński objął Świrskiego, zmiążdżył go w uścisku, przycisnął pokrwawioną głowę do piersi. Z boku do jego nóg rzucił się Litwin. Modlił się, zawodził i jęczał, jak gdyby wzywał na świadków dawnych pogańskich bogów.

- Świrski, daruj moją winę.

Herakliusz nie mówił nic - pewnie Dydyński za mocno przyciskał go do piersi.

- Proszę... Odsuść mi, jak Jezus Chrystus.

- Odszczę - wychrypiał były pocztowy - jak mnie waść nie udusisz.

Jacek puścił Herakliusza. Ten zakaszłał, splunął krwią.

- Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr - rzekł. - Nie ma już waśni, nie ma winy, pomagaj Bóg.

- Wrócisz do mnie? Na służbę.

Świrski uśmiechnął się. I pokręcił głową.

- Nie wrócę, mości panie stolnikowicu. Chciałbym jak dawniej. Ale... Zaciągnąłem się... Po towarzysku do roty pana Fredry. Sam waść rozumiesz, służba nie druźba.

- Panie Świrski, niechże cię kule biją! Za grzechy moje przyjmuję.

Uścisnęli się jeszcze raz.

Dymitr szedł do nich pieszo, w otoczeniu pułkowników i dworu. Rozwarł szeroko ramiona, podał dłoń stolnikowicowi. Lecz jeśli myślał, że szlachcic ją ucałuje, to mylił się, bo

Dydyński po prostu ją uściskał.

- Mości panie Jacku, wieszuję męstwa i wiktorii. Z takimi kawalerami moja sprawa upaść nie może.

- Daj Bóg.

- Doprawdy zadziwiła mnie dzisiaj chrobrość polska. Mości panowie! Oto ja - car moskiewski, prawowity następca Iwana Groźnego, Rurykowiczów i innych przodków moich, ogłaszam wszem wobec, że od tej pory możecie zwać pana stolnikowica Jackiem nad Jackami, bo to sprawił, co nad siły i wszelkie było oczekiwanie!

Padli sobie w objęcia.

- Bądź pewien, waszmość, że będę się umiał odwdziaczyć... Kiedy już zasiądę na moskiewskim Kremlu. A teraz - trzymaj w podzięk. I nie próbuj odmawiać!

Jednym ruchem zrzucił z ramiona aksamitną karmazynową ferezję z jedwabnymi pętlcami i diamentowymi guzami, a potem narzucił ją na ramiona Jacka.

- Odprowadźcie ich do cyrulika. Na opatrzenie. Dalejże, mości panowie!

Husarze rzucili się do Dydyńskiego, Świrskiego i Litwina, który nawet nie zdążył podziękować za ratunek. A potem niemal ponieśli ich do obozu.

Dymitr zaś, wdziawszy szubę, którą natychmiast podał mu pokojowiec, dosiadł siwka. Ktoś zamajaczył u jego boku, przedarł się poprzez dymy i śnieg, który już znowu zaczął. Jaśnie pan Mniszech.

- Hej, mospanie, komuś oddał moją ferezję?! - zakrzyknął z miejsca wojewoda sandomierski. - Pójdę z torbami, jeśli pacholkom karmazyny będziesz rozdawał!

- Ten pacholek dziś stał się olbrzymem. Jaki pacholek, do diabła, towarzysz husarski mojej chorągwi, Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki. Okrył się nieśmiertelną sławą.

- Dydyński? Jacek? Stolnikowic? Do diaska, nie poznałem go po stroju - zafrasował się Mniszech. - Boże mój, Panie światłości wiekuistej, jak to się czasem można pomylić. No, pędzę i ja mu powinszować. Bywaj.

I jaśnie oświecony wojewoda sandomierski ruszył za czeladzią i pocztowymi złożyć ukłony i uszanowanie Dydyńskiemu.

Die 2 decembris n. st., 22 novembris st. st.

Stacja Dydyńskiego, obóz Samozwańca

Godzina druga w południe

Anastazja rzuciła się na niego jak lwica, ledwie przekroczył próg. Chyba myślała, że wraca

stolnikowic, bo kiedy dojrzała zasepione oblicze Nieborskiego, zrozumiała błąd i zatrzymała się w pół kroku.

- Co z nim? Czemuś nic nie powiedział?! Żyje?

- Kto taki? - spytał, nie unosząc głowy. - Borys? Świrski? A może Samozwaniec?

- Jakiś ty głupi! Ojczulek Dydyński.

- Żyje, żyje. Złego diabli nie biorą.

- Jakież on zły! Boży człowiek! - jęknęła, a pocztowemu wydało się, że w jej oczach zobaczył łzy.

- Widzę, dla kogo boży. Ubrał cię jak carską księżniczkę.

Anastazja opuściła ręce, pogładziła nakładną niewieścią szubę wkładaną przez głowę - teraz przystrojoną kiką - czapkę, spod której wypadał długi, skręcony w ciasnych zwojach złotawy warkocz.

- Gdzie on? Gdzie jest?

- U cyrulika. Co ci tak śpieszno? Jeszcze rozgrzejesz mu łożo.

Nie wiedziała, kiedy znalazł się przy niej i wolno, ale stanowczo położył ręce na ramionach, dotknął szyi.

- Dość! Puść! - syknęła. - Precz!

- Ty co?! - warknął. - Ty...

Nie puszczał, wtedy szarpnęła się, a kiedy napał całym ciałem, uskoczyła w bok. Nieborski zachwiał się między stołem a krzesłem, potknął, padł do przodu, wleciał na maszt, omal nie zwałił się na skrzynię.

Spoglądała, jak rozeźlony gramolił się na nogi.

- Nie wróci szybko. Mamy czas. Mogłabyś... być trochę miłsza.

- Nie!

- A, rozumiem. On możny pan, to-wa-rzysz. Ulubieniec cara. Jacek nad Jackami. A taki zwykły chudopachołek jak ja śmierdzi carskiej księżniczce.

- Co ty tam wiesz.

- Pewnie - ruszył w jej stronę z zimnym uśmiechem - pan Dydyński kutasa też ma nad kutasami, co - może się mylę?

Cofnęła się do wyjścia.

- Ty kto jesteś, myślisz? Kniahini? Co ty dla niego - moskiewska kurwa! Bładź, co pod każdym rozkłada nogi!

- Idź precz!

Podniósł się, ruszył w jej stronę, a wtedy krzyknęła - głośno i donośnie.

- Hej, co tam? - zagrział głos Borysa. - Potrzebujecie czego?

- Nagła krew cię zalała - mruknął Nieborski. - To siedź tu. Sama. Ty dla niego barachło. A dla mnie...

Nie słuchała, wbiła wzrok w przestrzeń.

Machnął ręką, zaklął i wyszedł z namiotu.

Die 12/2 decembris

Szańce Samozwańca pod Nowogrodem Siewierskim, późna noc

Dowodzenie nad Moskalami przejął w następnych dniach hetman mróz. Przez cały tydzień od piątku do soboty walił śnieg, wichur wciśkał się w szczeliny namiotów i trudno było wyprostować się na szanćach. Oto zaczęła się sroga moskiewska zima, inna niż w Rzeczypospolitej. Tam bowiem przed nastaniem śniegów przyroda zasypia powoli jesienią, aby obudzić się na nowo, w Moskwie zaś ginie pod śniegiem gwałcona przez mróz, tak jak każda myśl o wolności niweczona przez carskie okowy. Zima w Rosji jest symbolem śmierci i zniszczenia. Najmniejszy ślad życia nie zdoła przetrwać do następnego roku.

Namioty nie dawały schronienia, więc towarzysze rozeszli czeladź z wozami po drewno. Ciurowie zaś wpadli do kilku najbliższych wiosek, wygnali chłopów nahajkami, a bierwiona i bale z rozebranych chałup przywieźli do obozu. Jeden dzień i jedną noc stukwały siekiery, aż wreszcie przy namiotach wyrosły szałas i chatynki z piecami, przy których Lachy, Kozacy i Moskale przeczekać mogli nie tylko do wiosny, ale nawet do następnej jesieni. Konie stały w szopach, wojenny moderunek pozostawiono w namiotach, czerń z trudem wyryła sobie ziemianki i burdiugi, które wkrótce pokrył gruby całun śniegu.

Działa strzelały cały czas, ale Basmanow okazał się twardy, jak niedźwiedź, który pod grubym futrem nosi na brzuchu jeszcze grubszą warstwę sadła. Kiedy po dwóch dniach ostrzału runęła ściana obok Spaskich Wrót, okazało się, że za nimi Moskale pobudowali następną - z faszyny, dębowych bali przysypanych ziemią, śniegiem polewanym wodą, iż zmienił się w szklistą, śliską tafłę nie do przebycia.

Dymitr zaciskał pięści, ale nakazał przybliżyć szanćce do grodu i strzelać - bić z dział bez tchu i opamiętania, aby uczynić nowy wyłom. Ziemia była zmarznięta, sypano je zatem ze śniegu polewanego wodą. Podtaczano działa i na nowo nęcano nieszczęsne miasto kulami.

Nocą siódmego dnia ostrzału zabrakło prochu. Fogler posłał do obozu po nowe beczki, Dydyński zaś i Przybyłowski, którzy wraz z Gogolińskim trzymali tej nocy placową straż, przyczaili się z bandoletem i arkebuzami za wałem, by zapolować dla rozgrzewki na któregoś

z Moskali przechadzających się na hurdycach czy ostrózkach. Od kiedy bowiem szanę przybliżyły się do ścian, obydwie strony zabawiały się w kotka i myszkę, umieszczając najlepszych strzelców na basztach i zrębach, a potem waląc zniecka do strażników i wszystkich tych, którzy byli na tyle nierozważni, że odważyli się wystawić głowę zza osłony.

Dydyński przyważył moskiewskiego wartownika. Opuścił kurek na kółko, złożył się do strzału i wypalił. Grzmot rozdarł ciszę nocną. W świetle księżyca zajaśniała chmura oparów. Pan stolnikowic spudłował szpetnie - o czym przekonał się, gdy już po chwili nadeszła odpowiedź z drugiej strony. Nie była to jednak kula z hakownicy, ale argumenty znacznie cięższego kalibru.

- Ty, pizdiuk! - rozdarł się gdzieś wysoko niewidoczny Moskał, jeden ze strzelców, który znany był z tego, że używał niewyparzonej gęby o wiele skuteczniej niż arkebuz. - A chuj tebe w żopu w mesto ukropu! Po samyje jajca!

- A pokaż się, z kurwy synu! - zagrmiał w odpowiedzi Przybyłowski. - Wyłaż zza wałów, francowaty matkojebco! Zaraz strącę ci ze łba Czapkę Monomacha. I zrobię w czerepie szparę tak wielką jak piczka w carskiej rzyci!

- Ty chyba na urny s' pizdoj pomieniałsjja! U tebe żopa w mesto gołowy! My was na zautre spraszysz na rozgwor!*

Przybyłowski przyłożył arkebuz do ramienia i nacisnął na spust. Sprężyna obróciła kółko, sypnęło iskrami. Wystrzał przeorał nocne niebo.

Odpowiedź nadeszła nadspodziewanie szybko. Na wałach rozbrzmiały dwa suche trzaski. Jedna kula przemknęła gdzieś w górze, druga zrykoszetowała od zamrożonego szanca, kilka łokci od szlacheckiego nosa pana Przybyłowskiego.

- Ty, Lach! Bliadun w żopu jebanyj. Pizdiuk małosolnyj! Ty słyszysz? Jebu twoju mat' lackuju. U niejo wjuga w pizdie!

- Psi synu końskim kusiem między oczy chędożony! - Dydyński ciął słowem jak żelazem, bo Moskale byli zbyt daleko, aby mógł dosięgnąć ich szablą. - Bękaracie francowatej przechodki! Synu kobylej mineciary, gamratki, pohańskim godmiszem na drugi bok wyjebanej! Wychodź na szable. Jeden na jednego!

- Ty szto, zołotoj pizdy kołpaczok. Ty syn bladiugi, dumajesz, szto my duraki, pizdo zabripannaja? Prichodi posmotri w moju żopu!

- A cmoknijże mnie w sam koniec kutasa!

- Lach, chuj da pizda z odnowo gniezda!

* rus. - My was zapraszamy jutro na rozmowy!

Tym razem po polskiej stronie przemówiło działo, skutecznie głusząc dalszą część moskiewskiej oracji. Kiedy dym opadł i wróciło światło księżyca, pan stolnikowic zadumał się.

- Ciekawym okrutnie - rzekł, wsypując proch do lufy bandoletu - cóż znaczą one moskiewskie słowa: chuj i pizda?

- Pewnie tyczą się naszych matek i ojców - mruknął Przybyłowski, także zajęty arkebuzem - tudzież ich sposobu prowadzenia się albo niechlubnej sodomii z chłopami.

- Durny durnomu pchaju w sraku sołomu! - rozległo się zupełnie blisko.

Zza szanca wynurzył się chudy jak pogrzebacz Kozak w kozuchu i wilczej kapuzie, z wąsami jak dwa błyszczące ogony. Z moskiewskich wałów strzelono, ale on robił sobie z tego tyle co z krakania wron.

- Ataman Gierasim Ewangelik - mruknął Dydyński. - Cóż was tu sprowadza, mości pułkowniku?

- Obchodzę posterunki. I jak wasze moście usłyszałem, to sobie pomyślałem - pomogę Lachom zrozumieć Moskali. W końcu my bliżej Kremla niż Zawisie.

- To gadaj, co to po polsku: chuj, pizda i żopa?

- Chuj, proszę waszmości - Kozak mówił z takim namaszczeniem jak pop wyjmujący prosforę w czasie mszy świętej - tłumaczy się po polsku kuś albo, z przeproszeniem, kutas.

- A pizda?

- Kiep albo picza niewieścia - wytłumaczył Ewangelik, będący z racji pochodzenia swoistą sublimacją kultury szlacheckiej i moskiewskiej.

- Ha, ciekawe. - Przybyłowski przymierzył się do strzału. - A żopa? Czy to nie aby carska małżonka?

- Dziura w dupie, za pozwoleniem waszej mości.

- Dziura... Zaiste dziwna ta moskiewska mowa. To spróbujemy po ichniemu.

- Ty tam, dupodajcu, sodomito sfrancuziały! Pokaż się po kawalersku! Słyszysz, chuju w żopu chędożony?

- Słuszajus', z kurwy synu! Taka twoja mać! - padła prosta i zrozumiała odpowiedź po polsku, choć z moskiewskim zaśpiewem.

A Przybyłowski i Dydyński spojrzeli po sobie zaskoczeni.

- Chyba też mają tłumacza - rzekł stolnikowic.

Przybyłowski pokiwał głową ze zrozumieniem. I tak oto rozpoczęło się przenikanie polskiej fantazji i moskiewskiego obyczaju.

Die 18/8 decembris

Kwatera Dymitra Samozwańca

Tuż przed północą

Cisza była tak wielka, że aż dzwoniło w uszach.

Siedzieli przy stole w blasku latarni bladzi i wyziębieni. Pułkownicy i rotmistrzowie. Atamani, setnicy i moskiewscy tysięcznicy. A pośród nich carewicz Dymitr Iwanowicz, wojewoda Mniszech, Żulicki, Gogoliński, Dworycki, Dameżki, Buczyńscy i reszta rotmistrzów. Książ Rubec-Massalski i brodaci Moskale. Zasepieni i porywcy Kozacy z niskim i żwawym jak iskra atamanem Petrem Korełą.

Mówił Dworycki. Spokojnie, bez gniewu. Bez uniesienia.

- Mamy dwie wieści. Pierwsza z grodu. Uciekła z niego prawie setka posadzkich ludzi. Zeznali, co wiedzą o wojsku carskim. A wiedzą zaskakująco dużo, jak na oblężonych, co znaczy, że nasze czaty musiały nie raz i nie dwa przepuścić szpiegów cara...

- Mości panowie, Mścislawski idzie z doborowym wojskiem. Następuje od Trubczewska, Briańska prawym brzegiem Desny. Połączył się już z Dymitrem Szujskim, który wie gdzie część dworów i poczty bojarów. Razem prowadzą, jak powiadają, sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

Moskale poruszyli się niespokojnie. Chruszczew zajrzał w oczy Massalskiemu. Za to Polacy i Kozacy ani drgnęli.

- Znając jednak armię carską, nie wierzę, aby żołnierzy zdalnych do boju było więcej niż połowa. Trzydzieści tysięcy zatem.

- Policzymy ich, gdy ich wybijem - mruknął rotmistrz Stanisław Borsza.

- Są wśród nich strzelcy carscy. Pułki jazdy pomieszczonej i bojarów. Co więcej, Mścislawski ma pod swoimi rozkazami zaciężne regimenty Niemców.

Teraz z kolei szmer rozszedł się między polskimi pułkownikami.

- Prowadzi Kozaków jaickich i terskich. Tatarów kazańskich. Chłopów z pososnych wypraw, Astrachańców, Czuwaszy i Czeremisów... Pół Azji i Bóg wie kogo jeszcze.

- Dziś rano nasz podjazd z dworów i Kozaków natknął się na pułki księcia pod Trubczewskiem. Stoczył bój, został złamany, ale zdobył języków i wieści. Musimy szykować się do walki.

Nadciągał dzień sądu. Świt miecza i kary. Chwila, na którą czekali od miesięcy i której spodziewali się z każdym dniem.

Przecież nie byli głupcami, wiedzieli dobrze, że Godunow wysłał przeciwko nim

armię. Nadchodził czas, aby się z tą armią zmierzyć.

- Nieprawy car obiecał Mścislowskiemu, że jeśli schwyta Dymitra żywcem, weźmie za żonę carską córkę Ksienię, a na dodatek otrzyma w posagu Księstwo Kazańskie i Sybir.

Nie wiedzieć czemu, kilka głów obróciło się na wojewodę, który miał wszak przyobiecane od cara Księstwo Siewierskie, Psków i Nowogród jako wiano Maryny. Tak to już było w ostatnich czasach, że wszyscy dzielili Księstwo Moskiewskie niczym skórę na niedźwiedziu, który wszak jeszcze żywy chadzał po lesie.

- Razem z carem idą wojewodowie i pułkownicy. Kniaziowie: Andriej Andriejewicz Telatiewski, Wasyl Wasylewicz Golicyn, Michał Samsonowicz Turenin, Łuka Fedorowicz Szczerbatow, a z nimi okolniczy Wasyl Pietrowicz Morozow. Mścislowski chce zaskoczyć nas pod Nowogrodem, tak aby wziąć armię Jego Carskiego Wieliczesztwa w dwa ognie. Nie możemy do tego dopuścić, bo to oznacza naszą zagładę.

Dymitr wstał.

- Nie będę wygłaszał oracji - rzekł oschle. - Nadszedł czas, aby Polacy pokazali męstwo. Nie jesteście, jak mówicie, dobrzy w obleganiu zamków i grodów. Pokażcie więc ochotę, aby znieść wojsko Mścislawskiego w polu. Słucham was.

Pierwszy wstał pan Żulicki.

- Pomimo przewagi jestem zdania, że zagłada czeka nas wówczas, kiedy kniaź Fiodor uchyli się od bitwy, zakładając, dajmy na to, obóz za Desną, sypiąc szańce i wały, aby zamknąć nas w oblężeniu. Takiego periculum* nie wytrzymamy, bo zaczyna brakować prochów, a konie są pomorzone od mrozu.

- Dlatego - rzekł wojewoda - winniśmy jak najszybciej zdobyć Nowogród. Wzięcie miasta sprawi, że armia carska upadnie na duchu - nie będzie miała komu śpieszyć z odsieczą. Poza tym łatwiej będzie stoczyć bitwę pod murami naszego własnego miasta. Już dziś w nocy szykujemy się do szturmu...

- Waść zmierzasz do klęski - mruknął Żulicki. - Nie zdobyliśmy miasta w ciągu miesiąca, więc skąd pewność, że padnie po kolejnym szturmie, na który, Bogiem a prawdą, nie mamy sił. Przeciwnie, pobicie odsieczy w polu sprawi, że Basmanow będzie bardziej skłonny do rozmów, bo przecież kończą mu się proch i zapasy.

- Słuszna uwaga - skwitował Dworycki, który z oczywistych powodów nie wstał. - Proponuję zatem, waszmościowie, aby zamiast tu czekać, zostawić Kozaków jako straż przeciwko Bosmanowi, a samemu wyruszyć na Mścislawskiego. Poszukać go w polu. I

* łac. - niebezpieczeństwa

zmusić do przyjęcia bitwy.

- Waś chcesz atakować trzydzieści, jak mówisz, a może nawet sześćdziesiąt tysięcy Moskali? Mając pod komendą nie więcej jak dwadzieścia, i to, z całym szacunkiem dla przyjaciół Waszej Carskiej Mości, lada jakiej zbieraniny? - upierał się wojewoda.

- Wyprowadzimy w pole chorągwie, które są mocą i potęgą Rzeczypospolitej - rzekł ponuro Dworycki. - Zmusimy kniazia Fiodora, aby potykał się z nami w polu na sposób polski, a nie moskiewski - czyli za szańcami, ostrózkami i hulajgorodami. To proste: użyjemy husarii.

Iskra, zda się, przeskoczyła między pułkownikami. Na wąsatych obliczach Polaków pojawiły się zimne uśmiechy.

- Bijut czelom wam, Adamie Władysławowiczu, ale husarii mamy niespełna sześć setek - Dymitr nie podzielał pewności Lachów. - Cóż znaczy sześciuset bojców - choćby najprzedniejszych - przeciwko sześćdziesięciu tysiącom.

- Za pozwoleniem Waszej Carskiej Mości. Sześćdziesiąt tysięcy przeciwko sześciuset husarzom znaczy tyle co wszystkie legiony diabłów przeciw Trójcy Świętej. Nie widziałeś naszej jazdy pod Toropcem, Lubieszowem, Bukowem. W Inflantach. Pod Kockenhausen, Rewlem i Białym Kamieniem. Husaria zmiażdży Mścislawskiego i Szujskiego, choćby postawili przeciw nim całą Ruś. Tak jak zmiotła Szwedów i Wołochów. Niemców i was - Moskali - za króla Stefana.

- Jesteście pewni przewagi? - zapytał pan Fredro. - Nasza konnica to na razie jedyna podpora władzy Jego Carskiej Wysokości, bo cała reszta Kozaków i Moskwy dziś jest przy nas, a jutro - wiatr ją rozegna. Jeśli nie stanie husarii i petyhorców, wyprawa rozpadnie się w pył.

- Nie ujmuj nam odwagi, mości panie starosto - wtrącił rozeźlony Massalski. - Całowaliśmy chrest w carskie imię i stoimy wiernie przy gosudarze. Może u was, na Litwie, jest w zwyczaju, by każdego dnia zmieniać pana, pewnie i dlatego, że tak wielu ich w tamtych stronach. My pójdziemy bić się z Mścislawskim.

- A czy nie byłoby lepiej wycofać się... ku granicom Rzeczypospolitej? Rzecz jasna, na jakiś czas.

Pomruk rozszedł się między Moskalami. Rotmistrz zarobił od razu na niechętnie spojrzenia.

- Wy, Lachy, macie gdzie uciekać - zagrział Rubec-Massalski. - Więc jeśli chcecie, wolna droga. My zostaniemy przy Jego Wieliczej, bo za opuszczenie tatarskiego raba Godunowa czeka nas topór, szubienica, pał, a w najlepszym razie - zesłanie na północ.

- Nigdzie nie będziemy ustępować! - zakrzyknął Borsza. - Jesteśmy rycerstwem Rzeczypospolitej! Kto ma ferezję tchórzem podszytą, tedy niechaj dyma do domu, do żonki i pierzyny. Nie ustąpimy pola, póki Moskwa nie będzie nasza. Na Mściśławskiego! Bigosować!

- Mało husarii, ale nic to! - rzekł Gogoliński, kładąc dłoń na rękojeści szabli. - Rota husarska Waszej Carskiej Mości jest gotowa do walki.

- Kiedy pójdziecie w bój - powiedział Dymitr - będzie was więcej.

- Wasza Carska Mość spodziewa się posiłków?

Nawet Mniszech uniósł brwi ze zdziwienia.

- Stoczmy bitwę z Mściśławskim. A wy pojedziecie w bój ze skrzydłami, mości panowie husarze - zawyrokował carewicz. - Pióra straszą konie, widziałem was na paradzie i myślę, że samym wyglądem przestraszycie bojców Mściśławskiego tak bardzo, że zaraz pomyślą, iż jest was nie sześciuset, ale co najmniej sześć tysięcy.

- W piórach?! - zakrzyknął Gogoliński. - Ze skrzydłami? Wasza Carska Mość, to nie parada ani tryumf. Za przyzwoleniem, wolałbym zachować skrzydła na wjazd do Moskwy.

- Pojedziecie w nich tu i teraz. Aby carscy wojewodowie byli zaskoczeni waszą liczbą.

- Pójdą w strzępy! Mości carewiczu, czy wiesz, ile kosztuje dobre skrzydło husarskie w Krakowie i Lwowie? Najmarniej dziesięć złotych!

- Będzie skwierk i rozruch między towarzyszami! Nie dostaliśmy jeszcze drugiej ćwierci!

- Za wszystkie pióra zwrócę. Dam basarunki i wynagrodzę szkody - uciał protesty Dymitr.

- Kiedy? - zagrzmał Borsza. - I z czego?!

- Z carskiej kaźni. Po zdobyciu Moskwy! - rzekł Dymitr z zimną i zaciętą gębą.

Borsza i kilku innych gruchnęło śmiechem. Zaraz jednak spowaźnieli, a pan Stanisław, aby ukryć złe wrażenie, zakasłał i zachrzakał, kryjąc usta dłonią.

- Jeśli przegramy, okup za wasze głowy będzie o wiele wyższy niż te kilka piór. Zaszarżujecie ze skrzydłami, bo walczyście dla mnie. A ja chcę, aby Mściśławski i wszyscy poplecznicy nieprawego cara widzieli, że broni mnie konnica niebieska. Rycerze Chrystusowi, co mają pióra, tak jak anioły zesłane z nieba na zwycięstwo i dobrą nowinę. Skrzydła dodadzą wam siły i odwagi. Jakby was było nie sześciuset, ale sześć tysięcy. Mości panowie! Podwoić strażę, gotować się do bitwy. Dać znać, kiedy Mściśławski zbliży się na milę lub dwie do Uzruja. Tam, na polach i łągach Hospody, da nam zwycięstwo i wiktoryę, o której potomkowie nasi będą mówić przez wieki. Do chorągwi!

ROZDZIAŁ XI

Na skrzydłach husarii

Mściśławski ciągnie na Nowogród • Podchodzi pod obóz Samozwańca • Wojsko staje w szyku • Bitewne harce • Sposób na Moskali pana Rudominy • Schwytnie języka • Nocne Polaków rozmowy • Przed bitwą • Bij Moskala! • Victoria • Konie na śniegu • Tumult w kole rycerskim • Koniec oblężenia • Do Rylska

Die 30 decembris nowego stylu, 20 starego stylu

Anno Domini 1604

Roku 7113 od stworzenia świata

Poranek nad rzeką Uzruj, około godziny dziewiątej z rana

Kniaź Fiodor Mściśławski nadciągnął razem ze świtaniem dwudziestego ósmego grudnia. Szedł od Briańska nocnymi marszami, wiodąc trzydzieści, a jak niektórzy powiadali - ponad pięćdziesiąt tysięcy strzelców, dworian, bojarów, Kozaków, chołopów i Tatarów. Podjazdy atamana Koreły spostrzegły ich na trzy polskie mile od Nowogrodu, starli się z pohańcami, postrzelali z samopałów, dając znać o nadejściu wroga, a potem wycofali za rzeczkę Uzruj zamarznąją tak mocno, że bez trudu można było przejechać konno po lodowym moście.

W obozie zatrąbiono przez munsztuk. Dymitr, Dworycki i wojewoda naradzali się bladym świtem. Na nogi poderwano Moskali Wasyla Rubec-Massalskiego, bojarów i dworian Chruszczewa, a potem Dońców Koreły i Zaporozców atamana Ewangelika. Z rzeniem i brzękiem zbroi wyszły z obozu roty polskie: Jego Carskiej Mości, Kruszynina, Bylińskiego i własna petyhorska Adama Dworyckiego, aby pilnować wroga.

Mściśławski stał pośród zamarznionych pól pokrytych śniegiem, otoczony kobylicami i ostrokołami. Zaległ jak ranny niedźwiedź, a harcowników straszyl strzałami z dział i samopałów.

Czekali.

Dymitr na siwym koniu. Wojewoda w nowej ferezji, z hetmańską buławą w rękę. Dworycki na wiernym karym turku. Dydyński i Nieborski, trzymając wodze husarskich koni.

Czekała moskiewska piechota, brodaci strzelcy z berdyszami, w wilczych i baranich kołpakach. Zaporozcy w świtach, szarzy Dońcy w huniach. Moskale w bechterach, kolczugach i przeszywanicach. Tatarzy w pikowanych kaftanach. Wąsaci Niemcy w wamsach, morionach, trzewikach i pludrach owiniętych - dla mrozu - skórami.

Czekał Kozak z Białej Cerkwi Maksym Wełyczko z sotni atamana Weresaja. A naprzeciwko niego w carskim obozie Iwaszko Gonczalów, dziesiętnik ze Słobody strzeleckiej w Moskwie.

Czekał pan Przybyłowski, towarzysz husarski i Ustupow, Tatar z ułusu Chazbuj, podle Astrachania.

Czekał pan Siennicki z pocztem grzecznych ludzi w kozackiej chorągwi i możny dworiantin Szujskiego Ostap Jusupow.

Czekał pocztowy Dąbrowski, mając nadzieję, że łupy znalezione w obozie moskiewskim pozwolą któregoś dnia zostać towarzyszem. A z drugiej strony chudopacholek, sługa Mścislawskich z Wiatczewa pod Briańskiem, dygotał w dziurawym kaftanie podszytym wiatrem.

Chuchał w ręce skostniałe od mrozu Charłampij Jermakow znad Donu, którego ojciec setnik przepił futór, konie i ziemię, zatem synowie iść musieli w bój jako prości Kozacy, ledwie w koszulach nakrytych wytartymi kozuchami.

Zabijał ręce, kłął na mróz pan Humięcki, drobny szlachcic podgórski zrujnowany przez własne wojsko i najazd tatarski.

Smarkał przez dwa palce czarnososny chołopa Swierka, wzięty przemocą w karby carskiego wojska i przemyśliwujący, jak by tu łatwym sumptem wykpić się od wojaczki, bo ani mu było w głowie dawać gardło dla cara Borysa, którego nigdy nie oglądał na oczy.

Czekali z biciem serc. Z nadzieją, że sława i łupy odmienią ich nędzny żywot. Czekali na bitwę, bój, śmierć i zgubę. Na śmierć - jedyną i ostateczną rzecz, która czekała na tym świecie wielkich i maluczkich. Bogatych i biednych, dumnych i tchórzliwych.

Lecz każdy miał nadzieję, że nie nadejdzie dziś.

Przez całe popołudnie ścierali się harcownicy, strzelali z pistoletów, nacierali na szable i pałasze. Bili z łuku, ukrywając się za kulbakami przed wrogimi grotami. Jednak dzień sądu nie nastąpił.

Dopiero dwudziestego dziewiątego grudnia, w środę, późno w noc Mścislawski poderwał dworiańską i bojarską konnicę, zaalarmował strzelców, a potem podszedł niepokojony pod Uzruj. Kiedy w taborach Samozwańca ogłoszono alarm, stanął w polu i nie próbował zaczepki aż do świtu.

To była wojna nerwów. Próba sił przed starciem. Wszyscy w obozie Dymitra spali na zmianę, dzierżąc w ręku wodze okulbaczonych koni. Gotowi zerwać się na pierwszy sygnał do ataku.

Trąbienie ozwało się o świcie. Stawali w ordynku po ciemku, słysząc, jak pod kopytami koni chrzęści świeży śnieg. Z daleka dochodziło wycie wilków, od moskiewskiej strony huknął pojedynczy wystrzał. Księżyc, zdobiony w wiotką przędzę chmur, zniżał się nad lasami i rozlewiskami Desny, które nie zamarzały nawet zimą.

Stali owiani parą końskiego oddechu, w husarskich zbrojach, na których osadzał się szron. Na polu przyszłej bitwy nie działo się nic. W blasku księżyca i rysującej się na wschodzie łunie przedświtu widzieli ciemną, poruszającą się wolno masę upstrzoną ognikami. Po wschodzie słońca mogli już odróżniać gromady ludzi i koni, zarysy armat i chorągwi.

Dzień załśnił na niebie, a Mścislawski nie ruszał do ataku. Dymitr też czekał. Czyżby w tej ostatniej chwili przed ostatecznym rozrachunkiem sumienia wziął go strach? A może liczył, że armia moskiewska przejdzie na jego stronę, a dumny kniaź będzie bił mu czołem?

Wystrzał z działa po carskiej stronie mógł być sygnałem do boju. Fałszywy znak. Na pole wyjechała grupa zbrojnych bojarów i ich sług. Szli rysią, z białą flagą, wprost ku wojskom Samozwańca i było jasne jak słońce, że zanim przemówią działa i muszkiety, Mścislawski postanowił spróbować pertraktacji.

- Można wracać - zakonkludował Przybyłowski, widząc, jak na spotkanie z Moskałami ruszają Buczyńscy i Mniszech z czeladzią.

- Co też waszmość powiadasz?

- Już po bitwie - zawyrokował Przybyłowski. - Zaraz kniaź pocałuje w dupę carzyka, a jeśli nawet potem ureże mu gardło, bo znajdzie się kolejny samozwaniec, to wszystko i tak zostanie w jednej moskiewskiej rodzinie.

- Stój w szyku! Kazali czekać, to poczekamy! - zakrzyknął Gogoliński.

- Można na harc? - zapytał Odrzywolski.

- Nie było rozkazu.

- Kozacy poszli. Zdałoby się przetrzepać Moskala na parę groszy.

- Jedzie Dworycki - wskazał Rudomina. - Pewnie przywiezie nowiny.

Adam podjechał do nich na karym natolijczyku, osadził go ostro przed Gogolińskim.

- Mości panowie, rozmowy trwają. Jaśnie oświecony pan wojewoda chce przekabacić Mścislawskiego na stronę carewicza.

- Harce?

- Zakazano, ale... Potrzeba nam języka. Kto się zgłasza? Kto gotowy porwać Moskala?

Rzucili się prawie wszyscy, jednak Dydyński i Rudomina wysforowali się do przodu.

- Ja się zgłaszam! - zakrzyknął pan Michał, którego koń dał się zepchnąć z drogi przez Hetmankę.

- Ja jestem pierwszy - mruknął Dydyński.

- A ja wyżej zapisany w rejestrze!

- Rejestr można zmazać, a tym - Jacek uderzył się po szabli - wypisać nowy, choćby na twojej gębie, panie bracie!

- Świń my razem nie paśli, proszę wielmożnego pana! - warknął Rudomina. - A paszół ty w kiebienie matier!

Zanim Dydyński wyciągnął szablę, Dworycki zmienił się w króla Salomona:

- Pojedziecie obydwaj! I nie wracajcie bez Moskala.

- Żywego - dorzucił Gogoliński.

- A może być popsowany? - zapytał Rudomina.

- Byleby mógł śpiewać.

Dydyński zdjął z przedniego łęku tok z kopia, podał go Nieborskiemu, który z pomocą Kliszewskiego, pocztowego Rudominy, złożył długie drzewko na śniegu.

- Panie Nieborski, zajmij moje miejsce.

- Kliszewski! - zakrzyknął Rudomina. - Zawezwij Antoszka, niechaj ci kobyłę zostawi, a sam tu chyżo gania!

Kliszewski skoczył w tył, gdzie za chorągwią stała luźna czeladź, i wrócił po chwili z chłopcem Rudominy.

- No, mości panie, ruszać tak i trzeba - zagadał Rudomina. - Pocztowych ostawiajem, a tak i pojedziemy z moich chłopcem, bo to przechera największy w Tykocinie.

- Jak waszmość chcesz złapać Moskala?

- Oto i prosto - jako rybę do saka. Antoszek nam i pomoże. Takoz jedźmy.

- Ale gdzie?

- Ot tam, w chrusta. Ja już pewny koncept mam, co waści będę kładł do głowy, jakbyś był niekumaty.

Pole przyszłej bitwy ograniczone było od wschodu rozlewiskami Desny, od zachodu zaś pasmami lasów, które wysuwały swe długie jęzory daleko w zamarznęty step. Dalej zaś ciągnęły się chaszczce i chrusty, które przedzielały rozwinięte w szyku wojska. Na lewym skrzydle moskiewskie sotnie tworzące pułk prawej ręki stały blisko zarośli. Tam kierował się Rudomina, a za nim Dydyński i Antoszek.

Objechali sotnie i chorągwie lewego skrzydła wojsk Dymitra. Przebrnęli przez zaspy i

po śnieżnym polu podjechali do gęstwiny. Krzaki zasypane z góry śniegiem, który utworzył grube płaty i grudy na gałęziach, były dobrą zasłoną przed wrogiem.

Rudomina zaszeptał z Antoszką, ten zaś roześmiał się od ucha do ucha, a potem ruszył rysią w stronę Moskwy.

- Panie Dydyński, a trzymajcie wy sablię na podorędziu - zaśpiewał z podlaska Rudomina. - Zaraz Antosek Moskali nam naprowadzi. A wtedy każdego kurwego syna w łypę! I już po sprawie.

- Jak naprowadzi? Chcesz, żeby zginął?

- Już on tam wie, co robić należy. Patrzaj, mospanie, jak Moskali za nos wodzą niby durniacy.

Dydyński wyjrzał spoza gęstwiny. Antoszek jechał w stronę najbliższej dworiańskiej sotni. Natychmiast został spostrzeżony, ale wrogowie nie wysuwali się jeszcze z gromady, obawiając się widać podstęp.

Antoszek pokazał im, co znaczy podlaska fantazja. Zawrócił przy Moskalach konia - tak blisko, aby słyszeli, zatrzymał bachmata, pochylił się w kulbace, a potem, spuszcżając hajdawery, pokazał im wypięty tyłek. Poklepał się po nim jeszcze.

- Wy psie syny, Moskale! - zawołał wesóło. - Wasz car Hodunow z kurwy ostatniej syn i kozojebca! Mać jego z woźnicami gziła się na tykockim rynku.

- Dlaczego na tykockim? - zdziwił się Dydyński. - Pierwsze słyszę, żeby car bywał na Podlasiu.

- Słuchaj, waść, dalej - machnął ręką Rudomina.

- Wy sucze kpy, synowie Beliala! - darł się Antoszek, jakby przypiekali go katowskim żelazem. - W żopu niech mnie wasz car pocałuje! Hosudar w pizdiuk sranyj! Podżopnik i pizda gorbataja!

Te ostatnie słowa świadczyły o tym, że Antoszek, podobnie jak cała reszta wojsk polskiego autoramentu, dobrze odrobił lekcję ruskiego języka. Moskale zrozumieli go bez żadnego tłumacza. A że obrazę imienia carskiego traktowali jak zamach na cześć własnej matki, kilku wyrwało z szablami za chłopcem. Sługa zaś podciągnął hajdawery, uderzył konia ostrogami i począł umykać - prosto na chrusty, za którymi ukrywali się Rudomina i Dydyński.

- Kak tibia bolaczka! - jęknął Rudomina. - Trzech ich przywiało.

- Trzech będzie mniej!

Stłumiony na śniegu tętent zbliżał się. I nagle zza gęstwiny wypadł bachmat Antoszka tratujący badyle. Za nim lecieli Moskale. Jeden młodszy, z krótką brodą, w szyszaku

ozdobionym kitą. Dwaj z brodami po pas - pierwszy w kołpaku i przesywanym kaftanie, ostatni w przesywanicy i zierkale, to jest moskiewskiej zbroi zwierciadlanej złożonej z blach nałożonych na kolczugę.

Dydyński już od kilku chwil miał w ręku puffera z opuszczonym kurkiem. Spokojnie podniósł, wymierzył w trzeciego z nadciągających wrogów. Pociągnął za spust.

O, job...

Strzał padł, z kilku kroków nie sposób było spudłować. Kula poszła wprost w tęgi brzuch Moskala w zierkale i...

Zrykoszutowała!

Dworianie wpadli na nich z szablami. Dydyński wcisnął pistolet w olstro i tym samym zmarnował dobrą chwilę. Moskal rąbnął go płasko, wzerk, wprost w pierś! Ostrze zgrzytnęło, pozostawiając ślad na husarskim napierśniku - drugi już raz dobra stal uratowała stolnikowicowi życie.

Jacek wyłuskał szablę z pochwy, ale Moskale minęli ich w pędzie, zawracali, ściągali konie. Trwało to chwilę, która dawała Lachom drobną przewagę.

- Bij! Zabij!

Dydyński przestawił Hetmankę w miejscu, obracając na zadzie zwinnie i lekko jak tancerkę, to samo zrobił Rudomina.

Wpadli na wrogów w chwili, gdy ci jeszcze zawracali - jak to Moskale, każdy w inną stronę. Dydyński rąbnął tego w kaftanie płasko, z prawej, w plecy, przeciwnik zasłonił się, przesuając ostrze szabli za lewe ramię.

Drugi zdołał zawrócić - ciął z lewej, w przelocie, Jacek w ostatniej chwili zasłonił się karwaszem. Brzęknęła stal, ręka zwisała bezwładnie, pióro moskiewskiej szabli dźwięknęło na szyszaku.

A wtedy Moskal w kaftanie skoczył wprost na stolnikowica, chwycił go za prawicę z szablą. Dydyński z kolei ucałił go za kark, ścisnął jak w kleszczach, przytrzymał.

Przeliczył się, bo tamten był silny jak niedźwiedź; szarpali się chwilę, sprawdzając, kto będzie mocniejszy, stolnikowic czy dworzanin - ich konie krążyły wokół siebie, a oni wodzili się za łby - Dydyński złapał za kark Moskala, a Moskal trzymał Dydyńskiego.

Jacek nie widział, co działo się z pozostałymi. Zdyszany, szarpał się z dworzaninem, starając się nie dać obalić z kulbaki. Nie dawał rady go zmóc; tamten miał parę w łapach, ścisnął tak, że szlachcic ledwie utrzymywał szablę w garści.

Aż wreszcie uparty Moskal, widząc, że nie da rady wziąć Lacha żywcem, zastękał i zaklął.

- Chwiedorie! Chwiedorie, sudy!

Dydyński domyślił się, że woła kompana, aby tym sprawniej rozprawić się z wrogiem.

Puścił kark śmierdzącego dziegiem Moskiwicina, wyszarpnął z olstra lewy pistolet. Moskal przewidział to, rzucił szablę, która spadła w dół, między konie, chwycił szlachcica za uzbrojoną rękę, ścisnął jak w imadle, a potem począł odginać dłoń w bok, przeginać lufę w stronę piersi stolnikowica!

Lecz wcześniej Dydyński wyczuł przy prawej nodze bok jego wierzchowca. Niewiele myśląc - rąbnął go ostrogą, koń szarpnął się i zemknął trochę w bok. Moskal puścił lewą rękę Lacha, a potem wyciągnął dłoń, aby uchwycić przeciwnika. Na szczęście palce osunęły się po obojczyku. Dydyński pobłogosławił husarską zbroję - człowieka zakutego w blachy trudno było przytrzymać w miejscu.

Jednym ruchem huknął Moskala rękojeścią pistoletu w łeb. Ten uprzędził uderzenie, zablokował przedramieniem, złapał za nadgarstek. Pewnie zwykłym trybem skruszyłby mu dłoń w uściskach, wydarł pistolet i pozbawił życia, jednak chwycił rękę Dydyńskiego przez żelazne karwasze.

Tuż obok zakotłowało się na śniegu. Przemknął pleśniawy bachmat dźwigający młodego Moskala. Za nim gnał Antoszek. A z tyłu nadciągał Rudomina. Moskal zamarł, zorientowawszy się, że przegrali. Puścił prawą rękę Dydyńskiego, ale ten jednym ruchem chwycił go za kaftan.

- Puskaj, ta pojdu do dydka!

Ale Jacek nie puścił. Moskal szarpnął się, zamachał rozpaczliwie rękoma, a wtedy dopadł go od tyłu Rudomina, rąbnął w łeb rękojeścią szabli, aż dworianin zwalił się na przedni łęk kulbaki. Dydyński uderzył płazem w plecy, potem poprawił rękojeścią w prawe ramię.

Moskal zakrzyczał, zawył.

- Pożałuj! - jęknął. - Ja za Dymitrem...

- Wszyscyście za Dymitrem, kiedy bieda. - Rudomina przystawił mu pistolet do łba. - Ruki w tył, dytczy synu! Albo na kolana i klep pacierze.

Pan Michał od razu sięgnął do kalety dygocącego Moskala. I tu jego ręka spotkała się z rękawicą Dydyńskiego.

- Hejże, mospanie! - warknął szlachcic. - Ręce przy sobie! To mój niewolnik!

- A idźże na hier! - warknął Rudomina. - Wziąłbyś go waść bez mojego wspomżenia chyba w piekle!

- Wara! Masz drugiego. - Dydyński wskazał wzrokiem martwego Moskala w zierkale,

za którego wieczne odpoczywanie mówili właśnie brodaci ruscy święci w niebie. - Tego zostaw. Dworycki kazał żywego sprowadzić.

- A żeb ty ocipiał! - ryknął Rudomina. - Dawaj Moskala, taka jego mać!

- Nie dam!

Rudomina jednym ruchem wzniosł szablę. Byłby ją spuścił na kark jeńca, kładąc tym samym kres zwadzie...

Dydyński w ostatniej chwili zasłonił dworiana, odbił ostrze, odtrącił!

- Powiedziałem: wara!

Rudomina zabulgotał coś jeszcze, ale odjechał.

- Antosek?! - rozdarł się, bo nigdzie nie widział chłopca. - Antoseek?!

- Z uma zszedł! - jęknął. - Za Moskałem poleciał! Tak nie mam ja sługi, straciłem wiernego!

Dydyński, trzymając jeńca pod ostrzem szabli, obmacał kaftan, czy nie ma zaszytych rubli.

- Pożałuj, gospodin! - zajęczał Moskal. - Wykup dam, ja wam...

- Dawaj, co masz, teraz. Nie będę dwa razy prosił!

Dygocącymi rękoma Moskal odwiązał kaletę od pasa i podał szlachcicowi. Dydyński zmacał zawartość i skrzywił się.

- Nisko się cenisz, psi synu!

- Pożałuj! Dam, dam więcej... Czekaście!

Rozwiązał kaftan na piersi, wyciągnął zawieszony na szyi woreczek - okazał się twardy i miło wypchany, kiedy stolnikowic wziął go w rękę. Dydyński zerwał też ze łba Moskala kołpak. Było na nim kilka pereł i zacnych kamuszków.

Łupy przewiesił przez przedni łęk.

- Teraz siadaj na koń. Jedź przodem! Żadnych sztuczek. Ruszaj!

Podjechali do Rudominy, który trzymając w lewej ręce wodze konia, pochylał się nad martwym Moskałem, przetrząsając mu kieszenie.

- Jak się zwiesz? - zapytał Dydyński swojego jeńca. - Wykup będzie? Nie łzyj, bo weźmiesz szablą w łeb. Z nami nie ma szutków!

- Igor Iwanowicz Jefriemow! - jęknął Moskwin. - Sługa kniazia Dymitrija Szujskiego, wojewody carskiego. Pażałuj panie preswietny, aleście zdradą nas wzięli.

- Po naszymu fortelem wojennym.

- Cóż to za fortel, obrażać imię carskie, wasze błagorodie! Toż to zbrodnia i grzech! Gosudar samowładny jest głosem Hospodyna, bo on karaje i żałuje nas maluczkich.

- Było nie zważać na krzyki Antoszka. Wojna to nie polowanie z psami na zające! Chciałeś pokazać się jako wierny sługa i zdobyć łaskę Godunowa, a tymczasem Lachy przytroczyli cię do siodła. Gdybyś nie wyrwał z szeregu, miałbyś teraz kołpak na łbie i pełną kaletę!

- Jak mogłem nie pojechać, kiedy bluźnierstwa słyszałem?

- Było udawać, żeś głuchy. Albo że psi szczekają.

- Jak udawać, wasze wieliczesstwo, skoro inni stali przy mnie i też to słyszeli?

- I co z tego, że słyszeli?

- Toż oni by donieśli wojewodzie - Chworostynin, Fiedor Michajłowicz i Prokop Fajło, że słysząc obrazę gosudara, nic nie uczyniłem. Kara byłaby i sroga opała.

- Donieśli? Jak to donieśli?

- Bo u nas, kiedy się słyszy złe i grzeszne słowa, jest obowiązek donieść: wojewodzie, diakowi, panu swemu. Inaczej to grzech.

- To wy donosicie, co sąsiedzi robią i o czym rozmawiają?! Ha, zaiste dziwne obyczaje.

- A jak inaczej? - stropił się Moskal. - Przecież jakby ktoś coś przeciwko samowładcy mówił, to jakby przeciwko samemu Stworzycielowi.

Dydyński nic nie odrzekł.

- A u was, w Litwie, jest inaczej, preswietny panie? Jeśli kto bluźni przeciwko Bogu albo królowi, musowo donieść.

Stolnikowic popatrzył na niego jak na szaleńca. I w duszy przyznał, że po raz kolejny nie rozumie Moskali ani w ząb.

- U nas, jak by tu rzec... Nie ma zwyczaju donosić. Bo i po co?

- To przecie nagroda jest za uwiadomienie! I głupi by nie skorzystał?

Dydyński skrzywił się.

- To dlatego wrywałeś za Antoszkem?! Bo bałeś się, że jeśli nie wyjedziesz, inni doniosą i wezmą nagrodę? Pohański obyczaj! Nie, u nas, w Polsce, tak się nie robi. Bo po pierwsze, za donosy nie ma żadnej nagrody. A po drugie - uśmiechnął się z politowaniem - u nas każdy wolny człowiek może mówić, co mu się tylko żywnie podoba.

Tym razem Moskal wybałuszył oczy.

- Jakże to tak, każdy plecie co ślina na język przyniesie? Nie boicie się gniewu gosudarskiego?!

- Milcz i lepiej rachuj ruble na okup.

Łoskot kopyt zbliżał się. Nadciągał Antoszek, mokry, rozdygotany, drżący.

- Moskale idą! - rozdarł się. - Kupa sroga! Ten brodofijasz sprowadził! Na ratunek...
swoim.

Jefriemow obejrzał się za siebie; widać, że rosła w nim nadzieja na odsiecz. Dydyński przygasił ją płazem szabli zadany w byczy kark.

- Ruszaj, waszmość! - krzyknął do Rudominy. - Jazda sroga!

Od strony moskiewskich wojsk rosła gromada jeźdźców pędzących w stronę chrustów. Lecz Rudomina największą uwagę poświęcał na razie kieszeniom i sakwom zabitego Moskala.

- Już, zaraz, nie nerwojsia, waszmość - stęknął, starając się zerwać z szyi szczerozłoty chrest. - Ot, trzyma jak bękart bladzi!

- Ogarną nas! Uchodzimy!

- A paszoł ty w buraki!

- Antoszek, pilnuj Moskala! - warknął Dydyński, podjeżdżając do boku Rudominy, a potem schylił się, chwycił go za nakarczek, potrząsnął.

- Moskale! - ryknął mu nad uchem. - Mam waści zostawić?!

Moskale byli tuż-tuż. Pędzili z szablami w rękach, pewni zwycięstwa.

Dydyński zdzielił Rudominę płazem szabli w nakarczek, poprawił mocniej, widząc, że tamten ciągle szarpie się z opornym łańcuchem.

Pan Michał zerknął w tył na krótką chwilę.

- A żeb ty ocipiał! - jęknął.

- Jegomość, uciekamy! - zaintonował płaczliwie Antoszek. - W plen nas wezmą, a mnie ze skóry obłupią, zem naszczał i czekał na Hoduna.

- W konie! - zgodził się wreszcie Rudomina.

Wskoczył na kulbakę, nie używając strzemienia. W pełnej zbroi - wyczyn godny Zawiszy Czarnego albo Powały z Taczewa.

Dydyński popędził Moskala sztychem szabli.

- Ruszać! Nie ma czasu!

Gnali do swoich, czując oddechy moskiewskich wierzchowców. Pędzili, jakby na karku siedziała im śmierć. I niemal cudem wymknęli się z matni. Dydyński miał nadzieję, że Moskale uderzą za nimi na polskie chorągwie, ale ci zatrzymali się w połowie pola, a potem - poczęli wolno wracać do swoich.

Zdyszani, zlani potem, na parujących koniach dopadli carskiej chorągwi husarskiej. Dworycki podziękował krótko, odebrał jeńca ku oburzeniu Dydyńskiego.

Stanęli w szyku, wzięli do rąk kopie, odesławszy Antoszka z łupami na tyły.

I tyle było tego dnia z bitewnej potrzeby.

Mścislawski nie ruszył, bo zwlekał, chcąc zyskać na czasie. I przez cały dzień układał się z Dymitrem. To w tę, to w tamtą stronę pędzili konni posłańcy i pocztowi. Wioząc wieści lżejsze od ptasich piór. Dymitr przekazywał poprzez usta wojewody, by Mścislawski przeszedł na jego stronę lub chociaż odstąpił od Nowogrodu. Książ Fiodor z kolei gwarantował bezpieczne odejście dla Dymitra i jego świty, jeśli wyda swoich zauszników i razem z Polakami wycofa się z granic Wielkiego Księstwa Moskiewskiego.

Argumenty, którymi szermowali wysłannicy, i ich żądania były tak przeciwstawne, że w trakcie rokowań można było połamać sobie języki.

Nic z nich nie wyszło. Polacy i Moskale rozjechali się, gdy pierwsze gwiazdy zamigotały na niebie. Mścislawski otrąbił odwrót do obozu, a Dymitr nakazał wrócić do stancji.

Die 31/21 decembris

Obóz wojsk Dymitra pod Nowogrodem

Po północy

Basmanow walił z dział przez cały wieczór, do północy, jakby chciał oznajmić, że jeszcze żyje i ma się świetnie. Ale wojska Dymitra spały znużonym snem sprawiedliwego, drugi już dzień nie rozbierając się ze zbroi i pancerzy, z szablami pod ręką. Mylił się wszakże ten, kto pomyślał, że tejże nocy Polacy i Kozacy dygotali w zimnych namiotach i kwaterach wydani na pastwę moskiewskiego mrozu. Leżeli na ławach w chatynkach i szałasach, które zbudowała im naprędce obozowa czeladź. Drzemali przytuleni do glinianych pieców dających zbawcze ciepło. Noc była cicha i spokojna, księżycowa i gwiazdzista. Ostatnia 1604 roku.

Niektórzy kulili się przy ogniskach, pokrzepiając łykiem gorzałki i miodu. Był smak na więcej, ale rano czekał ich bój. Taniec ze śmiercią na polu chwały to nie karczemna zwada, trudno odprawiać go, będąc pijanym jak nieboskie stworzenie, aby nie skończyć, zanim się naprawdę zacznie. Równie dobrze jak trunki upijały nocne rozmowy.

- Moskiewska jazda potyka się po tatarsku - mówił ściszym głosem Przybyłowski, który pamiętał boje króla Stefana. - Albo gonią, kiedy im kto ucieka, albo uciekając - strzelają z luków. Piechotę ślą do ciągnięcia dział, a co im zostanie, stawiają w posiłku. Ci idą za jazdą z berdyszami, a czasem nawet z kijami i kłonicami.

- Litwa naciera żwawo, ale nas jest więcej - zagadał Zachary Liepunow do innych bojców zasiadających w szałasie przy garncu moskiewskiej prostuchy. - Lachy nieprawie i

nikczemnie wojują sztukami, które podpatrzyli u Niemców. Odprawiają czary, jak w czasie oblężenia Pskowa za batiuszki hospodara Iwana, kiedy czarnoksiężką sztuką podpalali parkany i ostrokoły. Ale tym razem nie zwyciężą, bo z nami jest moc Chrystusowa prawdziwej wiary, pomoc i opieka wieczna wszystkich świętych: Piotra, co przeniósł stolicę Cerkwi z Carogrodu do Moskwy, świętego Etymiusza z Nowogrodu i Efrema z Perejaśławia...

- Spośród wszystkich polskich chorągwi, jakie spotkałem w Inflantach - mówił wpatrzony w ogień Hieronim Liebenstein, niemiecki knecht, co jadł chleb z niejednego pieca - najgorsza jest konnica. A najstraszniejsza z jazdy - husaria. Pod Kockenhausen szli na nas szeroką ławą, aż ziemia się trzęsła. I mówię wam, kamraci, każdy z nas, pikinierów smalandzkiego regimentu, miał pełno w portkach. A kiedy złożyli się na nas kopiami, szum był taki od proporców, jakby leciały zastępy anielskie. Rżenie koni i ryk moich towarzyszy, walących się jak snopy, słyszę nawet dziś. Mówię wam, kamraci, ani kopijnik niemiecki, ani hiszpański arkebuzer nie natrze na was z takim impetem jak husaria. Herr Gott, ani się znaleźć na ich drodze, bo łamią i obalają wszystko na swej drodze.

- Jak bronić się przed nimi? - zapytał młodzieńcy Hermann Locke, chłonący z otwartymi ustami słowa starego żołnierza. - Słyszałem, że Polacy odprawiają czary i mają nieśmiertelne konie.

- To nie czary, to prawda - mruknął Moltke. - Pod Białym Kamieniem cały regiment dał ognia do jednej rotacji. Ponad tysiąc chłopów... I żaden koń nie padł.

- Cała nadzieja stać twardo w szyku, ramię w ramię, śmiało patrzeć śmierci w oczy. I nie uciekać, bo przed Polakami nigdzie nie uciekniecie, choćbyście dostali niebiańskiego konia.

Zakasłał i splunął w ogień. Suchoty dławiły go od jesieni.

- A wiecie, kamraci, co jest najstraszniejsze w tej jeździe? Ich konie. Mają oczy jak przezroczyste dziewice. Takie wielkie, tak niewinne. A same niosą na grzbiecie skrzydlatą kostuchę. Polską śmierć.

- Moskale nie zwykli przyjmować szyków w czasie bitwy - perorował Przybyłowski, wzmocniony kilkoma łykami węgryna. - Idą kupą jak Kozacy, Turcy albo Orda. Ale są wolniejsi, dogonimy ich na naszych koniach. Jest ich więcej, więc nie możemy rozerwać ordynku. W jedności siła. I za to się napijmy!

- Dymitr, rostryga, fałszywy carzyk, Samozwaniec - wycharczał Osyp Tatiew - prowadzi wojsko łacinników, wyznawców fałszywego Chrystusa, i jezuitów, bluźnierczy zakon zła i występku, który chce poddać prawosławną Moskwę rzymskiemu papieżowi.

- Nieprawdą jest, żeśmy niechrześcijanami, moi mili barankowie - rzekł Jędrzej Ławicki

do słuchających go Moskali. - Chrzt u nas, katolików, odbywa się przez polanie wodą głowy, u was zaś poprzez zanurzenie całego ciała. Jednak oba obrzędy są tak samo ważne, bo w konstytucjach apostołskich potwierdzają je święci Dionizy Aeropagita i Cyryl, biskup jerozolimski. Zaś chrzt przez polanie wodą potwierdza święty Klemens. I to wam jeszcze powiem, bracia, że źle by postąpił łacinnik, który by jeszcze raz ochrzcił dziecko prawosławne!

- Tak więc - zakonkludował Sawicki - więcej nas łączy, niż dzieli.

Dydyński spał jak kłoda, na ławie, w zbroi i szyszaku. Nawet nie poczuł, jak Anastazja okryła go baranicą, aby nie zmarł jej pan dobrodziej - choć ogień huczał w glinianym piecu. Spod paleniska ponuro przyglądał się temu Nieborski. Opuścił głowę zrezygnowany. Ciężko było czekać na świt, będąc tak samotnym.

Die 31/21 decembris

Obóz wojsk Dymitra pod Nowogrodem, o świcie

- Mości panie, przez munsztuk trąbili!

Dydyński zaplątał się w baranicę, odrzucił ją wściekły, chwycił pas z szablą. Zapiął go na zbroi, potem podciągnął szablę i przełożył pierwsze kółko przez hak, tak by wisiała pionowo.

- Panie Nieborski! Na koń!

Niepotrzebnie wołał, pocztowy był już na zewnątrz. Kiedy Jacek wyszedł na mróz, czeladź podprowadziła Hetmankę i podjezdka. Borek dopiął sprzączkę nachrapnika, odrzucił tybinki, dociągnął oba popręgi z całej siły.

Dydyński wbił stopę w strzemień, chwila i siedział w kulbace, chwycił wodze. Borek wciskał husarskie skrzydło w tuleję pod tylnym łękiem, poklepał konia po zadzie.

- Można ruszać!

- Panie pocztowy, gotowe?

- Wszystko gra!

Dydyński podjechał do Nieborskiego, wyciągnął jego pistolet z olstra. Kurek był odciągnięty, panewka podsypiana, opuszczona. Uśmiechnął się i klepnął kompana po ramieniu.

- Odpuszczasz?

Pocztowy milczał przez chwilę.

- Wszystko i na wieki wieków! - mruknął wreszcie.

- W konie!

- Pomagaj Bóg, dobrodzieju.

- Służba! Po sławę i chwałę!

Wyjechali na obozową ulicę zatłoczoną ludźmi i końmi. Kafarki i latarnie rzucały krwawy blask na husarskie napierśniki i zdobione kamieniami blachy końskich uzd.

- Czworkami marsz!

W ciemności Dydyński bardziej poczuł, niż zobaczył, jak z lewej strony dołącza do niego Przybyłowski, z prawej Rudomina i Aniołowicz.

Szli na wojnę, na bitwę, rozparci w kulbakach jak na biesiadę, pod niebem pełnym gwiazd.

Obóz pełen był szczęku broni, nawoływań, blasku latarni i ogni. Z tyłu maszerowali hajducy wojewody w magierkach z zawadiackimi piórami, pewnie zrabowanymi z jakiejś ptaszarni w bojarskim dworze. Na ramionach nieśli arkebuzy, w lewym ręku trzymali tłące się lonty. Za nimi podążali Niemcy, potem chorągwie kozackie i petyhorskie. Aż wreszcie artyleria i semeni dworscy.

Za bramą zatrzymywali się czwórka za czwórką. Podbiegali do nich pachółkowie Dymitra, przynosząc długie na siedem i pół łokcia drzewka, czyli kopie zwieńczone czarno-żółtymi proporcami. Dydyński chwycił swoją, podniósł i wsunął dolną część w tok zwieszający się z przedniego łąku.

- Dalej! - zakomenderował Gogoliński. - Stawać w ordynku.

Kłusem, potem rysią szli na swoje miejsce.

- Jeszczeeee! Stój już!

Husaria zamarła niczym żelazny mur naszpikowany drzewcami kopii, zjeżony murem skrzydeł i lasem proporców. Środek szyków. Polski huf walny. Zaszczytne miejsce dla carskiej roty husarskiej. Przecież to oni mieli teraz szarżować, obalać własnymi pierściami niczym taranem wrogów carewicza i Rzeczypospolitej. Koniec z błotem. Koniec ze szturmami moskiewskiego chlewika. Doczekali się!

Ramię w ramię w bitewnym szczęku, w wyciszonym przez śnieg grzmocie kopyt stawały rotę husarskie, petyhorskie i kozackie. Stanisława Mniszcha czarna, pana Fredry żółta, Szczuki błękitna. Sześćset koni. Srebrzysty mur zbroic obramowanych złotawymi mosiężnymi okuciami, które błyszczały w promieniach wschodzącego słońca niczym rój gwiazd. Chmura srebrzystych skrzydeł na tylnych łąkach, niby u aniołów.

- Skrzydłowi na miejsca!

Czterej wybrani towarzysze przejechali przed frontem rotę. Zajęli pozycje na obu

krańcach chorągwi, aby potem w czasie szarży spychać do środka pędzących cwałem husarzy i zwierać w ten sposób szyki, lub też przeciwnie - rozjeżdżać się, rozluźniając je, gdyby znaleźli się na wprost przygotowanych do strzału dział i rusznic moskiewskiej piechoty.

- Zajeżdżający w tył!

Przybyłowski i Sieniński złożyli kopie, zrobili w tył zwrot, przybili braterski uścisk dłoni i odjechali na swoje miejsca. Jeszcze raz zawrócili konie, stając za plecami husarzy. I z cichym sykiem dobyli szabel. Dydyński poczuł dreszcz. Między ostrzami zajeżdżających a plecami pocztowych i towarzyszy szczyrzyła zęby śmierć.

Jesteśmy szlachtą - solą ziemi. Dumą Rzeczypospolitej. Szablą i mieczem Litwy i Korony. Po to nas matki wydały na świat. Ojcowie nauczyli szabli, a łomot końskich kopyt tulił do snu.

Nie będzie tchórzy. Każdego, kto spróbuje uciec, spotka śmierć. Zajeżdżający zastrzelili go, zarąbie jak wściekłego psa.

Wojska Samozwańca stawały w ordynku. Na środku w hufie przednim husaria. Za nimi bojarzy Massalskiego i piechota wojewody. Na prawym rogu, czyli skrzydle, konni semeni, Dońcy na bachmatach, zielona i szara zaporoska piechota ze spisami.

Na lewym - lżejsze polskie znaki. Chorągwie jazdy kozackiej, która poza nazwą nie miała nic wspólnego z Zaporozcami, bowiem służyła w niej szlachta. Petyhorcy w kolczugach i misiurkach. Roty Kruszynina, Bylińskiego i Adama Dworyckiego. Za nimi konni ochotnicy Ratomskiego. Zaporozcy i chorągwie Moskwy. Gromada strzelców i regiment Niemców wojewody Mniszcha.

Krzyki, kwik koni, brzęk metalu, chrzęst opuszczanych kurków, wszystko uspokajało się powoli. Zapadła cisza przerywana chrzęstem śniegu. Stali ramię w ramię, trzymając w prawicach kopie; wiatr szeleścił morzem proporców nad ich głowami.

Nagle łomot kopyt, prychanie wierzchowca. Dymitr wyjechał przed żelazny szereg bład, w kirysie husarskim, z narzuconą karmazynową ferezją. Bez czapki. W jego oczach płonął ogień.

Hetmanka drgnęła. Rzuciła łbem, zagrzebała nogą w śniegu, dumna jak księżniczka, bo przystrojona barwną forgą.

- Stój - rzekł Dydyński. - Jeszcze się doczekasz, mościa panno.

Dymitr zatrzymał kapryśnego, drobiącego nogami turka przed szeregiem husarii. I skłonił się nisko, niemal uniżenie.

- Mości panowie bracia! - zakrzyknął. - Nadszedł czas sądu, dzień zapłaty! Za moją krew i krzywdę. Za poniżenie ruskiego ludu i prawosławnej Moskwy. Oto nadchodzi wojska

Godunowa! Krwawego tyrana, tatarskiego raba, zdrajcy i krzywoprzysięzcy! Oto nadchodzi wasz dzień. Idźcie w bój i czyńcie, do czego żeście powołani jako szlachta. Sława tylko prowadzi człowieka prosto do niebios. Tak więc chwycmy za broń i mężnie, radośnie - z nami Boża pomoc i błogosławieństwo - uderzmy na wiarołomnych zdrajców, łamiących ludzkie i boskie prawo. Nie bójcie się, że jest ich więcej; pole bitwy nie należy do tego, kto silniejszy, lecz do tego, kto mężniejszy i bardziej cnotliwy, czego wiele przykładów znajdujemy w dziejach wojen i bitew. Mnie nie opuszcza nadzieja odzyskania dziedzictwa ojców moich, a was czeka nieśmiertelna sława, ze wszystkich nagród - najbardziej słodka.

Okrzyk dobył się z setek tysięcy gardeł. Husarze podnieśli w górę kopie, zatem Dydyński też podniósł - co, miał być gorszy?

A Dymitr już gnał - prosto ku lewemu skrzydłu. Za nim pędził wojewoda, Dworycki i kilku pachołków.

- Waszmościowie, niechaj każdy z was wyjmie grosza, szeląga albo dieńeg - rozkazał Gogoliński. - Rzućcie je w śnieg, śmierci na pohybel. Po bitwie każdy weźmie swoją monetę. I wtedy okaże się, komu dopisało szczęście.

Jacek ze ściśniętym sercem sięgnął do mieszka. Inni rzucali grosze; on cisnął całego orta. Moneta poszybowała w dół, między końskimi kopytami. Spadła na śnieg, powoli, jakby Fortuna zastanawiała się, czy pozwoli jej upaść awersem zguby, czy też rewersem zwycięstwa dla pana stolnikowica.

Dydyński podniósł wzrok. Mścislawski szedł od zamrożonych pustyń. Nadciągał z ogromną chmarą moskiewskiego wojska od rzeki Uzruj przez zamrożone rozlewiska.

Z daleka armia kniazia przypominała raczej tatarską ordę niż regularne wojsko. Moskiewscy nie znali szyków - sotnie stawały w luźnych kupach, jak ordyńcy, z grubsza tylko przypominających najeżone ostrzami roty polskie. Mścislawski podzielił wojska na trzy pułki. Wielki, idący środkiem, oraz prawej i lewej ręki. Dydyński był ciekaw, czy tak samo stawali dziadowie kniazia pod Orszą.

W pierwszej linii pułku wielkiego ciągnęły chorągwie dworian i bojarów. W drugiej szli strzelcy z armatami, Kozacy i Tatarzy astrachańscy. Za nimi cisnęło się mrowie pieszego luda - chłopci pososzni, poczty Mścislawskiego, sotnie Dońców. Pułk prawej ręki złożony był tylko i wyłącznie z konnych - dworian, Kozaków, pewnie i dzieci bojarских. Zbijał się w różnokolorowy tłum ludzi i koni przetykany srebrzystym poblaskiem zbroic. Pułk lewej ręki wyglądał dostojniej - pewnie znalazły się tam drużyny Mścislawskiego i Dymitra Szujskiego, poczty kniazów, diaków i bojarów. Zmrużywszy oczy, można było dostrzec złotawy blask szmelcowanych i połączanych zbroic, kolczug i bechterów.

- Panie Ostromięcki - zakrzyknął Dymitr - poczynaj, waść, pierwszy w imię Boże!

Starszy nad armatą przyłożył lont do zapalu Panny. Syk prochu na zapale! Niski, suchy grom wstrząsnął powietrzem. Konie husarzy szarpnęły łbami.

Kula poszła wysoko, rąbnęła w pole między wrogimi armiami, wzbijając fontannę śniegu.

- Przechędoż lufę szwabą! - zakrzyknął Ostromięcki. - Przekłuj zapal!

- Mości panie Massalski, bracie i przyjacielu! - zagrzmiał Dymitr - poczynaj, waść, pierwszy na pułk prawej ręki.

- Ruszaaaaj! W imię Boże!

Chorągwie lewego skrzydła drgnęły i poczęły coraz szybciej iść po zaśnieżonym polu. W pierwszym rzucie rota petyhorska Nieborowskiego. Za nim bojarzy Rubec-Massalskiego i garść Dońców. Dydyński widział, jak nabierali pędu. Szli kłusem, w lśniących kolczugach i juszmanach, w płaskich misiurkach, z kopiami uniesionymi do góry.

A na przestrzeni dwustu kroków rotmistrz zakomenderował skok. Chorągiew petyhorska wyrwała do przodu, poszła jak wichra, niby ława wyciągniętych kopii, pochylonych łbów, koni pędzących po zaśnieżonym, zamrożonym polu!

Ruszyli cwałem na Moskwę. Na pułk wielki jak morze, nieskończony, nieogarnięty. Dydyński zacisnął rękę na kopii, ścisnął coraz mocniej i mocniej...

Chorągiew Nieborowskiego wpadła na Moskali jak rozpędzona lawina. Przeorała pierwsze szeregi, a wtedy lodowaty wiatr przyniósł trzask łamanych kopii, śmiertelny kwik koni, brzęk szabel, ryk walczących. Bojarzy idący za Lachami wpadli w odmęty, zginęli jak w otchłani, razem z Kozakami.

Zakotłowało się na lewym skrzydle. Husarze pokręcili głowami.

- Przepadli! - jęknął Rudomina. - Toż na śmierć poszli. Boże im pobłogosław!

Ale to nie była prawda. Nagle z zamętu, przebijając się przez zwichrzone szeregi Moskwy, wypadła prawie cała rota petyhorska, bez kopii, z szablami w rękach, odskakująca po ataku na wroga.

Moskale pędzili za nią luźnymi gromadami, bez szyku, bez porządku. A jednak przerażający samą swoją liczbą. Pędzili, myśląc, że to koniec, klęska.

I srodze się zawiedli.

Dworycki machnął buławą, podprowadził kolejne dwie rotę ku bitwie. Wskazał cele i skinął na trębacza. Padł sygnał do szarży. Chorągwie Kruszynina i Bylińskiego - jedna kozacka, lekka, bez pancerzy, druga petyhorska - ruszyły naprzód stępą, kłusem, złożyły kopie i rohatyny, a potem poszły galopem na Moskala jak zrywające się do lotu stado żurawi.

Szli pochyleni w kulbakach, na rozpędzonych koniach, rozrzućeni szeroko, aby ogarnąć za jednym zamachem całą watahę wojska Mściśławskiego.

Łoskot, krzyk, trzask łamanych kopii!

Zderzyli się!

Zmiotli przeciwnika jak pancerna lawina, pognali z powrotem. Z drugiej linii skoczyły im na pomoc bojarskie poczty i sotnie kozaków. A wtedy Dworycki rzucił w bój swoją własną rotę petyhorską, za nią dworian Dymitra, Dońców i chorągiew Nieborowskiego, która zdołała już otrząsnąć się i stanąć w szyku po odskoku.

Burza rozpełtała się na lewym skrzydle, w zamęcie na śniegu pomieszali się zwycięzcy i zwyciężani, Kozacy, Dońcy i Moskale. Bojarzy i dworianie nacierali z furją, cięli szablami, rąbali czekanami z koni, osłaniając się kałkanami i tarczami od ciosów polskich szabel. Ale rozerwać szyku chorągwi nie zdołali!

Co chwila rozbrzmiewała trąbka - znak, że któraś z rot traciła zwartość, rozproszona moskiewską furją na większe lub mniejsze partie. Wtedy Polacy zawracali konie w miejscu, odskakiwali o trzysta, czterysta kroków, formowali się, zbijali w trzy albo cztery szeregi, podczas gdy pozostałe rotę brały na siebie ciężar powstrzymania Moskali. A potem szarżowali znowu, bijąc luźne kupy kozackiego hultajstwa, wbijając kolejny klin w armię Mściśławskiego. I coraz bardziej mieszając jego szyki.

Dworycki, pokryty krwią, z gębą czarną od prochu, przyskoczył do Dymitra jak diabeł wyrwany z piekła.

- Wasza Carska Mość! Wspomóż lewe skrzydło. Moskale ustępują! Wyślijcie posiłki, zepchniemy ich na pułk wielki i pójdzie wszystko w diabli!

- Bierz moich kozaków, Dońców Koreły i wolentarzy Ratomskiego. Uderzaj z boku, obejdź Mściśławskiego.

- Daj nam husarię, carewiczu!

- Husaria pójdzie do ataku od czoła! Odciaży waszą robotę! Ruszaj!

Dworycki skoczył do chorągwi. Dymitr zawrócił konia, przegalopował przed frontem rotę swojej i Stanisława Mniszcha, starosty sanockiego.

- Gotować się do boju! - ryknął. - Szarżujecie na rozkaz! Trąbić na potrzebę!

Dydyński poczuł, jak w głębi jego duszy rodzi się niepokój, jak górę bierze nad nim znowu to samo mdlące uczucie, jakiego doznał w Inflantach i pod Bukowem, w walce z Wołochami. Czuł się jak we śnie, jakby płynął przez powietrze. To wszystko dokoła nie działało się naprawdę.

To był strach.

Odwrotu nie było. Mieli iść w pole i umrzeć albo zwyciężyć. Szarżować i bić.

Nie było czasu na wahanie, a jeszcze mniej na rachunek sumienia. Wydarzenia toczyły się z szybkością kuli z pistoletu.

- Uciszcie się! - zagrział Gogoliński. - Naciśnijcie szyszaki!

Nikt i tak nie rozmawiał.

- Ściśnijcie kolano z kolanem!

Koń nie człowiek, nie będzie stał jak spiżowy pomnik. Dlatego kiedy chorągiew stoi długo w miejscu, zawsze któryś wyłamie się z szyku, przesunie, obróci lekko, otrze o innego. Dlatego przed szarżą należy zebrać szyk na nowo.

Chorągiew zwarła szeregi. Husarze stanęli ramię w ramię niby żelazny mur.

- W górę drzewka!

Unieśli kopie, prezentując je przed porucznikiem. Wiatr szeleścił morzem proporców nad ich głowami.

- Drzewka w toki!

Kopie opadły w dół, trafiając bezbłędnie w skórzane tuleje wiszące przy prawym strzemienu.

A potem, kiedy zabrzmiały trąbki, Gogoliński machnął buzdyganem i usunął się na bok.

- Dalej! Dalej!

Dydyński uderzył lekko Hetmankę łydkami, nie używając ostróg. Konie ruszyły z miejsca, poczęły stępować lekko i zwinnie. Dał się słyszeć chrzęst i trzask śniegu pod kopytami.

Jacek dostrzegł, jak obok ruszają chorągwie Mniszcha i Fredry, idą równym, mocnym stępem prosto na pułk wielki Mścisławskiego.

- Dalej! - zakrzyknął prowadzący szarżę Gogoliński. - Dalej, mości panowie bracia!

Poszli klusem, potem rysią, konie poczęły drobić nogami, podrzucać jeźdźców w kulbakach, wybijając mocny, szybki rytm.

Pstrokata cizba Moskali była coraz bliżej. Już, już zwiedzieli się, że rusza szarża. Już kłuli konie ostrogami, wrywali do przodu, opuszczając włócznie i rohatyny. Rozsypywali się w luźną gromadę wedle moskiewskiego zwyczaju!

Husaria była coraz bliżej. Zwarta, gotowa. Trzymająca równą linię.

- Daleeeeej! - zakrzyknął porucznik. - W skok!

Zabrzmiały trąby i bębny! Dydyński polechtał Hetmankę ostrogami. Poczuł, jak koń spina się, zbiera głowę na munsztuku, a potem zaczyna pędzić galopem, podrzucać go

łagodnie w górę z każdym nowym krokiem. Tętent stłumił śnieg, spod kopyt wystrzeliły okruchy lodu.

Lodowaty podmuch był jak mocne wino. Upajał niebezpieczeństwem.

Szli coraz szybciej, z łoskotem, w powiewających tygrysiach i lamparcich skórach, z szumem skrzydeł i proporców, zaciskając dłonie na rękojeści kopii.

Moskale wyszli im na spotkanie. Pędzili schyleni nad karkami wierzchowców jak Tatarzy, chowali się za końskimi szyjami. Bliżej, coraz bliżej! Prawie tuż-tuż!

- Dalej! - ryknął Gogoliński.

Chwila wielkiego pędu. Zbliżają się.

A potem rozkaz, jak trzask kurka opadającego na panewkę.

- Złożyć drzewka!

Dydyński opuścił kopię z furkotem proporca, przytrzymał ją pod lewym łokciem, nie wysuwając dolnej części drzewca z toku. Chorągwie zerwały się do skoku, lotne jak ptaki, poszły cwałem w łoskocie kopyt, brzęku żelaza, w gromowym oddechu setek koni...

- Bij zabij!

- Na Moskala!

- Jezus Mario!

Jacek pochylił się w kulbace, bo wysiadując, tylko spowolniłby Hetmankę, zmrużył oczy, czując na gębie pęd powietrza, nastawił kopię, ściskając ją za drewnianą kulą...

- Zajeżdżaj! Prowadź! A prosto!

Skrzydłowi towarzysze poczęli spychać konie do środka, zacieśniać szyki - aby uderzyć w Moskale żelazną ścianą najeżoną czterograniastymi grotami kopii.

Rota rwała jak wichur. Jak piorun, sztorm, zniszczenie, burza!

To było zbyt szybkie, aby myśleć, co się stanie. Dwadzieścia... Dziesięć kroków przed nimi zamajaczyły końskie pyski, brodate gęby Moskwy, szłomy jak z czasów Ruryka, bajdany, zierkała i kolczugi.

Huk, łomot, kwik koni!

Zderzyli się.

W nagłym przeblysku świadomości, w tej ostatniej chwili krótkiej jak śmiertelny błysk szabli, nastawił kopię na wprost rosnącego Moskala w bechterze. Mógł mierzyć w pierś wierzchowca albo w jeźdźca - wybrał brzuch! Zacisnął rękę na drzewcu i...

Trzask, huk, drżenie ziemi. Kopia poszła w diabły, rozsypała się na tysiące drzazg, pękła w chwili, której nawet nie ujrzał!

Zderzyli się z moskiewską jazdą jak dwie burzowe fale. Wpadli z kwikiem

przerażonych koni, splątali się na chwilę, zwolnili...

A jednak husarze przeszli. Z chrzęstem kruszonych drzewek zmiotli wroga przed sobą, wpadli na niego z takim impetem, że wierzchowce padły z kwikiem albo przysiadły na tylnych nogach.

Czasu było tyle co uderzenie pioruna. Dydyński trzymał jeszcze w ręku ułomek kopii, a jego wróg leciał już z kulbaki, mijał go moskiewski koń bez jeźdźca.

Uderzył złomkiem drzewca w pierś kolejnego Moskala, tok napiął się jak żmija, przenosząc na kulbakę ciężar uderzenia. Stolnikowic wybił wroga z siodła, zwałił na ziemię z takim impetem, że tamten jeszcze w locie nakrył się brązowymi sapogami.

Dydyński puścił resztkę kopii, chwycił za szablę. Zobaczył, jak tuż obok Rudomina, na którego drodze nie znalazł się jeszcze żaden żywy Moskał, uderzył z drzewkiem na bojara w spiczastym szłomie. W ostatniej chwili, chroniąc się przed impetem kopii, Moskwin szarpnął konia w bok.

I rozpaczliwie zastawił się szablą.

Paradne! Z równym skutkiem mógłby odbijać piorun kapeluszem. Długie na dziesięć łokci drzewce wbiło się w jego bok, przeszło jak błyskawica na drugą stronę ciała, zmiotło z konia, obaliło... I pękło.

Podniósł się brzęk, krzyk i jęki, kiedy sięgnęli po szable. Dydyński usłyszał dźwięczenie jakby tysiąca kowalskich młotów i sam, mając strzemię w strzemię towarzyszy, wpadł na Moskali. Pierwszemu, którego minął w przelocie, podbił rękę z szablą, zbijając cięcie, następujący za nim Nieborski chlasnął wprawnym ruchem w bok, zwałił wroga z kulbaki. Jacek osłonił się przed ostrzem drugiego, ciął mocno po karwaszu i poszedł dalej, zostawiając bojara pocztowemu, który wykończył go równym cięciem w łeb, aż zadzwoniły blachy misiurki pod ostrzem.

Rąbali Moskali z wprawą zawodowych żołdaków. Dydyński i Nieborski. Mistrz i uczeń. Ten pierwszy zbijał cios, ciął po rękach, dłoniach, odbijał szable, blokował cięcia, a następujący za nim Nieborski rąbał z rozmachem po łbach i ramionach. Pan zaczynał - sługa kończył.

Za trzecim razem pacholek zachwiał się w wierze, ręka zadrżała mu przy cięciu. Bił i ciął za Dydyńskiego... Tego, co posiadał Anastazję. Jego westchnienie, jego miłość! Lecz nie mógł zostawić pana, nie mógł przestać pilnować mu pleców. Mścił się w piorunowych cięciach, w morderczych ciosach z konia, w podstępnych błyskach szabli. Za nią! Za tę bezradną miłość, która mąciła mu w głowie jak diabelski sukub.

Moskale prawie nie stawiali oporu. Ducha oporu nadwątlonego przez husarskie kopie

wygasily polskie szable. Juz tu i owdzie dalo sie slyszec: *Pozaluj!* Ustepowali, pozostawiajac wal trupow koneskich i ludzkich, wstrzymywali konie, zwracali ku strzelcom i piechocie.

A potem sotnie w poplochu runely ku swoim. Poszly w ostatnim rozpaczliwym cwale przez krwawe pole, by - zaufawszy kopytom koneskim - ujsc pogoni.

Nie mieli szans, bo nie scigali ich szwedzcy rajtarzy ani cesarscy kirasjerzy. Nie Turcy ani Kozacy. Za Moskalami gnali Polacy na smiglych wierzchowcach, zrosnieni z konmi na dobre i na zle.

Dla Moskwy kon byl tylko stworzeniem bozym, zwierzeniem, rzecza i przedmiotem. Dla Lachow czescia zycia. Ich towarzyszem, kompanem, przyjacielem, bo przychodzili na swiat w kulbakach. A koneski galop i cwal kolysaly ich lepiej niz kolysanki matki. Bez koni nie zyli, nie byli, nie zwyciezali. Rodzili sie, aby byc kawalerzystami, a umierajac, pili ostatni toast w kulbace. A jak swiat swiatem nie bylo Polaka bez konia, konia bez Polaka...

Lachy musieli wygrac w tej gonitwie smierci. I zwyciezali, dojezdzajac Moskwe w biegu, tnac dworian, slugi i bojarow po lbach, kolpakach i karkach, rabali po plecach, stajac w strzemionach, lapali wodze koni, chwytajac niewolnikow, strzelali z pistoletow.

Dydyński popuscil wodze Hetmanki. Calym cialem chlonal ped konia, czul, jak klacz prezy nogi i miesnie, dobywa wszystkich sil, a wreszcie dochodzi do boku pierwszego moskiewskiego konia, spina sie, rwie do przodu i dościga go.

Pierwszego dworianina zmiotl cieciami w szyje oslonieta czepcem misiurki. Wyprzedzil rozpędzonego konia, skrecil w bok i kolejnego rabnal w kark. Trzeciego cial po ramieniu, czwartego chlasnal w ciemie, az zakrwawiony kolpak potoczył sie pod kopyta wierzchowcow...

Z tyłu rozlegly sie trąbki wzywajace do powrotu. Dydyński, Rudomina, Przybyłowski i inni poczeli sciagac wodze, odchylac sie do tyłu. Pedzili wprost na moskiewskich strzelcow i piechote pososzną. Z dala widzieli dymki strzalow, slyszeli suchy trzask samopalow, niski i gluchy grzmot armat.

Wracali zdyszani, zbierali sie pod sztandarem na mokrych, pokrwawionych koniach, stawali w szyku - kazdy obok sasiodow, skrzydlowi po bokach, zajezdzajacy z tyłu.

- Czolo na mnie! - zakomenderowal Gogoliński. - Uciszyc sie! Rownac kolano z kolaniem!

Choragiew zbila sie w cztery szeregi, sciesnila szyki. Obok gotowaly sie do nowego ataku rot y Mniszcha i Szczuki.

- Szable w dlon! - zakomenderowal porucznik. - Dalej maaaarsz!

Ruszyli znowu, ramie w ramie, bez kopii, bo potrzaskaly sie w pierwszym starciu z

wrogą jazdą. Z szablami i koncerzami w dłoniach.

- Kłusem marsz! Daleeeeeej!

Szli na strzelców, za którymi schronienia szukały resztki dworzan pułku wielkiego.

- Równaj! Prosto! Dalej marsz!

Ruszyli galopem. Pędzili po zakrwawionym polu, tratując ludzkie ciała, przestępując po brązowych smugach wyrzuconej spod śniegu ziemi, będących śladami po armatnich kulach.

Moskiewska piechota rosła w oczach. Szeregi brodatych strzelców i wilczych czap, najeżone lśniącoymi lufami samopalców i piszczeli.

- Skokieeeem! Dalej marsz!

Poszli w cwał, równo jak po linii. Pochylili się w kulbakach.

- Bij Moskale!

Sto kroków jeszcze! Jeszcze pięćdziesiąt, a położyliby ich mostem pod impetem rozpędzonych ludzi i koni!

A wtedy... Wstęga ognia przeleciała wzdłuż sotni strzeleckich, kule zaświergotały tuż obok husarzy, przeszły niespodziewanie jak rój jaskółek przez ludzi i koni. Po lewej krzyknął człowiek, ktoś zwał się z kulbaki, odstał postrzelony koń.

- Ścieśniaj! Równoooo!

Skrzydłowi zepchnęli konie do środka.

Już, już byli u celu!

Dydyński widział blade, brodate twarze Moskali. Ich malinowe proporce i chorągwie z wizerunkami cerkiewnych świętych i aniołów.

Strzelcy rzucili się w tył. Na dwadzieścia, może trzydzieści kroków przed husarią odstąpili w szalonym pośpiechu.

I odsłonili to, co skrywało się za ich plecami. Kolczastą linię hiszpańskich kozłów zjeżonych naostrzonymi drągami!

Nie było czasu, aby zatrzymać konie. Ktoś wrzasnął, inny jęknął. Dydyński tylko dał mocno Hetmance ostrogami po bokach.

I skoczył!

Nad zaostrzonymi balami...

Najpierw zdało mu się, że to koniec. Potem, że jego klacz nie przesadzi zapory. Wreszcie, że zwał się na śnieg z takim impetem, iż zadrzą wieże Nowogrodu.

Ale Hetmanka przeszła!

Przeszedł podjezdek Nieborskiego. Cisawy rumak Przybyłowskiego, kasztan

Rudominy... Przeszły turki i polaki, konie i klacze, kobyły i wałachy...

Czyjś rumak wyłamał się o krok, omal nie nabił na kolce.

Inny wpadł z kwikiem na ostre dragi, stoczył się po drugiej stronie, wierzgający, zakrwawiony...

Płynęły przez powietrze, jakby nagle wzniosły się na husarskich skrzydłach.

A potem spadły na strzelców z takim impetem, że w jednej chwili stratowały, położyły mostem całe dziesiątki Moskali. Zmiażdżyły uciekających, zmieszały ich ze szczętem.

Podniósł się wrzask, ryk, rżenie koni. W jednej chwili zwarta masa strzeleckiej piechoty rzuciła się w tył, napała na linię pososznego chłopstwa, poczęła rzucać się, dusić, przebijać na tyły, by tylko uciec z piekła, jakie zgotowały jej husarskie chorągwie.

Dydyński znalazł się pośrodku wielkiego tłumu uciekających. Rąbał śmiało po łbach, rękach i ramionach. Bił w plecy, rozjeżdżał i tratował plebs, co śmiał stanąć na drodze jaśnie wielmożnego pana. A obok ramię w ramię taki sam zgiełk czynili inni Dymitrowi husarze i pocztowi.

Szyk wojsk moskiewskich pękł w jednej chwili. Pułk prawej ręki bity i naciskany przez Kozaków i petyhorców, spychany na środek zgrupowania pękł i rozleciał się w strzępy, te zaś rozpadły się na grupy i watahy uciekających.

Moskiewscy strzelcy pędzili na północ, obalając i tratując Kozaków, pchając przed sobą chołopów, którzy widząc, co się święci, wzięli nogi za pas.

Mścisławski chciał jeszcze skupić wokół siebie ludzi, bił po łbach buławą, krzyczał i pomstował. Darł się, kłął od ostatnich, dopóki nie ogarnęli go petyhorcy. Na czele pędził z rohatyną w dłoni Adam Dworycki na karoszu. Widząc moskiewskiego wojewodę, opuścił ostrze, wziął drzewce pod pachę i skoczył - sam jeden w stronę kniazia.

Moskale wrzasnęli, skoczyli bronić wodza. Dworycki spiął konia ostrogami, szarżując z nastawioną włócznią, jednym wprawnym ruchem przełożył rękę ściskającą drzewce - chwycił je od góry, ścisnął mocno.

I w jednej chwili zmiotł z kulbaki pierwszego bojara!

Rozluźnił uścisk, pozwalając, by drzewce pochyliło się w dół, wbite w spadające ciało; sam impet galopującego konia wyrwał je z powalonego. Dworycki zakręcił nim młyńca w przód - obrócił w rękę. Chwila i trzymał rohatynę w górze, w pozycji dobrej do pchnięcia, jak i do rzucania.

Gnając jak szalony, dopadł drugiego Moskala. Pchnął i wysadził z terlicy, poluźnił uścisk, wyrwał broń z ciała...

Widząc nadciągającą kupę Moskwicinów, rzucił! Całą mocą okrzepłego w bojach

ramienia wyrzucił rohatynę w stronę wojewody.

Trafiliby, gdyby chwilę wcześniej bojarzyn w połączonym bechterze nie zasłonił mu widoku. On to przyjął na szyję impet uderzenia, runął z kulbaki jak dąb na ziemię. Dworycki schwytał jego konia, ale Mścislawski już uszedł. Chciał jeszcze wołać, wzywać swoich do opamiętania, kiedy w zamęcie dopadł do niego Przybyłowski, ciął z zamachu prosto w czaszkę. Rozwalił obszywany perłami kołpak, chlasnął przez łeb; nim poprawił, koń zapadł mu się w jamę, kwiknął, zaczął się rozpierać, a potem dostał berdyszem po przednich nogach i zwałił się z kwikiem na zdeptany śnieg.

I to był koniec. Moskiewska armia rozlała się po stepach i zamrożonych polach Desny niczym złowroga rzeka, która na wiosnę wrywa się z koryta. Nikt już nie wstrzymał jej pędu. Bojarzy i dworianie zawracali konie i umykali, czując na karkach oddech polskich koni, carscy strzelcy rzucali piszczele, Kozacy spisy. Dońcy, Tatarzy i Kałmucy umykali co tchu - byle za rzekę, do zbawczego lasu, za Desnę. Wmieszani w tłum Lachy i Zaporozcy siekli na wszystkie strony, gęsto powalając nieprzyjaciół.

Basmanow, widząc, co się dzieje, wypadł na czele strzelców z miasta, przeszedł mimo szańców Ostromeckiego, przemknął przez obóz, pałac wozy z sianem, i poszedł - prosto przez nadrzeczne łągi i mokradła za uciekającym Mścislawskim, pozostawiając jednak w grodzie załogę.

Dydyński pędził z innymi, oddalił, od swoich w szaleńczej pogoni. I gnał tak aż do chwili, kiedy jego koń kwiknął i zaczął ustawać.

A kiedy szlachcic wstrzymał go, powoli, jakby we śnie, padł na przednie nogi.

Dydyński krzyknął. Hetmanka zwała się na bok. I tak już pozostała.

Die 31/21 decembris

Pola pod Nowogrodem, nad rzeką Uzruj

Godzina jedenasta przed południem

Bitwa była skończona.

Pozostały po niej krwawe ciała na brunatnym, wydeptanym śniegu. Skowyczący ranni, dobijani przez zwycięzców lub odnoszeni przez czeladź do obozu Dymitra. Jeńcy proszący o wykup albo miłosierdzie, padający na kolana i bijący czołem przed carewiczem Dymitrem, jak zwykle łatwo wybaczącym odstępstwa i zniewagi. Pozostały wystrzelone działa, szable i pałasze leżące na śniegu. Pozostał strach w moskiewskich sercach, tryumf w polskich.

I to, co najgorsze dla każdego szlachcica - kawalerzysty, okrutny plon ludzkich zmagañ i szaleństw - konie polskie leżące na śniegu po ostatniej szarży. Ranne, okulawione, porąbane, pocięte, okaleczone, postrzelane. Jedne spoczywające z martwymi, rozwartymi oczyma, inne rżące, z nogami połamanymi od armatnich wystrzałów, dygocące w kałużach krwi, patrzące błagalnie na przerażonych panów. Nabite na ostrza pik i rohatyn. Porąbane na krwawe strzępy ciosami okrutnych moskiewskich berdyszy na długich styliskach. Prawdziwi bohaterowie zwycięstwa husarii, petyhorców i polskich kozaków, którzy zapłacili za to cenę o wiele wyższą niż wielec panowie.

Towarzysze i pocztowi stawali nad nimi drżący, ze łzami na policzkach. Zrzucali czapki i misiurki, zdejmowali szyszaki ozdobione piórami. Niektórzy podpierali wiernych towarzyszy broni, myśląc, że może jeszcze poderwą się na nogi. Inni szlochali, bili zwierzęta nahajami - nie z zemsty, z rozpacz - łudząc się, że jeszcze nie wszystko stracone i zmuszą je do powstania. Inni krzyczeli, żegnali się i modlili. Czekali na cud, lecz on nie następował. I wreszcie nadchodziła ta straszna chwila, że trzeba było rozpiąć napierśniki i popręgi, rozluźnić podogonia, paski podgardla, buńczuka i nachrapnika. Zdjąć z konia uzdę, kulbakę, czaprak. A potem - Boże! - skrócić jego mękę.

Przez całe pole niósł się trzask wystrzałów. Jeden, drugi, trzeci... Kończone szlochem, ciszą albo krzykiem. Strzał pewny, ostateczny - w głowę, w ucho albo jak kto woli - we wgłębienie nad pięknym okiem.

Tak oto kończyły konie. Duma i chwała Rzeczypospolitej, co będzie jaśnieć na ziemskim firmamencie, póki ostatni szlachcic nie położy się do grobu. Okrutna śmierć po szlachetnym życiu, młodości spędzonej na stepach Rusi Czerwonej i Wołynia, na rozległych przestrzeniach Podola, łąkach Małej i Wielkiej Polski, ugorach i poletkach mazowieckich zaścianków. Po służbie w szyku, obrotach frontem i po koniu, skrzydlatej husarskiej chwale i splendorze. Kula z króciicy odeśle dumnego wierzchowca w nicość, bo jak gadają jezuita i księża, zwierzę nie ma duszy.

I taka właśnie żałość, ból i strata ugodziła teraz pana Dydyńskiego boleśniej niż najostrzejsza moskiewska szabla.

Jak stał, w husarskiej zbroi runął na śnieg, przypadł do boku Hetmanki, podniósł drgający łeb, wpatrzył się w oczy pełne bólu.

- Hetmanka! - krzyknął rozpaczliwie. - Nie! Nie tak! Nie padaj, proszę!

Koń żył, unosił nieco łeb, zarżał głucho, z bólem. Dydyński próbował dźwignąć klacz z ziemi, podeprzeć ją barkiem, unieść na ramionach... Na próżno.

Niemal nie widział krwawej rany na piersi, miejsca, gdzie musiała uderzyć kula z

hakownicy - nie dostrzegali jej ujścia, musiała zatem znajdować się w sercu, a może pod nim?

Z Hetmanką stało się to, co z większością polskich koni w szarzy. O ile strzały nie rozwały im łbów, nie pourywały nóg czy kopyt, nawet śmiertelnie ranne wierzchowce dotrzymywały kroku towarzyszom, aby paść dopiero kilka chwil po szarzy. Stąd właśnie brała się owa legenda powtarzana wśród Niemców i Szwedów, że jazda Rzeczypospolitej była nieśmiertelna, bo czasem po oddaniu salwy nikt nie wyłamywał się z szeregu, a konie szły dalej cwałem, choćby kilka chwil później połowa miała paść przeszyta kulami na wylot.

Ale jakie to miało znaczenie...

Zabili mu Hetmankę! O Boże! Na zawsze. Tę, którą znał od źrebięcia, na której grzbiecie przemierzał zielone pola i góry Ziemi Sanockiej i Przemyskiej... Tak prosto, tak głupio, od kuli moskiewskiego strzelca.

Ujął jej wierny szeroki, krótki łebek, podniósł w górę, wsparł ramionami, nie bacząc na to, że plami przeszywany żupan i karwasze czerwoną końską krwią i śliną.

- Nie tak - jęknął. - Nie tak to miało się skończyć.

Z tyłu rozległ się chrzęst śniegu. Nadjechał Nieborski na podjezdku i Borys na Myszatym.

- Jegomość, co wam?! - zakrzyknął pocztowy.

- Pytaj, co jej, kpie! - wrzasnął Dydyński. - Ubili Hetmankę! Moją... moją...

Łzy popłynęły mu po obliczu.

Nieborski obejrzał konia, przeżegnał się, a potem zdjął szyszak husarski.

- Mości panie, nic nie poradzimy. Dostała pod serce. Żywot jej przebiło...

- Wiem, głupcze! Sam to widzę.

- Nie gorączkujcie się, mospanie. Niech się nie męczy. Kończyć trzeba - rzekł prawie szeptem.

- Kończyć? Co kończyć? Wstawaj! - wrzasnął do konia. - Wstawaj, do diabła! Nic ci nie jest.

Pocztowy położył dłoń na naramienniku pana. Dydyński strącił ją. Wtedy na drugim ramieniu poczuł ciężar wielkiej jak bochen chleba łapy Borysa.

- Nie niepokójcie się, panie szlachcic. Damian praw. Nie przedłużajcie męki, bo ona nie jest Chrystusem.

To samo Dydyński zrozumiał już wcześniej. Podniósł się jak błędny, zatoczył, wspierając o ramię Borysa.

- Ja to... zrobię. Rozumiecie?!

Pokiwali głowami. Dobył pistolet z olstra, przyklęknął przy łbie.

Tyle dni, tyle lat wiernej służby. I taki koniec... Nie w Koronie Polskiej, tylko tu, na moskiewskim, zaśnieżonym polu.

- Oj, Hetmanka, na co ci... przyszło - zapłakał.

Powstrzymując łzy, opuścił kurek na panewkę, podniósł broń, oparł lufę nad okiem Hetmanki, wsunął ją w zagłębienie w czaszce. Dygocąc, nacisnął na spust.

Koło obróciło się z chrzęstem, piryt w zębach kurka strzelił iskrami. Pistolet wypalił!

Źle, do diabła! Dydyński trzymał go dygocącą ręką, źle trafił! Kula zrykoszutowała od końskiej kości, zadając zwierzęciu nowe cierpienia, poszła w górę, obok szyszaka Jacka.

Nieborski aż podskoczył przerażony. A szlachcic wypuścił z rąk rękojeść pistoletu, podniósł rozdygotane ręce do twarzy. I wtedy Borys ujął go za ramię, postawił na nogi. Dydyński nigdy nie przypuszczał, że ten moskiewski niedźwiedź może być tak delikatny i subtelny.

- Wasze błagrodie. Ja to zrobię. Pozwólcie, Jacku Aleksandrowiczu.

Razem z Nieborskim odsunęli szlachcica na bok. Oboleński sięgnął do olstra po własną broń. Pochylił się nad Hetmanką, przyłożył zakrwawionej klaczy lufę do ucha. Strzał zabrzmiał jak grzmot. Łeb konia opadł na zakrwawiony śnieg, a wtedy Borys delikatnym, wolnym ruchem opuścił powieki Hetmanki.

Nieborski rozpinał paski napierśnika i popręg, zdejmował z grzbietu klaczy czaprak i turecką kulbakę, nucąc coś pod nosem.

Dydyński szedł. Po śniegu i błocie, po lodzie potrzaskanym końskimi kopytami. Usłyszał strzał: jeden, drugi, trzeci. Jak pożegnalny werbel, przy wtórze którego rozstawały się z tym światem konie jego towarzyszy. Doszedł do miejsca, gdzie leżał kary koń, rżący, rwący się do wstawania, pełen życia i wigoru. Cóż z tego, że toczył pianę z pyska, skoro nie było nóg. Przednie pęciny miał potrzaskane, połamane, z ran wystawały ostre kości, śnieg nasiąkł czarną, parującą krwią.

A obok krążył z pistoletem Mikołaj Przybyłowski, wstrząśnięty, rozdygotany, podobnie jak wcześniej Dydyński.

- Wilczar! - wołał. - Spokój! Stój! Proszę, błagam...

Koń miotał się rozpaczliwie, bił o śnieg okaleczonymi nogami, próbując poderwać się z ziemi. Przybyłowski nie miał jak przyłożyć mu pistoletu do ucha.

- Borys, pomóż mu!

Oboleński skoczył do konia. Chwytał za szyję, na chwilę użył swej niedźwiedziej siły, aby powstrzymać szalejącego wierzchowca.

- Szybciej! - wyjęczał.

Przybyłowski wpakował lufę pistoletu w ucho Wilczara. Pociągnął za spust.

Głuchy huk. Krew obryzgała im oblicza, pokryła zbroję cętkami. Koń szarpnął się, opadł na śnieg. Już po raz ostatni. Przybyłowski stał nad nim z dymiącym pistoletem. Inaczej niż Dydyński, nie uronił łzy.

- A toś się dosłużył, Wilczar - jęknął. - Do Moskwy mieliśmy wejść, tratować psich, Godunowych synów. Tyś miał mnie donosić do godności. A ja ciebie dochować do późnej starości.

Splunął z furją.

- Patrzcie! - rzekł Dydyński.

Od strony Uzruja szedł smętny kondukt. Konni semeni wojewody prowadzili pod strażą jeńców. Towarzysze polscy, którzy zostali na polu, maruderzy i czeladź podchodzili coraz bliżej, popatrywali.

Przybyłowski nie mógł utrzymać wściekłości na wodzy.

- Psie krwie! - zakrzyknął, rozpoznając brodatych strzelców w szamerowanych sukiennych żupanach. - Ci są, co nam konie postrzelali! Oni nas pozbawili towarzyszy! Bodaj ich jasna krew zalała!

Husarze i petyhorcy poczęli zbliżać się jeszcze bardziej.

- Skurwysyny moskiewskie! - zawołał ktoś. - Płowego mi zabili!

- Mnie Deresza!

- I jak spokojnie idą!

- Sucze syny plebejskie! Wszyscy z jednej kurwy narożnicy!

Strzelcy zwolnili. Dydyński widział ich blade, przerażone oblicza. Bali się iść przez szeregi pałających gniewem Lachów. Wstrzymywali krok, więc Kozacy popychali ich spisami, hajducy popędzali kolbami arkebuzów.

Nie wiadomo, jak się zaczęło. Czy pierwszy wyciągnął szablę Przybyłowski, czy Dydyński? Pan Leśniewski albo Sienieński, a może Borsza albo Powoła? Nagle bowiem towarzysze poczęli biec w stronę jeńców.

- Za mojego Wilczara! - zaryczał Przybyłowski i niespodziewanie nawet dla hajduków wojewodzińskich ciął szablą najbliższego strzelca, rozwalając mu ostrzem łeb na pół. - Za nasze konie!

Polacy wpadli na Moskwę jak stado zdziczałych wilków. Hajducy krzyknęły, rzucili się bronić jeńców, zastawiać husarzom drogę czekanami i strzelbami.

Na nic! Już Przybyłowski dopadł następnego, Dydyński ciął z zamachu w ręce osłaniające brodate oblicze. Rozchlastał szyję. A pan Sienieński rąbał po karku umykającego

jeńca.

A potem Przybyłowski wbił szablę w żywot kolejnego Moskiwicina. Dydyński zdjął innemu głowę z karku. Powąła przebił tego, co krzyczał: *Spasi Chryste, pomiluj anhie!* Leśniewski chlasnął po ramieniu kolejnego, wywłókł go, krzyczącego i szlochającego, z szeregu, rąbał po nogach, ciął na sztuki, a obok dzielnie sekundowali jego dwaj pocztowi.

Bili za końską krew. Za połamane nogi, postrzelone ciała, za szramy na karkach i zadach. Za Hetmankę. Za Wilczara. Za Płowego, Deresza, Złotogrzywka, za Żrebca, Bachantkę, Czarnego, Kasztana... Tu i teraz Moskal był tańszy od konia, a jego krew warta mniej niż wino. Przynajmniej dopóki prerażeni Kozacy, hajducy i wezwani na pomoc Niemcy wojewody nie odpędzili Polaków od niewolników, a raczej nie wyrwali ostatków ze szpon śmierci, gnając na łeb na szyję do obozu.

Krew ludzka mieszała się z końską. A hen daleko, blisko Desny, Dymitr jeździł z płaczem po poboju, błogosławiąc umierających krzyżem. Kazał zebrać łupy, pochować ciała w trzech mogiłach, osobną przeznaczając dla Polaków. Wybaczył znaczniejszym bojarom, którzy z wyciem i płaczem padali mu do stóp, całując kopyta konia i skraj carskiej szaty. Darował winy i przyjął na służbę, bo przecież w oczach całej Rusi chciał być słoneczkiem prawosławnym, Dymitrem wyzwolicielem, który kruszy kajdany i samym swym obliczem uszczęśliwia lud i poddanych.

A kiedy dzwony w obozowej cerkwi biły na pogrzebie znaczniejszych Moskali, z lasów i zaśnieżonych zarośli nad Desną wypadały całe gromady moskiewskich chołopów i rabów. Przekradali się na pole bitwy, na którym nie było już co grabić.

Chołopi nie przyszli jednak po złoto. Od czasu hołomoru na całej świętej Rusi i Siewierszczyźnie panował głód. Pożądliwe spojrzenia chamów nie kierowały się na szaty i kosztowności, za które zresztą zawiśliby na szubienicy, schodzili się jak wilki do końskiego ścierwa. Rąbali toporami, cięli nożami ciała dumnych polskich wierzchowców, chcąc dobrać się do parującego mięsa, napęścić płachty, cebry i szafliki, zabrać do kurnej kleci pełne torby koniny. I przy okazji zedrzeć skórę i ogon. A kiedy rąbali, ćwiartowali dumę wielkiej Rzeczypospolitej z tak dziką moskiewską zawziętością, że Marcin Bielski albo inny dziejopis wyciągnąć mógłby z tego wnioski co do dalszego losu Litwy i Korony, na drzewach czekały na swoją kolej kruki i wrony. W krzakach zaś czaiły się wiecznie nienasycone wilki, spragnione świeżego ścierwa. Pamiętające uczty, jakie przed kilku laty urządzały na ciałach napuchłych z głodu Moskali.

Obóz wojsk Samozwańca pod Nowogrodem

Godzina druga i pół w południe

Anastazja biegła między ludźmi i końmi. Dwa razy omal nie stratowały jej kopyta. Wpatrywała się w zmęczone oblicza husarzy i petyhorców, zaglądała do wozów i lektyk wiozących rannych. Przepychała się między Kozakami i hajdukami.

Szukała Jacka...

Nie było go ani na majdanie, ani na głównej drodze do bramy. Przy łaźniach i karczmach. Ani w pobliżu kwater Dymitra.

Biegła, a potem tylko szła w zabłoconych kowanych trzewikach, zdyszana, z rozplątanym warkoczem, jakby sama brała udział w bitwie. Nie wiedziała, czy pan żyje, czy jest ranny. Wypytywała znajomych towarzyszy z jego chorągwi, pocztowych i pacholków.

Aż wreszcie serce zabiło jej mocniej. Dostrzegła znajomy poczet jadący wolno od bramy. Dydyński siedział na Myszatym, za nim jechał Damian. Dopadła go biegiem, unosząc dół szuby, okrzyknęła, ale nawet nie rzucił na nią okiem. Zmęczona szła obok parującego konia.

- Jacku Aleksandrowiczu, mileńki mój, żyjesz?!

- Hetmanka mi padła. Ustrzelili Moskale, psie syny!

- Nic ci nie jest? Nie ranili cię?

Nawet nie odpowiedział, po prostu machnął ręką, jakby odpędzając natrętnego gza. Nie patrzył nawet na to, że Anastazja grzęźnie i potyka się w obozowym błocku. Ruszył rysią do swojej stacji, obryzgał dziewczynę błotem.

Kiedy zsiadał z konia, rzucił dziewczce wodze z taką furją, że skórzany pasek niemal uderzył ją w twarz.

- Jacku... Mości panie... Mój miły... - Nie bacząc na złość szlachcica, Anastazja przysunęła się bliżej, trzymając wodze w ręku, objęła go lekko.

- Dość. Daj mi spokój!

- Dobrze, że żyjesz. Bałam się.

- Nie tak prosto zabić stolnikowica. Wstaw konia do stajni.

Odszedł, jakby była powietrzem.

Potulnie wprowadziła konia do chruścianej stajni. Wyszła przed kwaterę, stanęła pod namiotem towarzyskim.

- Anastazja! Anastazja!

To wołał Damian. Jeszcze w kulbace, kiwał na nią ręką.

- Czego chcesz?

- Dostałem, jestem ranny.

- Gdzie!?

- Pomóż - prawie jęknął. - Przytrzymaj konia. Chwyliła wodze pod czankami, a wtedy przerzucił prawą nogę nad grzbietem i z jękiem opadł na ziemię.

- Borek, weź podjezdka!

Wezwany ciura odprowadził konia, a Damian ruszył do namiotu, kuśtykając.

- Co się patrzysz?! - zapytał z wyrzutem. - Pomóż.

Nie miała ochoty, ale podparła go z lewej. Weszli do namiotu, gdzie Nieborski opadł z wysiłkiem na krzesło i zaraz zabrał się do rozpinania pasków zbroi.

- Pomóż - zajęczał. - Boli.

Pomogła mu rozpiąć naramienniki, obojczyk i płyty napierśnika i naplecznika. Wyzwolony z blach pocztowy pomacał się po lewej nodze, nad kolaniem. Sukno szarawarów nasiąkło krwią. Przez chwilę szamotał się z butem.

Pokręciła głową, chwyciła i pomogła zsunąć go z nogi.

- Pokaż.

Podwinął nogawkę, ukazując bladą goleń, kolano i nacięcie.

Anastazja spojrzała uważniej, przygryzła wargi, widząc wąską szramę.

- Ledwie draśnięcie! Nie trzeba zszywać. Co...

Pochwycił ją w ramiona, szarpnął, ale była zwinniejsza. Wyrwała się z objęć, zatoczyła, potracając lichtarz, który wywalił się z brzękiem.

Nie mogła umknąć, bo Damian okazał się szybszy. Skoczył na nogi - śmiesznie wyglądał w husarskim szyszaku i z jedną bosą stopą - i zagroził jej przejście.

- Oj, puszczaj!

- Zaraz, pomału, pogadajmy.

- A mamy o czym, mospan Polak?

- Chcę cię prosić o wybaczenie. Za tamto.

Drgnęła, bo nie spodziewała się takich słów.

- Poniosło mnie, miła moja. Nie chciałem. Tu wojna, krew... Jestem sam.

- Co było, spłyło. Nie wróci. Puskaj.

- Jestem ranny, nie zrobię kroku. - Uśmiechnął się blado.

- Nic ci nie jest. Nie udawaj!

- Żeby ja był Dydyński, tobyś mnie hołubiła jak jawnogrzesznicę Jezusa Chrystusa.

- On twój pan. Czego chcesz?

- Jemu się wszystko udaje. Dlatego brat go nienawidzi. Dydyński to kochanek Fortuny, więc niepotrzebna mu inna niewiasta.

Zacisnęła wargi i chciała wyminąć Nieborskiego, ale rozłożył szeroko ramiona. Woląла już cofnąć się, niż poczuć jego uściski.

- Mam dla ciebie gościńca. Na przeprosiny.

Sięgnął do pasa, wydobyl sznur koralu, podał jej na otwartej dłoni, przytrzymał drugą, kiedy zsunęły się z palców.

- Zebrałem trochę kamuszków na służbie - rzekł. - Może i mógłbym sam zostać towarzyszem. Gdybyś chciała rzucić pana stolnikowica i jechać ze mną do Polski, miałabyś jak na bojarskim dworze.

- Schowaj to dla kozackich bladzi, mospanie. Ja, choćbym chciała, nie jestem twoja, ale Jacka Aleksandrowicza.

- To kiń go i chodź ze mną z wolnej woli.

- Wysoko się cenisz. Za wysoko. Bo... kto ty jesteś?

- Obsypię cię całą takimi kamuszkami. Z bojarskich kołpaków je zerwę. Będziesz jak carska córka. Jak kniahini! Bylebyś rzekła mi dobre słowo.

Przymknęła oczy i postąpiła krok do przodu. Myślał, że nagle stał się cud i doczeka się z jej strony uległości.

Pomylił się tak samo jak ci, co brali Nowogród za parszywy kurnik, który rozleci się od jednego wystrzału. Zamiast uścisków doczekał się kopniaka wymierzonego wprost w kostkę lewej nogi, na której nie miał buta.

Jęknął i padł na kolana. Przemknęła wtedy obok - chwycił ją, ale wydarła się z rąk, uciekła z namiotu.

Chciał za nią biec, ale nie uśmiechała mu się gonitwa po błocie w jednym bucie i robienie z siebie jeszcze większego pośmiewiska.

Wrócił do krzesła, obuł się i dopiero wtedy wyszedł przed namiot. O dziwo, Anastazja stała przed chatą. Czekala.

- Złóścisz się jeszcze?

- Nie. I nie chcę o tym gadać.

- Szkoda... - brakło mu słów. - Nie gniewaj się.

- Nie gniewam.

Z boku, zza namiotu, nadszedł Dydyński. Już bez zbroi, bez szyszaka, w delii i wilczej czapie. Bez słowa ujął Anastazję za rękę, pociągnął na kwaterę. Dziewka opierała się przez chwilę, ale potem ruszyła za stolnikowicem. Weszli do środka; Damian odruchowo poszedł

za nimi. Narażał się na gniew, ale chciał jak gdyby nigdy nic wejść do środka i zająć miejsce przy ogniu. Przeszkodzić w tym, co chcieli uczynić.

Dydyński zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Nieborski usłyszał tylko łoskot zamykanego skobla.

Uśmiechnął się zimno. Splunął i odszedł powoli.

Nowe Lato, die 1 ianuarii/22 decembris

Anno Domini 1605 Roku 7114 od stworzenia świata

Obóz wojsk carewicza Dymitra

Późne popołudnie

Trupy zwożono z pola bitwy przez dwa dni. Polskich nie było dużo, armia Dymitra wykpiła się stratą dwudziestu towarzyszy oraz nieco ponad stu koni i pacholców, w porównaniu z czterema czy jak twierdzili niektórzy - sześcioma tysiącami Moskali i rozwalonym łbem kniazia Mścisławskiego. Jednak ogromna liczba wierzchowców została okaleczona - zwłaszcza w chorągwiach, które starły się z piechotą uzbrojoną w berdysze. W namiotach i chatach obozowych naliczono ponad dwustu rannych - postrzelanych, porąbanych lub stratowanych w czasie boju.

Tak czy owak, zwycięstwo było zupełne, czego dowodem stały się plotki, iż Dymitr Szujski i kniaź Mścisławski, obawiając się gniewu cara, rozpuszczali wieści, że bitwa skończyła się klęską dlatego, iż Lachy przestraszyli ich konie, ubierając się w skóry niedźwiedzi. A przy okazji pomawiali Dymitra o czarnoksiężstwo. Jednak nieliczni wzięci do niewoli Niemcy obśmiewali się z tych wieści do rozpuku. Moskowici wszak - jak powiadał Herman Szwarcoch, który był trębaczem w cudzoziemskiej rocie Mścisławskiego - zdawali się w czasie bitwy nie używać rąk, ale wyłącznie nóg.

Zwycięstwo było wielkie, ale wywołało wzburzenie wśród Polaków. Od października roty nie dostawały żołdu. Póki oblegano Nowogród, nie było skwierków i narzekań. Teraz gdy towarzysze polscy zostali bez wierzchowców, moderunku, czeladzi i zapasów, a jednocześnie poczuli się zwycięzcami, sprawa zrobiła się gardłowa, jak uwiedzenie wojewodzianki. W carskiej szkatule od dawien dawna świeciło dno, a głosy Lachów stawały się coraz natarczywsze, coraz głośniej dało się słyszeć pobrzękiwania szabelką.

Dymitr przekonał się o tym następnego dnia, gdy w czasie uczt namawiał husarzy i petyhorców na szturmowanie Nowogrodu. Polacy wszak nie zwykli owijać rzeczy w bawełnę jak Moskale, korzyć się ani padać przed carskim majestatem. Stanowczo zażądali żołdu, a

kiedy urażony Dymitr odjechał, poczęli naradzać się z krzykiem i połajankami, które doszły aż do carskich kwater.

Zaniepokojony Dymitr wysłał Buczyńskiego uzbrojonego na razie w obietnice i kwiecistą mowę. Niestety, nawet pokrętne sztuczki mistrza Machiavellego nie mogły zmiękczyć sumienia przedstawicieli narodu, który w kwestii kadzenia możliwym i padania na kolana był wyjątkowo mało polityczny. W Polsce wszak wystarczała czasem beczka wina i pięciu warcholów, by wybuchł rokosz lub konfederacja.

Panowie towarzystwo zatem, z typowo polskim brakiem wyczucia i taktu, w prostych żołnierskich słowach podsumowali miłosne perypetie matki i babek pana Buczyńskiego, poświęcając także wiele uwagi i miejsca kwestii ich rzekomej sodomii z chłopami, kozami i baranami.

A potem wysłali go do diabła, zapowiadając, aby nie wracał bez pieniędzy. Bo skoro wygrali bitwę i rozgromili wojska Godunowa, nie będą czekać na zasługi dłużej niż do Trzech Króli.

Dymitr wiedział, że nie są to czece pogroźki. Czym prędzej zwołał tajną radę wojskową, na której odmalował groźbę, jaka zawisła nad całym obozem. A tak poza tym nie wiedział, co robić. Czy iść za Mścislawskim, którego armia uchodziła w panice drogami i duktami na Starodub, czy też oblegać Nowogród osłabiony odejściem Basmanowa? A może w ogóle odstąpić i skierować się pod Briańsk albo Rylsk?

- Ja pieniędzy nie mam! - rzekł rozpaczliwie Mniszech zapytany przez pułkowników, czy wojewodzińska szkatuła nie brzęczy przypadkiem grosiwem. - Zrujnowany jestem ze szczętem, poszły pod zastaw wioski i dwory. Mój kredyt rozdarty i próżno nad nim lamentować. Nie zrośnie się cudownie jak członki świętego Stanisława.

- Pieniądze są, ale w Nowogrodzie - rzekł Dymitr. - Jak mogę skłonić wojsko, aby wreszcie wzięło szturmem ten parszywy kurnik?

- Wojsko już pokazało, na co go stać w polu - mruknął Dworycki. - Póki co pobili Mścislawskiego na głowę, więc słusznie domagają się zadośćuczynienia za straty i rany.

- To buntownicy! - zakrzyknął zapalczywie Mniszech. - Wszyscy mój chleb jedli, a teraz chcą gwiazdy z nieba! Ja ich bym karał mieczem, o ile nie poczekają do Kwietnej Niedzieli! Nie dam im nic!

- Bez Polaków sprawa Waszej Carskiej Mości nie będzie warta funta kłaków, jako że na Moskalach nie można polegać! Dziś są w naszym obozie, jutro będą bić pokłony carowi Borysowi!

- Przysięgaliśmy Jego Carskomu Wielicestwu, batiuszce naszemu! - zagrział

Rubec-Massalski. - Wasza mość wystawiasz na szwank dobre imię rabów bożych, których jedyną wolą jest służyć prawowitemu naslednikowi na carskim tronie!

- Godunowowi też przysięgaliście! - zagrzmał Borsza. - Jakże mamy wam wierzyć?

- Nieprawemu carowi można przysięgać tak jakby samemu diabłu!

- Nie chcecie, Lachy, służyć naszej sprawie - zawtórował mu Chruszczew - to idźcie, bez was weźmiemy Moskwę.

- Ba, pewnie też Bakczysaraj i Konstantynopol! Nie wspominając o Kitaju.

- Milczcie, panowie Litwa!

- Cisza! Spokój! - przywołał ich do porządku Buczyński. - Mam sposób, aby pogodzić wszystkich i zatrzymać nasze chorągwie w obozie. Sposób, a raczej fortel!

- Mów, Janie!

- Zapłacmy żołąd jednej rocie. Jeśli ona zostanie przy nas, wszystkie pozostałe nie będą takie prędkie do odejścia.

- Której rocie?

- Chorągwi pana Fredry. Tam jest najwięcej buntowników i warchołów.

- Jeśli damy im pieniądze, inni pomyślą, że im głośniejsz trzaskają szablami, tym szerzej odmykają się wrota carskiej kaźni.

- Zapłacimy im w tajemnicy, pod przysięgą, aby nie wygadali nikomu. Jeśli najwięksi buntownicy nagle ogłoszą, że zostają, bo wierzą w carskie słowo, inni pójną po rozum do głowy i także nie opuszczą szeregów.

Dymitr milczał przez chwilę.

- Dobrze. Zapłacimy im. I obyś się nie mylił, Janie Piotrowiczu.

Buczyński nie mylił się istotnie. Kłopot w tym, że nie wziął pod uwagę, iż w polskim narodzie zawsze znajdzie się jakaś czarna owca, odszczepiec albo co gorsza, kamień, który dostanie się między tryby i popsuje całą puszczoną w ruch maszynę. Kamieniem tym okazał się pan Świrski.

Die 3 ianuarii/24 decembris

Obóz wojsk carewicza Dymitra

Godzina druga w południe

Kości zagrzechotały w kubkach, stuknęły, kiedy postawili naczynia na stole, przybili dnem do góry.

- Sprawdzajcie.

Świrski odsłaniał kości powoli, filował, uchylając krawędzi kubka. A kiedy odsłonił jedynekę i piątkę, uśmiech wykrzywił jego zarośniętą, zasuszoną gębę.

- Fortunać prawdziwie radzi, że cię Bóg sam poprowadzi na tę drogę przyszlą twoją! Gdzieś obrócił już myśl swoją...

Przybyłowski jednym ruchem zdjął kubek, pod którym ukazała się szóstka i trójka.

Świrski zaklął. Popchnął w stronę Mikołaja garść talarów.

- Nie puszczaj się w drogę, bracie, bo to będzie ku twojej stracie! - rzekł. I zaraz sięgnął do kalety, po kolejne złote serca Mamony.

- Coś widzę, że pan Świrski dzisiaj przy pieniądzu - uśmiechnął się imć Budziakowski, towarzysz chorągwi petyhorskiej Dworyckiego, robiąc zarazem dobrą minę do złej gry. - A i ja wchodzę! - Rzucił na stół garść dukatów. - Z moskiewskich kołpaków zerwane! Bo oni węgierskie pieniądze wieszają na czapkach.

- Fortuna ostatnio do mnie się uśmiecha.

- Hazard? Szczęśliwa karta? - nie mógł się nadziwić Przybyłowski, bo Świrski słynał raczej jako człowiek wieszający się u delii i żupanów niż jako fundator i donator.

- Jesteśmy w łasce u najjaśniejszego carewicza Dymitra! Razem z całą chorągwią... - tu Świrski zamilkł, jakby nagle ugryzł się w język.

- A my ciągle w opałach - skwitował go Budziakowski. - Bo Dymitr powtarza nam, że talary owszem, są, ale w Moskwie. W skrzyni cara Borysa.

- Nie będzie talarów, to poszukamy nowego pana - mruknął Przybyłowski. - Choć może byłoby lepiej przestać popierać Dymitra, a znaleźć w naszym obozie takiego, co nie zaciskałby szkatuły jak głupia dziewczka cnoty!

- Chcesz zdradzić Dymitra? Przejść na stronę Godunowa?

- Co to, to nie. Ale nie myślelibyście, czy taki Rubec-Massalski nie byłby lepszy od Dymitra?

- Nie bardzo - rzekł Świrski - bo Dymitr ma złoto i dukaty.

- Chyba narysowane! Na papierze!

- Powiem waszmościom w sekrecie, jeno mnie nie wydajcie, że on zapłacił. Tak jak słońce na niebie, a dwa a dwa cztery. Zapłacił nam wszystkie zaległe zasługi!

- Co takiego?

- Tylko nie wydajcie sekretu, waszmościowie!

- Pewnie! Umiemy trzymać język za zębami.

- Dał nam po cichu, abyśmy pozostali przy nim. Buczyński pieniądze nosił. Prosił, abyśmy rozpowiadali, że zostajemy przy boku carzyka. Aby dać przykład innym.

- O, do diabła! - zakrzyknął Przybyłowski. - Wspaniałe nowiny waść głosisz. Zatem w naszym obozie są równi i równiejsi!

- Jeno nie wygadajcie, że wam powiedziałem!

- Będziemy milczeć. Jak trusie!

Die 3 ianuarii/24 decembris

Obóz wojsk carewicza Dymitra

Godzina czwarta w południe

- Powiem waszmości w sekrecie - rzekł Budziakowski do Głębockiego - że Dymitr zapłacił już chorągwi Fredry. Skąd o tym wiem? Od Świrskiego. A mówię ci o tym pod sekretem...

Die 3 ianuarii/24 decembris

Stancje husarii Dymitra, ta sama godzina

- Powiem wam, ale w tajemnicy - rzekł Przybyłowski.

- Nie puścimy pary z gęby!

- Carewicz ma złoto, ale je schował dla swojego dworu. Skąd wiem? Bo chorągiew pana Fredry dostała pełne zasługi, za cały okres służby!

- Hańba!

- Zdrada!

- Pamiętajcie, nikomu o tym nie mówcie!

Die 3 ianuarii/24 decembris

Obóz Dymitra, pierwsza gwiazda na niebie

A potem poszło już szybko. Po chorągwiach lotem ptaka rozeszła się wieść, przekazywana - a jakże - w sekrecie, ale nie pod przysięgą. Od wieści wstał huk, z huku poruszenie, a z poruszenia bunt i trzaskanie szablami. Panowie husarze, petyhorcy i Kozacy poczęli iść konno i pieszo na majdan, gromadzić się pod drewnianymi szałasami oraz namiotami wojewody Mniszcha i Dymitra.

Od wąsatych,znaczonych bliznami gąb, od wilczych i rysich czap, od uniesionych w górę pięści tchnęło taką siłą i zuchwałością, że hajducy Samborscy i nieliczni dworanie,

którzy stali na straży, poczuli się nagle tak jak biedne susły na drodze stada rozzłoszczonych żubrów. Wnet zwołano koło i wybrano deputatów.

- Carewicza! Carewicza! - darli się towarzysze lub w ich imieniu czeladź i pocztowi, trzaskając szablami albo po prostu podnosząc je na rapciach w niedwuznacznym geście znaczącym kęsim-kęsim.

- Wojewoda! - krzyczeli inni. - Dawać go tu! Szubę przetrzepać!

Strażujący przed namiotami hajducy zdjęli samopały z ramion, stojący u wejścia do namiotów Niemcy skrzyżowali halabardy, co było bardziej pustym gestem, bo gdyby cały ten tłum panów braci rzucił się do kwatery Samozwańca, okute drągi i rapiery pomogłyby równie wielce co umarłemu kadzidło.

- Pułkownicy! Gdzie są nasi pułkownicy?! - wrzeszczał pan Odrzywolski z carskiej roty. - Dawać ich! Sprowadźcie!

- Pułkownicy na uczcie u wojewody!

- A cóż tam robią?!

- Pewnie się po buławach całują! - zawrzęsnał Przybyłowski. - Stawiam gardło i klejnoty rodowe, że właśnie wypłacają im zasługi. A czyje zasługi? Nasze własne!

- Do wojewody! Do Mniszcha! - darli się inni.

Strażnicy przed namiotami Dymitra wymierzili w tłum. Długie drzewca i łypiące czarnymi oczkami lufy arkebuzów piechoty węgierskiej sprawiły, że szlachcice naparli na kwatery Mniszcha, gdzie straże były mniej liczne.

- Wojewoda! Do wojewody!

- Powoli, mości panowie! - zakrzyknął dziesiętnik hajduków, który z bladą twarzą wynurzył się z czeluści namiotu. - Pan Mniszech przyjmie deputację! Obierzcie posłów... Czeka...

Nie poczekali. Ogromna czereda szlachty naparła na straże tak mocno, że nieszczęsnym obrońcom pana wojewody pozostawała tylko rejterada. Tuszczka wprost wniosła ich do kleci, tak jak powodziowa fala porywa łodzie i drzewa. Ci towarzysze, którzy mogli, wparowali do izby, pozostali tłoczyli się przy drzwiach, klnąc, rozpychając się i walcząc łokciami, aby dojrzeć, cóż ciekawego zrobią ich kompani z jaśnie oświeconym Mniszchem.

Zanosilo się na bigosowanie, choć już minęła wigilia Narodzenia Pańskiego.

Pan wojewoda sandomierski przeczuwał chyba, co się święci, bo czekał za stołem, w ferezji i czapce, przy szabli. Silił się na spokój, ale kiedy unosił rękę, by prosić o ciszę, drżał niczym liść osiki.

- Waszmościowie... Waszmościowie! - krzyczał. - Powoli, po kolei! Nie rąbcie mnie, biednego starca! Cóż wam uczyniłem?

Podniósł się krzyk i lamenty; wreszcie deputaci Odrzywolski i Bełza spod chorągwi Żulickiego uspokoili towarzyszy krzykami.

- Jaśnie oświecony mości wojewodo, przyjacielu i bracie nasz! - Chudy jak pogrzebacz i wysoki jak świeca Bełza pochylił się nad Mniszchem. - Zwyciężyliśmy wojsko Godunowa w polu. Od miesiąca oblegamy Nowogród. Zostaliśmy bez koni, bez czeladzi, bez zapasów i moderunku. Jeśli mamy bić się dalej, tedy prosimy uniżenie, aby wasza mość kazał wypłacić nam zasługi za cały kwartał.

- Dawajcie pieniądze! - Przybyłowski ujął rzecz z wrodzonym brakiem dyplomacji. - Albo weźmiemy je sami.

- Ponadto - ciągnął niezrażony Bełza, a jego dwa długie, błyszczące wasy zwieszały się niczym lonty od armaty - prosimy starodawnym zwyczajem polskim o jedną darowaną ćwierć, to jest o nagrodę za zwycięską bitwę.

- Płacić zasługi! - darli się ci, co nie widzieli, co działo się w środku.

- Bigosować! - wrzeszczał przepity, warcholski głos, szczęściem inni odciągnęli jego właściciela na bok.

Wojewoda zaczerpnął głębszy haust powietrza, aby rozpocząć dłuższą tyradę, ale kiedy ujrzał nad sobą szczere i nieugięte jak gład oblicze pana Bełzy, skurczył się o dobre dwa cale.

- Mości panowie bracia - rzekł, siląc się na spokój - ja wiem, że męstwo ma swoją cenę, a waleczność warta jest nagrody. Jednak pragnę przypomnieć, że nikt nie obiecywał wam złotych gór ani kitajskich jedwabi, kiedy zaciągaliście się na tę wyprawę. Dlatego błagam: wytrwajcie! Nie opuszczajcie carewicza, bo cel jego jest wielki, Moskwa. Niezdobyta, niezłamana, pełna złota. Tam. - Wskazał bezkresne zaśnieżone przestrzenie, po których hulał lodowaty wicher. - Tam wasze pieniądze i chwała, jakiej nie doświadczył żaden człowiek.

- Chwałę się nie najemy!

- Czyli, mówiąc krótko, pieniędzy od waści nie dostaniemy - Bełza był twardy jak dąb i biorąc pod uwagę jego postać, równie trudny do przeskokowania - a może nam waść powiesz, skąd mamy wziąć konie, czeladź i prochy, aby dojść do tej Moskwy?

- Jeśli nie zapłacicie - ryknął Przybyłowski - pójdziemy do związku! Dawajcie zasługi albo sami je sobie odbierzemy!

Podpity szlachcic porwałby się pewnie do szabli, ale Bełza złapał go za rękę i

poskromił jak dziecko.

- Stój, panie bracie - rzekł. - Żelazo nieprędko ostygnie, najpierw pogadajmy. I posłuchajmy, co ma do powiedzenia imć pan wojewoda.

- Idźcie do Dymitra - rzekł Mniszech, który najwyraźniej nie mógł znieść ciężkiego wzroku Bełzy. - Poproście carewicza, niechaj was poratuje. On może wycisnąć złoto z Moskali. Do diabła, wybawiliśmy ich z niewoli Borysa Godunowa, najwyższy czas, aby okazali wdzięczność!

- A waść co uczynisz?

- Rozejrzę się za pieniędzmi. Dajcie mi trochę czasu, waszmościowie.

- Nie mamy czasu - warknął Przybyłowski. - Chcemy zasług tu i teraz.

- To co mam zrobić? - zakrzyknął Mniszech. - Sprzedać to krzesło? - Podniósł okryty skórą taboret. - A może zastawić szablę? Proszę - odpiął pas z rapcami i podał Przybyłowskiemu. - Ile waszmość dajesz?

- Pójdziemy do Dymitra - mruknął Bełza. - A waszmość, mości wojewodo, myśl, jak zaspokoić wojsko. Nie przestawaj myśleć. I nie pij, to myśleniu przeszkadza.

Mniszech pokiwał głową, bo czuł się jak obłany ukropem.

- Do Dymitra - rozległy się wrzaski.

- Idziemy do carewicza! - rzekł Bełza. - Odsuńcie się, waszmościowie.

Mniszech nadał policzki i z ulgą wypuścił powietrze. Obrócił się do pachołków, którzy stali obok, a właściwie za nim, przy piecu.

- Pakuj skrzynie, Kacperek!

- Wasza miłość, wyjeżdżamy? - Sługa wpatrywał się weń jak oniemiały. - A dokąd?

- A gdzieżby indziej jak do Polski!

- A Dymitr?

- O, do diabła! Biegnij do niego i powiedz... powiedz...

Die 3 ianuarii/24 decembris

Namiot carewicza Dymitra, kilka chwil później

- ...I kazał przekazać - wydyszał Kacperek - że idą! I że konfederacja będzie w obozie!

- Wiem o tym - uciał Dymitr. - Też mam uszy i wszystko słyszę. Co teraz, mości panowie? Co poradzicie?

- Caru gosударu, Wasze Carskie Błagorodie - rzekł Rubec-Massalski - mam kazać zawołać moich bojarzyneków? Jestem ich pewien jak własnej prawicy!

- Nie ma czasu - rzekł z powątpiewaniem Buczyński. - Posłuchajcie!

Cały obóz rozbrzmiewał okrzykami. Głosy zbliżały się, a wraz z nimi chrzęst śniegu pod wieloma - zbyt wieloma nogami, aby mogła to być grupa kilku zuchwalców.

- Bunt trzeba stłumić siłą - rzekł Chruszczew, zginając głowę w ukłonie. - Wezwijmy Kozaków i naszych Dońców.

- Lepiej ich wysłuchać - zaproponował Dworycki. - Tych kilka setek zafajdanych Kozaków prędzej narobi w hajdawery, niż pójdzie bić się z polską husarią we własnym obozie. Musimy kupić czas układami. Nasze roty to na razie jedyny argument w walce z Godunowem!

- Dy-mitr! Dy-mitr! - skandowali buntownicy za cienką ścianą namiotu. - Do carewicza!

- Dawajcie zasługi!

- Dy-mitr! Dy-mitr!

- Wyjdę do nich sam - rzekł blady Samozwaniec. - Co dalej? Co mam robić? Jak ich uładzić?

- Powiesić kilku dla przykładu! - warknął Chruszczew. - Albo to nie przysięgali naszemu carewiczowi jak ojcu Hospodynowi?

- Sam to spróbuj, mości wojewodo! Wyjdź teraz na majdan. Droga wolna!

Chruszczew nie poruszył się nawet, siedział na ławie, łypiąc oczyma spod splątanej czarnej brody.

- Spróbuj, panie, mówić tylko z kilkoma, bo nie przekrzyczysz całego tłumu - rzucił pośpiesznie Buczyński. - Najlepiej sam ich wskaż na początku, aby pokazać, kto tu rządzi. I zaprosz do namiotu.

- A potem postrasż, carewiczu nasz najmilszy, okaż majestat i grozę swego imienia - dorzucił Rubec-Massalski. - Niech Lachy wiedzą, że car to nie malowany król z Krakowa!

Dymitr wstał blady, przygryzał i oblizywał wargi. Był cały w strachu.

- Nie wasza miłość nie wskórasz groźbami i krzykiem! - rzucił Buczyński. - Nie z Polakami. Zagroziś im, to cię rozsiekają szablami. Bierz ich na litość i miłosierdzie! Okaż się słabym i proś pomocy! Pamiętaj, że za pochlebstwo każdy z naszego narodu odda własną duszę!

- Wasza Carska Mość każe zamilknąć temu człowiekowi! - zagrzemiał Chruszczew, żegnając się, jakby odganiał złego ducha. - To grzech, aby hosudar, wybraniec i namiestnik Boży, kajał się przed łacinnikami!

- Milcz, ścierwo! - krzyknął Dworycki i omal nie złapał za szablę. - Dymitrze, wyjdź

do nich! Zanim oni tu wejdą! A ty, Chruszczew, siedź na rzyci, boś zwierzę niepolityczne! Chcesz wisieć, to sam dymaj przed namiot.

- A niechże was... wszyscy diabli! - jęknął Dymitr.

I wyszedł. Buczyński postąpił za nim.

Kiedy postać carewicza ukazała się przed namiotem, zbity tłum towarzyszy przycichł. Kilku skłoniło się, zdjęło czapki, ale gęby całej reszty pozostały zuchwałe i buntownicze, jak u większości polskiej nacji - zwłaszcza po dobrym miodzie i politycznych rozmowach.

- Uciszcie się, mości panowie!

Gwar począł cichnąć. Bełza i reszta samozwańczych deputatów zadbali, aby zaprowadzić jaki taki porządek.

- Waszmościowie, czego oczekujecie i żądacie od naszego carskiego majestatu?

- Sprawiedliwości - rzekł spokojnie Bełza. Gwar głosów rozbrzmiał za jego plecami. Ktoś krzyknął: *Daj zasługi*. Inny strzelił szablą wydobytą na dwa cale z pochwy.

- Nie będę się z wami przekrzykiwał! - rzekł Dymitr. - Niechaj dwóch mówi w imieniu tłumu. Waśc - wskazał pierwszego z brzegu towarzysza, pomijając Bełzę - i waszmość. - Palec Jego Carskiej Wysokości powędrował w stronę hołysza w szarej czamarze i czarnych butach, z których gdyby nie litościwy wieczór, wyglądałyby pewnie słoma razem z biedą. - Czego chcecie od nas?

- Miłościwy caru, jeśli nie dasz nam pieniędzy, zaraz jedziemy do Polski.

- Tam są wasze pieniądze! - Dymitr wskazał Nowogród. - Ślubowaliście mi wierność i posłuszeństwo, a ja wam moją łaskę. Jednak na zaszczyty i honory trzeba najpierw zasłużyć. Weźcie Nowogród, a odwdzięczę się wam po tysiackroć za każdą kroplę przelanej krwi.

Do kroćset, gdzie był ten bliadun wojewoda?! Dlaczego nie stał u jego boku w takiej chwili?!

Tłum zaszemrał, zahuczał.

- Do tego czasu macie służyć, jak poprzysięgliście!

- Zatem nie zapłacicie! - rzekł spokojnie Bełza, choć to nie jego wybrał Dymitr jako interlokutora.

- Wasze wojska kwarciane na Ukrainie mogą czekać na zapłatę czasem i po pół roku! - zagrział Dymitr. - Nie rozumiem, dlaczego wy nie możecie? A poza tym nie będę z wami gadał! Marsz do szeregów! Od dziś za każdą niesubordynację będzie topór i szubienica!

- Nie zapłaci! - poszła w tłum wieść jak grom. - Nie ma pieniędzy.

- Służba Rzeczypospolitej to co innego niż Waszej Carskiej Wysokości - rzekł Bełza. Ale tłum naparł na niego, ogarnął. Już pierwszy posunął się do Dymitra Przybyłowski z gębą

rozdarta krzykiem. Z ręką na rękojeści szabli.

- Mości panowie! - krzyknął gromko. - Nie ma zasług! Nie ma zapłaty za naszą krwawą pracę.

- Wracamy do Polski!

- Jebał pies Dymitra!

- Wor! Szelma! Złodziej moskiewski!

A potem któryś z Lachów cisnął Dymitrowi złe i nienawistne słowo prosto między oczy:

- Samozwaniec! Łżedymitr!

Dymitr stanął wyprostowany, blady, drżący. Iskra padła na prochy.

- Jak odjedziemy - zakrzyknął Przybyłowski, zionąc złością i parą na mrozie - klnę się na wszystkie ruskie diabły, że będziesz na palu w Moskwie, zanim śnieg stopnieje!

Dymitr zamachnął się. Z rozmachem, wściekłością i gniewem dał w głowę szlachcicowi. Przybyłowski ani pisnął. Głowa odskoczyła mu na bok. Z nosa pociekła krew.

- Tyyyyy... tak... Worze moskiewski! - ryknął i porwał za szablę.

Ale nie zdołał jej dobyć. Nagle tłum ruszył, carskich pachołków zmieciono w jednej chwili, zdeptano, stłamszono, odepchnięto. Dymitr padł w śnieg, zgnieciony, obalony przez horde rozwścieczonych Lachów. Część z buntowników rzuciła się do jego namiotu, inni rozbiegli się po kwaterach. Gniew panów braci był krótki i burzliwy. Czeladź i pachołkowie wpadli do szop i składów, poczęli rąbać płachty namiotów, rozbijać skrzynie i kufry, wyrzucać stroje, krzyże i kosztowności na śnieg.

Przybyłowski dopadł Dymitra, rąbnął rękojeścią szabli w kark. A potem wspólnie z kilkoma innymi zdarł z ramion carewicza podbitą sobolami ferezję, za swoje krzywdy. Ktoś inny zerwał kołpak ze szczerozłotym trzęsieniem, wyrwał sakiewkę.

Inni łapali, co wpadło w rękę, rabowali, co się dało, szukając złota.

Nigdzie go nie znaleźli.

Nikt im nie przeszkadzał. Wojewoda wezwał hajduków, ale szlachty było więcej. Złupili carskie podwody, zabrali nawet złotą chorągiew, pobrali konie i podjezdki. A potem długo wyładowywali gniew, bijąc czeladź, rąbiąc wozy i kolasy, tnąc linki i żerdzie carskich namiotów.

Część uspokoił w końcu Mniszech, racząc winem. Inni wracali z łupami do kwater. I zaraz poczęli zaprzęgać konie do wozów, zbierać namioty, skrzynie i beczki.

Dymitr został sam. Na szczęście niedługo. Podnieśli go z błota pachołkowie i kilku z Moskwy. Książ Rubec-Massalski dał mu własną delię.

Bełza, który nie poszedł łupić wraz z innymi, podał mu rękę, ale carewicz odtrącił ją.

- Macie - krzyknął szlachcicowi w twarz, ściągając z palca złoty pierścień. - To jeszcze weźcie! Obedrzyjcie mnie jak pohańca! Na co czekacie?! - zakrzyknął do pozostałych towarzyszy, którzy nie poszli na rabunek, ale czekali, otoczywszy Dymitra kręgiem.

- Wasza Carska Mość myli nasze profesje - rzekł godnie Bełza. - Nie jesteśmy rabusiami, ale żołnierzami.

- I co, zostawiacie mnie tutaj samego jednego? Pod wrogim grodem, w ręku Borysa Godunowa?! Tak, mości panowie Polacy - rzekł i łzy popłynęły po jego obliczu - zebrałem was na wyprawę po moje dziedzictwo, bo tylko wy skruszycie swoją zbroją carskie mury i szeregi wojsk Godunowa. Boście jedyną siłą na świecie zdolną obalać tyranów i miażdżyć całe hordy wrogów. Jedźcie do waszej Rzeczypospolitej! A kiedy już spoczniecie w domach, ja będę na szafocie w Moskwie, długie konanie przeznaczy mi Borys Godunow. A kiedy carscy kaci będą szarpać moje ciało kleszczami, wspomnijcie, że był kiedyś carewicz Dymitr, co chciał wprowadzić światło w granice Wielkiej Rusi. Obalić tyrana i rostrygę Borysa. Lecz wy opuściliście go przy pierwszych tarapatkach. Zostawiliście w śnieżnej zamieci - wy, panowie bracia, Lachy, rycerze i husarze.

- Na razie - mruknął Bełza - jeszcze tu jesteśmy.

- Nie mam pieniędzy, nie będę kłamał. Oddam wszystko, a nawet więcej, gdy tylko odzyskam to, co moje! Dlatego błagam, nie odchodźcie. Car Borys dostał pierwszą lekcję pokory. Teraz warczy jak pies, wyje jak wilk, szamocze się jak niedźwiedź. Ale jego siły nie są wyczerpane. Godunow wyśle przeciwko nam nową armię. Któż ją powstrzyma, jeśli nie wy?!

Bełza rozejrzał się po wilczych obliczach kompanów.

- Dlatego proszę was. I jeśli trzeba, padnę krzyżem - nie opuszczajcie mnie w potrzebie. Bądźcie mi dziś przyjaciółmi, a ja pozostanę waszym druhem jutro - kiedy będę miał pod stopami Kreml! Proszę was, bracia! Pomożecie?

Polacy przycichli. Bełza obejrzał się na pozostałych. Wóz albo przewóz - cóż to było za pytanie.

- Wasza Carska Mość może spać spokojnie - rzekł. - Będziemy upominać się o zapłatę. Nie wiem, jak inni, ale - zostajemy.

A wtedy Dymitr padł przed nimi krzyżem.

Die 12/2 ianuarii

Obóz Dymitra, stacja Dydyńskiego

Wczesny świt

- Mości panie Dydyński. Odchodzimy.

Przybyłowski wyglądał na wzruszonego. Do diabła, jeszcze mi się rozplacze, pomyślał stolnikowic, tonąc w jego uściskach.

- Jesteście pewni?

Przybyłowski przytrzymał go za rękę i spojrzał w oczy.

- Panie Jacku, jedź z nami.

- Dokąd?

- Do Polski. Rzuć w diabły tę awanturę. Wróć tam, gdzie twoje miejsce. Na Ruś, pod Bieszczady. Do Sanoka. Do doliny.

Dydyński milczał. Pierwszy raz, od chwili kiedy przekroczył granicę moskiewską, jego myśli pobiegły ku Dydni i rodzinnym stronom. Ku polom, lasom, górcom, strumieniom. Gdzie było to wszystko? Za klecią wyl wiatr i walił coraz gęstszy śnieg.

- Śniegi spadły na Podgórzu - rzekł Przybyłowski. - Ostatnie złote liście osypują się z buków. Zaczne te nasze bukowe lasy w górach, złote są do samego listopada. Brzęczą dzwoneczki sań, bo trakty zawałone po pachy. Dwory i dworki całe w śniegu, z wielkimi czapami. Dziki wylażą z lasu na pola. Ciągną sarny i jelenie. Tam jest prawdziwa polska zima, tutaj - biała śmierć. Wracaj ze mną! Rzuć w diabły Moskwę, Samozwańca. Co, nie masz u siebie wielu wiosek? A choćby - jeszcze sobie dorobisz. U swoich. Uczciwą służbą i pracą. Klaczka, pszczołka i pszenica wybawią z długów szlachcica. Co będziesz czołem bił skurwysynom pogańskim, psim synom Moskalom, co każdy rad by szyję nam, katolikom, urezać.

- Nie mogę, panie Mikołaju. Nie czas.

- Co cię tu trzyma? Przecież nie zasługi. Prędzej jezuici zaczną gadać prawdę, niż zobaczysz choć talara z Dymitrowej szkatuły.

- Muszę odnaleźć rodzinę.

Przybyłowski pokiwał głową.

- Ja myślę, że prędzej znajdziesz śmierć.

- Bywaj, panie bracie.

- Będę się modlił za ciebie. Z Bogiem.

- Z Bogiem!

Tak oto rozstali się w zgodzie, choć przy poznaniu poszczerbili na szable. Połowa obozu gotowała się do wymarszu, ruszała konno i koleśno na zachód i południe - do polskiej i

litewskiej granicy.

Szły całe roty, poczty, piesi i konni. Ranni jęczeli w telegach, inni wiedli rumaki zamorzone jak śmierć, niektórzy maszerowali dziarsko z kulbakami na plecach, przynosząc ze służby u Dymitra guzy i rany, sińce i pręgi, pozostawiwszy konie, czeladź, wiernych przyjaciół na skutej lodem moskiewskiej ziemi.

Wicher wył, wciskał się w szczeliny, miotał śniegiem. I zasypywał ślady uchodzących.

Die 14/4 ianuarii

Obóz Dymitra, godzina ósma rano

Kończyły się sny o potędze. Odchodziły całe roty, doborowe towarzystwo i pachołkowie. W całości podziękowała za służbę chorągiew Kruszyнина, Stanisława Mniszcha, starosty sanockiego, Szczuki. Z innych została ledwie połowa ludzi i koni; nie było sensu, aby przeciągać ich istnienie. Zwinięto zatem chorągwie i z połączonych pocztów stworzono nowe: Białoskórskiego, Borszy, Wierzbickiego.

Nie opuściły służby: petyhorcy Dworyckiego, roty husarskie cara, Kruszyнина, Bylińskiego, w całości Tyszkiewicza i kozacka Mikulińskiego. Została, rzecz dziwna, większość ochotników - wolentarzy, piechota wojewody i niemiecka, a także, rzecz oczywista, moskiewskie sotnie Massalskiego i innych bojarów, wzmocnione o jeńców wziętych w bitwie pod Nowogrodem. Było ich wszystkich, razem z Kozakami i Lachami, dobre piętnaście tysięcy wojska. Za mało jednak, by trwać pod Nowogrodem. Na radzie zatem Dymitr postanowił o zdjęciu oblężenia. Poderwał armię i wyruszył z nią na wschód, pod Siewsk, do włości komarnickiej, przez zamrożone, zaśnieżone pola. Na odpoczynek, popas i dłuższe, ale na szczęście nie wieczne odpoczywanie.

Die 17/7 ianuarii

Obóz Dymitra pod Siewskiem, około południa

Już w parę dni później nadeszło kilka tysięcy Dońców, a wraz z nimi wieści z Moskwy, które obudziły w sercu Dymitra nadzieję na lepsze jutro. Królową wszelakich nowin była ta, że Borys Godunow, dowiedziawszy się, iż Lachy i Kozacy sromotnie przetrzepali skórę Mścislawskiemu, niemal oszalał ze strachu ukryty za murami Kremla. Pomówił Mścislawskiego o zdradę, odebrał mu buławę i mianował wojewodą Dymitra Szujskiego,

nakazując, aby ten jak najszybciej zebrał nowe wojska i rozprawił się z Samozwańcem.

Szujski jednak czekał, zwlekał, chodziły słuchy, że chce przeciągnąć wyprawę do wiosny, bo śniegi zawałyły trakty i dukty, a carskie wojska pobite i rozproszone. Godunow zatem odebrał godność wielkiego wojewody Dymitrowi, a potem mianował jego brata Wasyla, który nadciągnął do obozu pod Starodubem ze świeżymi posiłkami i niemieckimi rotami zaciężnymi.

Tak zatem Borys Godunow powierzył wojenny los i szczęście w ręce łysego i sędziwego starca, który mógłby śmiało stać się kolejnym moskiewskim świętym. Mógłby - gdyby nie jego pycha i duma, która kazała mu śrubować się nad innych książąt, dumnych bojarów. Szujski bowiem nade wszystko pożądał Czapki Monomacha. I co najciekawsze - miał do niej niemal równe prawo co Borys - jako potomek książąt Niżnego Gorodu i Suzdału.

Szujski był nieodrodnym synem krwawej matki Rusi. Układny, gdy czuł nad sobą carskiego buta, stawał się okrutny i nieprzejednany, kiedy miał siłę i władzę. Nie brakło jednak takich w obozie Dymitra, którzy twierdzili, iż był przychylny Lachom, a nawet mówił po polsku. Stąd też lekceważyli go niektórzy Moskale, albowiem Szujski - rzecz niebywała w Moskwie - czytał książki jak jaki zwykły mnich czy pisarz ziemski! A to już było nie do pojęcia w tym kraju.

Nowy zaciąg do armii szedł opornie, choć carscy werbownicy, szafując knutem i żelazem, wcielali chłopów i niechętnych dworian do piechoty i jazdy. Szujski zaś ucałował chrest Borysa, bił czołem caru, potem z podniesionym czołem wyjechał bić Samozwańca, rostrygę i fałszywego carzyka.

Zostawił za sobą złotą Moskwę w oparach grozy i strachu, cara obawiającego się własnego cienia - czy nie ukrywają się w nim spiskowcy i poplecznicy Dymitra. Znów zapelniły się tiumry i lochy, a ku uciesze wron i kawek zatrzeszczały stryczki na placu Czerwonym. Godunow szalał i mordował. Mensona Bułhakowa utopiono w przeręblu za to, że pił zdrowie Dymitra na bankiecie. Żonę i dzieci Michaiła Tołoczanowa, który przeszedł na stronę Samozwańca, zamknięto w więzieniu.

I wystąpiła Cerkiew. Metropolita Hiob ogłosił Dymitra heretykiem - rostrygą, a Izydor z Nowogrodu rzucił na niego klątwę.

A Dymitr? Cóż - spał spokojnie na kwaterach. Przyjmował poselstwa i deputacje od ludu, Kozaków, czerni, dworian i bojarów. Każdego przyjął, grzecznie witał. A sława jego rozchodziła się, ogrzewając zamarznięte serca.

Siły Dymitra rosły. Poddawały mu się coraz to nowe miasta i wioski. Na wieść o zwycięstwie wstał rozruch i bój w Rylsku nad Sejmem. Mieszkańcy przysłali deputację i

poprosili, by car dał im dobrego człowieka na wojewodę. Koniecznie zaś prosili o Polaka, bowiem, jak rzekli w prostych, zwykłych słowach - od wieków każdy Moskał, który nastawał na urzędzie, okazywał się łotrem, szelmą, bladim synom i śmierdzącym bydlęciem.

Carewicz wysłał pana Borszę. Jacek Dydyński, kiedy dowiedział się o wzięciu Ryłska, zamarł. A potem zgłosił się do Dymitra po permisję, to znaczy zgodę na odjazd.

W Ryłsku, jak mówił Izmajłow w czasie pamiętnej krwawej uczty, żył pop Witalij Trofimowicz. I w Ryłsku Dydyński postanowił całą sprawę ostatecznie i definitywnie zakończyć.

Zabrał Borysa, zostawił Nieborskiego pod chorągwią.

I pojechali - na dwa konie, razem z Borszą.

ROZDZIAŁ XII

Diabelski Chrest

Dydyński i Borys w Rylsku • Na targu • O popiej sodomii • Zasadzka • Krzyż, który ratuje życie • Dalej w lasy • Tajemniczy więzień • Ikona i znak • Zdrajca w płomieniach • Oboleński ratuje stolnikowica • Powrót marnotrawnego pocztowego • Przysięga • Nadchodzi śmierć • Dziecko Hołomoru

Die 18 ianuarii nowego stylu, 8 starego stylu

Anno Domini 1605

Roku 7114 od stworzenia świata

Posad w Rylsku, świt

Wjechali do Rylska o świtaniu, kiedy dzień przedzierał się przez zasłone chmur. Śnieg leżał na traktach i ulicach, okrył mroźną szubą dachy, wieże i wały, zasłonił nędzę moskiewską i ubóstwo grodu, który obsypany bielą wyglądał jak z bajki.

Dzwony trzynastu cerkwi i monasteru Wołyńskiego były na poranne nabożeństwo, kiedy dotarli na plac targowy. Przejechali obok ław, wokół których przemieszczał się tłum grubych Moskali okutanych po same oczy, w szubach, kozuchach, baranicach. Mężczyźni w brunatnych i brązowych kołpakach, niewiasty w chustach i wołosnikach, z rękoma ukrytymi w rękawach mufek. Kolory brązowe i szare, z rzadka mignął żółty kaftan diaka albo bojarzyna.

Dydyński nie wiedział, gdzie szukać popa Witalija Trofimowicza, i był gotów rozpytywać o to po cerkwiach i monasterach. Na szczęście Borys wpadł na lepszy pomysł. Zamiast gadać z kupcami, pociągnął szlachcica pod bracką cerkiew, gdzie jęczeli dziady, starcy i jurodiwi, po czym obrał sobie za cel siwowłosego żebraka w łachmanach. Za garść denieg stary nie tylko gotów był wyśpiewać wszystko, co wie o popach w Rylsku, ale i do końca życia modlić się za zdrowie wielmożnych do Mikołaja Cudotwórcy. Tak dowiedzieli się, że pop Witalij Trofimowicz był diakonem w Pokrowskiej cerkwi, a jego dwór wznosił się na tej samej ulicy.

Dydyński przyjął pomysł Borysa niechętnie - wręcz miał ochotę palnąć go w gębę, żeby Moskal czasem nie pomyślał, że jest sprytniejszy od pana. Darował mu jednak i oznajmił, że mają z popem do pomówienia. W rzeczywistości jednak szlachcic ani myślał zawracać sobie głowy pogawędką, zamierzał porwać Witalija, a potem przycisnąć, aby pokazał drogę do Starca.

Popi dwór nie były okazały - z sosnowych okrągłych bierwion, nieociosanych w podłużne belki jak dwory i karczmy w Polsce - otoczony palisadą, zza której wystawały kryte korą dachy powarni, czyli kuchni, obory i szopy. Z komina polatywał dym, wszystkie cztery wrota były zamknięte na głucho. Nad głównymi widniała ikona świętego Jerzego na siwym koniu, przebijającego nikczemnego, wijącego się pod nim skrzydlatego węża. Wąż nie miał - o ile Dydyński mógł dostrzec - oblicza polskiego szlachcica ani papieskiej tiary na łbie.

Przywiązali konie do drągów przed wejściem i załomotali do drzwi, bo Jacek nie miał innego pomysłu, jak dostać się do środka, a Borysa wolał nie pytać. Minęła chwila, szcęknięły żelazne kuny i wrota otwarły się trochę.

Szlachcic wyciągnął rękę, aby chwycić sługę czy pacholka za brodę.

Przeliczył się, bo w szparze zamajaczył zupełny gołowąs - chłopiec liczący może trzynaście wiosen. Dydyński zatoczył się - zamiast go złapać, popchnął; wpadł w czeluść bramy, do wrotnej izby. Sługa krzyknął, ale tylko raz. Jacek ucapił go za kark, zatykając gębę.

- Prowadź do popa! Spróbuj pisnąć, a zapłaczesz krwawymi łzami. Doprowadzisz, włos ci nie spadnie. Idź!

Szlachcic popchnął wyrostka w stronę dworu. Weszli na ganek, z niego na schody zabudowane dachem i galerią. Potem na podkiet, do gornicy. Pacholik otworzył drzwi, skłonił głowę, przechodząc przez próg. W środku było gorąco, buchało parą, zapachem kapusty i gotowanego mięsa.

- Bez sztuczek!

Chłopak, dygocąc, wskazał drzwi do bocznej izby - szerokie, dębowe, nabijane bretnalami. Jacek czuł jego strach.

- Batiuszka Witalij zakazał wchodzić - wyszeptał wyrostek. - Ja tam nie pójdę... Za żadne skarby, ojczulku. On Somkę na piec zabrał, a ja nie chcę, aby i mnie wziął. Znaczy do siebie... Boli, wujaszku!

Dydyński nic nie zrozumiał z tych słów. Somka? Czyżby pop zabawiał się z dziewczką? Nie mogli trafić na lepszą chwilę.

- Stój tutaj i milcz.

- Będę jak myszka, ojczulku. Oj, proszę, przez Przeczystą Bohorodnicę, nie ubijajcie!

- Dzieci i niewiast nie zabijam.

Dydyński przyłożył ucho do drzwi, ale nic nie usłyszał. Kopnął je, jakby chciał wyładować na drewnie całą złość na Dwór, Dymitra i Moskwę, wpadł do komnatki. Złapał za szablę, kiedy rozległy się krzyki, a z pieca poderwał się mały, rudobrody chłopina wyłysiały nieco na ciemieniu, obciągając koszulę poniżej pasa. Za nim w łóżku rozległ się cieniutki okrzyk, świadczący, że pan Dydyński nadciągnął w odpowiedniej chwili, aby uchronić protopopa przed grzechem.

- Co to?! Co to? - pisnął cienko Witalij. - Czego chcesz, łajdaku!

- Zabrać do piekła grzesznego popa! - wypalił Dydyński. - Cóż to, nie widzisz, że jestem Lach - diabeł! Padnij na kolana, bo jeszcze dziś staniesz przed Panem! Borys, bierz go!

Pop wrzasnął, kiedy zwalisty Moskał chwycił go za ramię i wyciągnął z legowiska niczym niepokornego psiaka. Witalij pisnął, zaklął wcale nie pobożnie, wybałuszył okrągłe oczęta.

- Nie mam złota! - zakrzyknął. - Idźcie do Iwana Zarudina! Skatina bakszysz od posadzkich bierze! Więcej ma, niż wygląda!

- Nie przyszliśmy cię ograbić, ale pogadać! Ubieraj się!

Pop odetchnął, a Dydyński zdębiał, bo rzucił wzrokiem na piec, na którym kuliła się... wcale nie bujna ruska dziewczka albo hoża słowiańska dziewoja z sarmackich snów, ale... Niewiasta płaska jak deska, pryszczata i chuda, podgolona krótko - jak chłopiec.

Bo to, do diaska, był chłopiec! Borys nie okazał zdziwienia, uśmiechnął się krzywo z miną bywalca, co już niejedno widział. Za to szlachcic nie mógł wyjść ze zdumienia. Sodomia... Na wszystkie członki świętego Stanisława - sodomia! U duchownego?

- Ubieraj się! - Zerknął podejrzliwie na popa.

- Czego chcecie?!

- Zabierzemy cię za miasto!

- Z łacinnikami nie pojedę!

- Kto ci powiedział, że będziesz jechał. Zapakujemy cię do worka!

- Co wy za jedni? Nie znam was.

- Nie z twojej parafii. Ubierajże się! Borys, naucz go porządku, a szybko, bo i tobie się dostanie!

Borys nie krzyczał, nie groził, odnosił się nawet do ojczulka Witalija Trofimowicza z pewnym szacunkiem, bo bez szarpania pomógł mu narzucić na rubaszkę kaftan, popie szaty i szubę.

Dydyński kopnął w jego stronę czoboty.

- Prędzej!

Popina drżał ze strachu, ale ubierał się posłusznie, łypiąc to na Borysa, to na Dydyńskiego - na tego pierwszego z nadzieją, a na drugiego ze strachem. Kiedy wzuł buty, szlachcic popchnął go do sieni.

- Idziemy!

- Fiediuszka! - rozdarł się protopop na widok małego sługi, który wtulił się w kąt izby.

- Biegnij po ludzi, rwetes rób! Nie zostawiaj.

Chłopiec dygotał, ale nic nie pisnął. Obrócił głowę, aby nie patrzeć na ojczulka.

- Fiediuszka, łajdaku! Bodaj cię wilcy rozdarli. Sprawię ci basy, jak wrócę.

- Nie gróż! - Dydyński pchnął go z furją. - Skąd wiesz, że wrócisz? A ty, mały, trzymaj język za zębami.

Przemierzyli sień pełną kwaśnego zapachu kapusty, pchnęli drzwi na schody i...

I stanęli jak wryci.

Mierzyło w nich pięć luf moskiewskich piszczeli. Błyszczały szable, czekany, dwa berdysze wielkie jak półksiężyc na niebie.

Dydyński zliczył Moskali. Siedmiu. Nie wszyscy zmieścili się przy drzwiach - część stała niżej, na schodach.

Dziewięciu. Duża siła. Sześciu strzelców w kaftanach, ferezjach, szubach.

- Nie uciekaj, Lasze! - zagrmiał najbliższy, bez brody i szczerbaty, aż świszcząło. - Bo wszystko, co na tobie, nasze!

Dydyński puścił ramię popa. Ojciec Witalij przezornie odsunął się na bok, wmieszał w tłum i przeżegnał - wolno, z namysłem.

- Łajdaki! - zakrzyknął do szczerbatego. - Bliaduny! W żopien' sto chujew wam wbit'! Ile miałem na was czekać?

- Nie sumujcie, ojczulku - zabryzgał śliną szczerbaty. - My ich widzieli, jak leżli i Fiedię złapali przy bramie. Tak i przyczailim się, bom zaraz myślał: przyskrzynimy Litwę!

- Kto was nasłał? - zapytał pop, a jego piskliwy głos zabrzmiał jak zgrzyt żelaza po szkle. - Łzedymitr? Wojewoda?

Dydyński milczał, bo nie wiedział, co rzec. Zasadzka była tak niespodziewana, że po prostu zapomniał języka w gębie.

- A nieprzyjaciel Antychryst będzie poczęty w nierządzie z bladzi Żydówki, z plemienia Dana - rzekł pop. - Lecz Pan na niebiosach założył stolicę swą, a królestwo Jego nad wszystkimi panuje! Dalej, łajdaki, zabrać im broń!

Dwóch, trzech popich służalców skoczyło do Jacka i Borysa. Z przykrym

szarpnięciem rozpięli pas z rapciami. Wysoki, ospowaty drażał o twarzy równie rozumnej co oblicze drewnianego bałwana porwał za czapkę stolnikowica, po czym - rzecz oczywista - zaraz założył ją na swoją głowę. Drugi wyrwał pistolet z ręki Borysa, a trzeci szarpnął za rękaw delii i począł zdzierać ją z pleców szlachcica.

- Ani mrugnij, Liasze! - warknął szczerbaty, mierząc z puszczeli wprost w brzuch Dydyńskiego.

- Przeszukać ich!

Zerwali stolnikowicowi kaletkę. Borysowi zdarto szubę, popchnięto pod ścianę. Sprawa szlachcica i jego sługi zaczynała robić się coraz bardziej rozpaczliwa. Zarośnięty aż pod oczy, czarnobrewy typ rozpiął sprzączkę, wysypał na schody zawartość kalety. Z brzękiem potoczyły się diengi, orty i szóstaki. Garść pereł i kilka kamuszków oraz węgierskich dukatów zerwanych z bojarskich kołpaków pod Nowogrodem.

A także coś dużego i brązowego. Chrest z niedźwiedzim łbem. Zarośnięty chwycił go chciwie. Chciał wetknąć za pas, kiedy pop trącił go po ramieniu.

- Iwan, co tam chowasz, łajdaku!

- Oj, krzyżyk, ojczulku najmilszy. I nie chowam, alem... odłożył! Aby do szpary nie wpadł!

- Pokaż!

Pop ujął Niedźwiedzi Chrest, podniósł do oczu i zaraz skoczył do Dydyńskiego.

- Skąd to masz, łajdaku?!

- Az jesm' s wami i niktoże na wy - rzucił szybko Jacek.

Pop spojrział na niego okrągłymi oczkami. Pulchna twarz zamarała, broda zafalowała niebezpiecznie. Co teraz? - pomyślał Dydyński. Trafiłem go w sedno czy nie? Co będzie?!

Pop uniósł rękę...

I złożył Dydyńskiemu tak czołobitny ukłon, jakby nagle zobaczył samego Chrystusa.

- Batuszka nasz rodzony! Puścić ich, łajdaki! To swoi.

Jacek zerknął w bok, na zarośniętego Moskala, który właśnie próbował włożyć jego delię. Szlachcic wziął zamach! Kopnął w krocze z takim impetem, że Moskał wrzasnął, zatoczył się, wystawiając wypięte siedzenie. Ma się rozumieć, że stolnikowic wykorzystał okazję jeszcze raz - i to z takim zamachem, jakby na chwilę zamienił się w króla Zygmunta Wazę grającego na wawelskich komnatach w sodomicką piłkę.

Moskał zawył, rąbnął łbem w balustradę ganku, a szlachcic podszedł do niego, zerwał delię, strzepnął, aby przypadkiem nie zostały w niej jakieś mendi. A kiedy narzucił ją na ramiona, podszedł do ojczulka Witalija, który z ujadającego pieska zmienił się w ciepłą i

uległą klucę.

Szlachcic bezceremonialnie wydarł mu z ręki Niedźwiedzi Chrest.

- Całuj!

Pop pokiwał głową, przymrużył oczy i ucałował wydętymi śmiesznie wargami ramiona krzyża. A potem wyciągnął rękę po krzyż. Szlachcic oddał mu go, a pop schował Chrest w zanadrze.

- Witalij Trofimowicz! - zagrział szlachcic. - Czyś ty zszedł z uma? A może nabawiłeś się galickiej choroby przez zadek swojego Turczyńka?

- Wasze błagorodie, ojczulku najśłodszy... Skądże ja miałem wiedzieć, że przyjedziecie?! Żebyście Chrest od razu pokazali - na kolana, łajdaki! - toby nie było zamętu. A my przecież czekaliśmy, wierni Dworowi jak sobaki, jak raby, chołopiszki twoi czarni.

- Czekaliście! To dobrze, bo mam z tobą do pomówienia.

- Wszystko już przygotowane, ojczulku najdroższy. Dlatego ludzi w pogotowiu miałem, a oni przecie też nie anioły - nie mogli wiedzieć, kto przyjedzie. Myśmy myśleli, że ktoś nasz...

- Rozkazy się zmieniły.

- To nic, wszystko gotowe. Konie czekają, sanie i podjezdki. Wsiadamy i jedziemy, batuszka.

Jedziemy? Ale dokąd? - pomyślał Dydyński.

- Gdzie chcesz mnie zabrać?

- Jak to gdzie? Nie wiecie, batuszka? Do Frołowa! Nie trzymamy go tutaj, w środku miasta. Zawieziemy, a jakże.

Dydyński czuł na sobie wzrok Borysa, diakona i jego bandy. O Boże!

- Jak mamy jechać, to w drogę.

- A to proszę, wasze błagorodie, do sań, ze mną, ojczulku. Ja zaraz zaprowadzę.

- Nasze konie są na ulicy.

- Konie? To wy nie saniami? Dziwne.

- Tak szybciej. Śniegi na drogach.

- Chwiedko! Rusłan! Zaprzęgać woźniki.

Czeladź i służba popa zakrzętała się jak w ukropie. Dydyński siadł do sanek wymoszczonych niedźwiedzią skórą razem z Witalijem, jego konia poprowadził z ręki Borys. Zaprzęgnięto siwe woźniki, zabręczały dzwoneczki. Wszystko trwało nie dłużej niż kilka chwil.

Zanim jamszczik zdzielił konia nahajem, ponury drab o gębie wyciosanej z drewna

wstawił im do sań drewniany szaflik z pokrywą i dużą zębatą piłę. Jedno i drugie pokrywały rude nacieki i plamy.

Otwarły się wrota i kawalkada jeźdźców ruszyła z kopyta prosto na ulicę, a potem obok cerkwi Pokrowskiej, nad której cebulastymi kopułami krążyły stada wron i kruków. Jechali, przebijając się przez gwarne ulice. Przemknęli pod wyniosłym sklepieniem bramy, gdzie strzelcy rozgrzewali się, przytupując, chuchając albo waląc po bokach pięściami. Wypadli na szeroką połąć zaśnieżonych pól. Spod kopyt końskich leciały grudy śniegu i lodu, spadały na delię Dydyńskiego i niedźwiedzią skórę, śnieg kurzył, osiadał na futrach, szubach i kołpakach, ptaki zrywały się do lotu z drzew.

Pędzili. Lecz dokąd i po co?

Die 18/8 ianuarii

Las pod Rylskiem, popołudnie

Gnali przez lasy, a raczej chrusty, bez wytchnienia. Z każdą milą, która dzieliła ich od Rylska, niepokój Dydyńskiego wzrastał. Jechali do Starca? Chyba nie, skoro brali go za jego wysłannika. Ojciec Witalij uśmiechał się, ale słuźalczco. Jacek już dawno zdołał się nauczyć, że u Moskala mogło to znaczyć zarówno niewolniczą uległość, jak i radość z tego, że zwabił Lacha w pułapkę.

Tylko na krótko dawali odpocząć koniom. Pędzili przez lasy pełne sosen i świerków, w których nie uświadczylesz szlachetnych dębów, jodeł, modrzewi czy buków, drewno dobre do kurnych chat i na rozpałkę, ale nie na budowę dworu. Wszystko przykrywał gruby na łokieć kozuch śniegu, oblepiający gałęzie drzew, zmieniający powalone pnie i krzaki w puszyste bałwany, w których dopatrzeć się było można przyczajonych upiorów i zjaw. Tłumiący dźwięki, skrzący się w słońcu tysiącami lodowych igieł.

I wreszcie sanie zwolniły. Jadący przodem szcherbaty popi sługa okrzyknął się komuś. Kiedy doczekali się odzewu, ruszyli z kopyta i wkrótce stanęli na polanie otoczonej kręgiem drzew tak okrągłym, że wyglądała jak miejsce, w których poganie oddawali cześć starym bogom.

Pop odrzucił niedźwiedzią skórę, zeskoczył na ziemię i z uszanowaniem pomógł zejść Dydyńskiemu.

Szlachcic stropił się, bo wszyscy patrzyli na niego. Jak sfora wilków na łup? Czy raczej jak Moskale - z politowaniem na Lacha, któremu zaraz urezają gardło?

Pop wyratował go z opresji. Poprowadził do wyschniętego drzewa. Szlachcic szedł i

patrzył. Szałas i ziemianka. Nad kłecią unosi się smuga dymu. Z ziemi podrywają się dwaj Moskale w kozuchach obróconych niedźwiedzią sierścią na wierzch i równie zarośniętych gębach. Kłaniają się.

Ziemianka nie ma drzwi. W środku... stosy drewna jak w hutniczym piecu.

Będą rozgrzewać żelazo? Palić żywcem? Kogo?

Obrócił się, kładąc broń na rękojeści szabli. Moskale stali za nim kręgiem, śmiali się szyderczo. Borys dołączył do nich, był częścią tłumu.

- Czego chcecie? Po co mnie tu przywieźliście?

Pop skłonił się, oczka błysnęły groźnie.

- Dawajcie brata Frołowa! - rzucił do kudłatych przy szałasie.

Dydyński czekał. Nic innego nie pozostało. Ośmiu Moskali, Borys, którego nie mógł być pewien, dwóch zarośniętych z lasu. Pop. Jedenastu na jednego - siła zbyt wielka nawet na pierwszą szablę Ziemi Sanockiej.

Dwaj leśni słudzy ojca Witalija kopnęli się do szałas, aby po chwili wrócić z jakimś człowiekiem. Postawnym jak głaz.

Ale nie katem. Wyglądał raczej jak kłęb łachmanów albo uosobienie Biedy i Opresji w jednym. Bosa, skuty łańcuchami, dygocący, ledwie miał siłę iść. Po brodzie Jacek poznał w nim Moskala, ale na reszcie ciała Dwór wypisał krwawymi ranami gniew, złość, a może raczej okrutną sprawiedliwość. Jeniec był ledwie żywy - pastwiono się nad nim na wszelakie możliwe sposoby, poczynawszy od przypalania, a skończywszy na chłoście i miażdżeniu kciuków. Jedno oko niknęło pod krwawą bulwą. Drugie ledwie widziało, było zalane krwią. Mówić już nie mógł, usta po prostu zaszyto mu dratwą.

Kiedy go puścili, zwałił się w śnieg.

- Sprytnie się ukryliście, bracie Grigoriju - rzekł ojciec Witalij. - Byliście zdrajcą. Zbiegliście na Litwę, myśląc, że tam nie dosięgnie was ręka Dworu. Głupiście, Grigoriju, synu marnotrawny, myśląc, że wypuścimy potercza twoim tropem. Tak bowiem jak Cerkiew ustanowiona przez Pana i utwierdzona przez apostołów jest jedna dla wszystkich ludzi, tak Dwór jest jedyną opoką i ostoją. A kto złamie prawa, to jakby złamał serce Zbawicielowi. Kto się postawi poza nim, ten jakby wstąpił do piekła...

Zapadła cisza. Więzień dygotał; usta miał zaszyte, więc spoza warg dobył się tylko jęk, zdławione wycie.

- Głupi! - ciął słowem jak kańczugiem pop Witalij. - Myślałeś, że będziesz żył na Litwie bez grzechu? Nie takie to proste. Sam przekonałeś się, że tylko tu, na świętej Rusi, kwitnie źródło prawdziwej wiary. Wróciłeś więc, zebrząc u nas o łaskę, która nie została ci

udzielona. Wszak naucza Pan: *Co żeście uczynili braciom swym najmniejszym, mnie żeście uczynili.* A kto podnosi rękę na prawosławny krzyż, kto wiarę odmienia, jest tylko drzewem na opał.

Umilkł. Wiatr zaszumiał wśród drzew, strząsnął z nich śnieg, zasnuł powietrze wilgotną mgłą strąconych płatków. Cisza przedłużała się. A Dydyński poczuł, że wszyscy spoglądają na niego.

Nie wiedział, co rzec. Był bezradny, zziębnięty. Tyle mil drogi, tak straszna tajemnica, oczekiwanie śmierci albo wyjawienie sekretów Dworu. A tutaj czekał go śnieżny szałas i ledwie powłóczący nogami trup zdrajcy.

- Co teraz, bracie? - zapytał pop.

- Czyńcie, co macie czynić.

- A wy?

- Ja umyvam ręce. Albowiem jestem tylko świadkiem woli Starca.

Witalij skinął na kudłatych. Moskale poderwali z ziemi jeńca. Powlekli go - osłabłego, z opadającą głową - w stronę ziemianki. Dydyński podążył za nimi. Widział, jak wydobyli drewniane nosze, rzucili je w śnieg, a potem przemocą ułożyli na nich więźnia. Związali go liną jak barana.

- Nie przebaczaj mi, Chryste - zaintonował pop. - Nie, nie przebaczaj mi, lecz do piekła ześlij. Ogniem przypalać będą, a ja będę Cię wysławiać, a ja będę Cię kochać. Daj mi cierpienie. Ześlij cierpienie.

Szczerbaty Moskal zapalił pochodnię. Podeszedł do ziemianki, w której piętrzyły się stosy drew. Dwaj pozostali unieśli nosze z zakrwawionym więźniem.

Jacek wiedział, jak to się odbędzie - spalą go, poddając próbie tak jak złoto w piecu, a żelazo w ogniu. Spopiela w ziemiance, tak aby nie pozostało nic więcej niż garsteczka popiołu.

Co robić? Ochronić go?! To jawna demaskacja. Dydyński domyślał się już, że dzięki Chrestowi służebnicy Dworu wzięli go za wysłannika Starca, który miał być obecny przy egzekucji.

Ratować? Zatrzymać kaźń?

Strach dławił go za gardło. Był sam z tymi strasznymi Moskalami. Sam jeden na polanie w środku boru. Co teraz? Co mówić? Co robić? Co...

- Wstrzymajcie się!

To był jego ochryply głos. Witalij podniósł głowę, zmierzył Dydyńskiego baczny spojrzeniem. Któryś z Moskali splunął.

Domyślili się! Jak długo mógł być wilkiem w owczej skórze?!

- Zanim to wszystko nastąpi, chcę mu coś rzec! Na osobności! Precz!

Moskale zamarli.

- Precz, bladzi syny! - zagrzemiał. Zawahali się, pop machnął ręką w powietrzu, ale uklonił się nisko.

- Wedle woli, batiuszka.

- Wszyscy won!

Złożyli nosze na śniegu, cofali się - tyłem, bacząc na każdy ruch Jacka. Odpędzał ich rękoma, groził pięścią, dopóki nie roztopili się w lesie.

Był sam. Jedno wielkie westchnienie ulgi. Pochylił się bezradnie nad strzępem człowieka, którego ciągle jeszcze trzymała się dusza.

Cóż miał uczynić? Co powiedzieć? Dać nadzieję, czy raczej przyrzec sprawiedliwą zemstę?

- Az jesm' s wami i niktoże na wy - rzekł tamtemu do ucha, a raczej jego strzępów. Miał nadzieję, że zameczony prawie na śmierć człowiek nie stracił zmysłów. - Rusz głowę, jeśli mnie słyszysz, bracie Grigoriju.

Powoli, bardzo powoli zakrwawiony łeb zadygotał, poruszył się, kiwnął wolno w górę i w dół.

- Służę Dworowi tak samo jak ty. Wstrzymałem egzekucję, bo chcę dać ci szansę.

Więzień dygotał i jęczał. A stolnikowic modlił się, aby tamten zrozumiał wszystkie jego słowa.

- Jestem przekonany, że Stariec daruje ci winę, jeśli ja osobiście wstawię się za tobą. Nie jestem godzien, aby widzieć jego oblicze, ale dziś mogę odwlec sąd za grzechy.

Skazany zadygotał i zajęczał.

- Jednak potrzebuję, abyś wskazał mi drogę do niego. Jak i gdzie mam go znaleźć? Kim on jest? Powiedz mi, a ja będę bił czołem w twym imieniu tak mocno, że zatrząsą się w posadach wieże Kremla. Wyjednam ci łaskę. Będziesz żył tu, między nami, na świętej Rusi. Rozumiesz?

Ranny dygotał na całym ciele, ale Dydyński dostrzegł, że spazmatycznie kiwa głową.

- Jak dotrzeć do Starca?

Ledwie to powiedział, już pojął bezsens tego pytania. Jak tamten mógł mu coś powiedzieć, skoro usta miał zasznurowane?

Dydyński poluzował linę opinającą Moskala, uwolnił jego rękę z więzów.

- Pokaż! Daj znak.

Ranny zajęczał, podniósł pokrwawioną rękę do zaszytych ust.

Dydyński rozejrzał się. Przeciąć dratwę? Na Boga, bał się. Bo co powiedzą tamci, kiedy wrócą?

- Nie mogę rozciąć ci ust! Wrócą i zobaczą. Pokaż mi, jak trafić do Starca. Chcę tylko bić mu czołem w twoim imieniu.

Ranny, popalony i zmęczony więzień jęczał i dygotał. Kręcił głową.

- To twoja ostatnia szansa, bracie Grigoriju. Nie proszę o żadną z twoich tajemnic.

Ręka rannego miotła się po omacku jak ryba wyrzucona na brzeg. Złapała za drugą, związaną sznurami, potrząsnęła.

Dydyński rozsuptał z trudem więzy, uwolnił drugą rękę Moskala.

A wtedy więzień chwycił go za prawą dłoń i przytrzymał. Lewa ręka dygotała, kiedy obmacywał łańcuchy na piersi, znalazł ranę na boku, a potem rozerwał strupy, pod którymi pojawiły się rany nabrzmiałe krwią. Jedyne oko mrugało spod ran. Umazał palce lewej ręki w czerwieni, szarpnął za sztywną od krwi i brudu koszulę, rozerwał ją, obnażając chudą, dygocącą na mrozie pierś. I jednym ruchem nakreślił krwią na własnej skórze znak - falującą linię zwieńczoną kropką. Co, u licha?

- Czy to jest droga do Starca?

Przeczenie. Jęk.

- Jego symbol? Herb?

Nie.

- Tak wygląda Stariec?

Potakiwanie, długie, mocne.

- Gdzie on jest? W Moskwie? Na Kremlu?

Przeczenie i jęk.

- Na południu, przy ujściu Thanais?

Przeczenie.

- Na północy?

Milczenie.

- Nie wiem, co znaczy ten wężyk. Jak mogę go odczytać? Pojąć?

Szybki ruch - Moskal nakreślił krwią na ciele krzyż, otoczył go palcem, zakreślając niemal okrągłą linię.

- Co to znaczy? Cerkiew?

Przeczenie.

- Stariec to pop?

Przeczenie.

- Święty obraz?

Tak...

- Ikona?

Tak.

- To za mało! Pokaż mi mapę albo po prostu kiwaj głową: tak lub nie, gdy będę pytał. Rozumiesz, Moskalu? A zatem: Stariec jest daleko stąd?

Milczenie.

- Blisko?

Więzień jęczał i dygotał. Dydyński przygryzł wąsa. Pytał dalej, ale skazaniec nie był skory do pogawędki.

Jacek chwycił prawą rękę tamtego i przywiązał na powrót do noszy. To samo uczynił z lewą. Przybliżył usta do ucha ofiary.

- Nie chcesz nic pokazać, psi synu Moskalu - wycedził. - Zatem pozwól, że ja z kolei powiem ci kilka słów prawdy. Nie jestem bratem z Dworu. Nie jestem człowiekiem ruskiej wiary, ale Lachem, który wdarł się w wasze szeregi...

Przez chwilę dyszał ze złości, bo miał już dosyć tego wszystkiego. Wojny, Moskali, Dworu, ruskich diabłów, proroków i świętych.

- Śledzę was i rozgryzam od środka - ja, szlachcic polski, wilk w owczej skórze. I zapowiadam, że wkrótce zastukamy z szablami i czekanami do waszej nory. Wywlecemy stamtąd wszystkich ludzi Dworu. I zarąbiemy jak psy! Wasze cerkwie, wy, Moskale, psubraty, zdrajcy, będą czerwone od krwi, wasze głowy druzgotać będą kopyta naszych koni. Wybijemy was co do ostatniego, zaorzemy po was ziemię i posypimy solą, jak Rzeczpospolita Rzymska dawną Kartaginę. Aby wasz Stariec nigdy nie wstał z grobu.

Więzień jęczał, charczał, dusił się. Szarpał rękoma, jakby był w powijkach. Nie mógł się uwolnić, nie mógł krzyknąć.

- Hej, bywaj tu! - zakrzyknął Dydyński.

Moskale od razu wypadli spoza drzew.

- Kończyć z nim! - krzyknął. - Rozpalajcie ogień!

Nie trzeba było im tego powtarzać. Szczerbaty skoczył z pochodnią do ziemianki, podłożył ją pod smolne szczapy. Płomienie skoczyły w górę, zachybotwały, popęzły wzdłuż drzew.

A potem ogień zahuczał, podniósł się podsycany podmuchami lodowatego wichru, który właśnie zaczął szarpać gałęziami drzew. Wokół ziemianki zrobiło się jasno jak w dzień,

przez otwór buchnął żar, aż musieli odstąpić.

Dwaj kudłaci Moskale chwycili za nary. Dwoma długimi żelaznymi żerdziami poczęli popychać je w stronę ognistej czeluści.

- Wozniesłsia jesi wo sławie, Christie, Boże nasz - zaintonował pop Witalij, żegnając wszystkich krzyżem. - Radost' sotworiwyj uczenikom, obietowanijem Swiataho Ducha, izwieszczennym im bywszym błahosłowienijem, jako Ty jesi Syn Bożyj, Izbawiciel mira...*

Izbawiciel nie zstąpił, aby ratować brata Grigorija, który związany szamotał się, waląc głową o deski. A potem płomienie ogarnęły stopy i w jednej chwili przepaliły płócienne portki. Ciało skazańca pograżyło się w ogniu, zapłonęła płócienna koszula, a skóra pod nią dosłownie w jednej chwili pokryła się czerwonymi ranami, spalenizną, a potem szerniała i wreszcie zwęgliła się, kurcząc przy okazji jak szmaty nasączone oliwą.

Moskale nie wsunęli brata Grigorija całego do pieca, w jaki zmieniała się ziemianka. Pozostawili na zewnątrz głowę.

Potępiony wył tak głośno, że w końcu rozerwał wargi zszyte szewską dratwą, począł krzyczeć, wyc, miotać się jak oszalały, a nawet bić w powietrzu rękoma, bo przytrzymujące je sznury przepalił ogień.

- Christeeeeeeee!

Ogień buzował jak pod diabelskim kotłem, w którym przetapiano potępione dusze, słyszeli syk pełgających płomieni, trzask drewna, głuche wycie ognistych jezorów uciekających przez szczeliny ziemianki.

Nie trwało to długo. Wkrótce Moskale wyciągnęli żelaznymi ośkami tłący się, pokryty węglami szkielet pełen ruchliwych, rozmazanych płomyków. Szczerbaty podniósł piłę, odciął na wpół spaloną głowę od kości.

Cisnęli w ogień szczątki. A makabryczny, na wpół zwęglony łeb włożyli do szaflika przywiezionego w saniach.

Dydyński omal nie upuścił cebrzyka, który z oznakami szacunku podał mu szczerbaty sługa popa. Ludzki szczątek zaciążył w jego rękę.

- Dusza i ciało brata Grigorija - rzekł ojciec Witalij. - Dla Starca z naszymi najniższymi pokłonami.

- Przekażę.

Ogień wygasł. Moskale poczęli się żegnać; kilku modliło się, bijąc pokłony Preczystej

* scs. - Wzniosłeś się w chwale, Chryste, Boże nasz, i radość dałeś uczniom swym obietnicą Ducha Świętego, upewnionym przez błogosławieństwo, żeś ty jest Syn Boży, Zbawiciel Świata...

Bohorodzicy. Tylko Borys Oboleński tkwił nieruchomo jak posąg w słabym blasku bijącym od dogasającego paleniska, na którym spłonął zdrajca.

I to był koniec krwawej moskiewskiej komedii. Dydyński zabrał głowę zdrajcy. Pożegnał się z popem, reszcie nawet nie skinął głową. Wsiadł na konia i odjechał z Borysem podążającym za jego plecami jak ponury cień.

Die 18/8 ianuarii

Las pod Rylskiem, późna noc

Chociaż pop Witalij pokazał im, jak trafić na trakt, Dydyński jechał jak błędny. Kazał Borysowi zabrać szaflik z głową Grigorija, a sam błąkał się na Kaperze między sosnami, bez celu i bez drogi. Śnieg osypujący się z gałęzi pokrył jego delię i grzbiet konia, zimno wybieliło brwi i wąsy, przenikało nawet przez podszytą wilczym futrem delię.

Jacek nie zważał na nic. Ani na słowa Borysa, który w pewnej chwili zapytał unizonym głosem, co mają robić, ani na oczywisty fakt, iż zmylili drogę, w innym bowiem razie powinni już dawno wyjechać na gościniec.

Ocknął się dopiero o zmierzchu, kiedy z daleka doszedł ich zgiełk i przytłumione wilcze wycie. Kaper poderwał łeb, zastrzygł uszami, parsknął głośniej.

Stolnikowic rozejrzał się. Było już ciemno. Brał mróz - czuł go na gębie, widział na końskiej sierści.

- Gdzie trakt?

- Nie ma, ojczulku - jęknął Borys.

Jacek spoglądał na las zmęczonym wzrokiem. Mróz był coraz większy, wysoko nad drzewami wschodził księżyc, znacząc wszystko białawą, trupią poświatą.

- Za mną! Jedziemy szukać gościńca!

- Za późno! - jęknął Borys.

Dydyński popędził Kaperza łydkami. Ruszyli dziarskim klusem poprzez śnieg; niestety, nigdzie nie było widać drogi. Konie zapadały się aż do brzuchów, rżały, przestępowały z nogi na nogę. W dodatku las stał się gęsty, podszyty chaszczami i młodymi świerkami.

Dydyński poczuł, że ogarnia go niemoc. Przytrzymał się okutego przedniego lęku, potrząsnął głową; obłądne balety trwały, powieki przymykały się same. Miał dość.

Kaper potknął się, omal nie zwałił w śnieg. Zerwał się zaraz, spłoszony, drżący...

Przedarli się przez świerki, minęli zwałone drzewo. I... nigdzie nie było drogi.

Zginiemy! - przemknęło przez głowę szlachcica. Pop nas oszukał! Pokazał fałszywy

kierunek! Co teraz?!

Las w świetle księżycy sprawiał wrażenie martwej lodowej pustyni. Znieruchomiałe drzewa, krzaki przygięte do ziemi grubymi czapami zamrożonego puchu... Nigdzie nie było widać drogi ani przejścia.

Dydyński zatrzymał się, nie wiedząc, dokąd jechać. We łbie mu wirowało.

- Batuszka! - zagadał Borys. - Batuszka, musimy czekać do rana! Do świtu. Noc idzie, mróz trzaska, nie przetrwamy.

- Milcz!

- Ja błagam, proszę! Nie wystawiajcie się na śmierć.

- Gdzie chcesz nocować, kpie? Na środku lasu? A może wyczarujesz tu chałupę?

- Niech wasze błagrodzie zaufa mnie, małemu, nikczemnemu. - Borys giął się w ukłonach. - Wiem, co uczynić.

Dydyński popatrzył na niego spode łba. Nie podobało mu się, że nagle znalazł się na łasce Moskala. A jednak mróz brał coraz większy, czuł, że mimo futrzanej delii i polskiej czapki cały zesztywniał.

- Co mamy robić? - warknął. - Jak chcesz, to kop sobie norę w śniegu. Ja zostanę na koniu!

- Chodźcie tutaj, ojczulku! - Oboleński już był na ziemi, ciągnął konia pod rozłożystą, niewysoką sosnę. Popuścił popręg, przywiązał wodze do wystającego spod śniegu badyła.

Wrócił po konia Jacka, uchylił kołpaka i pokazał, że szlachcic ma zejść na ziemię.

I stolnikowic posłuchał go po raz pierwszy. Oboleński wprowadził Kapera pod gałęzie, przywiązał obok Myszatego. Konie stały, para z ich nozdrzy odznaczała się białawo w mroku.

Zamarzną, pomyślał Dydyński. Zatoczył się i o mało nie padł w śnieg.

Borys uczynił coś, co zdumiało szlachcica. Zrzucił z siebie szubę, a potem nałożył na grzbiet podjezdka. Rozpiął żupan, choć mróz przenikał do kości.

- Co ty robisz?

- Konie okrywam, ojczulku! Inaczej nie dotrważą do świtu.

- Oszalałeś? A co będzie z tobą?!

- Rozpalimy ogień!

- Wszystko mokre!

- Czekajcie, ojczulku! Już ja coś wymyślę.

Oboleński wydobył czekan, uciął kilka gałęzi świerka, splótł je i podparł innymi, tworząc ścianę nachyloną pod kątem. Narzucił na nią kilka kawałów lodu. A potem ujął

szlachcica za rękę i wprowadził pod osłonę, gestem przykazując mu, by usiadł. Marny to był szafas, otwarty z trzech stron, ale Borys nie przejmował się tym. Skoczył w las. Chwilę go nie było - Jacek pewnie by się zaniepokoił, gdyby nie słyszał jego kroków i trzaskania gałęzi.

Oboleński ściał grube drzewko, obciosał je, naciął, rozłupał wzdłuż, przyciągnął do zielonej ściany, a potem ułożył obie połówki płaskimi stronami do siebie. Wbił klin między kłoce. Sięgnął do sakw po hubkę i krzesiwo. Odciął garść smolnych drzazg, wydobył kłęb paku i pochylił się nad kłocami. Szybko skrzesał ognia, dorzucił drobne drzazgi, gałązki, rozpalil małe ognisko. Jacek spoglądał na to, zapadając w mróz i sen.

Kiedy gałęzie spaliły się, Borys nabrał węgla i wrzucił w rowek między kłocami. Płomień skoczył w górę, zaczął posuwać się wzdłuż szczeliny. Buchnął blask, potem przygasł, a z rozlupanej kłody unosiło się ciepło.

- Siadajcie bliżej, ojczulku.

Kłoda zadymiała, dokoła rozszedł się zapach spalenizny. Po chwili dawała ciepło, i to niemałe. Jacek rozpiął delię.

- To stary sposób... Myśliwych - mruknął Borys. - Zza Kamienia. Z Sybiru. Zdejmijcie swię, gorąco będzie.

Stolnikowic poczuł, że ciepło bijące od kłody oddziela lód od ciała. Miał wrażenie, że właśnie odtajał, odżył, powrócił znowu do życia. A przecież tak naprawdę gdyby nie Borys, chyba by zamarzał w tym borze.

- Dajcie delię! Okryję waszego konia!

Oboleński sprawił się chwacko. Rozkulbaczył konie. Przyniósł kulbaki do ognia, okrył wierzchowce derkami, a dodatkowo - swoją szubą i delią stolnikowica. Wrócił z bukłakiem i naręczem mokrych gałęzi. Układał je na kłodzie, by wyschły, a stolnikowic przypatrywał się temu ze zdziwieniem.

Dokoła trzeszczał mróz, w świetle księżycy na śniegu błyszcząły kryształki lodu. A oni siedzieli w kucki, mając za plecami ścianę z gałęzi, za dach gwiazdy pobłyskujące nad drzewami, przed sobą zaś dymiącą kłodę dającą zbawcze ciepło.

Borys podał stolnikowicowi bukłak. Szlachcic pociągnął łyk i... po chwili wahania podał Moskalowi.

- Dlaczego on wrócił?

- Kto?

- Grigorij.

- A, ten...

- Chyba za zdradę nie spodziewał się nagrody. A może Witalij kłamał?

- Zmiennicy zawsze wracają.

- Nieprawda. Widywałem poselstwa cara, z których do waszej świętej Rusi powracała mniej niż połowa czeladzi. Słyszałem, że kiedyś Borys pozwolił pięciu bojarskim synom jechać na zapad - do Europy, na studia w Anglii, w Wirtembergdze, Bolonii. Myślał, że zyska zaufanych i dobrych poddanych. Lecz kiedy zaznali wolności i zobaczyli, że świat nie kończy się na murach Kremla - szukaj wiatru w polu. Żaden nie wrócił.

- Chłopa, pachołka, posadzkiego - a nawet dworianina nie czeka u was, na Litwie, gorszy los niż tutaj. Ale człeka w carskiej albo dworskiej służbie spotka tam zawód i pogarda. Bo u nas każdy bojar czy książę ma władzę, a nad sobą tylko carską koronę. On poza carem jedyny, samowładny, pan życia i śmierci. A kiedy zdradzi, cóż dostanie? Choćby miał nadania od waszego króla - chłopów, wioski, dwory, to on tylko jeden z wielu panów polskich czy litewskich. Nikt przed nim plackiem nie pada, nikt czołem nie bije. A jeszcze mówią: Moskal, grubianin, szelma, barbarus czy jak tam w rzymskiej mowie. Palcami go wytykają, śmieją się, tak jak szutki sobie stroili z Andrieja Michajłowicza Kurbskiego, co przeszedł na służbę Zygmunta Augusta za czasów wojny w Inflantach.

- Kurbski myślał, że szlachta z zaścianków to chłopi, przymuszał ich gwałtem do pługa, kazał odrabiać pańszczyznę. Na Wołyniu naród cierpliwy, ale jak się mu znudzi, może odmachnąć kułakiem między oczy.

- Sam widzisz, ojczulku, nie miał z wami lekko.

- Skoro chciał żyć w Rzeczypospolitej, winien przestrzegać praw. Nie można szlachcicom gwałtem zabrać wolności i obrócić w chłopów.

- A cóż to takiego wolność, batiuszka?

- Wolność... To swoboda.

- A gdzie ona jest? A czy ją można kupić? I jak ją mierzyć? Korcem? Łokciem? Beczką?

- Głupiś, pachołku!

Dydyński ułożył się przy kłodzie, wyciągnął na legowisku z gałęzi i wsparł głowę na terlicy.

Nie mógł zasnąć. Widoki okrutnej kaźni pojawiały mu się przed oczyma. Po nich ikona, falisty znak namalowany krwią zdrajcy Grigorija. Klejnot Starca, czy może jego symbol? O co tu chodziło? Miał szukać tego znaku na świętych obrazach?

Wpatrywał się w płomyki bijące z kłody Borysa. Zwijały się i płątały. Jak fale. Jak węże.

Właśnie, falisty znak. Na ikonie. Wąż! Wąż na ikonie.

Wiedział, co to jest. Na wielu obrazach, które oglądał - nawet w cerkwiach w Sanockiem, Czart przedstawiony był jako wąż ze skrzydłami.

Czyżby Stariec był diabłem?

Boże, dość już tego wszystkiego!

- Ojczulku, nie zapomnijcie cebrzyka - wystękał Borys.

Dydyński zadrżał. Oboleński troskliwie złożył na śniegu szaflik z nadpaloną głową brata Grigorija.

- Wyrzuć to - mruknął; - Stariec nie potrzebuje jego łba.

- Jak to?! - zakrzyknął Borys. - Cóż wy mówicie?

- Ciśnij to w krzaki. Zabierz sprzed moich oczu.

- Jak sobie życzycie, ojczulku.

Die 22/12 ianuarii

Obóz wojsk Dymitra pod Siewskiem

Godzina dziewiąta rano

W obozie carskim zastali nieporządki i żołnierskie hałasy, chociaż żywności i paszy było w bród. Jedne roty przyszły, inne odeszły, pojawili się znowu Dońcy, ochocze zastępy Zaporozców, a z Rylska, Czernihowa i Putywła ściągali gromady moskiewskiego ludu uzbrojonego - na razie w kije, kopyście i wolę walki. Dydyński stanął na kwaterze, oddał konie w ręce Borka i Mykoły, a kiedy wszedł do szałas, zmarł i zatrzymał się w proggu.

Przy ogniu siedział posiwiwały szlachcic, chudy jak chmielowa tyka, wysuszony, z sumiastymi wąsiskami zwieszającymi się w dół.

- Świrski?! - Dydyński nie wierzył własnym oczom. - Cóż się stało, że tu waszmości widzę?

- Dużo by mówić, mości dobrodzieju - Herakliusz machnął ręką, jakby chciał odgonić wierzycieli - po prośbie chodzę. A jeszcze dzień, dwa i przyjdę do tego, że jak ostatnia murwa wyzbędę się resztek dobrego imienia, aby tylko włożyć coś do garnka. To samo na mnie przyszło co na panów Bzowskich ze Bzowa od Będzina, że za beczkę piwa i buty z chamami i bękartami się bratali i za tanie pieniądze szlachectwo oddawali. Ci Bzowscy sprzedali herby...

- Straciłeś poczet - uciał jego dywagacje Dydyński. - Dobrze myślę?

- Poczet i konie w czasie tej przeklętej rejterady spod Nowogrodu. Jednego pachółka usiekli mi Moskale, drugi został tam - wskazał na śnieżne przestrzenie rozciągające się między Siewskiem a granicami Korony. - Razem z wozami.

- I co teraz?
- Łaski szukam.
- Chcesz wrócić do pocztu?
- Jeśli wasza mość pozwoli...
- Toś mi brat.
- Dziękuję pokornie!
- I jeszcze jedno.
- Słucham!

Dydyński sięgnął w zanadrze, wy dobył krzyż, zwykły, ła ciński, katolicki.

- Jeśli chcesz być znowu ze mną, przysięgaj. Na mękę Chrystusową, na wszystkich świętych, na Trójcę Przewyższoną...

Świrski uklęknął. Podniósł dwa palce.

- ...że póki jesteś ze mną, nie weźmiesz do ust wina, miodu ani gorzałki! Nie spojrzysz na gąsiora, nie odbijesz beczki!

Herakliusz opuścił palce. I zadygotał.

- Toż ja nie piję, panie bracie! Nie przypominam sobie, abym sam z siebie wychylił choćby garniec wina. Ja tylko z innymi, kiedy kompania do picia. Przecież jak towarzystwo dobre, to niepodobna naszej pięknej mody nie obserwować...

- Chcesz być ze mną czy nie? Wybieraj!

Świrski milczał. Wpatrywał się w krzyż, jakby prosząc o zmiłowanie.

- To ja już wolę poniechać bab, łupów. Za darmo będę służyć - stęknął. - Miłosierdzia nie macie, mości panie Jacku. Co to za szlachcic, co nie pije? Polonus nobilis pić musi! Na to nam dał pan Bóg gardło przepaściste, aby podlewać fantazję węgrzynem.

- Decyduj, bo szkoda czasu. Wóz albo przewóz.

Świrski opuścił podniesioną rękę, wstał, unikając wzroku Jacka. Podszedł do stołu, nalał sobie pełen kielich wina.

Dydyński przygryzł wargi. Szkoda, taka szkoda... Tyle lat razem, tyle bitew i wojen. Nawet ruina i mróz nie przekonały starego moczygęby.

Herakliusz wychylił kielich jednym haustem, trunek aż zbulgotał mu w gardle. Odstawił naczynie z hukiem i uśmiechnął się.

- Ostatni raz.

Uklęknął i podniósł rękę.

Dydyński odetchnął.

- Od teraz nigdy! Nigdy gorzałki, wina, miodu! Przysięga przy świadkach! Panie

Nieborski, Mykoła, Borek, Anastazja!

Kiedy przyszli, podał Świrskiemu krzyż i kazał powtarzać słowa.

Jędrzej Herakliusz przysiągł. I ucałował krzyż.

Die 22/12 ianuarii

Stacja Dydyńskiego w obozie pod Siewskiem

Godzina dziesiąta rano

- Mów, co się dzieje w obozie - zapytał Dydyński, kiedy zasiedli do stołu. - Gdzie Moskale? Co robi Dymitr?

- Czekaj - mruknął Świrski, zionąc świeżo wypitym winem.

- Na co?

- Na śmierć.

- Jak to?

- Śmierć idzie. Od lodowych pustyń, od Staroduba i Nowogrodu. Wasyl Szujski prowadzi siedemdziesiąt tysięcy wojska. Bojarów, dworzan, strzelców, Kozaków dońskich, chłopów pososnych, Tatarów astrachańskich. Samych Niemców ma być ze dwadzieścia tysięcy. Moskale ich lubią, bo po Nowogrodzie podupadły w nich serca. Mówią: niemiecki Bóg silniejszy jest od ruskiego. Zobaczymy, czy zadławi lackiego orła.

- A my? Ile wojska jest w obozie?

- Zostało półtora tysiąca jazdy - Świrski zgiął jeden palec i podkulił drugi, jakby rachował chorągwie - licząc z wolentarzami. Do tego dojdzie z pięć tysięcy Zaporozców i jakieś cztery Dońców. Razem z Moskalami będzie nas ledwie z piętnaście tysięcy.

- Co planują pułkownicy?

- Szujski idzie na Dobrynicze. Nie śpieszy się. Nasi też nie wrywają do przodu. Chcą zobaczyć, co zamierza. Czekaj nas bój - co gorsza, bez rot i wojska spod Nowogrodu. Bez posiłków i z garścią prochu. Na moskiewskiej ziemi.

Dydyński milczał. Wicher wył za ścianami szałasów, wciskał się w szczeliny między balami, porywał sadze z paleniska. Gdzieś tam daleko, za skutymi lodem stepami, leżała Moskwa. A w niej, w granitowym pałacu o ścianach z ludzkiego cierpienia, panował car Godunow.

Die 30/20 ianuarii

Kwatery Dymitra pod Siewskiem

Godzina siódma rano

- Gdzie mości pan wojewoda?! - Dymitr uderzył buławą w stół, aż echo odezwało się w izbie. - Dlaczego nie ma go między nami?!

- Jaśnie oświecony pan wojewoda sandomierski słabuje - rzekł Buczyński. - Kazał przekazać Waszej Carskiej Mości, że z powodu choroby składa buławę.

- Zachorował?! Właśnie teraz? - Dymitr bił pozłacowanym żelazem o stół tak mocno, że z każdym ciosem zostawiał małe wgłębienie na gładkiej powierzchni. - A może jegomość jest tchórzem podszyty? Wołać go zaraz, bliaduna! Na powrozie przywieść!

- Powoli, carewiczu! - rzekł Dworycki. - Miarkuj się, bo to twój dobrodziej! Gdzie byłbyś, gdyby nie Mniszchowie i nasze szable?! Na palu u Godunowa!

Car skoczył na nogi, ale kiedy zerknął na ponure postacie Polaków, umilkł, bo chyba uświadomił sobie, że jeśli zrazi ich teraz, w godzinie zwątpienia, to przyjdzie mu walczyć z Godunowem samymi dobrymi chęciami. Ścisnął w rękę buławę, umilkł. Gniew zniknął z jego oblicza, kiedy zapytał:

- Cóż zatem radzicie, mości panowie, moi zacni słudzy i przyjaciele?

- Szujski, Mścislawski i Basmanow stoją w Dobryniczach. Dwie mile od nas. Kozacy i Dońcy mówią, że ma sto albo dwieście tysięcy wojska, jednak nieprzyjacieli - zwłaszcza tak niekarny jak Moskwa - zawsze wydaje się kilkakrotnie liczniejszy niż w rzeczywistości. Nie sądzę, aby było ich więcej jak trzydzieści tysięcy.

- Dlaczego tak waść myślisz?

- Gdyby wojsko Szujskiego liczyło sto tysięcy, nie zmieściłoby się w takiej zabitej dechami wioszczynie jak Dobrynicze, choćby nawet Szujski poupychał Moskali w chałupach jak śledzie w beczce.

- Co radzicie, mości panowie bracia? - zapytał Borsza. - Słucham godniejszych.

Nikt się nie odezwał, ale wzrok obecnych spoczął na Dworyckim. Jednak Adam trwał zamyślony za stołem, gdzie posadzili go słudzy.

- Hetmańska buława wakuje - rzekł Dymitr. - I tylko ode mnie zależy, kto ją otrzyma.

- Powinniśmy wycofać się i stanąć taborem w dobrym miejscu, gdzie jest woda - odezwał się w końcu Dworycki. - Zamknąć wozy w koło, podnieść hołoble. Obsadzić kozackimi strzelcami kolasy. Usypać ostrogi i blokhauzy. Musimy stoczyć bitwę obronną w polu, wykrwawić dworian, Niemców i strzelców Szujskiego w atakach na umocnienia. A kiedy stracą bojowego ducha, rzucić na nich husarię, petyhorców i zaporoskich semenów. Wasza Carska Mość, obawiam się, że nie mamy dość sił, aby stanąć do walki w otwartym

polu. Gdyby były z nami chorągwie spod Nowogrodu...

- Nie ma, bo nie byliście w stanie utrzymać waszych braci po naszej stronie!

- Skoro Wasza Carska Mość nie chciał im zapłacić...

- Dość tego! - rzucił Borsza. - Popieram mości Dworyckiego. Wycofajmy się, choćby pod Czernihów. Tam będziemy się bronić i zaczekamy na posiłki z Polski.

- A będą w ogóle jakieś posiłki? - zapytał Buczyński. - Nie mamy żadnych wieści, nie wiemy nawet, co o nas myśli sejm, senat, król - ba! - czy w Polsce czeka na nas wieniec laurowy, czy może kat i szubienica?

- Cofanie się - mruknął Dymitr - oznacza klęskę. Tysiące chołopów, dworzan i bojarów, którzy przyszedli pod nasze szeregi, cała Siewierszczyzna, Ryłsk, Siewsk i inne włości zostaną wydane na łup carskiego kata Szujskiego.

- Czasami trzeba jako dobro cenić mniejsze zło - wypalił Buczyński. - A mniejszym złem jest odwrót niż stawianie losu na jedną kartę w bitwie, której wygrać nie możemy.

- To nie będzie odwrót, prędzej ucieczka! Zresztą dokąd mamy się wycofać?

- Do Putywła!

- Do Czernihowa! - rzekł Buczyński.

- Za blisko granic Rzeczypospolitej. Nasi stronnicy poczytają to za klęskę.

- I właśnie o to chodzi, aby było blisko Korony. W razie, nie daj Bóg, porażki możemy cofnąć się za polską granicę i wciągnąć tam wojska Szujskiego.

- O czym ty myślisz, na Boga?

- O tym, że taka akcja wywoła złość króla Zygmunta. Wybuchnie wojna Rzeczypospolitej z Moskwą, która w naszym położeniu okaże się nad wyraz pomocna. Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

- Nie! - rzucił gniewnie Dymitr. - Nie będę uciekał. Ojciec Niebieski wspiera nas w wysiłkach. Nie porzucę Siewierszczyzny. Cóż wy radzicie, kniaziu?

- Iść na wojska Borysa - odezwał się milczący dotąd Massalski. - Nie porzucaj, gosudarze, swoich rabów, nie wydawaj nas na śmierć Borysowi. Zamiast czekać, zbierzmy wojska i uderzmy z zaskoczenia, póki wojska fałszywego cara obozują w Dobryniczach.

- To szaleństwo!

- Zależy, kto pójdzie w pierwszym szeregu?! My czy Lachy?

- Mów lepiej, kniaziu, kto zostanie na polu bitwy po porażce? Wy równie lekko rwiecie do przodu, co i uciekacie - aby potem bić czołem przed kolejnym carem!

- Uciszcie się! - Dymitr uderzył buławą w stół. - A wy, panie Koreła? Mości Ewangeliku? Petruszenko? Doroszenko?

Kozacy łypali gniewnie zza stołu na Lachów i Moskali, gnietli w rękach wilcze kapuzy, szarpali wąsy i oseledce.

- Batuszko nasz umiłowany, carewiczu - wykrztusił niski Koreła. - Dawaj na Szujskiego! Wyjdziemy z obozu przed świtem, podejdziemy cichcem, jak śnieg na łeb im spadniemy.

- Mam szpiegów w Dobryniczach - ozwał się Ewangelik. - Mogą podpalić wioskę przed atakiem. Kiedy w obozie wybuchnie panika, zaatakujemy...

- A najpierw obejdziemy ich od południa, lasami nad Wulem, od Rylska. Staniemy tak, aby przyprzeć Mścisławskiego do rzeki Siew - na lewym rogu Lachy i husaria, na prawym my, Zaporozcy, w walnym hufie piechota i działa. Potopimy Moskali w bagnach, weźmiemy obóz i łupy.

- A da nam Boh sławu i szczęście, to rozgromimy Szujskiego i pójdziemy dalej. Na Moskwę!

- Na Moskwę - powtórzył Dymitr. Widzieli, że miał łzy w oczach. - Mości panowie - rzekł uroczystym głosem - pofortunilo się pod Nowogrodem, więc myślę, że i tym razem Hospody nie opuści nas w potrzebie. Trąbić przez munsztuk - niechaj wojsko przygotowuje się do wymarszu komunikiem. Ruszamy skoro świt z armatami i pieszym ludem!

- To szaleństwo - zaoponował Borsza.

- Szaleństwem była już sama ta wyprawa. Nie mów, waszmość, że dopiero teraz obleciał cię strach.

Borsza zamilkł i zmarszczył brwi.

- Raz jeszcze apeluję do rozsądku Waszej Carskiej Mości - ozwał się Dworycki. - Nie mamy sił na drugą bitwę w polu.

- Czy jeśli dam ci hetmańską buławę, poprowadzisz moje wojska pod Dobrynicze? - zapytał Dymitr.

- To nie ma...

- Zapytuję raz jeszcze! Czy mając buławę i komendę, zmierzysz się z Szujskim?

- Nie mamy szans, by nawiązać równą walkę...

- A jeśli do buławy dodam godność wielkiego księcia suzdalskiego, poprowadzisz armię do boju?!

- To już Wasza Carska Mość obiecał panu Sulimie!

- Co dał carewicz, Boh i hosudar może odmienić. Godzisz się, mości Dworycki?

- Umywam ręce!

- Głosujmy! - zakrzyknął Ewangelik. - Jak w kole.

- Veto! - zakrzyknął ktoś między Polakami.

- Tu nie sejmik - rzekł Dymitr. - Komu się nie podoba wola większości, droga wolna. Wotujcie po kolei, mości panowie bracia.

Polacy byli przeciwko. Moskale za, a nawet przeciw. Ale Dońców i Zaporozców było najwięcej. Co oznaczało, że wyprawa pod Dobrynicze została rozpoczęta.

Die 30/20 ianuarii

Kwatery wojewody Mniszcha pod Siewskiem

Nieco przed północą

Dymitr wpadł do namiotu wojewody jak burza, odpychając hajduków, waląc pięścią w gębę starszego sługę, wymachując buławą jak jego ojciec Iwan Groźny, kiedy w przyływie furii grzmocił posochem po łbach popleczników i doradców.

- Dokąd się waść wybierasz, ojczulku wojewodo?! - zawołał, widząc kufry i skrzynie, do których słudzy i pokojowi pakowali suknie i broń. - A może chcesz wlec to wszystko pod Dobrynicze? Nie słyszałeś, że idziemy komunikiem, a obóz zostaje pod Siewskiem?!

W obozie zabrzmiała trąbka. Z zewnątrz doszły krzyki i komendy, rżenie koni, brzęk żelaza i tętent kopyt zwiastujący początek przygotowań do wymarszu.

- Kiedy ja idę przelewać krew dla twojej ukochanej córeczki, ty mnie zostawiasz! Uciekasz! - grzmiał Dymitr.

- Wyjeżdżam do Polski - rzekł niewzruszony wojewoda. - Hej, Kacper, zważaj na żupan! To angielski falendysz! Warty dwadzieścia groszy za postaw!

- Zmykasz jak tchórz! Twoją chwałę godziłoby się gównem pisać!

- Zapominasz się! - wysyczał wojewoda. - Zapominasz, mości zięciu, kto ci pomagał przez całe lata. Kto nadstawiał karku i zamiatał posadzki na dworze w Krakowie! Kto wybłagał ci przychyłość króla, Senatu, nuncjusza Rangoniego! Kto obiecał rękę wojewodzianki moskiewskiemu hołyszowi! Zbiegowi ściganemu jak pies!

- Za pół carskiej kaźni i trzydzieści zamków siewierskich!

- Wyjeżdżam po... pomoc i pieniądze - rzekł pojednawczo Mniszech. - Niewiele tu sprawię, a jeszcze mniej pomogę! Z Korony przyślę posiłki i wsparcie. A ty, mój synu, nie ustawaj w wysiłkach.

- Zabierasz moją chorągiew!

- Jako eskortę. Do granicy!

- Na dzień przed bitwą?! To zdrada!

- Zwij to, jak chcesz, muszę dotrzeć do Korony w jednym kawałku!

- Ja nie pozwolę! Stój! - Dymitr chwycił wojewodę za rękaw delii. - Zatrzymuję cię mocą mego carskiego imienia.

- Tak? To zobaczymy! Wołaj Dworyckiego i husarzy, choćby Rudominę, Dydyńskiego. Zobaczysz, kogo posłuchają - mnie, senatora Rzeczypospolitej, czy ciebie, moskiewskiego carzyka?! Czyje to wojsko? Kto dał rotmistrzom listy przypowiednie? Za czyje pieniądze je zwerbowałeś?! Mam wezwać straż placową? Mości Rudomina! Bywaj tu!

Dymitr zbladł. Usłyszał szcęk broni, łoskot kroków husarzy, którzy strażowali koło kwater Mniszcha.

Rudomina odchylił płachtę namiotu. Za nim tłoczyli się pocztowi.

- Mości panie bracie - zakrzyknął doń wojewoda - ratujże z opresji!

- Jegomość wojewoda chce uciekać! Rozkazuję zatrzymać go siłą, odebrać broń i zatrzymać na kwaterach!

- Słyszysz, mości panie bracie?! - zakrzyknął wojewoda. - Wolność tu moją mordują! Na senatora Rzeczypospolitej rękę podnoszą!

Rudomina położył rękę na szabli.

- Słucham, mości panie wojewodo!

Mniszech z zimnym uśmiechem odwrócił się do Samozwańca.

- I co teraz, mości carewiczu?

- Ojczulku nasz najmilszy! - zgarbił się w ukłonie Dymitr. Wyglądał tak, jakby słowa wojewody złamały mu kręgosłup mocniej niż posoch batuszki Iwana czaszki służalców. - Nie sumuj, odwołaj ich! I nie krzyw się! Wojna!

- Na wojnę potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Szkatułę masz pustą jak czerep nędzarza! Skąd weźmiesz na nowe zaciągi? Wy tam - krzyknął w stronę Rudominy - mości panie, dziękuję. Możecie wrócić na straż. Za godzinę ruszamy.

- Nie zabieraj mi wojska! - zawył Dymitr. - Chcesz jechać, jedź! Ale zostaw mi chorągiew!

- Ejże, jak inaczej dotrę żywy do granicy?!

- Dam ci sotnię dworian. Moich najwierniejszych.

- Żeby zanieśli moją głowę carowi w podarunku? - zaśmiał się wojewoda.

- Dam Zaporozców. Semenów. Wybranych.

- Ci, zanim głowę zetną, jeszcze mnie wydupczą, kozojeby.

- Zapłacę ci, jeśli nie weźmiesz moich husarzy!

- Czym? Rublami z sakwy Godunowa?
- Masz obiecaną Ziemię Siewierską, a dla Maryny Psków i Nowogród. Dam ci jeszcze Kaługę i Tułę.
- Mało. W dodatku tam ciągle Moskale.
- Mości carewiczu - zabrzmiał głos Dworyckiego - piechota i działa gotowe do wymarszu. Kto idzie w przedniej straży?
- Dam ci Sierpuchów, razem z monasterem! - wydyszał Dymitr. - I jeszcze asygnatę na dziesięć tysięcy rubli z carskiego skarbcza ponad to, co obiecałem wcześniej.
- Wojewoda uśmiechnął się tylko.
- Dam ci tytuł księcia włodzimierskiego. Tu i zaraz, w obozie. Jaśnie oświecony Mniszech, książę włodzimierski, siewierski, tulski i kałuski, wojewoda sandomierski, starosta Samborski, dumny diak, teść cara wsiej Rusi.
- Wojewoda przymknął oczy i uśmiechnął się.
- Przynieście papier i inkaust! - rozkazał.

Die 30/20 ianuarii

Stacja Dydyńskiego, późna noc

- Poczekaj - wydyszała Anastazja wprost do ucha. - Zostań ze mną jeszcze chwilę.
- Służba.
- Może cię już nie zobaczę.
- To módl się. Do ruskich Bogów i świętych.
- Poczekaj! - Przytuliła się doń. - Ja nawet nie chcę myśleć, że cię zabiją.
- Znajdziesz innego gacha. Jak Szujski wygra, jego ludzie będą spragnieni uciech. Nie odmawia się zwycięzcom, prawda, moja trzpiotko?
- Byłabym spokojniejsza, gdybyś miał przy boku wierniejsze sługi.
- Mam najpewniejszych pocztowych w armii Dymitra.
- Nie ufam Nieborskiemu. To ćwik i krętacz, czasem myślę, że za garść czerwońców wbije ci kindżał w plecy.
- Nieborski? Oszalałaś!
- Powinienes go oddalić! Stać cię na wierniejszych pachołków.
- Nieborski był przy moim boku w Inflantach i pod Nowogrodem. To nie jest człek z gościńca, ale zaufany sługa. Jego ojciec był u nas, w Dydni, ekonomem na folwarku. I imaginuj sobie, że zagryzły go wilki w lesie pod Bachowem. Mój rodzic go szanował, więc

zadbał o przyszłość dzieci. Siostrę wydał za męża, a jego wyszkolił na sługę i rębajłę. Prawda, Damian to szaląputa, ale z czasem się ustatkuje. I pewnie jak ja zostanie towarzyszem. Będzie miał własny poczet...

- Oby nie twój, po śmierci pana.

- Spokój. Co cię ugryzło? Powiedziałem, że nie oddalę Damiana ani Świrskiego. To moi pocztowi i zaufani ludzie.

- Jeden moczygęba, a drugi głupiec!

- W bitwie musisz być pewien, że ten, kto staje ci za plecami, zna rzemiosło wojenne od deski do deski i na wyrwyki. My, Polacy, walczymy inaczej niż Moskale. Kiedy ja w pierwszym szeregu tnę wroga w rękę lub odbijam cios, pocztowi w drugim i trzecim, a także czwartym dobijają przeciwnika. Dlatego nigdy nie dobiera się pachołków ot - tak sobie!

Przytuliła się do jego piersi.

- Dlaczego nie cierpisz Damiana? Napastował cię? A może nadużył słów?

- Nie ufam mu.

- Więc lepiej znasz moje sługi niż ich pan?

- Może i nie znam służalców, ale mężczyzn poznałam wystarczająco. Gdybym nie wiedziała, co kto ukrywa w duszy, już bym nie żyła.

- Oczywiście. Ty wszystko wiesz najlepiej.

- Porąbali by mnie toporem. I zjedli. Za wielkiego Hołomoru.

- Co takiego?

- Byłam córką Iwana Fiedakowa, jednodworca, człowieka służebnego kniazów Massalskich w Putywlu. Po śmierci batuszki matkę wydali za męża po raz drugi. Za Fiodora Kołyczewa... Nie byłoby nam źle, gdyby nie głód. Przekleństwo cara Godunowa. On zniszczył wszystko.

Dydyński poczuł, jak zadygotała.

- Trzy zimy temu był rok bez lata. Śniegi upadły w sierpniu, zboża zmarniały na polach. Zjedliśmy wszystko, co się dało. Krowy, świnie, kozy i zboża na zasiew. Potem grzyby, zioła, a na koniec korę lipową. Później zabijaliśmy koty, psy. Widziałam ludzi, co popuchli jak pogańskie bałwany. Wozy, którymi wywożono trupy z Nowogrodu i Czernihowa. Matkę, co na ulicy kroila nożem własne dziecko. Tłum, co szturmował wozy z ziarnem, strzelców rąbiących nędzników berdyszami. Ucinających głowy... Wymarłe wioski.

Dydyński milczał zasłuchany.

- Głód był taki, że zjadaliśmy słomę i siano, bo koni już nie było. Pewnej nocy znikła moja siostra, Irina. A potem jakiś czas działo nam się lepiej. Mieliśmy jada pod dostatkiem. I

tylko nikt nie pytał, skąd to mięso... A później batuszka Fiodor... Zaczął szeptać po kątach z braćmi. A ja wiedziałam, że będzie źle. Modliłam się... Na nic. Kiedyś w nocy budzę się, widzę - batko z siekierą idzie. I wali w łożę, gdzie spał służka, sierota Iwaszko. Jam się skryła pod pierzyną. Płakałam ze strachu. I odtąd nie widziałam chłopca. A potem ojczulek Kołyczew... zaczął tak strasznie patrzeć na mnie. A ja wiedziałam wszystko, bo za dnia chodziłam i patrzyłam. Widziałam krew w drewnitni. I zasypany dół za dworem. I powiedziałam matce. Uciekła od nich. Co miała czynić - grzech to, ale niech się tam wszyscy zjadają między sobą. Poszliśmy pod Czernihów. Tam matka zmarła, na trakcie. Z głodu. A ja zostałam przy ciele, płakałam, całowałam jej martwą rękę. I stał się cud. Jechał w saniach bogaty Niemiec z carskiego dworu - aptekarz. Ogrzał mnie i nakarmił. Zostawił we wsi u dobrych ludzi. Ale i tam był głód.

- Dość! - Jacek wstał. - Nie chcę słuchać. Nie w tej chwili! Ubieraj mnie!

- Tam też umarli - szlochała Anastazja. - Wszyscy... Tacy dobrzy chrześcijanie. A ja... z tego głodu... Straciłam cześć... Poszłam na gościniec, do karczmy. I tak już... wiesz.

- Jeśli osadzimy Dymitra na carskim tronie... Nie będzie głodu na Rusi.

Anastazja zapłakała.

Dydyński podjął szablę.

ROZDZIAŁ XIII

Lodowe pobojowisko

Armia Dymitra podchodzi ku Dobryniczom • Wspaniała szarża • Atak na tabor • Niespodziewana klęska • Odwrót • Śnieżne pole • Okrutny mróz • W oblężeniu • Wyznania Borysa • Czekać na świt • Zamarzająca husaria • Armaty i strzelcy • Zasadzka na rzece

Die 31 ianuarii nowego stylu, 21 starego stylu

Anno Domini 1605

Roku 7114 od stworzenia świata

Dobrynicze, o świcie

Z lasów głębokich jak morze, lecz zamrzniętych na podobieństwo lodowego piekła wyszli na rozległe pola ciągnące się aż do rzeki Siew. Równiny przechodziły tu w niewysokie pagórki, ale śnieg pokrył wszystko tak grubą warstwą, że spod kołdry moskiewskiego puchu prawie nie widać było wzniesień ani dolinek. Nad rzeką czerniały zarysy chałup i baniaki malutkiej cerkiewki zwieńczone krzyżami o pochyłych ramionach.

Wsi nie podpalono i przez chwilę nie było wiadomo, dlaczego ta część planu zawiodła. Wszystko się wyjaśniło, gdy Dymitr sięgnął po perspektywę, a w szklach zamajaczyły szubienice, gdzie smętnie kołysało się kilku ptaszków Ewangelika.

- Stawać w lewo! - rozkazał Samozwaniec. - Rozwijać linię!

Dworycki dwoił się i troił, okryty śniegiem, którym dymiło z zasp, zziębnięty, pod sztandarem z carskim orłem, z buławą w ręku.

Pułk przedni Szujskiego został wcześniej odparty od lasu, ustąpił, pozostawiając kilka trupów i dając pole wojskom Dymitra. Roty i sotnie wychodziły z borów, wynurzały się zza kurhanu. Konie brodziły w śniegu po pierś; skrzydlatej husarii było łatwiej niż dworiańskiej konnicy i bojarom - jechali z tyłu, drogami wydeptanymi przez Moskali.

Wierzchowce rżały, tratowały kopytami ziemię, wzbijając tumany śniegu, ludzie klęli, wrzeszczeli. Zaporozcy i piechota wojewody z trudem prowadzili przez okryte bielą krzaki działa ciągnięte przez poszóstne zaprzęgi.

Pułki Szujskiego i Mściślawskiego czekały na równinie między Dobryniczami a traktem do Siewska, który w tym miejscu przebiegał prawie równoległe do Siewu. Za plecami miały wioskę i rzekę, po lewej zamrożoną dolinę potoku, po prawej otwarte pola, pokryte lodem bagna i trzęsawiska.

Z krzykiem i hałkowaniem z lasu wynurzyli się Kozacy. W szarych świtach, w przyprószonych białą kapuzach i kołpakach. Czasem gdzieś w tłumie błysnęła zielenią lub brązem żupan setnika czy esaula.

Roty stawały na pozycjach. Na lewym rogu polskie - na przemian husarskie i petyhorskie. W drugiej linii chorągiew Kruszynina, sotnie dworzan Rubec-Massalskiego, Chruszczewa i innych bojarów. Moskale błyszczeli zierkałami i bajdanami, zdobionymi szyszakami. Aby odróżnić się od wojska carskiego, naciągali na pancerze i kaftany białe koszule.

- Śmiertelne koszule nakładają - mruknął Świrski. - Zły znak.

- Nie kracz. - Dydyński trącił ostrogą Kapera, który nie chciał stać w szyku, najpierw zwiesił głowę, potem grzebał nogą, aż wreszcie zaczął szykować się do kopnięcia gniadej kobyły pana Rudominy.

Stali z kopiami opartymi tyłcem o ziemię; niektórzy wbijali je w śnieg, by dać odpocząć strudzonym rękom.

Po stronie wojsk Szujskiego rozległo się pierwsze stłumione puknięcie. Widzieli, jak wykwitła tam chmurka prochowego dymu. Kula spadła w zaśnieżone pole przed zaporoską piechotą, wznecając fontannę śniegu.

- Mości Ostromecki, daj im odpowiedź! - zakrzyknął Dymitr.

Samborska śmigownica odezwała się niskim, stłumionym basem. Po niej grzmotnęła druga, wyrzucając okrągłe kółko dymu, które powoli i majestatycznie płynęło nad zaśnieżonym polem.

Jakiś Kozak żartowniś przemknął na koniu, wetknął spisę w okrągły jak precel obłoczek dymu, burząc zrozumiałe skojarzenia i salwy śmiechu wśród pobratymców.

Piechota mołojcka wychodziła z lasu, stawała w gromadach pod piernaczami setników i buławami pułkowników, za armatami Ostromeckiego. Przez śniegi i lód ciągnęła własne działa i hakownice.

Na prawym skrzydle z lasów wylaniali się semeni i Dońcy. Szara i brązowa konnica zachodząca wojska Mściślawskiego od strumienia i bagnisk, i szerokiego zakola rzeki Siew.

Dymitr wyskoczył przed husarzy i petyhorców na wiernym siwku przybranym

aksamitnym czołdarem. Koń, jak to turek - tańczył pod nim, próbował ustępować bokiem.

- Mości panowie bracia. Moi wierni przyjaciele! - krzyczał carewicz, starając się przebić głosem coraz mocniejszą korespondencję armat. - Bądźcie odważni i mężni! Zdajcie się na Boga. Wszechmogący jest z nami. On nas nigdy nie opuszczał, on niezawodnym naszym opiekunem. Za ojcowiznę moją, za krew i sławę - naprzód!

- Uciszyć się! - zakrzyknął Gogoliński. - Nacisnąć szyszaki! Sprawdzić pistolety!

- Mości panie Dworycki, poczynaj, waść, pierwszy! - krzyczał Dymitr do hetmana.

- Drzewka w tok! - zakomenderowali rotmistrzowie.

Husarze i petyhorcy podjęli kopie.

Działo huknęło blisko, aż konie wstrząsnęły łbami. Po nim zabiły suchymi gromami organki, którym z kolei odpowiedziały carskie armaty Mścislawskiego.

- Równo następuj!

- Dalej! Mości panowie! Daleeeeej!

Lewe skrzydło ruszyło stępą, wolno, niby na paradzie. Linie jeźdźców poczęły zstępować w dół stoku. Dworycki popatrzył przez perspektywę na wroga, odsunął szkło od oka i uśmiechnął się.

- Niemcy i pludracy. Rajtarzy i piechota. A z nimi moskiewska jazda! Gotujcie się.

- Rajtaria! - huknął do swoich Gogoliński. - Będzie gorąco!

- Dalej! - rozległy się głosy rotmistrzów. - Rysią!

Szli szybciej, w śnieżnym tumanie. Skrzydła błyszczały na tylnych łąkach. Mścislawski dowodzący pułkiem prawej ręki widział ich z dala. Zagrzmiały barabany - bębunki wożone na moskiewskich koniach, po nich ozwały się trąby i piszczałki. Szyk Moskwy był prosty. Od prawej zacieżni niemieccy rajtarzy i konnica dworiańska, za nimi piechota cudzoziemska i Tatarzy astrachańscy. W środku hulajgorody, wozy i sanie z sianem powiązane łańcuchami i sznurami, za nimi brodaci strzelcy wspierający piszczele na ciężkich berdyszach. Na lewym skrzydle dworiańska konnica i bojarskie drużyny Szujskiego.

Armaty uderzyły raz jeszcze. I jeszcze. Biły nieprzerwanie, przerzucając się kulami z obozu do obozu.

Moskale i Niemcy rośli w oczach. Siedem rot polskich zbliżało się do lewego skrzydła powoli, nieśpiesznie. Dydyński widział coraz wyraźniejszą linię ludzi i koni - łbów, rozwianych grzyw, szłomów i szyszaków, włóczni i chorągwi ze świętym Michałem... Kaper wyrwał do przodu, czego Hetmanka nigdy nie robiła - dostał w nagrodę ostrzejsze uderzenie munsztuka.

- Rysią! Czekaaaaać!

Przed luźne gromady moskiewskiej konnicy, która jak Tatarzy - nacierała kupą, a nie w szyku, wysunął się równy czworobok jazdy. Rajtarzy! Rozpędzeni w galopie, na włochatych fryzach stawiających nogi jak charty, na ociążałych koniach inflanckich wyglądających jak zabrane prosto od pług i wozu.

Siedemnaście rąk dobyło broni z olster. Siedemnaście luf półhaków i pufferów spojrzało w oblicza nadciągającej husarii.

- Feuer!

- Dalej! - ryknął Gogoliński, a jego słowem zawtórował trębacz.

Pistolety wypaliły - chaotycznie, czasem jeden po drugim. Kule świsnęły w powietrzu gdzieś z boku, któraś brzęknęła o zbroję czy nosal szyszaka.

Husarska rota runęła galopem, miękko, bez grzmotu kopyt na śniegu.

- Feuer! Alt!

Strzały zatrzaśniały sucho, jakbyś orzech zgryzł. Lecz zanim równy szereg jeźdźców rozłamał się na dwie połowy i odskoczył do tyłu, ustępując miejsca kolejnemu, po polskiej stronie rozbrzmiała komenda:

- Złożyć kopie! Dalej!

- Bij zabij!

Husarze i ramię w ramię z nimi petyhorcy poszli jak wichur. Niczym żelazna lawina przetykana łopocącymi kobiercami, skrzydłami, skórami lampartów i wilków, wpadli w szeregi rajtarów, wbili się w nich z trzaskiem kruszonych kopii, rozszczepili na pół, zanim kolejny rząd zajął miejsce pierwszego dla oddania strzału!

Dydyński uderzył kopią w pierś kosmatego fryzyjskiego wierzchowca! Rzemienie toku zadrgały niczym naprężona żmija. Koń zrywa się i wali na przednie nogi, jeździec upada do przodu z wyciągniętym pistoletem. Tnie go żelazem Nieborski, a za nim pędzi Świrski i inni pocztowi.

Dydyński szarpnął za szablę; chwila, miał ją w rękę. Usłyszał ryk towarzyszy, kwik zarzynanych koni, trzask drzewek, brzęk żelaza!

I pędził przez szeregi rajtarii, robiąc to, co potrafił najlepiej - zbijając cios, rąbiąc w rękę i zostawiając resztę pocztowym.

Chorągiew Dymitra przeszła przez rajtarów jak orkan, zmiażdżyła ich, zmiotła, rozegnała na cztery strony świata.

Nagle dokoła zrobiło się pusto. Dydyński, Rudomina i inni zobaczyli przed sobą błyszczące napleczniki zbroi, pochylone przyłbice i hełmy.

- Za nimi!

- Bij zabij!

- Na Moskwę!

Rajtarzy, pobici, rozproszeni, gnali ku piechocie i dworianom z wrzaskiem, szczękiem zbroi. Mścislawski skoczył do pieszych Niemców, chciał krzyczeć, aby zwarli szyki, nadstawili piki ku własnej konnicy.

Nie zdążył! Fala uciekających pchana przez husarię i petyhorców wpadła na piechotę, pomieszała ją, wstrząsnęła całym czworobokiem Inflantczyków i Walonów. A na ich karkach, tuż za plecami pierzchających, pędzili zwycięzcy rycerze w skrzydlatych zbrojach i kolczych pancerzach.

- Bij! Morduj!

Wpadli na Niemców jak wilcza zgraja w stado owiec. Piki i halabardy nie zdały się w ciasnocie na nic, część połamano w jednej chwili; innych ściśnięci, miażdżeni końskimi pierściami pikinierzy nawet nie opuścili. Husarze rąbali ich jak drewna w lesie, wbijali się na dzielnych polskich i tureckich koniach w szyki, cięli szablami, kłuli koncerzami, bili pałaszami.

Piechota nie wytrzymała naporu dłużej niż kilka chwil. Rozpierzchła się, popędziła w stronę rzeki, pchając przed sobą bojarskie sotnie i poczet Mścislawskiego.

Fala skrzydlatych jeźdźców pomknęła za nimi; husarze i petyhorcy znaleźli się w jednym wielkim tłumie uciekających. Gnali, siekąc na wszystkie strony, powalając Moskali i Niemców jak snopy zboża, tratując końmi, miażdżąc kopytami, tnąc przez półkoliste moriony, kołpaki, napierśniki.

Pościg nie trwał długo. Dymitr nakazał zatrąbić do powrotu. Husarze poczęli wstrzymywać konie, zawracać na równinę na wymęczonych, parujących wierzchowcach, ustawiać się w szyku.

Carewicz przyskoczył do Dworyckiego na spienionym turku, brudny, tryumfujący, śmierzący prochem krwią. Wskazał buławą równy rząd taborowych wozów i kolas, sań załadowanych sianem i hulajgorodów obsadzonych przez strzelców Szujskiego.

- Poczynaj, waszmość, w imię Boże. Rozbij tabor, zdobądź wozy! Przez ten czas Koreła zwinie im lewy róg i wejdzie do Dobrynicz.

- Do tego trzeba piechoty! - zaoponował Dworycki. - Wystrzelają nas jak kaczki.

- Nie ma piechoty ani czasu!

- Są piesi Zaporozcy!

- Rzucę ich wam na pomoc. Zabawcie strzelców, a ja zbiorę Kozaków!

- Poczekamy! Mścislawski może wrócić.

- Tchórz cię obleciał, mości hetmanie? Jeśli tak, oddaj buławę. I niechaj słudzy odniosą cię na tyły!

Dymitr specjalnie podkreślił słowo *odniosą*, powiedział to tak głośno, że Dworycki usłyszał je wyraźnie wśród bitewnego zgiełku. Zbladł, wyprostował się w kulbace. Uderzył buławą w piersi.

- Zdobędziemy tabor! - wrzasnął. - Choćby dla samego diabła!

Skoczył do chorągwi razem z pocztowymi.

- Boże, pomóż! - zakrzyknął Dymitr. - Ruszajcie!

- Dalej! - rozległy się krzyki rotmistrzów. Trąbki zagrały sygnał do ataku.

Husarskie i petyhorskie rotty poczęły zstępować w dół, ku piechocie.

Dworycki obejrzał się w pole. Działa biły w tabor, Zaporozcy dawali ognia z samopałów, nie zbliżając się jednak do linii wozów. Dalej, na prawym skrzydle, Dońcy i semeni ścierali się jak Tatarzy z Moskalami - to przyskakując do walki na białą broń, to uciekając i strzelając z łuków.

Hetman nie poprowadził Polaków pełnym pędem, bo uderzenie w cwale - końskimi piersiami o kolasy - mogło okazać się błędem wartym jego głowy. Zebrał chorągwie, kazał grać sygnał i puścił ich zebrany galopem.

Husarze spadli na strzelców jak pancerny grad, z łoskotem kopyt, rzeniem koni. Spadli - i zatrzymali się na drewnianej przegrodzie. Kolasy i sanie naładowane sianem i słomą stały gęsto, związane łańcuchami i sznurami. A zza stert siana okrytych pałubami ślepiły na nich brodate oblicza strzelców w zielonkawych żupanach i świtach, z posiwiałymi na mrozie brodami, wspierających piszczele na ostrzach wbitych w ziemię berdyszy.

Polacy rąbali szablami - dźgali koncerzami, aby osiągnąć ukrytych za burtami sań i kolas Moskali. Na próżno - strzelcy uciekali spod żelaza, odsuwali się od kręcących się bezradnie konnych. I opierali arkebuzy na podpórkach.

Dydyński wiedział, co się święci. W zamięcie zwrócił Kapera na wprost nich, by nie wystawiać się bokiem na strzał, zakrzyknął na pocztowych...

- Pli!

Wstęga ognia przeleciała wzdłuż wozów i sań. Kłęb kwaśnego dymu uderzył w nich razem z gorącym ołowiem jak oddech ognistego smoka. Wzbił się w górę, wiatr zwał go w prawo, zakrył kozacką konnicę i zwartych z nią w walce Moskali. Wraz z nim zabrzmiały wrzaski, jęki. Koń pana Rudominy kwiknął, zwałił się na ziemię, zerwał się zaraz, młócąc śnieg kopytami, gdy jeździec szarpnął za wędzidło. Szlachcic obrócił go bokiem do Jacka, gniada kobyła kuląła szpetnie. Za przednią prawą łopatką, przed popręgiem, widniał szeroki

mokry otwór, z którego lała się ciemna, czarna końska krew!

- Koń okulawszy! Dajcie podjezdka! - rozdarł się szlachcic. - Antoseeeek!

- Odskakujemy!

- Zbierać się wszyscy! Bywaj tu!

Dydyński przestawił Kaper na zadzie, zawracając za swoimi. Ruszył skokiem na krwawe pole, przeczuwając, że jeszcze chwila, a strzały w plecy zdmuchną ich z wierzchowców.

Odkoczyli na dobre dwa stajania od wozów, poczęli zbierać się wokół chorągwi. Luźna czeladź wjechała między towarzystwo z powodowymi końmi. Jedni przesiadali się na wierzchowce, inni oddawali ranne i postrzelane. Dydyński policzył wzrokiem swój poczet. Oba podjezdki całe i zdrowe, Kaper nie wyglądał na postrzelonego. Świrski i Nieborski wykpiłi się połamanymi skrzydłami i małym wgnieceniem na naramienniku pana Herakliusza.

- Ścisnąć kolano z kolanem! - zakomenderował Gogoliński. - Uciszyć się! Szable w rękę!

- Bij! Bij, w imię Pańskie! - krzyczał rozogniony, rozgorączkowany Dymitr do Dworyckiego. - Szarżuj drugi raz, rwij tabor! Przyrowadź Szujskiego, a zrobię cię wielkim księciem! Dumnym bojarem!

- Wykrwawię chorągwie! - warknął hetman. - Potrzebujemy piechoty! Odwołam jazdę, rzucę ją na tyły, z lewej, od rzeki!

- Nie przejdiesz! Tam są hulajgorody! Strzelcy siedzą w kleciach. Jak się przebijesz, usieką.

Kula z moskiewskiej armaty padła w pole tuż obok, obsypując ich fontanną śniegu i błota. Turek Dymitra strzelił zadem, potem stanął dęba, cofnął się przerażony. Z kolei polak Dworyckiego stał nieporuszony - jakby wystrzały były najlepszą muzyką dla szlacheckiego wierzchowca.

- Żółkiewski złamał jazdą kosz Nalewajki pod Sołonicą, a kniaź Ostrogski Kosińskiego pod Piątkiem! Trąbić do szarży, ja sam pójdę z wami na armaty!

Działa stojące między saniami ryknęły niskim, suchym grzmotem. Kule przeniosły górą, rąbnęły w zaśnieżoną równinę. Jedna, zdradliwa, ze świstem przeszła przez szeregi petyhorców jak anioł śmierci, miażdżąc ludzi i koni, obalając jeźdźców, śląc bryzgi krwi na ich towarzyszy. Dworycki zadygotał. Nie mogli tu stać.

- Graj, muzyko, do ataku! - rozkazał piszczkom. - Póki puszki mają nienabite! Dalej, mości panowie! Daleeeeej!

Zabrzmiała trąbka. Skrzydlate, choć skrwawione chorągwie zerwały się do szarzy jak lotne ptaki. Poszli galopem poprzez białe pole usiane skrwawionymi ciałami. Ludzie pochylili się w kulbakach, ścisnęli szable i koncerze, zmrużyli oczy, wypatrując wrogów na tle śnieżnej bieli.

Nawałnica spadła na sanie i kolasy z łoskotem kopyt, z brzękiem żelaza, tak mocno, że konie uderzyły piersiami o drewniane zapory.

- Obalać kolasy! Razem, równo!

- Mości panowie, za mną! - zaryczał Odrzywolski. Jego wierzchowiec rozpędzony w galopie nie stanął, jak inne, przed zwartą ścianą wozów i sań. Spięty ostrogami, przesadził kolasę! Zawadził kopytem o burzę, omal nie zwałił się na śnieg.

Okulawiony, wystraszony wpadł na rząd strzelców, zmiażdżył, stratował, rozepchnął Moskali jak szmaciane kukły. A Odrzywolski machnął na odlew szablą, ciął, rozwalając jakąś kędzierzawą głowę, wznosił się w strzemionach do nowego cięcia.

- Dalej, bracia!

Pocztowy skoczył za nim, ale husarski podjezdek wyłamał się tuż przed burzą, zginając łeb, ślizgając się na zakrwawionym śniegu. A wtedy zza najbliższych sań wyskoczył strzelec w porwanej, pokrwawionej świtce. I jednym ruchem wbił rohatynę prosto w pierś podjezdka!

Koń zarżał, kwiknął przerażony. Stanął dęba tylko po to, by paść na bok, zwijając się, bijąc kopytami. Drzewce włóczy pękło z trzaskiem, jeździec zwałił się z kulbaki, przetoczył na bok, łamiąc husarskie skrzydło.

Dydyński skoczył na Moskali, chciał przemknąć nad kolasą jak Odrzywolski, lecz Kaper sfuszerował, zawiódł go jak zwykle. Zamiast się wybić, przyhamował, wyłamał ze skoku, prawie uderzył piersią o dechy, zginając łeb jak na paradzie.

Świrski chciał skoczyć z miejsca - jego podjezdek zwinął się w miejscu, obrócił jak fryga. Nieborski nawet nie próbował.

- Mości panowie, ratujcieeee!

Odrzywolski, sam jeden w taborze, opędzał się od Moskali. Koń szalał, miotał się, obracał w miejscu, stając dęba. Biegli do niego bojcy i strzelcy - w wilczych czapach, z brodami jak u dziadów ze złej bajki.

- Idziemy na pomoc! Cofajcie się! Skaczymy!

Dydyński odjechał na Kaperze dobre dwadzieścia kroków, a potem znowu ruszył ku ścianie z sań i wozów.

- Leć, Kaper! Leć! - zakrzyknął do ucha koniowi.

Spięli wierzchowce ostrogami, runęli na Moskali. Wpadli jak wichur na tabory i...

Wierzchowce wyłamały. Nie były w stanie pokonać tak wysokiej przeszkody, a może po prostu jeźdźcy stawiali im zadanie ponad końskie siły. Dydyński zaklął, rąbnął pięścią w szyję Kapera. Do diabła, gdyby był na Hetmance!

- Odrzywolski! - zaryczał. - Wytrwaj! Idziemy do ciebie!

Widział wszystko, co rozgrywało się zaledwie kilka kroków dalej. Oglądał krwawe teatrum jak widz, nie uczestnik, choć jego szabla łaknęła krwi.

Husarski towarzysz podrywa kulejącego konia do galopu na trzech nogach... Jego szabla tnie łby i ręce, próbując wyrąbać sobie drogę w gęstwinie strzelców. Wierzchowiec tratuje grubego Moskala w ferezji...

A potem inny strzelec bierze zamach ogromnym berdyszem o ostrzu długości krawieckiego łokcia. Tnie płasko po nogach tarantowatego wierzchowca... Łamie, przecina pęciny, rąbie w brzuch...

Polski wierzchowiec zwałił się łbem do przodu, padł - a wtedy jeździec dostał cios rohatyną w bok. Koń zakwiczał, poderwał się jeszcze, zwałił na bok, przygniatając Odrzywolskiego.

Dydyński widział, jak opadli ich Moskale. Tłum szarych, zielonkawych strzelców. Rąbali w furii. Rąbali w nienawiści. W bojowym szale. Jak rozjuszeni chłopcy, kiedy dorwą w jamie żywego wilka, co wcześniej porwał im owce z pola.

Bili berdyszami, rohatynami, szablami. Husarza i konia. Niby rzeźnicy, umazani posoką, głuś na krzyk zwierzęcia...

Puściła zbroja, tarantowata sierść zalała się krwią. Pękły od ciosów zarekawia i naramienniki, rozleciał się obojczyk, ugiął kirys. A oni tłukli bez ustanku, raz za razem, odcięli rękę z szabłą, odrąbali drugą dłoń, ścięli szeroki koński łeb o rozumnych oczach. Bili - dopóki nie poćwiartowali Lacha i jego wierzchowca pospołu w krwawe kawały ścierwa, dygocące na mrozie i śniegu...

Rąbnęła salwa z piszczeli i arkebuzów. Kwaśny prochowy dym uderzył w nozdrza, zapiekł w głowy i oblicza, zgłuszył wszystkie dźwięki i krzyki.

Dydyński dostał w pierś, szarpnęło go na tylny łęk, ale utrzymał się w kulbace. Dobra zbroja wytrzymała, żył, choć zgłuszony, obolały. Zobaczył, jak Świrski pochyła się na bok. Dostał w lewy bark, naramiennik puścił - stolnikowic widział małą dziurkę płaczącą krwawymi łzami. Damian zajechał pocztowego z tyłu, przytrzymał. Krzyczał coś, czego Jacek nie rozumiał. I pokazywał za ich plecy.

Na prawym skrzydle pola walki działo się coś, co poruszało serca i przerażało umysły.

Dydyński odwrócił się za wzrokiem Damiana. Widział, jak z dymu i kurzawy, w których powinni być Kozacy, wyłaniają się rozpędzone gniade i czerwonawe moskiewskie konie. Jak jazda Szujskiego wali na nich na bachmatach i łoszakach niczym Tatarzy w morderczym pędzie!

Kozacy uciekli! Uszli z pola bitwy, pozostawiając Moskali na skrzydle.

Zabrzmiały trąbki do odwrotu... Za późno.

Zanim husarze i petyhorcy zawrócili konie, spadł na nich orkan, przetoczył się po pierwszych szeregach, złamał, zwichrzył i zniósł na bok, trając ludzi i konie.

Szyki i wola Polaków pękły w jednej chwili. W następnej rotacji przemieszały się i pierzchły w ucieczce, czując na karkach oddechy ścigających ich Moskali.

Dymitr dostrzegł, że jego misterny plan bitwy wali się w gruzy, a zza wzgórz lewego skrzydła wyłania się powracająca konnica Mścisławskiego i wali ławą prosto na kozacką piechotę.

Zaporożcy dali ognia z samopałów. Wstrzymali impet wroga na spisach i rohatynach. A potem padli, ulegli, wzięci w dwa ognie, rąbani i tratowani.

- Stać! Staaać! - ryczał carewicz, płazując po karkach i plecach Lachów i Kozaków. Nikt go nie słuchał, nikt się nie zatrzymywał. Dymitr był sam jeden wśród uciekających, nie widział nigdzie swego pocztu, Buczyńskich ani Dworyckiego z ludźmi. Nie widział nawet jednego towarzysza ze swej chorągwi. Do kroćset, gdzie szukać choćby Dydyńskiego?

Gdzie teraz był sam Hospody?! Gdzie Fortuna! Koń zwolnił, zaczął rozpierać się, ustawać. Carewicz z rozpaczą kłuł go ostrogami, czując, że cholewa safianowego buta przesuwa się po czymś gładkim i śliskim. Kiedy sięgnął tam ręką, zrozumiał, że to krew. Turek był postrzelony!

Serce biło, jakby chciało wyskoczyć mu z piersi. Dymitr krzyczał, machał rękoma, płazował szablą... Nic. Koń zwalniał, zostawał w tyle, a obok przelatywali w pędzie dworanie, husarze, kozacy, petyhorcy, Lachy, Litwini, Rusini, Zaporożcy, Dońcy. Nikt się nie zatrzymał, nikt nawet nie spojrział za carewiczem.

- Ludzie! Spasitie! Łaski zmiłowania! Sto rubli dam! Dwieście! Tysiąc! Księstwo suzdalskie! Do bojarów zaliczę! Miejcie honor, panowie bracia! Tchórze! Psie krwie! Sucze chwosty! Z kurwy syny! Bliaduny! Żopy bisurmańskie! Pizdiuki! Żopy zasrannyje!

Aż wreszcie, kiedy koń ustał i począł się kłaść, nagle ktoś dopadł carskiego boku, osadził wierzchowca, aż śnieg i lód trysnęły na wszystkie strony.

Carewicz krzyknął, poznając brodate oblicze kniazia Rubec-Massalskiego.

- Batuszko nasz! - zakrzyknął Moskal, zeskoczył z kulbaki, kłaniał się w pas przy

carskim strzemienu. - Jesteśmy! Z pomocą! My jedni, chołopiszki twoje!

- Koń mi ustaje! Spasajcie!

- Diaczek! Dawaj swojego! - ryknął kniaź.

Sługa zeskoczył na ziemię jak błyskawica. Kniaź podał cugle bachmata Dymitrowi.

- Uciekaj, słoneczko prawosławne! Uchodź jak najdalej! Musisz przeżyć, batiuszko nasz umiłowany! Nie zostawiaj nas, rabów bożych jedynych, bez pana i władcy!

Dymitr zeskoczył na ziemię. Chwila - i siedział w kulbace drugiego wierzchowca.

- Preswiatuju, Preczystuju, Prebłohosłowiennuju...^{*} - przeżegnał chrestem kniazia - Chrystos, Boh nasz, molitwami Preczystyja Swojeja Materi pomiłujet i spasiet tiebie...^{**}

- Nie odstępimy Waszego Carskiego Wieliczestwa - załkał kniaź. - Ty już z nami do śmierci, Dymitrze. Lachy pójdą, Kozaki pójdą, Dony uciekną, ale nie my! Wo wiki wików^{*}.

- W konie! - ryknął drugi ze sług. - Mścislowski nadciąga!

Dymitr skoczył za uciekającą armią. Za sławą i chwałą, która znikła nagle gdzieś za widnokregiem, zgasła tego mroźnego dnia jak spadająca gwiazda nad kremłowską cerkwią.

Popędził konia. Nie było czasu. Nadciągał car Borys Godunow. I jego zaufany wojewoda - mróz.

Die 31/21 ianuarii

Pole za rzeką Wul, późny wieczór

Chociaż pułkownicy i rotmistrzowie Dymitra unieśli głowy z pogromu, jedynie Ostromęcki i Dworycki nie zgubili zdrowego rozsądku. Pierwszy nakazał zagwoździć działa, nim ogarnęła je moskiewska nawałnica, podpalił także lont od armatniego wozu pełnego prochu, dzięki czemu posłał kilkunastu dworian wprost w ramiona Abrahama. Drugi zaś płazował szablą uciekających, przebił kilku tchórzy, dopadłszy zaś w pełnym pędzie trębaczy i chorążego, kazał trąbić na zbiórkę oddziałów. I póty bił, tłukł i wyzywał od matek uciekających, aż wreszcie Polacy poczęli wstrzymywać wierzchowce, szukać wzrokiem chorągwi, a potem zbierać się do kupy.

Towarzystwo wracało spod Dobrynicz w oplakany stan. Zabitych nie było wielu, z rotty Dydyńskiego ubyło trzech towarzyszy oraz dwadzieścia koni i pachołków, jednak o wiele większe były straty w moderunku. Panowie bracia wracali porąbani, bez szyszaków,

^{*} scs. - Święta, Przeczysta, Błogosławiona...

^{**} scs. - Chrystus, Bóg nasz, modlitwami swoimi i Przeczystej Matki zlituje się i ochroni ciebie...

^{*} scs. - Na wieki wieków

skrzydeł, a nieraz i szabel. Na pociętych, postrzelanych koniach, pocztowi zaś często na piechotę - biegnąc i trzymając się strzemion towarzyszy. Albo po dwóch na jednym koniu.

Ujrzawszy, że polskie rotty gromadzą się na otoczonym lasami polu za zamrzniętym potokiem, Moskale zatrzymali się jak wryci, a w ich szeregach zadudniły bębny, zagrały piszczałki - chyba dla dodania animuszu, bo żaden z oddziałów nie ruszył dalej.

Sotnie Szujskiego czekały na posiłki - Niemców i resztę konnicy. Dworycki widział to jak na dłoni. Nakazał odwrót do obozu pod Siewskiem. Żeby zaś zyskać na czasie, rozkazał rotom carskiej i petyhorskiej Mikulińskiego pozostać w polu, aby jak najdłużej opóźnić pochód wroga. Stawka była wysoka, ale zrozumiała - Dworycki chciał uchronić obóz przed grabieżą, zachować moderunek, prochy, kilka dział i czeladź dla dalszej wojny.

Gogoliński objął komendę. Ustawił chorągiew w ordynku. Nakazał odesłać na tyły rannych i posieczonych. Wymienić konie na świeże. To ostatnie było prawie niewykonalne. Chorągiew straciła tyle wierzchowców, że brakowało powodowych rumaków. Konie wróciły zmarnowane, mokre i okrutnie spienione po dwóch szarżach, morderczych atakach na tabor i krwawym odrocie z dobrynickiego pola. Ledwie żywe wyciągały głowy na munsztukach, grzebały kopytami, aby pod śniegiem znaleźć choć małe źdźbło trawy.

Nie było dla nich litości. Chorągiew sformowała szeregi i obróciła się ku rzece. Dydyński z niepokojem spoglądał na rannego Świrskiego, porąbanego Nieborskiego na kulejącym wierzchowcu. Wołał ciury - Borka i Mykołę, ale nikt się nie odzywał. Już chciał odesłać Herakliusza do obozu pod opieką Damiana, kiedy z boku podjechał Borys na parującym Myszatym.

- Damian, zabierajcie Świrskiego do obozu. Opatrzyć ranę, wezwać cyrulika!

- Ja zostanę - rzekł Nieborski. - Nie zostawię waszmości w opałach.

- Sam dam sobie radę.

- Jak to? Bez czeladzi?

- Zabierajcie się do obozu! - ryknął Dydyński. - Świrski się wykrwawi! Nie widzisz?

- Ja z tobą pozostanę, ojczulku! - rzekł Oboleński. - Pozwólcie i nie gniewajcie się.

Będę wiernie strzegł waszych pleców.

- Będziesz zawadzał.

- Damianie Florianowiczu, bierz mojego konia - mruknął Borys. - Ojczulku, oni ustali, porąbani, postrzelani. Twój sługa da sobie radę, a ty będziesz miał wsparcie!

- Dam sobie radę sam! Precz, Moskalu!

- Choćbyście ogniem i żelazem przypiekali, nie pójdę!

- Co, nagle odezwała się w tobie fantazja? - zakrzyknął szlachcic. - A może stałeś się

Lachem? Przecież wy, Moskale, nie macie za grosz honoru!

- Zo...

Dydyński z rozmachem wyciął go płazem szabli przez plecy.

- Do obozu! - ryknął. - Nie ma czasu. Panie Nieborski, w czasie mojej nieobecności czynię cię dowódcą poczty. Zabierz Świrskiego, każ czeladzi zwijać namioty, zaprzęgać kolasy, ruszać razem z resztą. Szybciej, bo was tu powybijam, ścierwa!

Krzyki i groźby poskutkowały. Borys i Damian ujęli wodze podjezdka ze Świrskim, puścili się rysią, a potem stępem na Siewsk. Dydyński spoglądał za nimi długo, a potem zawrócił do chorągwi, bo już wołali na niego z szeregu. Moskali przybywało na drugim brzegu. Walili na nich kupą, jak pijani szlachcice na sejmiku albo weselu.

Die 31/21 ianuarii

Pole za rzeką Wul, zapada zmierzch

Gogoliński nakazał ruszać przez strumień i potykać się na zamrzniętym polu. Ale bojarzy i dworanie, widząc ruszającą na nich husarię - choć bez kopii i przeredzoną - wypuścili rój strzał, a potem zawrócili konie i zbiegli do lasów, roztopili się wśród drzew. Gdy zabrzmiała trąbka do odwrotu, pojawili się znowu, markując atak za wycofującą się chorągwią.

Husarze raz jeszcze poderwali wyczerpane rumaki do ataku, a dworanie ponownie zemknęli z pola chyłkiem jak Tatarzy, aby po chwili pojawić się na skraju lasu już w większej liczbie.

- Stój! - zakrzyknął Gogoliński. - Pojedynczo w tył na lewo marsz! Daleeej!

Zmusili mokre konie do zwrotu, poczłapali z powrotem. Na drugim brzegu strumienia przybywało Moskali. Polacy zabawiali ich wystarczająco długo, a stanie w tym miejscu robiło się niebezpieczne.

- Rysią marsz!

Poszli szybciej, ale bez galopów - aby nie okazywać strachu Moskwicynom. Pół stajania dalej zrobili zwrot na zadzie, znów ustawili się piersiami do wroga. Konnica Szujskiego postępowała ostrożnie, przechodziła właśnie niemrawo przez strumień. Zapadał zmierzch, ledwie mogli rozpoznać zarysy pagórów, kurhanów i ciemną krechę lasu, łagodnym łukiem otaczającą ich od południa. Na domiar złego poczynał wiać lodowaty wiatr, który porywał śnieg z zasp, a mróz przenikał do szpiku kości.

- Dalej! Skokiem!

Puścili się galopem w stronę wzgórz i lasu - tam, gdzie w wąskim gardle między

ścianami drzew widniało szerokie przejście na pola i stopy ciągnące się aż do Siewska. Z miękkiem łoskotem kopyt, z szumem skrzydeł wpadli na niewielki pagórek przed przesieką, zjechali z niego i...

Błysk rozjarzył lodową pustynię aż po krańce lasu. Blask bijący z luf uniesionych piszczeli, wystrzały ze śmigownic, głuchy i suchy trzask organek. Chorągiew wstrzymała się w pędzie, z rzeniem i kwikiem zwałił się koń, drugi padł na bok, pocztowy i towarzysz poleciecieli z kulbak, ten pierwszy pod kopyta, drugi na bok, leżał we krwi, kopiąc nogami przed śmiercią.

- Stawaj! Stawaj! - zaryczał Gogoliński.

Przejście między drzewami zamknięte było pośpiesznie wystruganymi ostrokołami, kobylinami i zwykłym zasiękiem. Świeżo zaostrzone pale i koły szczyrzyły zęby w stronę nadjeżdżającej husarii. A za ich nierówną, poszarpaną granią widniał tłum Moskali rozświetlony pochodniami.

Strzelcy! Zablokowali wyjazd z pola, jedyny prowadzący w stronę Siewska! Dopiero teraz w nagłym przeblysku Gogoliński zrozumiał, dlaczego jazda dworiańska nie chciała atakować, gdy przekraczali strumień. Ona po prostu odciągała ich uwagę, by dać czas strzelcom na obejście i zamknięcie drogi.

- W prawo marsz! Skokiem, mości panowie!

Konie dobyły ostatków sił. Parujące i wyczerpane skoczyły w stronę zbawczego lasu. Husaria przebiłaby się przez gąszcz - kosztem pozostawienia na gałęziach piór, skór i szyszaków. Lecz ledwie doszli do krzaków - w gęstwinie zamigotały światła, a potem z suchym trzaskiem odpaliły piszczele.

- W prawo! Zwijaj w prawo! - zakrzyczał Gogoliński. Rota skręciła na północ, niemal w stronę, z której przyjechali. Wpadli na niewielki wzgórek, pomknęli w stronę potoku i zaraz wstrzymali konie. Na drugim brzegu rzeki wysypywała się moskiewska konnica - w resztkach wieczoru widzieli całe sotnie i poczty stojące w ordynku frontem do nich. Gogoliński uderzył się buzdyganem w norymberski szyszak. Byli w pułapce. W potwornej paści, z której... było jeszcze tylko jedno wyjście!

Poderwał towarzyszy i pocztowych do biegu. Skoczyli na wschód - ku miejscu, w którym las przechodził w trakt z Siewska do Staroduba, zakręcał i szedł równolegle do Siewu. Na próżno. W chaszczach i krzakach migotały światełka, słyszeli krzyki i nawoływania.

- Stój! Stawaj w lewo!

Chorągiew zbiła się w jedno wielkie kolisko. Husarze i petyhorcy poczęli krzyczeć, rozglądać się, przepychać, bić i wrzeszczeć. Gogoliński zerwał szyszak z głowy, startł zimny

pot z czoła.

- Mości panowie, spokój! Uciszyć się! Chorąży, do mnie!

Chciał stanąć na jedną chwilę, ogarnąć wszystko, pomyśleć, co i jak uczynić.

Moskale nie dali mu do tego sposobności.

Wystrzał z działa wstrząsnął powietrzem. Jeden, drugi, trzeci, piąty!

Armatnia kula spadła jak grom z jasnego nieba. Rąbnęła w zaśnieżone pole za końskimi zadami, obsypała ich bryłami lodu. Druga była zdradliwsza - padła na ziemię po prawej, zrykoszetowała, przechodząc blisko, śmiertelnie blisko chorągwi.

- Wybiją nas! Wystrzelają jak psy!

- Ratujcie!

- Za mną! - krzyknął Aniołowicz. - Do rzeki! Przebijemy się wzdłuż strumienia!

- Czekajcie! - ryczał Gogoliński, ale nikt go nie słuchał. Husarze i petyhorcy pomknęli w stronę Wula, do miejsca, gdzie strumień wypływał z lasów, między pagórkami. Poszli z łoskotem zbroic, z chrapaniem utrudzonych koni, wpadli w głęboki śnieg; czyjś rumak zapadł się po brzuch, kwiknął, inny potknął się, zrzucił jeźdźca.

A potem wierzchowiec Aniołowicza zapadł się w śnieżną czeluść. Biała płaszczyzna rozstała się pod nim jak ruchome piaski, razem z nią zapadło się jak lawina całe zbocze. Koń kwiknął, wstał na przednie nogi, pośliznął się na lodzie, zerwał znowu. Poturbowany, ranny szlachcic chwycił wodze. Inne wierzchowce rżały, rzucały się niespokojnie.

- Zawracać! Nie przejdziemy!

- Jamy! Jamy pod śniegiem!

- Dalej bagno!

Nikt już nie dowodził, nikt nie słuchał komend Gogolińskiego. Husarze zaczęli rozbiegać się we wszystkie strony. Toczyli wzrokiem po lesie, szukając miejsca, w którym można było przebić moskiewski kordon. Jeden beształ czeladź, inny rozpaczał, kolejny spinał konia do galopu. Jedność i karność stały się pustym słowem na stepie.

I byłoby źle, bardzo źle, gdyby nie huknął strzał. Tym razem odezwał się puffer Dydyńskiego.

- Mości panowie, na środek pola! - zaryczał Dydyński. - Na wzgórze! Tam kule nie doniosą, tam uczynimy radę! Naprzód!

- Za mną! - poparł go Gogoliński, ratując resztki fantazji. - Tam bezpiecznie.

Wpadli na środek pola, między dwa niewielkie, siodłowate pagórki, słysząc zewsząd huk dział, krzyk Moskwy i głuchy pogłos echa, jakim odzywał się w przepastnym borze każdy wystrzał. Zbili się w kupę, w kolisko jak Krzyżacy pod Grunwaldem, stanęli ramię w

ramię na dymiących koniach. I wtedy poczeli jak błędni rozglądać się dokoła, bo nikt nie wiedział, co robić i dokąd zmierzać.

Die 31/21 ianuarii

Dobrynicze, godzina ósma po południu

- Wielki kniaziu, ojczulku nasz ukochany, panie...

- Potem, potem - wychrypiał Szujski, dostojny, pomarszczony starzec zasiadający w saniach uformowanych na podobieństwo białego niedźwiedzia, w których zajmował tyle miejsca, że zmieściłoby się tam dwóch bojarów. - Trofimie Aleksiejewiczu, potem będziesz bił czołem. A teraz gadaj, co się dzieje! Gdzie carzyk? Gdzie impostor? Uszedł?

- Lachy i Dońcy uciekli do Siewska. Zaporozcy wycięci, część uszła. Poszli, skatiny, prosto w lasy!

- Nu i zwycięstwo. Taaak - kniaź potoczył przekrwionym wzrokiem po swoich kompanach - uuuu-cha, cha, cha! Fiodorze Iwanowiczu - poklepał Mścislawskiego po kolanie - tak Lachów bić trzeba. Nie siłą, nie szablą, a sposobem! Hu, hu! Wszak ja tobie mówił: pomnij, Mścislawski, kamrat, żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat! Czyja będzie Ksenia Godunowa?! Moja czy wasza?!

- Masz - rzekł i śmiejąc się, zerwał z kołpaka siedzącego obok bojara duży węgierski dukat. Cisnął go słudze jak psu. - Żeś mi dobrą nowinę przyniósł.

- Jeszcze bitwa nieskończona, Wasylu Iwanowiczu - mruknął ponuro Mścislawski, zarośnięty pod oczy jak leśny dziad, za to w szłyku wielkim jak komin gorzelni, obszywanym perłami i carskimi medalami, to jest dukatami. Ciężar tej czapy przez lata tak wykrzywił głowę kniazia, że ten sprawiał wrażenie, jakby spoglądał z dołu przez szparkę. - Puszki słyhać.

- A co tam się dzieje?

- Husary się bronią w polu. Jazda litewska... Ze trzy setki. Piotr Fiodorowicz ich zasiekami otoczył, jak lisa w norze obszedł. Prosi, byś mu, wielki kniaziu, przysłał Niemców i konnicę rajtarską.

- Czy ci Litwini zagrażają nam drogę na Siewsk?

- W lasach są, na polanie, z dala od traktu.

- No to czego Piotr Fiodorowicz szuka guza po nocy? Ja mu konnicy nie dam. Starczą strzelcy, trochę dworjan ziemskich z Siewierszczyzny i puszkę - te może wziąć wszystkie. I przekaż mu, żeby nie szukał zwady po nocy. Otoczyć Lachów, dawać ognia i czekać do

świtu. Postoją w polu - rano nie będzie co zbierać. O ile sami nie przyjdą szukać carskiej łaski. A reszta, ojculkowie - na Siewsk, na Siewsk, pókim dobry! Gonić, łapać Rostrygę, Otriepiewa! Rozkazać po sotniach i pułkach, że kto przyprowadzi mi Dymitra, temu obiecuję sarafanowy kaftan, carską łaskę i sto rubli nagrody! Przyprowadzić go żywcem, ale... może być też martwy. W sumie to żadna strata! Ruszajcie!

Die 31/21 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Okolo godziny dziewiętej wieczorem

- Musimy czekać do świtu! - krzyczał Gogoliński do towarzystwa, słowa wydobywały się spod oszronionych wąsów razem z kłębami pary. - Przebijemy się przez Moskali... Rano... O pierwszym brzasku.

- Na tym wietrze nie doczekamy nawet do północy - odparł Domaradzki, dygocąc tak, że dzwoniły powyginane blachy obojczyka. - Uderzajmy teraz! Póki nas nie otoczyli, nie uczynili zasieków i kobylic.

- Po nocy wpadniemy w zasadzkę! - zaryczał Gogoliński. - Albo w jamę, jak Aniołowicz.

- Konie nam padną! Na piechotę wystrzelają nas jak kaczki!

- Nawet połowa nie przejdzie!

- Do rana nie zostanie co dziesiąty.

- Stać! Zabraniam! To rozkaz! - Porucznik wymachiwał pistoletem przed gębami husarzy. - Do szeregów. Siedzieć cicho! Może wyjdzie księżyc.

Głuchy huk przytłumił jego słowa. Moskale przypominali o sobie, co pewien czas mrok rozjaśniał daleki błysk działa. Mogli się tylko domyślać, gdzie spadła kula. Na szczęście rzadko która donosiła na środek pola. A może po prostu mieli szczęście?

- Mości poruczniku - zameldował Janicki, starając się przekrzyczeć wycie wiatru - ktoś idzie.

- Szpieg? Szpica moskiewska?

- Moskal, to pewne. Sam jeden na koniu. Jest o pół stajania.

- Mości Domaradzki, skocz z pocztem i złap go albo ubij!

- Tak jest!

Wezwany towarzysz obrócił konia w miejscu i zniknął w mroku wraz z trzema pocztowymi. Zabawili jakiś czas - poprzez wycie wichru doszedł ich szcęk żelaza, bo łomotu

kopyt nie było słychać. Wrócili szybko, we czterech - prowadząc między sobą wielkiego, zaśnieżonego Moskala w futrzanej czapie i szubie przywodzącej na myśl niedźwiedzie futro.

- Nie bronił się! - zameldował Domaradzki. - Mamy ptaszka.

- Ktoś ty jest i czego chcesz?

Moskal nawet nie zdążył otworzyć ust, kiedy Dydyński przepchnął się z koniem do przodu.

- To Borys, mój sługa, znam go.

Oboleński zdjął czapkę, ukazując wygolony łeb, skłonił się unieżenie.

- Co tu robisz, do diabła?!

- Wróciłem służyć tobie, Jacku Aleksandrowiczu!

Dydyński wyrznął Borysa pięścią w plecy.

- Stój! - krzyknął Domaradzki. - Czekaj, waszmość. Jak żeś tu trafił, człowieku?

Borys skłonił się jeszcze niżej.

- Nie bijcie, ojculkowie, ja wszystko powiem. Jak na spowiedzi. Jest przejście między rzeką a lasem, tam - pokazał na wschód. - Przez bagniska.

- Co takiego?

- Co on mówi?!

- Jest przejście!

- A przeprowadzisz nas tamtędy?! Koń przejdzie, skoroś sam przejechał. Ale czy przejdzie dwieście wierzchowców? Mów, chłopie, albo wytrząśniemy cię jak futro!

- Przejdziemy, powoli i bezpiecznie, batiuszkowie. Ale nie w nocy! Tam droga straszna! Oparzeliska, a na nich lód - po ciemku nie odróżnisz twardej zmarzliny od topieli.

- Na pewno?!

- Jechałem przed zmierzchem. Ledwie się nie utopił. Patrzcie, ojculkowie, i nie krzywdźcie - mój koń mokry.

Faktycznie mały wołoski podjezdek był jak oblany wodą, parujący.

- Musimy czekać do świtu! - zakrzyknął Gogoliński. - Stoimy w kupie! Wytrwamy do brzasku! Nie wychodzić z szeregów, nie gadać!

- To szaleństwo! - zawołał Janicki. - Zamarzniemy!

- Kto chce - Gogoliński wskazał skraj lasu - droga wolna pod nóż Moskali. Przebijemy się razem. Bo tylko w gromadzie jesteśmy silni! Stawać, baczyć na boki! Meldować o wszystkim!

- Wjeżdżaj za mnie! - zakrzyknął Dydyński do Borysa. - Nie masz zbroi, ale ustaw się w szyku jak pocztowy. Wyprowadź nas z tej matni - wysyczał - a Bóg mi świadkiem, że

ominie cię knutowanie za niewykonanie mojego rozkazu.

- Słuszajus', batuszka - rzekł posepnie Borys.

Jacek spoglądał na niego ponuro. Nie wiedział, co rzec. Nie cierpiał tego moskiewskiego buhaja, ale teraz nie mógł odmówić mu rozsądku i fantazji. Borys wrócił! A szlachcic musiał przyznać, że zachował się jak szlachetnie urodzony pacholek.

Oboleński przesunął się za stolnikowica. Dydyński zadygotał z zimna.

- Borys...

- Słucham, ojczulku.

- Gdybym zginął... wiesz, o świcie, albo go nie doczekał, jesteś wolny. Zwalniam cię od przysięgi na chrest. Idź, dokąd chcesz, i czyń, co chcesz, rozumiesz?

- Dziękuję, batuszka.

- To teraz co, pchniesz mnie nożem w plecy?

- To nie tak, Jacku Aleksandrowiczu, ojczulku najśłodszy. Póki u ciebie Chrest, póty ty dla mnie święty jak Chrystus Pantokrator na cerkiewnym obrazie. Ale i tak ja bym na ciebie nie podniósł ręki. To nie twoja wina, że błędzisz, bo Boże przeznaczenie kieruje czynami człowieka, a nie on sam.

- Bredzisz! Jezus Chrystus dał nam wolność wyboru, czego wy, Moskale, nie możecie pojąć. Pewnie dlatego, żeście schizmatycy.

- Tobie się tylko wydaje, batuszka, że masz na coś wpływ, że podejmujesz decyzje, wybierasz drogi. A tak naprawdę rządzi nami prawo Boże, plan Najwyższego, który niesie nas jak rzeka, ustala porządek bitew, hierarchię carów i bojarów.

- Co ty gadasz?

- Jedynie prosta mądrość prawosławnego narodu pomaga zatryumfować nad zamętem i w porę ustrzec się przeciwności. To dzięki niej odnajdziesz drogę do zbawienia, ojczulku.

- Więc wolisz cierpieć, niż oddać za cios?

- Skoro tak trzeba?

- Zwalniam cię z przysięgi, ale mam prośbę. Jeśli zginę, przekaz Nieborskiemu wieść o mej śmierci. Niechaj wraca do Polski, jedzie do mego brata Przecława, do Dydni, i powie mu... - Dydyński zawahał się - że jest następny. A jeśli brat nie pojedzie szukać stryja i reszty familii, niechaj wie, że po śmierci wrócę do niego, choćby jako upiór. Będę go gryzł, szarpał na strzępy, nawiedzał, dopóki nie skończy mojej misji w Moskwie. Zapamiętasz?

- Tak, batuszka. Straszne słowa.

- Ale prawdziwe. Jestem tu z przyczyny brata. - Dydyński ugryzł się w język, bo właśnie uświadomił sobie, że przestaje grać w oczach Borysa sługę Dworu.

- Czy i ja mogę mieć suplikę?

- Mów śmiało.

- Gdybym zginął, zdejmijcie krzyżyk z mej szyi. Oddajcie... Oddajcie...

- Komu?

- Marynie.

- Jakiej Marynie?

- Tej z Sambora.

- Marynie Mniszchównie?! Jaśnie pannie wojewodziance? Przyrzeczonej Dymitrowi?!

Jak to? Dlaczego jej?

- Bo ją miłuję.

- Jak dobry sługa?

- Jak mąż. Ona mnie wybroniła od kata w Samborze. Jeśli tu padnę, powiedzcie jej...

Że Borys, którego uchroniła od bólu, wzniesie za nią westchnienie ku tronowi Stwórcy. Albo lepiej nie! Nic nie mówcie.

- Rozmawiałaś się w wojewodziance?! - prychnął Dydyński. - Ty, Moskał, w polskiej szlachciance, pannie z możnego rodu?! Oszalałeś! Przecież ona nie dla ciebie! To ci koncept! Do diaska, na Adonisa jesteś trochę za duży. I za bardzo śmierdzisz dziegiem.

- Nie rozumiecie mnie, ojczulku? Jak to? Wy też przecież macie pannę... Która jest nie dla ciebie, bo zamknięta w monasterze. Też do niej wzdychacie?

- Skąd wiesz? - wysyczał Dydyński. - Od Świrskiego?

- Wiem i czuję, że ją miłujecie.

- To zupełnie inna sprawa... Pomogłem Zawiszance w zajeździe, ale stryj wyrobił na nią dekret infamii. Musiała wybrać - katowski miecz albo, Klaryski. Nieważne zresztą! Nie twój parszywy interes!

- Ja tylko pokazuję, ojczulku, że także mam serce.

- I zadurzyłeś się w Marynie. Niemożliwe! Od kiedy Moskale wiedzą, co to miłowanie? Wszak u was kojarzy się pary jak krowę z buhajem!

- Ale dusze mamy takie jak i wy. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Wszak wszyscyśmy Słowianie.

- My Sarmaci! A Słowian podbiliśmy, zamieniliśmy w chłopów, niewolników i poddanych.

Umilkł i nie odzywał się już. Brał mróz. Straszny, niewyobrażalny, jak trupi dech śmierci. Wiatr niósł na skrzydłach śnieg i szron, porywał bryłki lodu, wył głucho między końskimi nogami, świstał na buńczukach i półksiężycach zwieszających się z szyi

wierzchowców.

Zamarzali.

Die 31/21 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Godzina dziesiąta w nocy

- Zostaw, nie strzelaj! - krzyknął Iwan Burkała do Fiedii Niemojłowa, który chciał przyłożyć lontownicę do zapалу puszki.

- Nie strzelać?

- W takiej zawiei nie zobaczysz własnego choja, a co dopiero Litwę, Fiodorze Maksymowiczu!

- Mamy ich puścić?

- Rozpalcie ogień, czekamy do świtu! To rozkaz batuszki Basmanowa.

- O świcie husary przejadą po nas jak Piotr Fiodorowicz po bładzi moskiewskiej! Burkała poklepał pieszczotliwie lufę armaty.

- O świcie przemówią do nich nasze smoki. Dźwięcznym głosem.

Die 31/21 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Kwadrans po godzinie dziesiątej w nocy

- Nie ma drewna! - zakrzyknął Janicki. - Nie rozpalimy ognia!

- Szukajcie dobrze! Musi być pod śniegiem.

- Z dupy mam sobie wyciągnąć?! No... mości panie poruczniku. Wybaczcie.

- Nie słyszałem tego.

- Wszędzie lód albo zamrznięta ziemia.

- Nie damy rady kopać!

- Podeszliście pod las?

- Byliśmy. Moskale pocztowego ubili!

- Stawajcie w szeregu, bliżej, ogrzejemy się!

- Chyba żarem serca!

Die 31/21 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Okolo wpół do jedenastej w nocy

Stiopkin trząsł się tak, że zęby dzwoniły mu jak kastaniety moskiewskiego igrca. Dłonie ściskające wytarte, gładkie łoża arkebuza rwały, jakby żywcem zdzierano z nich skórę, zmieniały się w szponiaste sople bolesnego lodu. Mróz dławił oddech, darł żywcem skórę z czaszki. I byłoby to nawet miłe, pod warunkiem, że za chwilę czekałaby go dobrze nagrzana chałupa, gorzałka w glinianym garnczku, śmiech i rozmowy przy rodzinnym stole.

Zamiast nich usłyszał głos dziesiątnika Swierkałowa. Miarowy, nosowy, zagłuszany przez wiatr:

- Nabijać piszczele, synkowie. Czekamy na świt. A skoro przyjdzie, sprawimy panom czerwoną łaźnię. Czuwajcie i czekajcie. I pamiętajcie - strzelać w konia. Nie w nogi, nie w łeb, tylko w pierś. Bez konia Lach nie diabeł, nie lepszy człowiek jak wy. A kiedy wystrzelacie panom wierzchowce, przyjdzie na nich czarny hyr! Trzymać piszczele, sprawdzać, czy nie ma śniegu w lufie. Taaak, syneczku, jedyna to wasza obrona przed gusarami.

Stiopkin przymknął powieki. Łzy zamarzały na policzkach.

Wiatr dał, walił śnieg. W taką noc i czarta szkoda byłoby wygnać za próg.

Die 31/21 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Przed godziną jedenastą w nocy

- Pilnować koni! - wycharczał Gogoliński. - Jak padną, damy gardła pod miecz! Nie rozerwiemy Moskali na piechotę! Ruszać dwadzieścia kroków naprzód, potem zawrócić, wracać do szeregu! I tak po kolei.

Konie stały w zamieci ze spuszczoneymi łbami. Pokryte śniegiem, wyziębione i słabe. Nie parowały - za to u niektórych poczęła tworzyć się na ciele warstwa lodu i śniegu otulająca sierść jak gruby pancerz. I tak można było podziwiać ich wytrzymałość. Cały dzień bitwy, szaleńcza ucieczka, walki z Moskalami, teraz morderczy mróz. Przez cały dzień nie dostały garsteczki owsa, odrobiny siana, źdźbła słomy, a nawet wody. Niektórzy z husarzy zeskakiwali z kulbak, brali śnieg w ręce, a potem, rozgrzewając go ciepłem dłoni, zwilżali pyski wiernych towarzyszy broni.

Wiatr wył, niosąc śmierć, gwizdał na pohybel Lachom. Dydyński czuł, że w nogi i

siedzenie jest mu w miarę ciepło - to grzał go Kaper. Ale ramiona, głowa i ręce cierpiały od chłodu. Czuł, jak przenikają go na wskroś tysiące igieł, zimno paraliżuje usta, szarpie ręce, nos i szyję. Kiedy poruszał wargami, wyczuwał na nich krew. Widział, jak na napierśniku husarskiej zbroi osadza się szron. Powoli on i jego towarzysze zamieniali się w śnieżne posągi, znieruchomiałe w zamieci bałwany z grubsza przypominające jeźdźców na koniach.

Dotrwać... Czekać... Śmierć była miłsza od tego cierpienia. Rozmowy ucichły, bo rozwał je wicher, śnieg zalepiał usta skuteczniej niż katowski knebel, a mróz dławił członki gorzej niż carskie kajdany.

Die 31/21 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Jedenasta w nocy

- Batuszka, okryjcie się, będzie cieplej! - Sługa zarzucił na kolana Basmanowa kołdrę z wilczych skór.

Piotr Fiodorowicz oparł się o wezłowie sań i przymknął oczy. Ale na krótko.

- Dlaczego ja mam leżeć w ciepłe, skoro moi ludzie marzną? - zapytał ze złością, bo trudno jednak było się zmusić, aby opuścić ciepły pojazd.

Sługa skłonił się, Basmanow odrzucił kołdrę. Wstał i skinął na tysiącownika strzeleckiego.

- Idziemy, batuszka. Sprawdź, czy Litwa nie uciekła.

Do świtu zostało ponad siedem godzin.

Die 31/21 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

W pół do dwunastej godziny w nocy

- Nie śpij, zamarznie! - Dydyński poczuł, że ktoś szarpie go za ramię. Rudomina - dygocący od zimna, pokryty lodem i śniegiem, który osadził się na nakarczku i okapie szyszaka. Wyglądał tak, że mógłby straszyć dzieci na jasełkach albo jako Śmierć przemawiać z kościelnych obrazów do pobożnych chrześcijan, nawołując do zaprzestania pijaństwa i pomiarkowania się w rozpuście.

Dydyński westchnął. Wiedział, że on sam sprawiał takie samo, a może jeszcze gorsze wrażenie.

- Czas rozruszać konie. Jedziemy!

O Boże Miłosierny... Ile jeszcze tej męki?

Szturchnął Kaperą. Ale koń nie ruszył. Zaparł się. Dydyński nie miał sumienia uderzyć go ostrogami.

- Kaper! - przemówił łagodnie i spokojnie, ale jego głos ginął w odgłosie wichury. - Kaper, rusz się chłopie. Idź, bo zamarzniesz.

Koń nie ruszył, podniósł tylko głowę, nie postąpił nawet pół kroku do przodu. Dydyński zmartwiało. A potem zsunął się na ziemię - powoli, nieporadnie przekładając prawą nogę nad końskim zadem, jakby był to kawałek drewna. Opadł na śnieg i jęknął - prawie nie władał członkami, ciało było jak z drewna, bolało przy każdym ruchu, a krew przestała krążyć w żyłach.

- Chodź, Kaper - jęknął. - Nie mamy czasu. Musisz się ruszać.

Pociągnął zdrętwiałego, zobojętniałego konia za sobą. Wierzchowiec zrobił pierwszy krok, drugi - poszedł!

Die 31/21 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Przed godziną dwunastą w nocy

Janicki dygotał, aż trzęsły się blachy zbroi. Szczekał zębami niczym w malignie.

- N-n-n-n-ne... Dłużej... N-n-n-n-nie...

- Panie... bracie, co ci... Czekaj...

Nie słuchał. W jednej chwili uderzył wierzchowca ostrogami. Koń nie ruszył skokiem.

Potruchtał do przodu, rozpędził się do słabego galopu.

- Stój! - ryknął Gogoliński. - Do szeregu!

- Wracaj!

- Oszalał! Ze szczętem oszalał!

- Łapcie go!

Porucznik strzelił. Puffer wypalił z błyskiem, chybił albo zbroja zatrzymała kulę, bo Janicki wpadł w tumany śniegu, zniknął w nich jak mara, pędząc w stronę moskiewskich stanowisk.

- Dokąd?! - Porucznik zatrzymał wystrzelonym pistoletem dwóch towarzyszy, którzy skoczyli za nieszczęsnym. - Wracać do szeregów, bracia.

- A on...

- Niech leci.
- Przedrze się, wyrwie!
- Czekać!

Daleko pod lasem rozległ się pojedynczy wystrzał, potem pukanina. Przez śnieżną zawieję doszedł do nich kwik konia, brzęk żelaza i tyle. Skończone.

- Kto następny? Proszę...
- Jakoś nie było ochotników.

Die 1 februarii/22 ianuarii

Pole pod Dobryniczami, po godzinie dwunastej, sześć godzin do świtu

- Pana Świlczyńskiego nie ma.
- Jak... to?
- Zniknął z koniem.
- Uszedł?
- Są ślady. Jeszcze... są.
- Panie Domaradzki, skocz za nim... Może go łycho porwało.
- Prędej Moskale.

Towarzysz z pocztowym ruszyli ledwie widocznymi śladami końskich kopyt. Przedzierali się przez zawieję jak przez pierwszy krąg lodowego piekła.

Coś brzęknęło pod kopytami. Duży, płaski żelazny przedmiot poniewierający się w białym puchu.

Husarski obojczyk od kirysa.

- Oszalał!

Szli dalej, z mozołem przedzierając się przez śnieg. Minęli naramiennik, dalej naplecznik ledwie widoczny w śniegu.

A potem zamajaczyła przed nimi sylweta mroczna jak zły cień. Jeździec i koń. A raczej potępieniec ciągnący z mozołem widmo kobyły przez zasy.

Był bez zbroi, w samym przesywanym aksamitnym żupanie, który śnieg i mróz przefarbowwały w białą płachtę. Szedł wolno, mamrocąc coś pod nosem.

- Stój! Dokąd, mospanie?!
- Zatrzymał się, a potem podjął wędrówkę, dopóki Domaradzki nie zagroził mu drogi.
- Powiedziałem: stawaj! Co robisz? Dokąd idziesz?
- Do Moskali... bez broni!

- Usieką cię!

- Chcę się poddać. Nie mogę. Zabijcie. Lepsza śmierć niż to... tutaj.

- Wracaj do szeregu.

Pokręcił głową.

- Bij... Strzelaj... Nie mam sił.

Z rozmachem Domaradzki uderzył Świlczyńskiego w głowę. Poprawił pięścią z drugiej strony, aż szlachcic zwał się na plecy, wpadł w śnieg i niezdarnie gramolił się na nogi.

- Wkładaj zbroję i do szeregu! Ruszaj! Już!

- To śmierć... Pewna... Ostateczna.

- Pewne jest jak amen w pacierzu, że jeśli nie włożysz zbroi, pójdziesz do piekła ze znakiem mego sygnetu na głowie! Ruszaj się, Świlczyński. Prędej!

- Zginę.

- Daję nobile verbum, że przetrwasz. Bierz konia i wracaj.

Die 1 februarii/22 ianuarii

Pole pod Dobryniczami, pięć godzin do świtu

A potem nadeszło najgorsze. Nagle, zupełnie niespodziewanie, koń pana Jakubowskiego stanął w pół kroku. A potem padł na kolana, wolno, wyciągając przed siebie zaśnieżony łeb. W jego ciemnych oczach odbił się ból i znużenie.

Jak we śnie zwał się na bok; miękki puch otulił go jak śmiertelny całun.

Szlachcic runął z kulbaki. Zamarznięty prawie na śmierć, dopiero po chwili zrozumiał, co się stało. Wstał, a raczej pełzł przez śnieg, poderwał się z trudem.

- Deresz! Wstawaj! Błagam!

Bezsilnie szarpał wodzami. Podpierał konia, klepał, bił po szyi. Próbował go rozcierać, potem, porwawszy za nadziak, bił trzonkiem, by zmusić do powstania.

- Wstawaj! Rusz się! Nie zostawiaj... mnie... Co ja... Co ja pocznę!

Koń leżał nieruchomo, bez tchu, bez życia, a szlachcic miotał się wokół ciała. Nic nie pomogło.

Jakubowski zerwał z głowy szyszak husarski, cisnął go pod nogi. Śnieg osiadł na jego podgolonych wysoko włosach, przydając starczej siwizny, jak gdyby sama śmierć wyciągała po niego ręce.

A potem pogodził się z losem. Podszedł do towarzysza z lewej. Przez chwilę mocował się z szablą - mróz był tak straszny, że całkiem przymarzła do pochwy. Wydobył ostrze i

podał husarzowi rękojeścią do przodu.

- Czego...
- Panie Janie... Nie mogę. Pchnij!
- Oszalałeś.
- Bez konia nie mam szansy. Nie przedrę się.
- Siadaj na podjezdka.
- A twój czeladnik?
- Nie potrzebuje go.

Jakubowski spojrział za plecy kompana. Koń pocztowy stał z pochyloną głową bez jeźdźca. Pocztowy leżał obok, niesiony wiatrem śnieg usypał mały kopczyk nad jego ciałem, spod którego prześwitywało tylko zwieńczenie szyszaka i mosiężne zdobienia naplecznika.

Die 1 februarii/22 januarii

Pole pod Dobryniczami

Niecałe pięć godzin do świtu

Dydyński kiwał się w kulbace zmarznięty na kość, wprost nie mogąc uwierzyć, że był czas, gdy świeciło słońce, a on sam grzał się przy trzaskającym ogniu.

Obudziło go szarpnięcie Borysa. Każdy ruch stawał się bólem, jak gdyby Wszechmocny kazał mu cierpieć za wszystkie grzechy ojca stolnikowica.

Usłyszał krzyki, jęki, biadolenia.

A potem nagle, jak gdyby piorun strzelił, koń z lewej zwał się na ziemię. Kolejny kładł się powoli, jakby we śnie. Aż wreszcie znieruchomiał, nieczuły na krzyki, prośby, błagania i razy jeźdźca. Husarski podjezdek pod pocztowym Domaradzkiego ugiął nogi wyczerpany zimnem, głodem i zmęczeniem. Zerwał się szarpnięty na munsztuku, stanął na nogach, uczynił kilka kroków do przodu.

- Padną nam wszystkie! - ryknął Domaradzki.
- Rozruszać je! Zmusić do jazdy!

Jęk, świst nahaja, krzyki, rzenie konia.

Dydyński przetarł odmrożoną, pobielającą od śniegu twarz. To było jak koszmar, najgorsze, co mogło im się przytrafić. Bez koni byli skazani na śmierć. Bez śmigłych wierzchowców nigdy nie wydostaliby się z matni.

- Z koni! - zakrzyknął. - Wszyscy zsiadać! Brać w rękę i prowadzić!

Nikt się nie poruszył. Dydyński zeskoczył zatem na ziemię. Czuł się zimny i

wychłodzony jak trup. Poruszał palcami w łośiowych rękawicach, sprawdzając, czy jeszcze mu nie odpadły. Szarpnął za wodze konia, poprowadził go kilka kroków.

Kaper ledwie przebierał nogami. Zwiesił łeb, więc Jacek odchylił tybinki kulbaki, namacał sprzączki popręgów. Sam nie był w stanie ich rozpiąć, zamarzyły na kamień. Jęcząc, wzywał Borysa, a Moskał znów przyszedł mu na ratunek. Wspólnymi siłami rozluźnili pasy. Koń stał smutny i wychudzony, z grzywą pokrytą szronem, z sierścią obsypaną śniegiem.

- Chodź, stary. - Jacek klepał go po szyi, masował, tulił. Kaper musiał żyć albo obaj zostaną na tym przerażającym lodowym pobojuwisku.

Die 1 februarii/22 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Niecałe pięć godzin do świtu

- Do ognia! - wycharczał setnik. - Zmieniać się co dwie kwatery. Rusznice trzymajcie z daleka, skatiny!

Zatarł ręce, ponury uśmiech rozjarzył jego oblicze.

- Nie płakać, synkowie. Lachom zimniej niż nam.

Die 1 februarii/22 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Cztery godziny i kwadrans do świtu

Trzymali się. Dwa konie padły, potem zwałił się trzeci, ale kiedy rzucili się wszyscy do pomocy, roztarli je śniegiem i połami żupanów, dwa poderwały się na nogi, żalodne, przemarznięte, godne najwyższej litości, ale i pochwały. Gdyby dać im choć garsteczkę owsa...

Śnieg przestawał sypać. Zamieć zmieniała się w zawieję. Dydyński bronił się przed snem, rozwierał piekące, ociężałe powieki. I modlił się, ale nie za siebie. Za konia, za duszę Kapera.

Die 1 februarii/22 ianuarii

Pole pod Dobryniczami

Nieco ponad trzy godziny do świtu

Nadeszło to, co najstraszniejsze. Koń zaczął się kłaść. Dydyński wrzasnął, szarpnął wodzami, poderwał wierzchowca krzykiem. Kaper wyprostował się, ale oklapł. Dydyński próbował prowadzić go w kółko, lecz rumak stawiał opór. Nie chciał iść, nie miał siły.

- Kaper! - zakrzyknął szlachcic rozpaczliwie, tak jak Jakubowski wcześniej. - Chodź, błagam cię.

Zięb brał coraz większy, wiatr wył, mroząc członki, porywając każdą cząstkę ciepła.

Tuż obok inni towarzysze klęli, krzyczeli, błagali konie słowami, które mogłyby stopić żelazo.

Na próżno, wierzchowce kładły się i przewracały, potykały w śniegu... Polacy szarpali je, masowali, płakali. Na nic, na nic... bez skutku.

Za chwilę mieli stać się pieszą husarią.

Dydyński ryknął wściekle. Już nie myślał, niemal nie wiedział, co robi. Zdesperowany, wściekły, rozpiął sprzączki pasów, zrzucił obojczyk i naramienniki. Ktoś krzyczał, wrzeszczał nań - chyba porucznik, lecz Jacek nie słuchał - cisnął blachy w śnieg, wyzwolił się z nich niczym z pancernej skorupy.

Zdarł z ramion przeszywany aksamitny żupan, który nosił pod zbroją, i okrył grzbiet Kapera. Ściągnął krótki dołoman, narzucił koniowi na szyję, otulił, przycisnął, przyklepał.

Został w samej koszuli na mrozie, na wietrze, wystawiony na śmierć. Zimno i wiatr ścisnęły jego pierś jak w kleszczach. Przez nieuwagę wsparł się łokciem na okutym przednim łąku kulbaki. Metal przyciągnął go jak magnes. Zdumiony oderwał dłoń i wrzasnął. Ręka przymarzła, zostawił na gładkiej powierzchni całe płyty skóry. Krew pociekła z dłoni, spłynęła na przedramię.

Zagryzł wargi, zajączkał z bólu i zimna, ale wytrzymał.

Die 1 februarii/22 ianuarii

Pole pod Dobryniczami, trzy godziny do świtu

Zdesperowani husarze zrzucali zbroje tak jak Dydyński, zrywali żupany i przeszywanice, otulali nimi konie, przykrywali grzbiety, słabizny, zawijali pyski. Zwierzęta odżyły trochę, dawały się prowadzić.

A ludzie snuli się niczym zgraja upiorów.

W koszulach i rozchełstanych żupanach... Z posiniałą skórą, z ranami od mrozu, z których sączyła się krew, wyglądali jak potępięncy, którzy przez nieuwagę uszli z ręki diabelskiego kata. Ślaniali się na nogach, jęczeli i zaciskali zęby. Niektórzy nacierali się

śniegiem.

Lecz wytrzymali. Padł tylko jeden koń. Do świtu było blisko.

Die 1 februarii/22 ianuarii

Pole pod Dobryniczami, przed świtem

Świt wymalował świat na szaro, nadciągał wolno, ponury, zły, zimowy. Nie przynosił nadziei ani ciepła, jedynie światło. Patrzyli otepiali, jak daleko nad lasami ołowiany widnokrąg staje się jaśniejszy. Śnieg przestawał sypać, wyraźniej widzieli pokryte bielą konie.

Ludzie zaczęli się poruszać; ci, którzy okryli wierzchowce własnymi szatami, przypominali śnieżne monstra - pokryci lodem, szronem, białym puchem. Krwawiący od ran i odmrożeń, ledwie żywi, dygocący.

Pozostawiali na polu daninę krwi. Ciała koni, ludzkie trupy leżące w zaspach, niektóre przysypane śniegiem, inne wyciągające ręce, szczerzące zęby do światła, jakby złorzeczyły słońcu, że ukazuje ich nędzne szczątki.

Dydyński ledwie się ruszał. Pokrwawiony, na wpół zamarznięty, powolnym ruchem zerwał z Kapera przeszywanicę, narzucił ją na ramiona, zdjął czamarkę, ale wypadła mu w śnieg - nie miał siły jej podnieść.

Nie mógł włożyć na siebie sukni, zgrabiałe ręce nie słuchały go zupełnie.

Ci, co zachowali w sobie iskrę życia, szarpali tych, którzy prawie zgaśli. Półżywe trupy rozcierały martwych, którzy nie mogli chodzić. Konie rżały, ruszały się wolno. Lecz chyba większość cudownym zrządzeniem losu przetrzymała mróz.

- Zbierać się - wycharczał Gogoliński. - Borys! Potrząśnijcie go! Niech wyprowadzi nas z piekła.

Jacek, kulejąc, podszedł do Oboleńskiego, który stał przy koniu, opierając się o jego bok.

- Hej, Moskalu. Mówię... do ciebie.

Borys stał nieporuszony. Dydyński ujął go za ramię, potrząsnął. A wtedy Myszaty odstąpił na bok. Straciwszy podpore, Oboleński osunął się na ziemię, śnieg wytłumił łoskot upadku.

- Słodki Jezu! - wykrztusił rozdygotany Dydyński. - Chryste... nie rób mi tego. Nie mścij się za krzywdy teraz...

Padł na kolana, nie bacząc na to, że cały pokryty jest ranami. Obrócił Borysa ku słońcu, spojrzął na blade oblicze; oczy sługi były przymknięte, nie otwarte... To dawało

nadzieję.

- Wstawaj, psi synu! - jęczał, potrząsając Borysem. Bił go w głowę, w policzki, po bokach. Szarpał za ręce, próbował potrząsać. - Jesteś Moskał, syn suki i niedźwiedzia! Co to dla ciebie... mróz! Wstawaj! To rozkaz!

Na nic! Na nic wszystko. Borys zdawał się spać lodowym snem.

- Pomocy! - zawołał pan Jacek słabo, ledwie dosłyszalnie. - Wasze moście... On zamarzał! Zamarzał! Słyszycie...

Rzucili się ku niemu z krzykiem, złorzeczeniem. Domaradzki i Gogoliński poderwali Oboleńskiego w górę, poczęli nim potrząsać. Krzyczeć i grozić.

- Połóżcie go - wyjęczał stolnikowic. - Na śniegu! Dajcie blachę.

Trzęsącymi się rękoma podniósł swój obojczyk. Przyłożył go do ust Oboleńskiego. Wpatrywał się i modlił bezgłośnie do wszystkich moskiewskich świętych.

Minęła chwila, nim blacha pokryła się mgiełką.

A może to nie była mgiełka... Wciąż jeszcze się nie rozwidniło!

Diabli! Diabli! Wszystko wzięli diabli!

Szarpnął Borysa za szubę pod szyją, rozerwał pętlice, przycisnął głowę do owłosionej piersi Moskala, by wyczuć bicie serca.

Nic.

Nawet nie miał sił krzyczeć. Wyszedł mu pogrzebowy jęk.

- Nie rób mi tego, Borysie! Nie mścij się za zniewagi... Nie teraz, błagam! Daruj mi, wybacz moje winy! Już nigdy... Nie będę drwił. Nie będę bił! Nie będę szydził! Wstań! Błagam!

- Na nic! - wycharczał Domaradzki. - On już u Pana. Chodź, waszmość.

Ujęli Dydyńskiego pod pachy. Podnieśli w górę. A wtedy Jacek szarpnął się, krzycząc, padł na ciało Borysa, uderzył z rozmachu otwartą dłonią w głowę.

- Żyj, Borysie. Każę ci żyć, słyszysz, bliadunie?! Słyszysz!

- To na nic!

- Niiieee! Bierzcie śnieg. Nacierajcie! Ruszać się! Inaczej zginiemy tu wszyscy!

Zdarł z Borysa szubę i żupan, potem grubą rubaszkę, odsłaniając krzyżyk Maryny wiszący na szyi; uchwycił obie garście śniegu i począł nacierać ciało sługi bez tchu, bez przerwy, coraz mocniej.

- Maryna, słyszysz?! Maryna modli się za ciebie, z kurwy synu!

Rąbnął pięścią w pierś Borysa raz, drugi, trzeci... I wtedy...

Cud stał się!

Oboleński jęknął cicho. Zakaszłał, zakrztusił się.

- Nacierajcie go!

Rzucili się wszyscy. Rozcierali, czym mogli - śniegiem, własnymi koszulami, proporcami, połami przeszywanic i czamar. Krzyczeli i modlili się.

I przebudzili moskiewskiego niedźwiedzia z zimowego snu.

Borys jęknął, zamrugał sinymi oczyma, jego pierś uniosła się spazmatycznie, ramiona zadygotały.

A wtedy Dydyński przycisnął jego brodaty łeb do własnej piersi.

Die 1 februarii/22 ianuarii

Pole pod Dobryniczami, świta na wschodzie

Ruszyli kwadrans później, ledwie dopięli paski zbroi i podciągnęli popręgi. Konie szły wolno, zmordowane, ustawały co chwila, zatem nie żalowali ostróg.

Borys prowadził ich na wschód - skosem poprzez pole. Jechali rysią, luźną gromadą, jak Tatarzy, a nie najprzedniejsze znaki Rzeczypospolitej.

- Zaraz będzie strumień. Za nim trzęsawisko, teraz zamarznęte! - krzyknął Oboleński do Gogolińskiego. - Tam tylko stępa, inaczej pochłonie nas piekło!

Szli wolno przez śnieg, w którym konie zapadały się po pęciny. Przestraszone rżały, czasem nie chciały iść.

Od strumienia do lasu rozpościerały się bagniska - teraz zawałone śniegiem, skute lodem.

- Uważajcie, ojculkowie! - krzyczał Borys. - Omijajcie miejsca, gdzie ciemne plamy. Tam oparzeliska, topiel, śmierć!

Borys miał rację. Lód był gruby, mocny, pokryty śniegiem, bywało, że trzeszczał pod kopytami ostrzegawczo, jednak co pewien czas widzieli wielkie grząskie okręgi, w głębi których bulgotały bańki błotnego gazu. Były ledwie widoczne, a co gorsza - często od góry pokrywała je cienka warstwa lodu i śniegu, pod którą czaiła się zdradliwa topiel. Konie ślizgały się, rozstawiały szeroko nogi, rżały, ale szły. Bez tchu, aby do lasu, rozerwać błędny krąg wrogów.

- Szybciej! Zaraz będzie jasno!

- Ruszać się.

Suchy grzmot przetoczył się nad lasem. Po nim drugi, trzeci. To był znak. Moskale dostrzegli, że nie ma ich na polu.

- Ruszają się! - krzyczał Domaradzki. Jechał ostatni, a wzrok miał sokoli, choć oczy przekrwione. - Jazda idzie zza strumienia.

Armatnia kula padła w step za ich plecami, wzniesając tuman śniegu. Druga rąbnęła w trzęsawisko, aż konie podskoczyły spłoszone.

- Dalej! Dalej!

Idąc stępa, klując konie ostrogami, przedzierali się przez bagniska. Z tyłu narastał zgiełk, wystrzał znów wstrząsnął powietrzem.

- Chryste Spasitielu! - rozdarł się Borys, kiedy koń pod nim potknął się, lód pękł pod kopytami, wierzchowiec wpadł po pęciny w zamrznięte z wierzchu bagnisko. Wygrzebał się po chwili, pociągnął razem z innymi.

- Ruszać się! Szyyybciej!

Przedzierali się jak w konnym koszmarze. Ci z przodu mieli najlepiej, konie stąpały po twardej zmarzlinie ukrytej pod warstwą śniegu, która w niektórych miejscach sięgała do pasa. Ale dziesiątki kopyt tłukły lód i zmarzłe błoto - kolejnym wierzchowcom woda chlupała pod nogami, ostatnie zapadały się czasem do połowy boków - szły tylko dlatego, że widziały i czuły przed sobą ogony pobratymców.

Znów wystrzał. Ponury świst kuli, jakby leciała ku nim kosa śmierci. Wybuch gdzieś w trzęsawisku, rzenie rumaków.

A potem wrzask, kotłowanina. Lód zapadł się pod koniem, wierzchowiec trafił na oparzelisko, zanurzył się aż po szyję!

Jeździec wpadł w bagno; wcześniej biały od szronu, teraz był czarny, brązowawy. Chciał chwycić się lęku!

- Bracia, ratujcie!

Nie zdołał...

Ześliznął się prosto w błoto, pogrążył z chlupotem w trzęsawisku, zniknął, kiedy ciężar zbroi pociągnął go w odmęty.

- Jezu! Trzymajcie!

- Kogo, kiedy?!

- Wieczne odpoczywanie racz...

Koń rżał, bił kopytami. Nagle znikł - bagno pokryło go, wchłonęło ze szczętem.

- Dalej! Nie stawać!

- Wszyscy potoniemy!

Byli u progu śnieżnej równiny - konie złapały twardszy grunt, ruszyły szybciej.

A Gogoliński, który wysforował się do przodu, nagle zatrzymał się jak wryty w

ziemię.

- Moskale!

Dalej, za bagnem, przed chaszczami były zasieki. Dwie lufy strzeleckich puszek spoglądały na nich czarnymi oczkami.

Jak na kościach... Dwie jedyńki. Marna wróżba na przyszłość.

- Stawaj w szeregu! - zakrzyknął porucznik, bo wiedział dobrze, że pozostaje im tylko jedno - szarża w paszczę śmierci. - Kolano w kolano! Za mną, dalej marsz!

Od razu poszli w galop. Jezusie, że konie jeszcze miały siłę. Święty Jerzy, patron rycerstwa polskiego, naprawdę dodał im skrzydeł. A może wiedziały, że pozostać tutaj mogły wyłącznie w charakterze stawy dla wilków, kruków i moskiewskich chłopów.

Szarża. Z szablami prosto na działa.

- Staaaaać! - krzyknął Swierkałow. - Czekać, syneczku! W imię cara ojczulka, Bohorodzica z nami! Mierzyć! Tylko w koniaaaaaa...

Husaria szła wprost na nich. Na kobylice, na zasieki - niższe w miejscu, gdzie stały działa. Dwieście koni. Osiemset kopyt. Dwieście szabel, z których każda niosła śmierć.

Ziemia dudniła, jakby zbliżała się pancerna lawina. Husarze pędzili. Pochyleni w kulbakach. Pokrwawieni i na wpół żywi. Trzymali się w siodłach, zaciskając zęby.

A na ich drodze spizowe działa... Piszczele wymierzone prosto w końskie piersi. Ciemnozielona linia strzelców. Półtora tysiąca ludzi.

Końskie pyski zebrane na munsztukach, smukłe nogi zagarniające ziemię szerokimi łukami. Kopyta wybijające głuchy trójtakt, gromowy pogłos naddciągającej zagłady... Coraz bliżej... Bliżej! Już prawie!

- Bij zabij!

- Stoiii!

Husaria szła wprost na strzelców, sto kroków od nich, jeszcze sześćdziesiąt; drżą ręce trzymające samopały, zamykają się oczy, uginają nogi!

Chwila jeszcze! Końskie pyski ukazują się na wprost armaty, tuż przed lufą, przed kobyliną!

- Pli!

Niemojłow przytknął lont do zapala. Proch zajął się z sykiem, wyrzucił iskry.

Oszronione działo rąbnęło prosto w szeregi husarii. Ale nie niskim, suchym grzmotem.

Z jękiem dartego spizu, z grzmotem i błyskiem rozerwało się na tysiące kawałków! Rozpadło, tnąc okruchami metalu puszkarzy, strzelców. W jednej chwili armata, kobylice,

kosze z faszyną i zastrzone kołki - wszystko w promieniu dwudziestu kroków zmiotł płomień. Zmiażdżył, odrzucił popalone ciała kanonierów, stopił lód, śnieg, wypalił dziurę w ziemi. Uderzył gorącym podmuchem w strzelców.

Swierkałow wrzasnął. Był osmalony, poparzony. Nie wierzył własnym oczom, lecz prawda kołatała mu we łbie. Działo... Działo zamarzło! Przez noc lufa musiała się skurczyć albo do środka przedostał się śnieg i zmienił w lód...

Strzelcy dali ognia z rozpędu. Część w chwili wybuchu posłała kule panu Bogu w okno. Inni, już po - niecelnie, w płomienie, w pyły, w tumany śniegu po kataklizmie.

A wtedy konie roty Gogolińskiego wpadły z rozpędem w wyrwę w moskiewskiej przegrodzie...

Szable świsnęły tylko raz - nie było kogo bić. Rumaki uderzyły w linię strzelców, zmiotły ją piersiami, stratowały kopytami. Jak wartki górski strumień przebijający się przez tamę, chorągiew husarska przerwała pierścień okrażenia, zmiażdżyła, stratowała szyki wrogów, a potem wyrwała na swobodę.

- Heja! Ho!

- Ała! Ała!

Wyli, krzyczeli, hałakowali po tatarsku. Wolni, szczęśliwi, wyzwoleni... Pędzili, jakby naprawdę wyrosły im skrzydła.

I wtedy wpadli w szerokie rozlewisko potoku.

Nagle lód trzasnął, czyjś koń zwałił się, inne zarżały, poczęły ustawać. To nie była natura... To była zasadzka. W szerokim, przysypanym śniegiem rozlewisku Moskale wyrabali płonie - przeręble przykryte wiechciami słomy, przysypane śniegiem. Lodowe wilcze doły dla jazdy.

Dydyński uświadomił sobie to wszystko w jednej chwili, gdy Kaper zapadł się, zwałił pod nim, zanurzył w lodowatej wodzie. Jeździec przeleciał przez przedni łęk, wyrznął w lód, aż zadudniło mu w uszach, przetoczył się po śniegu i zmarł.

Minęła chwila, nim wyczuł, gdzie ma ręce, a gdzie nogi. Podniósł się blady, sponiewierany.

Rota już przeszła, przeleciała w pędzie. Dydyński spojrzął za nimi, potem odwrócił się do konia. Kaper wpadł z kretesem. Lód zarwał się nie tylko pod płonią, ale i wokół. Wierzchowiec pogrążył się w wodzie, z której wystawał tylko łeb. Jacek spoglądał na smutne, wilgotne oczy i czuł, jak w sercu narasta rozpacz.

- Kaper!

Chwycił za cugle, pociągnął, chciał wyrwać przyjaciela spod lodu, ale to była robota

głupiego. Wierzchowiec wyciągnął szyję, zarżał żałośnie.

- Batuszka! Jacku Aleksandrowiczu! Uciekajcie!

Gdzie, jak? Kto to mówił? Borys zawrócił na Myszatym, stał na lodzie, machał czapką i krzyczał.

Moskale? Szli na stolnikowica, biegli po lodzie, z szablami, czekanami w rękach. Pędzili z obu brzegów, zawzięci, kosmaci, nieustraszeni.

- Borys, uciekaj! - wrzasnął szlachcic. - Sprowadź pomoc! Zawiadom... Nieborskiego.

Porwał za szablę... Zaraz, nie miał pod pachą rękojeści. W czasie upadku węgierka obróciła się na rapciach głownią w górę. Szarpnął za splątane paski, nie myśląc, że najszybciej byłoby po prostu rozpiąć pas!

- Batuszka!

Szarpał się rozpaczliwie z upartym pasem. Być otoczonym przez wrogów, nie mieć szabli w ręku! Szczyt rozpaczy...

Dostał czekanem w szyszak. Mocno, z zamachu. Runął na śnieg, a raczej to zaśnieżony lód uderzył go w brzuch i łeb tak mocno, że zaboląły zęby.

Przewrócił się na bok, usiłując wymacać szablę. Dostał raz jeszcze, aż zadźwięczało mu w uszach.

- Boooooorys...!

Dopadli go ze wszystkich stron, kopali, bili. A potem dźwignęli z ziemi. Porwał za szablę, ale nie mógł jej dobyć. Szarpał się w uściskach ponurych brodaczy, widząc, jak Oboleński zawraca konia i przerażony pędzi w stronę lasu. Gromada moskiewskich oberwańców pognąła za nim, wygrażając kijami i czekanami.

- Bieri Lacha!

- Puskaj!

- Fiodor Maksymowicz! Żywy, cały!

Wydarli mu szablę, zdarli szyszak, wykręcili ręce w tył. Zaczęli wiązać.

- Bierz konia!

Jeden z Moskali szarpnął za wodze Kapera. Rumak kwiknął, zanurzył się jeszcze bardziej. A wtedy drugi z dworian - z ryżą bródką, w brudnym pikowanym kaftanie - podskoczył bliżej, szarpnął niecierpliwie za podgardle. Nie mógł rozpiąć sprzączki, a bał się stąpać po kruchym lodzie. Spróbował zerwać uzdę z łba konia bez rozpinania sprzączek. Osiągnął tyle, że się zasapał, przyczyniając zwierzęciu dodatkowych cierpień.

- Czort z nim! - Machnął ręką.

Kaper zachrapał trwożliwie, ale nie utonął. Dydyński szarpnął się, zdjęty bólem.

Obmacywali go sprawnie we dwóch, szarpali za płyty. Nie wiedząc, jak rozpiąć sprzączki, przecięli paski kindząłem i wyłuskali Dydyńskiego z obojczyka, napierśnika i reszty zbroi.

Rosły Moskal w spiczastym szłomie jakby wydobytym z grobu Ruryka, z czarną, kręconą brodą, wyszarpnął szablę z pochwy. Przyłożył ostrze do gardła szlachcica.

- Ty, Litwin, diengi masz?

- Mam, mam - śpiesznie zapewnił Dydyński. - Puście - pokażę.

- Dawaj albo ubiju!

Drżącą ręką sięgnął do szyi. Zerwał sakiewkę z dukatami. Brodaty rozwiązał mieszek, uśmiechnął się i zaraz oddał drugiemu - starszemu, z krzaczastymi brwiami, który widać cieszył się największym mirem w tej kompanii.

Błysnęło złoto polskich czerwońców. Krzaczasty spojrzał na Dydyńskiego spode łba.

- Mało!

- Ja możny szlachcic, pan. Wykupię się! Zapłacę!

Krzaczasty pokiwał głową.

- Bieri Litwina.

Powlekli go po lodzie. Szlachcic potykał się i ślizgał, opierając na ramionach śmierdzących sadłem i dziegciem pachołków.

- Co z koniem, Fiodor Maksymowicz!

- Poszoł na chuj!

Sługa w kaftanie podszedł do Kapera, który rzeził, lecz ciągle jeszcze nie utonął, a jego łeb wystawał z płoni. Pociągnął za wodze, pokręcił głową, przyłożył rusznicę do łba konia i strzelił.

Dydyński krzyknął. Znów oglądał egzekucję towarzysza broni. Widział, jak Moskal chybił, jak klnąc, nabijał broń, a zakrwawiony koński łeb miotał się w przeręblu. Jak padł drugi strzał, a po nim trzeci. I wreszcie pokryty krwią, lecz ciągle dygocący Kaper zniknął pod lodem.

Jacek poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Zacisnął zęby, aby nie płakać. Znów stracił konia. Przeputał wszystko.

I był w moskiewskiej niewoli.

ROZDZIAŁ XIV

Cień ponurego Dworu

Bies w cerkwi • Strach ojca Witalija • Zły Chrystus • Pobita armia carewicza ucieka na Rylsk • Oboleński korzy się przed Łzedymitem • Daremne usiłowania, czyli ratujcie Dydyńskiego • Diabeł z klatki Uspieńskiego • Groza w popim dworze • Śmiech i łzy Anastazji • Na pomoc stolnikowicowi

Die 2 februarii nowego stylu/23 ianuarii starego stylu

Anno Domini 1605

Roku 7114 od stworzenia świata

Rylsk, cerkiew Pokrowska, rano

Człowieka, który przyszedł do cerkwi Pokrowskiej na poranne nabożeństwo, łatwo było przeoczyć. Zlewał się z burym tłumem ludzi z posadu - mały i zgarbiony, z krótką, przyszyżoną po tatarsku bródką, w niebogatej czudze, czyli wąskim kaftanie do konnej jazdy. A jednak ojciec Witalij bez przerwy czuł, że śledzą go przenikliwe wąskie oczka. Zarówno wtedy gdy klęczał, jak i gdy stał, bił pokłony i odprawiał modły.

Stary sterczał w nawie od samego naczęła aż do kanonu i ostatniego błogosławieństwa połączonego z odpustem. Pop rozpoznał go i dlatego jego duszę drażył jeszcze większy niepokój. Pomylił małą i wielką ektemię, omal nie upuścił prosfory, zakrztusił się, pijąc wino z kielicha, plątał się w modlitwach, ledwie doczekał ostatniego słowa: *Tiebie sławu wozsyłajem* i mokry, spocony zakończył nabożeństwo.

Ludzie rozchodzili się tłumem, klębiąc we wrotach, diacy wojewody opuścili cerkiew ostatni, a starzec wciąż sterczał przed Carskimi Wrotami. Witalij odprawił pomocników, zamarudził trochę za ikonostasem, aż wreszcie począł przemykać do przedsionka. Miał nadzieję, że starzec nie zwróci nań uwagi, i oczywiście się mylił. Chociaż szedł bokiem, tamten pojawił się na jego drodze, jakby wyrósł spod ziemi.

- Ojcze, ojcze! Witaliju! Czekaście! - zagadał szybko.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale niczym błyskawica uchwycił duchownego za rękaw szaty i przytrzymał.

- Słucham, synu - wybełkotał pop. - Czym mogę ci pomóc?

- Nic, nic, nic - słowa wypadały z ust starca jednym potokiem, jak wystrzelone z organek. - Ja wam pomogę, bracie.

Witalij szarpnął się, ale zawalidroga trzymał go mocno, zbyt mocno jak na starca. Pop usłyszał trzask nadwerężonego materiału i zmarszczył brwi.

- Puskaj!

Złoty krzyżyk zakołysał się w dłoni nieznajomego. Na przecięciu ramion widniał pysk niedźwiedzia.

Witalij spocił się jeszcze bardziej. Zadygotał, rozejrzał dokoła i pochylił nad Chrestem.

- Nie, nie tu! Nie... W przedsionku - zawyrokował starzec.

Z wielką siłą pociągnął popa za sobą. Weszli do cerkiewnej sieni - pustej i głuchej.

- Teraz, teraz można.

Pop ucałował krzyż, trzykrotnie. Podniósł spojrzenie na zagadkowe oblicze starca i wielkie, smutne, przesywające oczy.

- Powiedzcie Słowo, panie...

- Az jesm' s wami i niktoże na wy.

- Słuszajus, ojczulku - pop zgarbił się w ukłonie - wasza wola będzie dla mnie rozkazem. Życzenie - carską gramotę.

- Grigorij Frołow. Gdzie jest? Czyście gotowi do oczyszczenia?

Pop zamrugał oczyma i poczuł, że jego żołądek zaczyna przypominać Sybir.

- Grigorij? Toż poniósł karę. Głowę zachowaliśmy i odesłaliśmy do Starca, bracie.

Starzec prychnął śmiechem, pokazując szerokie, żółte zęby.

- Przy waszym cerkiewnym stanie nie przystoi bawić się w skomorocha. Jaka kara? Jaka głowa? Kogo posłaliście? Alboż to wiecie, gdzie przebywa Stariec?

- Był tu jego wysłannik - mruknął pop. - Ze sługą. W dworze mnie napadł, z pieca zwlókl, aż myślałem, że Lach...

- Lach? - Dziad uśmiechnął się wesoło. - Opowiadajże, opowiadajże dalej, ojczulku Witaliju Trofimowiczu. Rad posłucham.

Pop chętnie strząsałby rękę tamtego ze swego rękawa, ale dziad uczepił się go jak pijawka dobrej duszy.

- Pokazał Chrest i znał Słowo. Zabraliśmy go do lasu, gdzie w ogniu oczyściliśmy ciało zdrajcy Grigorija. Lach zabrał głowę i odjechał - do Starca.

Dziad zachichotał cienko. Śmiał się, rozchylając wargi, a jego oblicze zdało się nagle

Witalijowi niebezpieczne i drapieżne.

- Z czego się śmiejesz, bracie? Musiałem bić pokłony przed Chrestem.

- Słuchałeś obcoplemieńca? I myślałeś, że to wysłannik od Starca? Witalij, stary chłop z ciebie, a taaaki - pokazał rozstawionymi szeroko dłońmi - kiep i dureń. Toż właśnie mnie Stariec przysłał po głowę zmiennika! Nie mogło być dwóch posłańców.

- Jak to?

Dziad zachichotał cicho. Śmiał się długo i przenikliwie, aż popa przeszył dreszcz.

- Co ci tak wesoło, starcze? Co miałem zrobić? Miał Chrest? Miał! Znał Słowo? Znał! Sam wiesz, że reguła zakonu nakazuje...

- Oj, głupi ty, Witalij. Lachowi wydał jeńca... A może jeszcześ go wtajemniczył w inne sprawy?

- Ja tylko wypełniałem śluby posłuszeństwa...

- Piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami.

- Z tym Lachem był jeden z naszych, poddanych Starca.

- Jak się zwał?

- Nie wiem, wielki jak góra, zwalisty niczym kamień. A zresztą daj mi spokój.

- Tak, tak, tak... Dam ci spokój na cmentarzu, Witaliju. Na ile lat wyglądał?

- Ze trzydzieści, albo i więcej. Był sługą Lacha, tamten warczał na niego i rozkazywał.

- Jak się zwał?

- Myślisz, że ich pytałem?! - wybuchnął pop. - Jeden i drugi łajdak, diabelski syn, łacinnik. Ten z Litwy... Czekaj, chyba Dedyński. Na sługę wołał: Borys. Żeby nie mieli Chrestu, narobiłbym rwetesu, ale tak... Nijak mi było nie posłuchać. Sam wiesz.

Stary ujął popa za ręce, rozłożył w bezradnym geście.

- Starzec będzie zły.

- Za co?! Myślisz, że łatwo mi było ukryć to wszystko przed służbą? Mam tego dość! Ciebie, całego Dworu i tego diabelskiego dziada. Jeśli źle zrobiłem - trudno, ale dłużej nie będę wdawał się w wasze zwady i awantury ani nadstawiał karku dla Starca. Wycofuję się! Mam dość trupów i waszych grzesznych sprawek.

- Powolutku, brateńku. Przysięgałeś na Przenajświętszą Trójcę i Zbawiciela, że dochowasz nam wierności. Łamiesz przysięgę na święty Chrest. Co z twoją wiarą?

- Przysięga jest tylko przysięgą. Uwolni mnie protopop Makary, kiedy go o to poproszę.

- A gdzie podziejesz oczy, ojczulku, kiedy twoi wierni dowiedzą się, co robisz we dworze z młodymi pachołkami...

- Ciszej, łajdaku! - Pop pchnął starca z taką siłą, że nieznajomy walnął plecami o drewnianą ściankę. Ale nie wypuścił z palców mantii Witalija. - Myślisz, że się boję? Łatwo obmówić bogobojnego człowieka. Ale... Kto wam uwierzy? Gdzie dowody?

- Znajdą się, znajdą szybko, ojczulku.

- To tylko słowa!

- Słowo było u Boga. A twoje jest na papierze. W liście, który pisałeś do Afanasija Iwanowicza... I na jego ciele wypisałeś wielką modlitwę. Oj, tak!

- Dawno już - wydyszał Witalij - zjadły je krucy i wilcy.

- O nie, braciszku. Niektórych znaków nie da się usunąć ogniem ani wodą. Nie stoczy ich rozkład, nie poddadzą się powietrzu, siarce ani żelazu. Buntujesz się? Trudno, ale wtedy będziemy mieli tu świętego, nowego świętego Wasylka z Mangaziejska. Pamiętasz sam, jak dwa lata temu patriarcha wyniósł go na ołtarze za to, że nie uległ sodomii.

Pop trząsał się, rozglądał po sieni, ale na szczęście była pusta.

- Nie chcę was więcej widzieć! Idź precz.

- Wiesz, wiesz, wiesz - zachichotał starzec. - O tak, ty wiesz dobrze, jaka jest kara za złamanie ślubowania.

- Zostawcie mnie w spokoju.

- To twe ostatnie, ostatnie słowo?

- Biorę na świadka Mikołaja Cudotwórcę, że nie chcę dłużej wam służyć. Co chcieliście, zrobiłem - zdrajcę schwytałem. Teraz koniec, wara!

- Jak chcesz, ojczulku... Wola twoja stań się.

Pop wyrwał się z trudem z rąk starca, a raczej ten ostatni pozwolił mu odejść. Witalij odskoczył, machnął ręką, jakby chciał odpędzić diabła, a potem uciekł z cerkwi.

A dziad pokiwał trzęsącą się głową. A potem wszedł do głównej nawy, ukląkł przed ikonostasem przedzielającym świątynię na dwie części.

Począł bić pokłony i modlić się cichym, chrapliwym szeptem.

Nie przebaczaj mi, Chryste,

nie przebaczaj mi,

do piekła ześlij.

Ogniem piec będą,

a ja będę Cię wysławiać,

a ja będę Cię miłować.

Daj mi cierpienie.

*Ześlij cierpienie.
Przebacz piekłu,
wszystkich grzeszników weź do siebie,
a mnie zamiast wszystkich
pozostaw na mękach...*

Zapatrzył się na Mandylion, na frasobliwe oblicze Chrystusa na całunie unoszonym przez dwa anioły.

- Cariu Niebiesnyj, Utieszycielu, Dusze istny... Panie i władco prawego słowa. Rzeknij mi, co uczynić. Gdzie iść i zdążyć, abym wypełniał wolę Twoją.

Bił pokłony, walił czołem w ziemię. A kiedy podniósł głowę, cerkiew zmieniła się. Błysk przeszedł po ikonach i wrotach. Oblicze Chrystusa poruszyło się, martwe, brunatne oczy obróciły się na znieruchomiącej twarzy. I wtedy starzec zobaczył Syna Bożego na tle płonącej otchłani. Czarnego, potężnego i nieodgadnionego... Chrystusa węża, pana wszelakiej potęgi. Chrystus dawał mu znak. Chrystus mówił, jaka jest jego wola. A starzec słuchał. Potem podniósł rękę, zbliżył do oczu strzęp materii wyrwanej z rękawa szaty ojczulka Witalija. Ta sprawa była zakończona.

Die 2 februarii/23 ianuarii

Trakt pod Siewskiem, o tej samej porze

Wycofywali się, ustępowali pola. Pobici, ale nie złamani. Szli grupami i luzem, prowadząc rozjeżdżonym gościńcem wozy, konie, sanie i kolasy. Brnęli przez błoto wśród świstu batów, przekleństw, gniewnych krzyków, płaczu dzieci, ryku bydła.

- Prędzej! - krzyczano. - Szujski idzie! Tylko go widać.

Armia Dymitra, poszczerbiona, pobita, maszerowała na Ryłsk i Putywl, grzęzła w błocie, kuliła się i wypatrywała, czy na widnokręgu nie pojawi się konnica cara Godunowa.

Borys dopadł ponurej kolumny na spienionym Myszatym. Wymijał wozy grzęznące w błocie i te, które wryły się tak głęboko, że pozostawiono je własnemu losowi. Kluczył między czeladzią, wierzchowcami i saniami, przebijał się przez konnych, obryzgiwał blockiem pieszych.

Szukał carewicza.

- Dymitr? Gdzie jest Dymitr?

Mało kto odzywał się, słysząc carskie imię. Niektórzy soplowali, inni odwracali głowy.

Niekiedy wskazywali na przód, na czoło kolumny.

Przemykając skrajem gościńca, gnając przez pola, na których zalegał mokry śnieg, dotarł do miejsca, gdzie u wysokich mogił płonęło ognisko. Mokre świerkowe gałęzie dawały więcej dymu niż płomienia. Paliły się na nich wielkie jedwabne i aksamitne płachty barwy karmazynowej i białej, zdobione kawaleryjskimi krzyżami, wizerunkami Matki Boskiej i aniołów.

Chorągwie... Słudzy i pachołkowie carscy rzucali na żer płomieniom sztandary i proporce carewicza. Ciskali je, odczepione z ratyszcz, a ogień i żar przeżerały materiał, ukazując nicość, spopieliały je w kilka chwil wśród suchego trzasku płomieni.

Dworycki stał obok, podtrzymywany przez pocztowych. Zdjął kołpak, odsłaniając podgolony łeb. Po jego lewej stronie zgromadzili się Buczyńscy, Żulicki i inni rotmistrzowie, pułkownicy, husarze, petyhorcy i kozacy polscy.

Palili insygnia, aby nie dostały się w ręce Szujskiego i nie uświetniły jego moskiewskiego tryumfu nad Samozwańcem.

Borys zdjął czapę, przeżegnał się, widząc, jak leci w ogień szkarłatna chorągiew z Archaniołem Michałem. A po niej pozłocista carska z dwugłowym białym orłem.

Kolejna była trójkolorowa - czerwono-biało-czerwona, husarskiej rotty carskiej z białym orłem w środku noszącym na piersi znak cara. Lecz kiedy zdjęto ją z drzewca, Dworycki wyciągnął rękę.

- Tej nie! Ja ją zachowam. Dajcie!

Słudzy zawahali się.

- Podprowadźcie mnie!

Kiedy pomogli mu podejść bliżej, Dworycki wydarł siłą sztandar z rąk carskich pokojowych. Przytrzymał w garści, ścisnął, zwinął w kłęb.

- Jeszcze wejdziemy pod nią do Moskwy - wychrypiał. - Przegraliśmy bitwę, ale nie wojnę. Prawdziwa walka dopiero się zacznie.

Dymitr tuż obok bił pokłony przed cudownym obrazem Matki Boskiej Samborskiej ofiarowanym mu na wyprawę przez Mniszcha. Carewicz szlochał, wył, jakby pijany i nieobecny. A jednocześnie święty i nietykalny.

- Ispołnim wieczerniuju molitwu naszū Hospodiewi. U Hospoda prosim!*

- Spasi, pomiłuj i sochrani nas, Boże, twojeju błahodatiju**.

* scs. - Odmawiamy wieczorną modlitwę naszemu Panu. Prosimy Cię, Panie!

** scs. - Zbaw nas, pomiłuj, ochraniaj nas, Boże, twoją łaską

Oboleński zacisnął dłonie w pięści. Ten fałszywy carzyk, Łżedymitr, był o krok. Gdyby tak... Ech, dlaczego nie udało im się wtedy, na Litwie...

Dymitr wstał blady, lecz dumny. Oboleński skłonił się sztywno, powoli opadał na kolana, uderzył czołem, zagryzając wargi ze złości.

Nie robił tego dla siebie. Dla Dydyńskiego - jedyne go człowieka, który mógł być może odnaleźć jego przeszłość na Dworze. Powiedzieć prosto w oczy Borysowi, kim jest i gdzie się narodził.

Padł plackiem przed Samozwańcem, bił czołem w śnieg jak rab, czarny chołopiszka wtrącony w niewolę. A kiedy się odezwał, słowa przechodziły mu przez gardło zimne jak węże.

- Najjaśniejszy, najwspanialszy batiuszko, carewiczu nasz, gospodarze, jedynowładco wsiej Rusi, carze i spasieliu nas...

- Już nie spasieliu - warknął Dymitr. - Teraz wy mnie spasajcie od Borysa. Czego chcesz?!

- Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki, wzięty przez carskich ludzi!

- Nie on jeden - wzruszył ramionami Dymitr. - Zaprawdę nadchodzi czas kary za grzechy. Krwią potoczą się rzeki na całej Rusi, padną jak łan sierpem zżęty bogobojni mężowie, a jęki wdów słyhać będzie aż w Carogrodzie. Bo Zbawiciel jest gniewny. On miłuje sprawiedliwość.

- Wasza Carska Mość, gospodarze najjaśniejszy, ratuj go!

- Kogo?

- Ojczulka Dydyńskiego.

Dymitr roześmiał się.

- Straciłem dzisiaj wojsko i sławę. Moja duma i cześć legły w gruzach pod Dobryniczami. Pięć tysięcy wiernych sług pozostało na polu, a ty mi każesz ratować jednego szlachcica?

- Służył wam wiernie!

- Ratuj go sam.

- Hosudarze! - Borys zerwał się na nogi, wstrząśnięty i zablocony. Chciał rzucić się w stronę tego rudego pokurcza, skruszyć w ramionach, targnąć się na fałszywy majestat, którym gardził.

Byczyńscy i hajducy byli szybsi. Zagrodzili mu drogę, chwycili za ramiona, przytrzymali. Jan przyłożył szablę do karku.

- Wasze Wielicestwo, proszę mnie wysłuchać!

- Dość już się nagadałeś! Odstąp! - warknął Buczyński.

- Maryna! Będzie pytać! Za panem Dydyńskim...

Dymitr odwrócił się jak rażony gromem. Sięgnął do pasa, po szablę... Nie! On tylko zerwał chudą sakiewkę, cisnął ją pod nogi Oboleńskiego.

- Masz. Ratuj pana.

Die 2 februarii/23 ianuarii

Las pod Słobodą posadzką w Rylsku

Czas nieznan

Ostrożnie podszedł do pozostawionej na saniach klatki. Była okryta skórą przewiązanymi powrozami, nawet z bliska nie dało się zobaczyć, co skrywała gruba warstwa futer.

Starzec ustawił się z boku klatki, podniósł zasłonę na drzwiczkach.

Zamknął oczy, zacisnął powieki aż do bólu i po omacku odemknął. Ze środka doszedł cichy szelest, jak gdyby morskie fale przelewały się przez brzeg. Klatka zakołysała się.

Rozwarł palce lewej ręki. Przed klatkę opadł strzęp mantii popa Witalija.

- Idźże, przeklęty poterczuku, świeżym tropem. Napij się, najedz i przynieś mi jego duszę.

Usłyszał szelest, klatka znowu zakołysała się, sanie zadrżały. Cichy łoskot, stukot, trzeszczenie desek. A potem szybki szmer na śniegu, kiedy to się oddalało.

Usłyszał rżenie konia, którego uwiązał pół stajania stąd. Potem cichy trzask gałęzi i wszystko ucichło.

Powoli rozwarł powieki, przeżegnał się szeroko. Zeskoczył z sań w głęboki śnieg, obok świeżych śladów bosych stóp odchodzących od sań. Tak drobnych, że zdały się tropami dziecka, a nie diabła.

Die 2 februarii/23 ianuarii

Trakt z Siewska do Rylska

Kwadrans po godzinie, drugiej

- Ratujcie, księża! Pomóżcie! Pan Dydyński w niewoli.

Sawicki spojrział na Ławickiego, ale ten był jak wyrzeźbiony w granicie. Nie drgnął i nie dał poznać po sobie, że coś się stało.

- Straszny czas nastał, bracie.

- Będziemy się modlili za niego.

- Ech, jezuita, papieżnicy! - warknął Borys. - Modlitwy potrzebne są umarłemu, a on żyje.

- Wielu naszych cierpi pohańską niewolę. Westchnijmy za nich do Boga.

- Pomódl się z nami, bracie.

- Po co mnie wasze łacińskie modlitwy? - zagrział Borys. - Mnie trzeba pomocy, prochów, pieniędzy, aby wydobyć go z niewoli.

- Skądże to u nas, bożych sług ubogich?

- Przecież był wam bliski.

- Jak każdy chrześcijanin.

- Wstawcie się za mną do carewicza, aby kazał go wykupić.

- Wstawimy, ale nie dziś. Dymitr zagniewany. Odwrócił od nas oblicze. Krzyczy jak bezrozumny człowiek, że nasze modły nie pomogły. Dziś otacza się popami i czerńcami.

- Z Bogiem, bracia! Sam poszukam mego pana.

- Czeka. Weź to.

- Na co mi wasz krzyż?

- Oddaj go panu Dydyńskiemu, jeśli wasze drogi się skrzyżują.

- Mam swój chrest.

- Nie odtrącaj tego. - Sawicki wsunął krzyż w rękę Borysa i zacisnął palce. - Przyda się. Bo jak powiedział Pan, nie ostrze miecza, lecz ukryta w duszy wiara stanowi o sile człowieka.

Borys wzruszył ramionami. Zabrał krzyż i odszedł.

Die 2 februarii/23 ianuarii

Trakt z Siewska do Rylska

Kwadrans po godzinie drugiej

Myszaty ledwie powłóczył nogami. A jednak po raz ostatni Borys zmusił go do galopu i dopadł wozów pana Dydyńskiego, gdy tabor Dymitra zatrzymał się na popas.

Świrski, już opatrzony, na wpół leżał na wozie pod baranicą, Anastazja czuwała przy nim z driakwią. Nieborski doglądał czeladzi.

- Pan stolnikowic wzięty! - krzyknął Borys resztką tchu.

Zamarli przerażeni. Borek wypuścił lejce z rąk. Mykoła odstawił ceber z wodą. Damian aż zamachał rękoma.

- Pod Dobryniczami... Nad rzeką. Wzięli go Moskale, dworanie cara Borysa. Sam nie wiem kto... Stracił konia - wydyszał Oboleński.

Anastazja była blada jak chusta. Zaczęła szlochać, dygotać. I nagle poderwała się na nogi, pognąła za wóz. Nikt nie obejrzał się za nią, słyszeli tylko, jak wyrzucała z siebie zawartość żołądka. Mykoła przeżegnał się zdjęty trwogą. Nieborski stał nieporuszony, błądy.

- Nikt nie chce go ratować... - wydyszał Borys. - Kiedy wali się panowanie carewicza Dymitra, każdy myśli o własnej żopie.

Zdyszany spoglądał im w oblicza, zacisnął zęby.

- Pójdę mu z pomocą. Pojadę choćby do Moskwy... Wykupię go, wyzwolę. Zawiozę okup. Ale potrzebuję pomocy.

Zapadła cisza. Spojrzenia pacholków i Anastazji skierowały się w stronę Nieborskiego.

- Ja pojadę! - jęknął z wozu Świrski. - Jacek nadstawiał za mnie karku, czas teraz postawić w zastaw moje gardło dla niego.

Borys utkwiał wzrok w Nieborskim.

- A wy, Damianie Florianowiczu?

Powoli, nie patrząc w oczy Oboleńskiemu, Damian pokręcił głową.

Anastazja wyszła zza wozu - blada, rozdygotana. Wpatrywała się w Nieborskiego jak w ikonę. Ale szlachcic tylko kręcił głową.

- Nie mogę! - rzekł cicho. - Nie wolno. Pan Dydyński mianował mnie namiestnikiem w poczcie! Ja odpowiadam za wasze zdrowie i jego mienie... A wyprawa do Moskwy to szaleństwo!

- Chcesz zostawić dobrodzieja w niewoli?! - wycharczał Świrski. - Tak się odwdzięczasz za opiekę?! Za moderunek? I służbę w husarii? Gdzie byś był, gdyby nie Dydyńscy?!

- A co to ma do rzeczy?

- Nie chcesz odpowiadać? Tedy niechaj odpowiem za ciebie: za psiarczyka byś służył. Za rękodajnego albo za rakarza, skoro brak ci fantazji!

- Miarkuj się, Świrski! Leż, gdzie ci dobrze!

- Damianie! - jęknęła Anastazja. - Co ty? Co ty czynisz? Na Boga żywego, w Trójcy Świętej jedyne...

- Pan mnie wyznaczył na namiestnika w poczcie! - powtórzył Nieborski z zaciśniętymi zębami, - Przy mnie komenda i władza. A komu się nie podoba, droga wolna - wskazał trakt - na gościniec. Przyjdą wieści, u kogo pan Dydyński w niewoli, sam się na wykup dorzucę, z

własnego trzosa. A póki nie wiemy co i jak, nie wolno nam odstępować wojska!
Zrozumieliście czy mam powtórzyć?

- A więc nie chcesz iść na pomoc panu?

- Póki nie wiemy, gdzie jest, cały poczet ma zostać przy rocie! Tak ślubowałem panu stolnikowicowi.

- Sami ruszemy! - rzucił Świrski. - Skoro on nie chce, ja pojedę z Borysem.

- Pijany i ranny? - Nieborski podszedł do wozu, chwycił bukłak. - Przymawiasz mi od psiarczyków, a sam jesteś krzywoprzysięzca. Komu, jak nie panu Jackowi, przyrzekałeś nie brać więcej wina do ust? I co, szelmo?

- Przysięgałem nie brać w gębę gorzałki, miodu i piwa! Ale o małmazji nic nie wspominałem! Pojadę!

- Pójdziesz! - Nieborski położył dłoń na rękojeści szabli. - Piechotę, bo konia będziesz musiał wygrać w karty. Ja podjezdaków nie dam ani żadnego woźnika.

- Daj mi Myszatego, sam pojedę - ozwał się Borys.

- To luzak pana Dydyńskiego. Należy do pocztu. Dydyński bił cię i znieważał, Borysie. Czemuś taki chętny, by wyciągać do niego dłoń?

- Moja sprawa.

- Już powiedziałem: nie dam koni. Cisza i milczeć! Rozkładać namiot! Dziś w nim będę spał.

Nikt się nie odzywał. Świrski pewnie wstałby z wozu, gdyby mógł. Ale był ranny i jako się rzekło wyżej - pijany.

Die 2 februarii/23 ianuarii

Rylsk, dwór popa Witalija, ta sama pora

Witalij wytargał Fiediuszkę za włosy, szarpnął za ucho, przytrzymał.

- Za co, ojczulku?! - zapłakał malec.

- Na przestrozę - sapnął pop. - Gdyby cię kto kiedyś pytał o mnie, o Somkę i nasze miłowanie, masz trzymać gębę na kłódkę! Rozumiesz, łajdaku? Choćby żelazem cię przypalali, ani pary z gęby!

- Tak będzie, będzieeeee, ojczulku, jako Chrystus w niebie.

- Pamiętaj. Bo inaczej kańczugiem z tobą pogadam. Na słomianym kobiercu.

To były tylko czcze pogrożki. Ojciec Witalij nigdy nie bił Fiediuszki ani Somki batem. Jedyne, na co stać było popa, to bolesne szturchańce, szarpanie za włosy i uszy.

Teraz też znowu wyciągnął rękę ku czuprynie chłopca, ale dziwny szmer sprawił, że wstrzymał się. Coś przeleciało, przemknęło po dachu, zaszamotało na szczycie dworzyszca jak spłoszony ptak.

- Spasitielu, co to? - zapytał pop.

- Może kot?

- Przynieś piszczel. Sprawdź, czy nabita.

- Słucham, ojczulku.

Coś przesunęło się za ścianą. Okiennice kolejno zatrzeszczały ostrzegawczo - wreszcie jedna, w sennicy, załomotała głucho. Potem dał się słyszeć łoskot i głośny trzask. Usłyszeli skrzyp drewna, jak gdyby miękki kłęb futer wylądował na podłodze w pokoju.

- Co to?!

- Daj rusznicę!

Fiediuszka podał broń dobytą ze skrzyni. Pop chwycił ją, odwiódł kurek, klucz do zamka wypadł mu z rozdygotanych dłoni na podłogę. Schylić się przeszkadzał popi brzuch, więc padł na kolana i począł szukać rozpaczliwie.

- Wor! - jęknął. - Fiediuszka, kochany. Idź sprawdzić... Idź zobacz. Może to wiatr...

Dygocącymi dłońmi chwycił klucz i nałożył na zamek. Przekręcił z cichym chrzęstem.

- Na co czekasz, łajdaku! Otwórz te drzwi.

Fiediuszka nie posłuchałby, ale ojciec Witalij chwycił go lewą ręką za ucho, potrząsnął, popchnął.

Chłopiec ujął w rękę żelazny pierścień. Pociągnął drzwi powoli, ostrożnie. Odchyliły się na dobrze naoliwionych zawiasach. Szpara powiększała się, dostrzegał w niej ławy, skrzynie, kufry, wysokie, zasłane pierzynami łóżko.

Wszedł do środka z bijącym sercem, strwożony.

Coś było z lewej!

To tylko wiatr szarpał okiennicami. Okno było otwarte, wpadał przez nie lodowaty podmuch.

Sen mara, Bóg wiara.

Zamknął okno na haczyk, kiedy usłyszał cichy trzask dochodzący z gornicy, w której został ojculek Witalij.

A potem łoskot i nagle, zupełnie niespodziewanie, cienki krzyk popa, urwany na najwyższej nucie.

- Fiediiuuuuuuuuuu...

Nastała cisza przepelniona szelestem. Rozległ się łoskot, jakby coś ciężkiego zważyło

się na posadzkę. Wreszcie dziwny dźwięk, szum, jakby wody, szmery, stukot, pluskanie... Fieduszka poczuł, że włosy stanęły mu dęba. Obrócił się wolno, rozdygotany, z zaciśniętymi wargami.

Coś działo się w gornicy. Złodzieje? To nie mogli być zwykli rabusie ani nocni goście, którzy czasami odwiedzali jego pana... Christie spasieliu...

Przez uchylone drzwi widział kawałek wyszorowanej do czysta podłogi. Ciągłe ten cichy łoskot, plusk, cmokanie. Oczy chłopca rozszerzyły się jak dwa księżycy.

Powoli, bardzo powoli pchnął Fieduszka drzwi. Naciskał je drobną rączką, aż rozwarły się szerzej. Wiedział, że nie powinien tego robić, tak jak nie wolno mu było zaglądać do izby, gdzie ojczulek zamykał się z Somką. Ale ciekawość była silniejsza.

I jak to zwykle bywa, wiodła prosto do piekła.

Drzwi uchyliły się na tyle, że zobaczył wszystko. Ciszę wieczoru przerwał cienki dziecięcy głosik:

- Ojczy Witaliju! Czemu tak dziwnie skaczecie?

Die 2 februarii/23 ianuarii

Obóz wojska carewicza Dymitra, późny wieczór

- Ratuj ojczulka Dydyńskiego, błagam.

Podniósł głowę, kiedy weszła do namiotu. Damian leżał rozparty na łożu stolnikowica jak turecki basza, z kubkiem wina w ręku. Nawet nie spojrzął na Anastazję. Jej zaś uwadze nie uszedł fakt, że miał na sobie delię Jacka.

- Pozwól choć Świrskiemu jechać na pomoc! Daj mu konia, choćby najgorszego chmyza!

Zimny uśmiech Nieborskiego starczył za odpowiedź.

- Dlaczego nie? Chcesz pieniędzy? Moderunku?

Przeczący ruch głową. Nie spodziewała się, że ten młodzian, prawie dzieciuch, może spoglądać tak zimno i niechętnie.

- Przecież pan zawsze był ci łaskawy! Zabrał cię z dworu, jego ojciec sprawił ci zbroję, konia! Dlaczego jesteś tak niewdzięczny?! Przebrałeś się w jego suknie! Udajesz możnego szlachcica, a kiedy Dydyński wróci, weźmiesz za to kańczugiem! A może właśnie o to ci chodzi - chcesz, aby nie wrócił.

- Sama wiesz dobrze, o co mi idzie. I bynajmniej nie o głowę Dydyńskiego.

- Więc dlaczego nie chcesz go ratować?

- Już ty wiesz z jakiej przyczyny.

Wstał z łoża i podszedł do niej powoli. Tym razem nie uchyliła się przed jego dłońmi.

- Chcę ciebie, Anastazjo. Bądź ze mną, jak byłeś z panem, a uczynię wszystko, aby go uratować.

Potrząsnęła głową, w jej oczach był ból i gniew.

- Co to dla ciebie, dziewczko? Przecież jesteś murwą. Dziś ten, jutro inny gach? To dlaczego - uderzył się pięścią w pierś - nie ja?

- Bładin syn z ciebie, chłopcze. Dajesz mi wybór: albo ja, albo niewola pana Dydyńskiego. Poznaję dzisiaj po tobie, co znaczy honor i fantazja szlachcica z Litwy.

- Dlaczego mam okazywać fantazję i względy skortezance? Bądź pewna, że gdybyś była szlachcianką albo żoną Jacka, nigdy nie poważylbym się... mówić w ten sposób.

- Bliadun z ciebie, zupełnie bez duszy.

- Nie, to nie tak! - zakrzyknął i złapał się za głowę. - Nie chciałem cię urazić, ale... Nie umiem powiedzieć ci tego, co chcę, abyś usłyszała. Nie wiem, jak znaleźć drogę, aby me słowa trafiły do twego serca. Nie chcesz go otworzyć dla mnie, co niepomrotnie mnie złości.

- Chcesz powiedzieć, że rozmiłowałeś się we mnie jak dzieciak? Ty - szlachcic - pokochałeś, jak sam mówisz, moskiewską murwę? Co na to powie familia?

- Nie mam rodziny. A poza tym milcz!

- Nie będę milczeć! Daj nam konie i rozstaniemy się! Pojadę ratować Dydyńskiego.

- Drwisz ze mnie, jakobym cię miłował. A tymczasem ty sama rozamorowałaś się w stolnikowicu. Co, myślisz, że nie mam oczu? Dlaczego chcesz gnać przez wrogi kraj do obozu Szujskiego? Głupia przechodko, przecież to Lach i do tego szlachcic! Innej wiary i stanu! Możesz być jego dziewczką, ale nie staniesz się damą jego serca. Zwłaszcza że to miejsce jest już zajęte przez kogoś innego.

Słowa Damiana spłynęły po niej jak woda. Nawet mrugnięciem oka nie dała poznać po sobie, czy trafił w sedno, czy szpetnie spudłował.

- Chcę, żebyś pomógł Borysowi w poszukiwaniach Dydyńskiego. Musicie odbić go z moskiewskiej niewoli!

- Moje rozkazy i oczekiwania są inne.

- Chcesz mnie, tak? Jak ci się oddam, dasz nam konie?

Kiwnął głową, a wtedy podeszła do łóżka, jednym ruchem zrzuciła szubę, podciągnęła letnik, a potem położyła się z chrzęstem siana.

- To chodź i bierz! No, na co czekasz?

Aż zadygotał zaskoczony. Po prostu oniemiał na chwilę. Podszedł bliżej, a wówczas

rozsunęła kolana.

- Masz, czego chciałeś! Użyj sobie, Damianie Florianowiczu! Teraz trzymasz mnie w garści, za chwilę będziesz miał pod sobą. Uległa i twoją! Ten jeden raz.

- Zaraz, poczekaj. - Dygocącymi rękoma zerwał z ramion delię, zrzucił kołpak, szarpnął zapięcie żupana, aż guzy poleciały na wszystkie strony, odrzucił go, szarpał się z koszulą i jak zwykle ze złośliwym sznurkiem od hajdawerów.

- Jeszcze nie jesteś gotowy? Nie daj mi ostygnąć, panie szlachcicu! Dalej, pokaż, że nie tylko z kopią umiesz szarżować!

Rozdygotany, rozgorączkowany, ukląkł na łożu, rzucił się na Anastazję, przycisnął do siennika, zdyszany, ale i wściekły.

- Czekam! Co, nie dajesz rady, mości panie?

Sapał i dyszał zalękniony. A wtedy Anastazja wsunęła rękę między nich i... roześmiała się zimnym, złośliwym śmiechem.

- Nie dajesz rady, mileńki. O mój ty biedny, uciśniony. Za zimno... Następnym razem będzie lepiej.

Damian uderzył ją w twarz. Ale ta próba siły nie wyszła lepiej niż próba męskości. Dziewka zasłoniła się ramieniem, zdołała odwrócić głowę, więc zaciśnięta pięść tylko wyrznęła ją w kołpaczek.

I znowu parsknęła śmiechem.

- Złaż ze mnie! Udusisz. Złaż albo narobię krzyku.

Spocony, zbaraniały Damian posłusznie zszedł z łoża. Nie patrzył na nią - narzucił delię na koszulę, chciał coś powiedzieć, ale machnął ręką i bez szabli wyszedł z namiotu.

Dyszał ciężko, uspokajał się. Wciąż w uszach dźwięczał mu złośliwy śmiech Anastazji.

Zmarszczył brwi, ale trudno mu było udawać srogiego pana. W tej chwili trudno mu było w ogóle odgrywać szlachcica.

Tymczasem dziewczyna zwlokła się z łoża, usiadła ponura i zmordowana. W jednej chwili śmiała się jeszcze, a w drugiej już szlochała, tyle że bez spazmów i łez.

Nieborski przechadzał się wokół ogniska, przy którym grzali się Mykoła i Borys, chuchał w garście, rozcierał zziębnięte dłonie.

- Siodłajcie konie!

W pierwszej chwili nie zrozumieli.

- Siodłajcie nasze dwa podjezdki, Myszatego i Sonkę. Jedziemy ratować pana Dydyńskiego.

Obrócili się w milczeniu, spojrzeli na niego.

- Mykoła, Borek, wy zostaniecie z wozami. Miejcie baczenie na wszystko i zajmujcie się panem Świrskim.

- Jakim Świrskim? - jęknął Herakliusz. - Ja też pojedę.

- Ty? Gdzie? Chyba na cmentarz? Ledwie ci kulę wyjęli.

- Wolę zdechnąć w siodle, niż gnić na wozie.

- Borys, gotuj się. Poprowadzisz nas do obozu Szujskiego. Odnajdziemy jeńców i będziemy traktować o wykup. A jeśli się da, odbijemy pana stolnikowica!

Oboleński podniósł się, spojrzął na poczet Dydyńskiego.

- Kto pojedzie?

- Ja, ty i Świrski.

- Ja też pojedę.

Anastazja stała przed namiotem, blada, z zaciętą twarzą, postarzała o ładne kilka wiosen.

- Rozważcie moje słowa, a komu zadrży serce, niechaj zostanie - Borys łypnął okiem na dziewczkę - póki jest jeszcze czas. Pójdziemy w Moskwę, nie żałując koni. Będziemy przekradać się przez wojska Szujskiego pijane krwawym zwycięstwem i udawać Moskali. Pójdziemy polem i lasem, górą i doliną, przez grody, posady, rozłogi. Przejdziemy przez piekło i ogień. Dlatego żądam, abyście ubrali się w suknie, które jegomość stolnikowic pobrał w Czernihowie, i pochowali za pazuchę szlachecką dumę, żupany i delie. Weźcie pieniądze, jeśli coś zostało. Na wykup pana.

Zawahał się, zastanowił przez chwilę.

- I odpuście sobie winy i grzechy, abyście wyruszyli na tę wyprawę z czystymi sumieniami.

Anastazja nie patrzyła na Damiana. A pocztowy spuścił wzrok.

Die 2 februarii/23 ianuarii

Rylsk, dwór popa Witalija, późny wieczór

- Diabeł to zrobił, bo przecież nie chrześcijanin! - Stiepanko, wielki jak dąb dziesiętnik strzelców grodzkich, trząśł się jak osika na wietrze. - Batko, to mi się we łbie nie mieści...

- Jak dostał się do domu?

- Przez okno na podklecie. Bez drabiny, bez liny... Rozbił okiennicę.

- Ktoś go widział?

Dziesiętnik przeżegnał się.

- Wezwali nas sąsiedzi, bo słyszeli krzyki. Bali się iść, bo większych tchórzy niż nasze muzyki nie znajdziesz. A w środku... Odnaleźliśmy Fiediuszkę, sługę ojczulka Witalija. Żywego... Zabójca nic mu nie uczynił. Aż dziw, że przeżył, bo z ojczulkiem sprawił się... całą gornicę, sień i izby we krwi upaprał. Chłopca też juchą zalał jak wieprzka.

- Pytaliście go co i jak?

- Batuszka - dziesiętnik gniótł w rękę kołpak, przestępował z nogi na nogę - on teraz prawie całkiem zaniemówił.

- Co gadał?

- Mówić straszno. *Otworzyłem - powiada - drzwi do gornicy. A tam ojczulek Witalij po podłodze skacze - jak żaba, hyc, hyc. Ja na ławę, a on za mną. Ja na piec, a on do mnie... Tyle że bez głowy! A ja mu krzyknę: Ojczy Witaliju, czemu tak dziwnie skaczecie?!*

Stiepanko umilkł, widać było, że się boi.

- Powiedział nam wszystko, a potem... Jak nie krzyknie, jak nie wrzaśnie: *Ojczy Witaliju, czego skaczecie! Czego skaczecie, ojczulku najdroższy.* Tak woła ciągle, co go spytać. Z uma on już... - Machnął ręką.

- A głowę popa znaleźliście?

- Diabeł ją zabrał do piekła. O, tędy, kominem wyleciał.

Die 3 februarii/24 ianuarii

Kabak na posadzie w Rylsku, późny wieczór

Zanim ruszyli w głąb Moskwy, wrócili do Rylska, który szykował się do obrony przed nadciągającą armią Godunowa. Borys kazał zajechać na posad, gdzie przy placu targowym poszedł do kabaku kupić gorzałkę, bez której w Wielkim Księstwie Moskiewskim trudno myśleć o wypuszczeniu się w drogę zimową porą.

Wracał z bukłakami pełnymi prostuchy, kiedy ktoś wszedł mu w drogę. Zobaczył posiwiąłego starca w czudze i kołpaku, z małą, capią bródką i wąskimi oczyma. Zatrzymał się, patrzył i nie wierzył własnym oczom.

Rzucił naczynia, padł na kolana i objął starego za nogi.

- Ojczulku Antonie Uspieński! Batuszko umiłowany.

Starzec zmarszczył brwi, uśmiechnął się okrutnie, ale nic nie powiedział.

- Antonie Makarewiczu, albo to nie poznajecie swego wiernego sługi? Surowy był z

was diadka, ale sprawiedliwy. To ja, wasz sługa, Borys Oboleński.

- Chi, chi, chi... poznaję. - Stary złapał Borysa za głowę, kiedy ten bił pokłony. - Ale nie tutaj, nie tutaj, posadzcy patrzą. Chodźmy za kabak, za ławy!

- Będzie jak chcecie, batiuszka.

Borys, podniósł się, pozbierał bukłaki i ruszył za Uspieńskim. Starzec uchwycił go za rękaw szuby, pociągnął za kabak, na tyły straganów, na których sprzedawano sukna.

- A co ty tu robisz, a? Myślałem, że Stariec posłał cię do Litwy, za Dymitrem. A?

- Ho, ho, wiele wiecie, ojczulku. O małym nie rozstał się ze światem. Służę.

- Komu?

- Dworowi, jak zawsze. Posługa niby wieczność - nigdy nie ustanie.

- Ja cię nie pytam, komu winny jesteś posłuszeństwo, ale od kogo przyjmujesz rozkazy?

- Od pana Dydyńskiego.

Czuje wąskie, skośne oczy podkreślone sinymi worami spoczęły na brodatej gębie Borysa. Nie poruszyły się już do końca rozmowy.

- Co za pan Dydyński?

- No, jak to, nie wiecie? Sługa Dworu, rab Starca. Wyciągnął mnie spod powroza w Samborze, kiedyśmy chcieli porwać fałszywego cara, Dymitra.

- Dydyński - prychnął Uspieński - Dydyński... No proszę, co my tu mamy. Cóż za Dydyński? Lach? Łacinnik?

- Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki. Na służbie Dworu.

- Skąd wiesz, że to sługa Starca?

- Dał mi Chrest do ucałowania. Znał Słowo. Jakże mu miałem nie zaufać?

- Chrest... Chi, chi, chi... Dobrze sobie. Chrest. Tak jest, chrest... Co dalej?

- Słucham, ojczulku?

- Cóż wyprawiałeś z tym Dydyńskim? Byłeś w Rylsku, u popa Witalija, pokarać zdrajcę.

- A to wy wiecie? Tak jest, ojczulku.

- Co jeszcze robiłeś? Dokąd cię prowadzał?

- Ubiliśmy Izmajłowa w Czernihowie.

Starzec nawet nie drgnął.

- Wiem o tym. Za co?

- Nie wiem. Pan Dydyński rozkazywał, ja tylko słuchałem. Nie mój grzech.

- I nic nie uderzyło cię w jego słowach? Czynach? Niczym nie wydał ci się

podejrzany?

- No, nie wiem...

- Zajrzyj w swoją duszę, syneczku. - Spojrzenie oczu Uspieńskiego przyszpiliło Borysa do drewnianej ściany. - I powiedz, wierzyłeś ty temu Lachowi czy nie?

- Po prawdzie zdawał się dziwny. Jak to Lach, ale...

- Nie ma żadnego Dydyńskiego na naszej służbie. To szpieg Dymitra albo lackiego króla, który podstępem wdarł się w nasze szeregi. Pewnie chce dotrzeć do Starca i wydać nas wszystkich, cały Dwór, fałszywemu carewiczowi albo jezuitom. Zaprawdę nie masz oczu, Borysie, głuchy jesteś i ślepy, żeś wykonywał rozkazy zdrajcy.

- Kazano mi nie mieć oczu. Kazano milczeć i służyć, batiuszka - stropił się Borys. - To służyłem, wiernie jak pies. I o nic nie pytałem.

- Gdzie Dydyński?

- To, co mówicie, ojczulku - Oboleński zadygotał - to tak jakby pohańcy swawolili mi pod baszką. Jezu mój, Chryste słodki... To nie do wiary! Dydyński zdrajcą?! A ja... Myślałem, że to nasz. Słuchałem go, służyłem wiernie jak pies, chociaż brał gniew i on wydawał się dziwny. Ale... Wasze słowa są nie do wiary.

- Nie wierzysz mi?

- Wierzę, ale... Nie mieści się w głowie!

- Ja cię zabrałem od Oboleńskich, kiedy byłeś otrokiem. Ja cię karmiłem, uczyłem, jak żyć po bożemu, jeździć konno, modlić się, stawiać słowa i bić pokłony panu. Byłem dla ciebie jak prawdziwy batiuszka, więc musisz słuchać mnie jak ojca. A jeśli nie chcesz...

Na łańcuszku w ręce Uspieńskiego kołysał się złoty Niedźwiedzi Chrest. Borys jęknął, ucałował jego ramiona.

- Az jesm' s wami i niktoże na wy - rzekł starzec. - To mówię, gdybyś miał wątpliwości, komu ufać.

- Wierzę wam bez przysięgi. Chociaż... Nigdy, ojczulku, nie powiedzieliście mi, kim jestem. Kto był moim prawdziwym ojcem.

- Służ wiernie, a doczekasz się. Nadejdzie dzień, a dowiesz się. Za służbę. Za krew i pot. Za wszystkie rany. Gdzie Dydyński? Idziesz do niego? Gadaj!

- Dydyńskiego wzięli do niewoli bojarzy cara Borysa pod Dobryniczami. Jechałem, aby starać się o jego uwolnienie, jako dobrego pana.

- Dobrego pana, hi, hi! Co ja słyszę. Dobry pan... Powinienem wypuścić twoim tropem potercza - rzekł Uspieński, wydymając wargi. - Ale przez wzgląd, że darzę cię ojcowską miłością, uwierzę, żeś słuchał Lacha wierny regule posłuszeństwa, a nie ze złej

woli. Ale czy Stariec uwierzy, Bóg jeden wie. Powinienem też - ciągnął dalej stary - ruszyć śladem Dydyńskiego, ale skoro spotkałem ciebie, a on jest wzięty do niewoli, pojedę najpierw opowiedzieć wszystko Starcowi. Ty zaś - przytrzymał rękaw szuby Borysa - ruszysz śladem Lacha. Dowiedz się, kto go pojmał, gdzie jest, wykup albo uwolnij i daj mi znać. Wiesz jak?

- Tak, ojczulku.

Uspieński szarpnął za rękaw szuby Borysa, wyrywając z niego kilka kłaków. Podsunął je pod gębę synaczka i uśmiechnął się złowróźnie.

- Gdybyś zdradził, wiesz, co się stanie?

Oboleński zadygotał, a jego przybrany ojciec roześmiał się złośliwie.

- Idź z Bogiem. I niech cię prowadzi Chrystusowa Rodzicielka. Nie mamy czasu na rozmowy, synu. Za parę godzin będą tu wojska Szujskiego.

Borys ukląkł, a wtedy Uspieński położył mu rękę na głowie i pobłogosławił Niedźwiedzim Chrestem.

W kilka chwil później Borys wyszedł na plac targowy. Szedł wolno, niosąc w rękach bukłaki z gorzałką, które ciążyły mu jak stufuntowe kamienie. Spoglądał w zadumie na towarzyszy. Damiana Nieborskiego, Jędrzeja Świrskiego i Anastazję. Powrócił wspomnieniami do Dydyńskiego, który oszukał go, prześladował, dręczył i knutował. Wykrzywił zęby w uśmiechu, kiedy uświadomił sobie, że wszyscy oni, razem z wiarołomnym panem, są teraz zdani na jego łaskę.

Nadszedł czas, aby wyrównać porachunki.

- Siadajcie na koń! - rozkazał. - Jedziemy do Moskwy. I nie pytajcie o nic.

KONIEC TOMU II

Przypisy

Rozdział VIII

...spaliwszy przedmieścia i wypędziwszy posadzkich ludzi - myli się ten, kto myśli, że miasta na dawnej Rusi przypominały Kraków, Poznań czy Lwów. Te w Koronie i na Litwie były bowiem lokowane na prawie niemieckim, to znaczy rozplanowane w taki sposób, aby w ich strukturze zawierał się czworoboczny rynek z odchodzącymi na wszystkie strony uliczkami, na nim zaś ratusz i zwykle tuż obok kościółmiejski. Tymczasem miasta w Wielkim Księstwie Moskiewskim miały podobną strukturę jak dawne słowiańskie grody, z których zresztą powstały. Dzieliły się na: gród, czyli kreml, w którym urzędował car (w Moskwie), książe albo carski wojewoda, zwany także gorodem, a czasem dietincem. Zwykle był to drewniany lub kamienny zamek zbudowany na wzniesieniu. U stóp kremla znajdował się posad - podgrodzie, czyli tak naprawdę właściwe miasto, w którym zamieszkiwała ludność służebna, kupcy i rzemieślnicy. Dodajmy też, że struktura miast w Moskwie była zupełnie inna niż w Rzeczypospolitej - nie były to, jak np. Kraków czy Warszawa, suwerenne organizmy mające własny samorząd, wójta i ławę miejską. W Wielkim Księstwie wszystkie miasta były w XVII wieku tak naprawdę osadami służebnymi - ich mieszkańcy zwykle podporządkowani byli carskiemu namiestnikowi - wojewodzie, a swoją pracę wykonywali w pierwszym rzędzie na rzecz kremla (grodu). Warstwa kupców i rzemieślników, którzy żyli tylko i wyłącznie z wystawiania towarów na sprzedaż, była znacznie mniej liczna niż ludność służebna, zwana „posadzkimi ludźmi”, a czasem „targowymi muzykami”.

...wkrótce wszyscy Polacy w wojsku Dymitra wiedzieli, że car obcował z Fiodorem poturecku - homoseksualizm był w XVII wieku szeroko rozpowszechniony w klasztorach, a zwłaszcza na dworze Iwana Groźnego, który zwykł brać do łóża swoich faworytów. Sodomii nie uprawiał na pewno Borys Godunow, istnieją zaś pewne podejrzenia, że ulegał jej Dymitr Samozwaniec, kiedy już został carem. Nie uprzedzajmy jednak wydarzeń.

Izmajłow czekał na nich w gornicy... - dawne ruskie domy i bojarskie dwory były prawdopodobnie swoistymi perłami sztuki ciesielskiej. Były, gdyż ze względu na fakt, iż budowano je z drewna, praktycznie nie dotrwały do naszych czasów. Niejeden turysta odwiedzający dzisiejsze rosyjskie miasta może zdziwić się, że poza cerkwiami i czasem zachowanymi obwarowaniami Kremla nie ma w nich żadnych zabytków, a przede wszystkim znanej z naszych miast starówki. Wszystko to jest rezultatem prostego faktu - XVI- i XVII-wieczne budownictwo ruskie wykorzystywało przede wszystkim drewno, zatem cały ogrom dawnej architektury Rusi, a także dużej części Polski nie dotrwał do naszych czasów. Budownictwo z drewna, spowodowane brakiem kamienia, ale przede wszystkim faktem, iż drewno było znacznie tańsze niż inne materiały budowlane, nazwać można przekleństwem Europy Wschodniej. Dzisiejszemu podróżnikowi może się wydawać, że region ten jest znacznie bardziej uboższy w zabytki niż Francja, Anglia czy Hiszpania. Tymczasem zarówno w średniowieczu, jak i w XVII wieku była tu ogromna liczba wspaniałych zamków, pałaców, miast i osad, które nie dotrwały do naszych czasów, bo zbudowane były z drewna. Gwoździem do trumny dziedzictwa architektonicznego na tych terenach było masowe zastępowanie w XIX w. budowli drewnianych murowanymi kamienicami w duchu klasycystycznym. Aby wyobrazić sobie, jak wyglądały te dawne drewniane budowle w Moskwie i Rzeczypospolitej, wystarczy obejrzeć drewniane kościoły i cerkwie na polskim Podkarpaciu, albo makietę drewnianego pałacu cara Aleksego Michajłowicza wzniesionego we wsi Kołomieńskie (dziś przedmieście Moskwy) i zburzonego na rozkaz Katarzyny II w połowie XVIII wieku.

Zatem Dydyński zaśpiewał nieco pijackim głosem dumę Czahrowskiego - stolnikowie śpiewa tu oczywiście *Dumę Ukrainną* napisaną przed 1599 rokiem przez pijanicę, hulakę i awanturnika, a także poetę Adama Czahrowskiego herbu Korczak. Po jego utwory odsyłam wszakże do *Niezbędnika Sarmaty* Jacka Kowalskiego, wydane w Poznaniu w 2006 roku.

Rozdział IX

To czarna niemoc - wydyszał Jan, dociskając głowę carewicza do kilimu. - Jak go chwyci, gryzie do nieprzytomności, co tylko się da! Ręce pokąsa, nogi, nosy... - według przekazów źródłowych mały Dymitr chorował na jakąś dziwną chorobę - prawdopodobnie epilepsję, objawiającą się atakami drgawek, w czasie których gryzł i kąsał wszystko, co znajdowało się w zasięgu głowy. Według raportów komisji Wasyla Szujskiego, która badała rzekomą śmierć

małego carewicza w Ugliczu w 1591 roku, Dymitr zabił się sam, padając na nóż, kiedy choroba dopadła go w czasie zabawy w pikuty.

Epilepsja jest być może koronnym dowodem na to, czy człowiek, który pojawił się dwanaście lat później w Rzeczypospolitej na dworze Adama Wiśniowieckiego, był cudownie uratowanym carewiczem Dymitrem. Jeśli bowiem Dymitr ocalał z Uglicza, to potem, kiedy pojawił się na dworze Mniszchów jako Samozwaniec, powinien mieć napady tej słabości. Źródła historyczne, do których dotarł niżej podpisany, nie zawierają takich informacji, jednak cała sprawa wymaga szczegółowego sprawdzenia - przede wszystkim analizy przekazów moskiewskich pod kątem, czy któryś z nich nie zawiera informacji o atakach epilepsji cara Dymitra.

...minął kolasę i wóz skarbnny... - kolasami nazywano w XVII wieku zwykle, proste wozy zaopatrzone w stopień do wsiadania i ławkę. Z kolei wozy skarbane służyły do przewozu kosztowności - były to po prostu wielkie skrzynie na kołach, zamykane na kłódkę.

Zrzucili chłopię winę na karbownika ze złości, że dobrze doglądał pańskiego dobra i nie dawał kraść - opisywana historia jest autentyczna, jak zresztą wszystkie opowieści Świrskiego. Wydarzyła się ona jednak w roku 1680 w majątku Smogorzowie dzierżawionym wówczas przez Jana Chryzostoma Paska, wielkiego pisarza, ale i szelmę, awanturnika, skazanego pod koniec życia na banicję. *Tegoż roku, 17 Octobris, samym wieczorem zgorzały gumna smogorzowskie. [...] I mam przez to szkody lekko rachując na 20 tysięcy złotych. Occasionem [przyczynę] ognia chłopię włożyli byli na karbownika ex invidia [z zawiści] jakoby miał ogień zapuścić szukając z światłem wieprza swego. Kazałem go wprawdzie ociągnąć prawo sprowadziwszy; nie przyznał się, bo był nie winien, a zdrajcy z nienawiści udali go i mnie do grzechu przyprowadzili i gospodarza mię dobrego zbawili, bo mi zaraz obmierzył, że już był u kata w ręku, i kazałem mu precz.*

Proste są drogi Pańskie, a sprawiedliwi nimi chodzić będą, a przewrotni na nich upadną - to oczywiście motto *Katechizmu Rakowskiego* braci polskich, czyli arian, wydane w 1604 roku i przygotowane przez Fausta Socyna, Piotra Stoińskiego, Hieronima Moskorzewskiego i Jana Voelkela. Dydyński jako wychowanek akademii ariańskiej w Rakowie miał prawo to motto pamiętać.

Rozdział X

Miałem większe wyobrażenie o męstwie Polaków - rzekł ponuro. - Teraz, na tym polu, widzę, żeście tacy sami ludzie jak inni - to oczywiście prawdziwe słowa Dymitra wypowiedziane pod Nowogrodem, a zanotowane przez rotmistrza Stanisława Borszę w jego pamiętniku.

To nie jest Opus palatium de triangulis, tu rozrzut jest większy, niż to wynika z rachunków Jerzego Rheticusa i Kopernika... - chodzi tu oczywiście o dzieło Jerzego Joachima Retyka, matematyka i kartografa z Wirtembergii, znanego uczonego i przyjaciela Mikołaja Kopernika. Ponieważ zaś niniejsza książka nie jest ani bogobojnym, ani poprawnie politycznym dziełkiem, śpieszę dodać, że ojciec uczonego został oskarżony o czary i stracony, sam zaś Retyk stał się bohaterem skandalu obyczajowego, bowiem w roku 1551 oskarżono go o popełnienie sodomii z własnym uczniem. Aby uniknąć stosu, uciekł wówczas do Pragi, a potem przez ponad 20 lat mieszkał w Krakowie.

Jeden dzień i jedną noc stukwały siekiery, aż wreszcie przy namiotach wyrosły szałas i chatynki z piecami, przy których Lachy, Kozacy i Moskale przeczekać mogli nie tylko do wiosny, ale nawet do następnej jesieni - dzisiejszym ludziom, mającym w pamięci odwrót Wielkiej Armii Napoleona i klęskę wojsk niemieckich pod Stalingradem w 1943 roku z powodu mrozów, trudno uwierzyć, że w czasie Dymitriad wojsko polskie potrafiło obozować w polu i drwić sobie z przenikliwego zimna. Dokładna analiza pamiętników z okresu Dymitriad pokazuje jednak, iż w warunkach XVII wieku żołnierze polscy byli zarówno bardziej zahartowani, jak i zaradniejsi od XIX- i XX-wiecznych żołdaków. Przede wszystkim, kiedy stawali obozem w polu, po prostu budowali chaty i szałas z drewna ściągniętego z chałup rozebranych w okolicznych wioskach. I dzięki temu byli w stanie przetrzymać zimowe miesiące. Tymczasem luksusów takich nie mieli ani żołnierze Napoleona, ani Niemcy pod Moskwą i Stalingradem. Oczywiście należy pamiętać, że w owych czasach Moskale nie wpadli jeszcze na pomysł, aby na drodze przemarszu wroga palić wszystko do gołej ziemi, co uskuteczнили w roku 1812 w czasie wojny z Napoleonem.

A wy pojedziecie w bój ze skrzydłami, mości panowie husarze... - na temat używania przez husarię skrzydeł na polu walki od lat toczą się boje między historykami. Źródła, a zwłaszcza ikonografia pokazuje husarię na paradach ze skrzydłami, natomiast w bitwach bardzo różnie. Niżej podpisanemu wydaje się raczej, że nie było w tym względzie żadnych przepisów ani regulaminów - jak husarz chciał, to jechał w bój ze skrzydłami. Jak nie chciał - proszę bardzo,

zdejmował je. Możliwe jest jednak, aby w pewnych warunkach husaria skrzydeł używała - aby np. stworzyć wrażenie, że cała formacja jest liczniejsza niż w rzeczywistości. Dlatego całkowicie uzasadnione jest ich użycie w bitwie pod Nowogrodem, kiedy 600 husarzy miało naprzeciwko siebie wielokrotnie liczniejsze siły Moskwy. Dodajmy też, że na początku XVII wieku husaria mocowała skrzydła do tylnych łęków siodeł, a nie do pleców, jak w czasach późniejszych.

Rozdział XI

Na lewym skrzydle moskiewskie sotnie tworzące pułk prawej ręki... - w średniowieczu, jak również jeszcze na początku XVII wieku wojsko moskiewskie dzieliło się na pułki takie, jak: pułk straży przedniej, pułk straży tylnej, pułk prawej ręki, lewej ręki i wreszcie pułk wielki.

Moskale zrozumieli go bez żadnego tłumacza. A że obrazę imienia carskiego traktowali jak zamach na cześć własnej matki, kilku wyrwało z szablami za chłopcem - taki sposób pozyskiwania moskiewskiego języka również jest autentyczny - pisze o nim Jan Chryzostom Pasek w rozdziale poświęconym bitwie pod Basią stoczonyj na jesieni 1660 roku.

Tak więc chwyćmy za broń i męźnie, radośnie - z nami Boża pomoc i błogosławieństwo... - to również autentyczne słowa Dymitra, które zanotował w pamiętniku Stanisław Borsza.

Rozdział XII

Oboleński ściał grube drzewko, obciosał je, naciał, rozłupał wzdłuż... - taki sposób rozpalania ognia znany był mieszkańcom dawnej Moskwy - zwłaszcza myśliwym i wszelakim podróżnikom. Wspomina o nim nawet Antoni Ferdynand Ossendowski w swojej książce *Przez kraj ludzi, bogów i zwierząt* zawierającej historię jego ucieczki z Syberii w czasie rewolucji październikowej.

Zza Kamienia - tak w XVII-wiecznej Moskwie nazywano góry Uralu oddzielające Wielkie Księstwo od Syberii, podporządkowanej carowi w latach osiemdziesiątych XVI wieku przez Kozaka Jermaka Tymofiejewicza.

Rozdział XIII

...puścił ich zebrany galopem - galop, chód konia szybszy niż kłus, a wolniejszy od cwału, może być wyciągnięty lub skrócony (zebrany). W zebrany koń porusza się szybko, jednak możliwa jest nad nim pełna kontrola - można np. wykonać zwrot całą chorągwią, zmienić szyk, formację itd. W szybkim galopie jest to dużo trudniejsze, a w cwale prawie niemożliwe - każdy koń biegnie wówczas we własnym tempie, a szyki rozluźniają się. Dawne chorągwie polskie atakowały w taki sposób, że najpierw podjeżdżały galopem do oddziałów wroga, a dopiero przed samym starciem przechodziły w cwał, aby maksymalny pęd konia trwał jak najkrócej i aby uderzyć na przeciwnika, zanim szyk ulegnie rozluźnieniu.

...z roty Dydyńskiego ubył trzech towarzyszy oraz dwadzieścia koni i pacholków... - wierzchowce używane przez husarię były tak cenne, że w niektórych opisach bitew podawano ich stratę łącznie z pacholkami (czyli pocztowymi), nie rozdzielając ludzi od koni, zgodnie zresztą ze staropolską zasadą, że człowiek był tańszy od konia.

W szerokim, przysypanym śniegiem rozlewisku Moskale wyrąbali płonie... - płoniami nazywano pułapki, które przygotowywano na skutych lodem rzekach w XVI i XVII wieku. Zwykle były to po prostu wyrąbane w lodzie przeręble, które nakrywano słomą lub gałęziami i przysypywano śniegiem. Kiedy wszedł na nie piechur lub wjechał jeździec, płonie załamywały się. W podobnych okolicznościach, w czasie wyprawy 1651 roku na Podole, omal nie stracił życia hetman polny Marcin Kalinowski. Może i szkoda, gdyż w tym przypadku nie doprowadziłby w rok później do zagłady armii koronnej w bitwie pod Batohem.